

P. 9786 Chr. Arch

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 1/219-2/220

1966



• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

J. CZAPSKI : **WYRWANE STRONY 1963**

Abram TERC : **PCHENC**

T. NOWAKOWSKI : **WEEKEND KIBICA**

Zb. BRZEZIŃSKI :
PRZEMIANY SOWIECKIEGO SYSTEMU

SPIS RZECZY

Józef Czapski:	<i>Wyrwane strony 1963</i>	3
Paweł Hostowiec:	<i>Notatnik nieśpiesznego przechodnia</i> ..	21
Marek Hłasko:	<i>Piękni, dwudziestoletni (3)</i>	38
Tadeusz Nowakowski:	<i>Weekend kibica</i>	53
◆		
Abram Terc:	<i>Pchenc</i>	67
—	<i>Abramek Terc</i>	85
WIERSE		
Bogdan Czaykowski:	<i>Pisał Karol I. (w 1944)</i>	86
" "	<i>Na muzykę</i>	87
" "	<i>Odwiedziny</i>	87
Adam Czerniawski:	<i>Krajobraz bez króla</i>	88
" "	<i>Mitologia</i>	89
" "	<i>1 września 1965</i>	90
Ignacy Wieniewski:	<i>Wergiliusza „Eneidy” ks. II: Zdobycie Troi</i>	91
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Juliusz Mieroszewski:	<i>Niemcy między Rosją a Ameryką</i>	113
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	122
Otton Borsuk:	<i>Wielopoglądowość a człowiek</i>	131
KRAJ		
Stanisław Swianiewicz:	<i>Historia Haraschina</i>	137
—	<i>Sowieckie trudności gospodarcze a Pol- ska</i>	149
SĄSIEDZI		
Zbigniew Brzeziński:	<i>Przemiany sowieckiego systemu</i>	173
S. W. Kozłowski:	<i>Przegląd niemiecki</i>	192
SPRAWY I TROSKI		
Danuta Irena Bieńkowska:	<i>Szyld</i>	196
KRONIKA KULTURALNA		
Zygmunt Turkiewicz:	<i>Wystawy londyńskie</i>	199
—	<i>Komunikaty</i>	203
KSIĄŻKI		
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Srebrna kulka</i>	204
Adam Czerniawski:	<i>Z lektury</i>	211
	a) <i>Poetyka J. M. Rymkiewicza</i>	
	b) <i>Szkice filozoficzne Czeżowskiego</i>	
	c) <i>Poeta widzi przestrzeń i czas</i>	
Maria Czapska:	<i>O Orzeszkowej raz jeszcze</i>	219
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	223
—	<i>Wydawnictwa „Biblioteki Kultury”</i> ..	226
◆		
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	229
◆		
F. Ben, A. Bregman, M. Czapska, A. Gawroński, J. Łuczyszyn, PALESTRANT, Wł. V. Popławski, A. J. Zielicki:	<i>Listy do Redakcji</i>	230

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń-Luty—Janvier-Février 1966

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Józefa Turska, St. Anne de Bellevue, Que (Kanada), po raz dwunasty	F. 44,50
W. Iwanowski, Milton, Mass (USA), po raz czwarty	F. 28,00
Ilse Maybach, Heilbronn (Niemcy), po raz drugi	F. 67,63
Stanisław Brog, Kurralta Park (Australia), po raz drugi	F. 9,00
Stanisław Gombiński, Paryż, po raz drugi	F. 50,00
Anonimowo (Kanada), po raz szósty	F. 90,00
Anonimowo (Włochy), po raz czwarty	F. 35,50

DZIĘKUJEMY!

Jak co roku bieżący zeszyt KULTURY jest podwójny: styczeń-luty 1966 r. Zeszyt następny ukaze się w pierwszych dniach marca.



P. 9786 Chm. Arch.

Imprimé en France

1966 N 442

Wyrwane strony 1963

Całe życie pisałem dzienniki przesypując je rysunkami, cytami z książek: uwagi na marginesie pracy malarskiej, pisane prze-ważnie podczas malowania, albo zaraz potem, rachunek dnia, ra-chunek sumienia, niedotrzymane postanowienia, niezliczone po-wtórki, nastroje, „filozofowanie”, z latami coraz więcej wspom-nień. Odczytując je wstecz uderzają mnie wzajemnie przeczące sobie reakcje, to irytacje, to przygnębienia, które nie trwają, tyl-ko coraz to powracają, sądy i osądy siebie i innych.

Wszystkie zeszyty pisane przed 1939 r. przepadły, notatki z Rosji, jeszcze z obozu, które udało mi się wywieźć trafiły częścio-wo do „Nieludzkiej Ziemi” i „Oka”. Dla mnie te dzienniki (już od wojny blisko sto grubych kajetów) były i są studnią mate-riałów, które kiedyś zamierzałem wyzyskać szerzej. W miarę lat ilość zapisanych stron przerażająco rośnie! Już nie umiem żyć bez zapisywania rzeczy dla mnie, i może tylko dla mnie, inte-resujących. Co znaczy ta pasja pisania? Grafomani piszą także z pasją. Może to ucieczka przed pisaniem odpowiedzialnym, zbu-dowanym, osaczonym przez wybór świadomy i dla innych czy-telnym?

Decyduję się po długich wahaniach drukować strony wyrwa-ne z całości, dopełniając je czasami paru szczegółami, których zanotować nie zdążyłem, albo wkładkami napisanymi dziś. Te za-znaczam w tekście dwoma literami p.p. (przypisek późniejszy). Wziąłem na pierwszą próbę, na chybił trafił, jeden z kajetów z 1963 roku, z którego tylko część, podszytą dopiskami dzisiej-szymi tu podaje. W dzienniku całkiem naturalnie język jest swo-bodniejszy i mimowoli używam nieraz słów dosadnych, a także francuskich, rosyjskich, nawet niemieckich. Po latach w Rosji i ponad 25 latach we Francji te słowa zdawały mi się w chwili pi-

sania nie do zastąpienia, ściślej wyrażające treść czy dźwiękowo silniejsze. Ileż razy z prawdziwym rozdrażnieniem potykałem się w dziennikach Du Bosa, którego tak bardzo podziwiam, o prawie stronicowe wtręty angielskie. Bronię się przed tą mieszanką jak mogę, ale coraz to ulegam słowom, którym ścisłego odpowiednika nie umiem znaleźć.

30. I. 1963. „Stoliki”

Po dyskusji z Artkiem. Jest w malowaniu taki stan (do jakiego Artek mnie popycha, ale ja popychania nie potrzebuję, bo do takich stanów malarskich sam dochodzę), który jest bliski stanu mediumicznego, tylko wtedy rodzi się u mnie inwencja kolorystyczna, kompozycyjna, przeważnie z notatki, z paru kresek czy plam i to często robionych przed laty. Ale do tych stanów dochodzę poprzez nieustanne nawroty wstecz, do studiowania natury precyzyjnego, *na* naturze, i tu jest może moja w dzisiejszej sytuacji malarskiej oryginalność (może tępość). Wcale nie teoria taka czy inna ku temu studiowaniu mnie cofa (czy cofa?), ale znów jakiś mus, od którego ileż razy starałem się uwolnić! Momenty wyczerpania, wyjałowienia wizji (obsesja *du déjà vu*) rzucają mnie w pracę na granicy ścisłej kopii natury i ona dopiero wprowadza mnie z powrotem w świat wizji, ale wizji wówczas wrośniętej w obiektywną obserwację, bez żadnej próby syntetycznego skrótu, transpozycji czy broń Boże jakiegokolwiek stylizacji. Co mnie najbardziej z Artkiem różni i czego on we mnie nie rozumie, to że ja naprawdę sam nie wiem która z moich wizji jest „wyższa”, czy ta bardziej syntetyczna i od naturalizmu wolna, czy odwrotnie. Wyższa i nawet jedyna to zawsze ta, która *jest* w danej chwili. Kiedy kopiuję kaloryfer białą na białej ścianie czy zwykłe jabłko na zwykłym stole, olśniony naprawdę bezgranicznym bogactwem form, kolorów, walorów i moim wobec tego świata ubóstwem środków wyrazu, po jakimś czasie staję istnieć. Ale to na początku nie jest jeszcze cézannowska „naturą jakby pierwszy raz widzianą”, bo coraz to wspominam jeszcze odruchowo to Van Schootena¹, to Cotana², czy jeszcze kogo innego z najczystszych, najsurowszych moich mistrzów. Ale właśnie wtedy tak się do pracy rozpalam, że myślę sobie, czy może

1. Floris Van Schooten (1655). Martwa z szynką i serami na gorącym prawie czarnym gładkim tle, w Luwrze.

2. Juan Sanchez Cotan (1561-1627). Martwa geometrycznie skomponowana z kapustą na sznurku i rozciętym melonem. San Diego, Kalifornia. Wystawiona przed laty w Paryżu i reprodukowana w „Nature Morte” Ch. Sterlinga. Ed. Pierre Tisne, 1952.

te płótna piłowane, których nigdy prawie nie wystawiałem, może te jedne w moim malarstwie coś znaczą, a wszystkie inne to smaki i smaczki, które przeminą z wiatrem, wszelkie efektowne skróty i syntezy, a tym bardziej dywagacje wydają mi się wtedy łatwizną, jakieś nasze 36 *manières de faire l'amour avec la nature* ludzi, którzy obok Van Schootenów, Cotanów, Bachów czy Schützów są ludźmi wymiaru ograniczonego i niskiej epoki. Czy przesadzam? Polemika z Artkiem, chyba najinteligentniejszym z moich od pierwszej doby kolegów-malarzy, mnie do tego popycha. Ale najważniejsze w tej polemice gdy o mnie chodzi jest skonstatowanie, że mną kieruje nie teoria a wizja, nie idea z góry powzięta, a głucha konieczność, że przy tym wizje u mnie są *cykliczne* od mojej woli, myśli, *bezpośrednio* niezależne, nawet nieraz im na przekór. Roli myśli i woli (ogromnej) wcale nie neguję, ale ich czas i miejsce są gdzie indziej — potem i przedtem! Próby wymknięcia się z tej cykliczności sto razy podejmowane kończyły się u mnie sto razy porażką, czymś na granicy fałszerstwa, jak kiedy medium tracąc siły magiczne próbuje stolicę poruszać nogą! Na innym planie, w innym całkiem wymiarze człowiekowi chcącemu osiągnąć „*contactus Dei*” przez wolę wyłączenie, a nie przez pokorę i czekanie aż *będzie wyrzucony* w górę, grożą wszystkie manowce imaginacji i złud.

1. II. Dno.

Trzeba w porażce nie bać się dojść do dna, po pierwsze nigdy nie wiadomo czym jest to dno, czy jeszcze się stamtąd nie odbijesz, jak pływak, po drugie *nie wiemy* czy to jest porażka dopóki tego dna nie dotkniemy, czy to może tylko próba: poczuć przepaści między tym co widzisz a tym co możesz. (Nieraz najlepsze położenia farby, najlepsze płótna, zrobiłeś mając w danej chwili to właśnie desperackie poczucie przepaści nie do przebycia). Po trzecie, ratunkiem w zagubieniu, w wątpliwościach po pracy skrajnie subiektywnej i już zamuśnionej zmęczeniem, niepewnością, bywa robota ściśle *objectivable*, to znaczy taka, której lepsze czy gorsze wykonanie możemy obiektywnie skontrolować: *kopiowanie* jajka, kaloryferu, stołu. Ale ta robota podjęta nie powinna przeszkadzać wszelkim możliwościom w sobie pracy *inobjectivable* (to znaczy takiej, która jest zbyt subiektywna, by móc być *niechybnie*, obiektywnie z zewnątrz, poza temperaturą w której powstała, skontrolowana). Bo praca obiektywna oczyszczająca musi nas właśnie do tamtej wysokiej temperatury, która rodzi odkrycie i niespodzianki doprowadzać. Dopiero nieskończona ilość prób i porażek w tej temperaturze rozwija w nas czujność, przy-

bliza nas do świadomości bardziej ścisłej tej tak trudno uchwytnej granicy, która dzieli wizję rzeczywistą od złudzeń imaginacji i marzenia. (*Imagination, combleuse de vide. S. W.*³). Cézanne o tym samym myślał ostrzegając przed marzeniem o malarstwie bez palety w rękę.

Po pracy. Dwa płótna, przemęczona „różowa chmura” i „kawiarnia w Aix”. I znowu mieszanina chwil dobrych „na pewno to, to położenie wybieram, nie tamto” (*il ne faut laisser d'indécision dans aucune chose*⁴, powiedział Corot), i chwil złych, gdzie zmęczenie rodzi cięń rezygnacji „może być tak, albo trochę inaczej, to nie tak ważne”. To uleganie linii słabszego oporu spoglądamy przeważnie o parę sekund za późno — wystarczy, żeby płótno zepsuć. Delacroix mówił, że najtrudniej jest wiedzieć kiedy obraz przerwać.

Jakie dwie godziny pracy, nie więcej, i zmęczenie wprost ostateczne. To nie byłoby tak złe, gdyby te dwie godziny były naprawdę co dzień.

2. II. „Pod karą śmierci”.

Po pracy. Cały sekret obrazu, że w pewnej chwili musi „pod karą śmierci” dotrzeć do własnej logiki i wtedy zmienia się stosunek do płótna, do tego co jest *prawdą* płótna. To co przed chwilą było niedopuszczalne („przecież tak *nie było* w naturze, czy w notatce”) staje się właśnie nie tylko konieczne ale jedynie prawdziwe! Czasami ten moment, nieznaczny ułamek sekundy, przychodzi późno, czasami jest od pierwszej chwili, lub nie przychodzi wcale i wtedy obraz wprost się nie urodził. Jak często niszczy go naturalizm, który się wkrada bocznymi drzwiami i zabija wizję po cichutku, tenże naturalizm który nas przed chwilą wizją obdarzył.

4. II. Dyskusja z X.

Ten nagły śpiew na cześć Bonnarda i atak drapieżny na Villona budzi we mnie złe podejrzenia: dziś co drugi abstrakcjonista myśli jak od abstrakcji przejść z powrotem do przedmiotu. Więc *precz* ci wszyscy, których droga była odwrotna (u Villona przez całe życie prowadzona od naturalizmu skrajnego, do coraz bardziej abstrakcyjnej geometryzującej jakże szlachetnej syntezy). Kopać tych, których wczoraj jeszcze się czciło i znowu być na fali.

3. S. W. w moim dzienniku oznacza zawsze Simone Weil.

4. W każdej rzeczy musimy wybierać i pobierać decyzje.

I naturalnie broń Boże realizm, ale NEOrealizm. Co krok te nagle zmiany, kapelusz ostatniej mody. Kierunki zależne od koniunktury na rynku, to jest zguba iluż malarzy w Paryżu. Pamiętam jeszcze wściekłość Zygi Waliszewskiego w jakimś roku chyba 1925 czy 1926, kiedy wracając z Dôme'u opowiadał, że spotkał kolegę, któremu już zaczynało się powodzić i który powiedział: „Słuchajcie kolego, malujcie koniecznie śnieg, tej zimy marchandzi będą kupowali obrazy ze śniegiem”. Takie myślenie o malarstwie w oczach naszych dyskwalifikowało go ostatecznie.

7. II.

Przebudzenie. Nieoddychalność życia, jak tylko nie ma jakiegось „odkorkowania” w kierunku *innego wymiaru*, nadziei na inny wymiar. Życie szczęśliwe? Mam czego pragnęłam? — piekło! (Ta rosyjska bajka o bogaczu czytana w dzieciństwie, któremu niebo dało to, czego chciał, na wieczność: pałac, hotel, najsmaczniejsze potrawy na złotym talerzu i który się znalazł po latach z tymże złotym talerzem na tymże fotelu na dnie piekła). Sztuka — wizja albo „podchody” do wizji — dają uczucie (złudzenie?) innego wymiaru, *miłość-passion* również. Czysty erotyzm doprowadzony do ostatnich granic, narkotyki, dają też takie złudzenia, u jednych „pocziwe”, u innych zamurowane w swoim egoizmie czy nawet zbrodnicze. U prawdziwych, autentycznych, zbrodniarzy, u tych dla których zbrodnia jest obsesją, koniecznością jest ona *także* wyrazem głodu innego wymiaru. Święta Teresa gdzieś pisze, że dusza nie poruszana wysoko będzie poruszana nisko. Może to lepiej niż znienawidzona przez Simone Weil *médiocrité* (mierność), ten strach wszelkiego ruchu duszy, bez którego człowiek się dusi, dusza umiera. Za młodu jest tyle nowości, przeżyć i takie jeszcze złudzenia: świat przemienia, będę kochany wzajemnie, albo będę sławny, będę podróżował, wszystko błyszczący. Ale S. W. jakże prędko doszła do pewności, że to wszystko jest kłamstwem i że „życie jest niemożliwe”.

Jakaś książka Peignot „L'or des fous”. Autor w wywiadzie wyjaśnia: „To jest kamień bez wartości, który ludzie biorą za złoto”. Więc co? Tylko Pascal i Simone Weil? Wszystko inne poza absolutem jest kłamstwem, jak pisze S.W.?

P.p. Upraszczam i przez to fałszuję myśl S.W. i w niej pełno sprzeczności, nie stać mnie na ich konfrontację, sprzeczności koniecznych w każdym dzienniku (a przecież większość jej pism to notatki dla siebie, więc dziennik bez myśli o jakimkolwiek

druku), sprzeczności wynikające z różnych poziomów, różnych wysokości, z coraz to innych widnokręgów myśli, czy wprost z nastrojów chwili. Chociażby rozdział „Metaxu” w „Pesanteur et Grâce” ma inny wydźwięk: „nie pozbawiać żadnej istoty ludzkiej metaxu, to jest dóbr względnych i mieszanych (dom rodzinny, ojczyzna, tradycja, kultura etc.), które grzeją i żywią duszę i bez których poza świętością życie ludzkie jest niemożliwe”.

16. II.

Ta szybkość przychodzącego zmęczenia i zaraz dzień przekreślony... Odklejanie się świata ode mnie i sztuka moja urwana, co widzę na moich płótnach zdaje mi się zablocone i złe. I ten antypatyczny komediant Mathieu ze swoimi wywiadami, grymasami i który nagle cytuję te genialne słowa św. Jana od Krzyża: *Pour aller où tu ne sais pas, vas par où tu ne sais pas*⁵. To znowu i zawsze się powtarza, wystarczy żebym przestał malować, jestem „kuszony” na wszystkie strony. Staję się pustym miejscem, *un lieu*, i na to puste miejsce nawet Mathieu przychodzi pluć, nawet Rauschenberg (wczoraj zamknięta wystawa której nie widziałem). Czy nie ma w tym trochę paniki? Właśnie, że życie się ode mnie odkleja i że sztuka moja nie może mieć akustyki, bo czas jej minął, a ja tego czasu siłą, uporem, ostrością wizji nie naznaczyłem, bo żyłem na zbyt wielu planach i nigdzie do końca. Czy siebie winię? Nie, albo nie bardzo. Ta wielość, ta potrzeba wielości to była moja droga, nie jestem pewny czy mogłem nawet tę drogę mojego życia uwyłoczyć, bo te sprzeczności, ta wielość płaszczyzn, malarstwo, pisanie, ludzie, moje uczuciowe targania, które przez tyle lat w rzeczywistości dominowały mój świat przeżyć, zasilają się i karmiły się wzajemnie.

17. II.

Niebywałe grymasy (w kajecie o wiele ostrzej) artystów, aby tylko w tłumie wystawiających zwrócić na siebie uwagę. Mathieu w „Arts” mówi, że nie widzi nic naokoło siebie, jest tylko on, który zrobił rewolucję antyfiguratywną, pierwszą po 40.000 lat (dosłownie czterdziestu tysiącach). Dufour w „Figaro Littéraire” (po okresie czystej abstrakcji przeszedł na obrazy figuratywne, które mi się nawet dość podobały) ma wywiad o lustrach, tajemnicy luster. I tak pod rząd „patrzcie tu, patrzcie tam, czy

5. By iść tam, dokąd nie wiesz, idź drogą, której nie znasz”.

ja się wam podobam”, na tym tle Borghese, naprawdę wielki pisarz, mówi o sobie skromnie i nawet wesoło, choć oslepił, choć jest już stary i ma już tę sławę światową. Ale to jest niezdrowe czytanie o tym jarmarku, gdzie każdy chce drugiego przekrzyć. Czy nie ma w tym cienia zazdrości? Ostatecznie ci malarze chcą żyć, jak ja, chcą sprzedawać obrazy żeby móc dalej pracować, jak ja. Gdyby do mnie te pisma przysłały po wywiad zblazowanego dziennikarza, starałbym się również zaczepić czymś jego uwagę, być interesujący. Ale istotą tego co mnie drażni, co mi daje mdłości, jest to, że *nie wierzę* w ich gadanie, ani w głęboką konieczność ich malarstwa, że kocham malarzy jak Bonnard, jak Villon, jak Bissière, którzy pracowali zawsze cicho, bez grymasów, bez cyrku, bez organizowanej przez nich samych reklamy, pracowali jak Brandel, nieustannie się wahający czy swe wielkie akwarele i gwasze, albo małe drogocenne kartony, które maluje dosłownie dziesiątki lat, komukolwiek pokazać, bo „jeszcze nie gotowe”. Albo jak Jean Colin, który właściwie nigdy nie myślał jakie jest jego miejsce wśród malarzy mu współczesnych, ale tylko o drodze swego życia, swego i kolegów, w których wierzył, celem jego było dojść do swego wyrazu, do tego co mu dawało przeżycie coraz głębsze świata i natury i który w absolutną ważność takiej pracy nigdy nie wątpił. To przecie inna rasa ludzi, niż Mathieu malujący w liliowej piżamie pod dwie orkiestry w Brazylii, niż Dali z drucianymi wąsami, hipopotamem i Giocondą, czy Ives Klein, który był spryciarzem może nawet genialnym, bo potrafił się wsławić wystawiając puste płótna, gąbki maczane w ultramarynie, lub spędzając krytyków na publiczne pokazy jak obrazy swe „tworzył” przykładając gołe kobiety umazane tąż ultramaryną do białych płócien. Po co tracić nawet sekundę uwagi na tych ludzi? Są inni: Germaine Richier — żywioł jej rzeźb, okrutny Bacon, Vieira da Silva z jej bielami i szarościami, tak cichymi, Puni — jego malutkie, bogate, subtelne płótna, nawet Dubuffet, przecie kawalarz ale autentyczny poeta i odkrywca nowych form wyrazu i operowania nowymi materiałami. Uczę się od Jerzego Stempowskiego, jakże on umie odsuwać od siebie, *nie widzieć* tandety, książek, obrazów, które mu nie pachną.

19. II.

Kruchość życia, pracy. Szedłem po ulicy i znowu to uczucie, że już nie mam sił chcieć żyć. Artek: „Gdybyś wrócił, jakże by ci to dało wiele. Potworowski dopiero u nas się rozwinął, przywiózł to stąd, ale tam nagle miał wszystkie możliwości i rozmach”.

Wtedy sobie uświadomiłem momenty negatywne mojego życia. „Kultura” dla mojego malarstwa to papier pergaminowy, który zawija i odcina. Nie miałem odwagi? charakteru? *wyłączności celu* żeby w pewnym momencie się oderwać od „Kultury”. Teraz już osaczyło mnie zmęczenie w pracy, jestem *jeszcze* ciągle w przedpokoju, to znaczy że już po jakimś przegrałem. Przegrałem dlatego, że już chyba nie mam sił na ostateczny wysiłek. Proust, przed samą śmiercią wnoszący poprawki do stron o śmierci Bergotte’a. A ja? Uczucie, że moje malarstwo świata nie zbawiło, żadne malarstwo świata nie zbawi, więc nie o to chodzi. Ale *mnie* nie zbawiło. Przy tym już nie mam sił walczyć o to, żeby mnie *zobaczyli* naprawdę (będę to robił, ale na siłę). A żyć i malować sam sobie i samemu sobie widać mi nie wystarcza. Starość przyszła naraz, naraz to uczucie *blyskawiczności* mijania, jak w tym filmie „Histoire de France” Sachy Guitry. Ci królowie jedni za drugimi, szybko szybko pokazani jak żyją i nagle rozpluwają się, gasną jak świece, jedni za drugimi.

1. III. (Wypisane urywki, wypowiedzi Manessier, z pisma, którego nazwy nie zapisałem.)

„To jest mądrość wprowadzać czas do swojej gry.

... malarstwo — nieustanne, cierpliwe posuwanie się ku ogołoceniu z absolutną wiarą, że na końcu jest cud...

... Rembrandt nagle traci majątek, Cézanne budzi się pewnego poranka milionerem i nic to nie wpływa na ewolucję ich sztuki.

... Do pewnego wieku mamy możliwość wyboru. Ale potem, kiedy już trzymamy w ręku coś trwałego co nas ponad oczekiwania nasyci — nie można dać się rozrywać przez doświadczenia, nieraz pociągające młodszych. Trzeba przyjąć starzenie się swej szkoły. Renoir, Degas, Bonnard znali kubizm, nie byli wariatami, by kubizm naśladować... Ich arcydzieła powstały u progu śmierci. Nie jest ważny kierunek, do którego należysz, ważne jest jak daleko możesz dojść w tym kierunku”.

19. III.

„Jakby życie było dla przyjemności”. Ta myśl przy przebudzeniu. Ironiczna wobec siebie. Ale nie o to chodzi, chodzi o brak woli życia, jak tylko zmęczenie zaczyna przeważać. „Po co żyć?” Trzeba by mieć wtedy wyraźne poczucie celu życia: „służyć”. Ale ta świadomość i wysiłki zaraz się rozsypują i bierze górę uczucie, że wszystko jest kiwaniem palcem w bucie, pozór żeby

się samemu czuć na fali. Ta stara babcia na Nowym Świecie, u której wynajmowaliśmy pokój w 1919 roku, pokój zadziwiająco niechlujny, gdzie za każdym przejściem tramwaju drżały źle wprawione szyby w oknach. Stara babcia coraz to wlatywała, prawie kłusem, ze szmatką do pokoju i to na stole, to na komodzie strzepywała kurze. „Ja po niemiecku, ja po niemiecku!” Mój udział we wczorajszym obiedzie, mój artykuł, radio dzisiejsze — trzepotanie się. A malarstwo? Tu mam poczucie istnienia, to mi daje wolę życia, ale tu znowu zupełny brak zająebienia o dzisiejszy świat malarski. I to tym bardziej każe żyć „jak Cézanne”, ale Cézanne był synem bankiera i mógł gwizdać na wszystko poza swoim malarstwem, ja muszę się młotać, muszę pisać i nawet ludzi widzieć, choć nie mam na to sił.

Obraz przeczerwiony — nie zgubić mojej pracy.

Stary Georges S. Chory, wśród wielkich witryn z bezcennymi przedmiotami (wykopaliska, Egipt, Persja?). Mogłyby być wszystkie w Luwrze. Z widokiem na cały Paryż z okiem wielkiej pracowni, z obrazami Tal Coata: naraz wyznanie, że zawsze ma książkę Simone Weil przy sobie. *J'en fais usage dans mon état*. Aluzja dyskretna. Dojść czy choć iść w kierunku tej zagłady „ja”, w surowym i prawdziwym świecie S.W. Co z tego, że ja wiem, że ten świat jest kiedy do niego nie umiem (nie chcę!) dążyć, bo chciałbym jeszcze żyć dla siebie, dla paru ludzi, których kocham i jeszcze mieć... niespodzianki.

23. III. Czeakać.

Błąd wielu lat — może konieczny w tamtych czasach, bo to była forma obrony przed gorszym błędem: pracowitość. Ile razy zmuszałem się „pejczem” do pracy, kiedy byłem zupełnie wyjałowiony, „wypuszczony” gadaniem, bieganiem, nieprzespaną nocą i td. Ta praca stwarzała złudzenie, „jestem w porządku”, była ona wtedy tylko pracą muskułów i tylko mogła niszczyć załazki wizji — *ratowała jednak* od dalszego wypuszczania się na boki. Gdybym zamiast płać się na płótnie przeleżał cicho i bezczynnie, gdybym *od-począł*, byłbym wracał do pracy nie pusty, mniej bym czasu stracił. Ale ja wtedy nie umiałem, nie miałem sił czy dość wiary w siebie, żeby umieć czekać, żeby umieć jak dolina się położyć, praca noszenia ciężarów — wielbłądzia praca, była wtedy moim jedynym ratunkiem przed rozkładającym mnie rozproszeniem, brakiem hamulców, może najbardziej przed tłumem osaczających mnie spraw i ludzi. Dziś, tak blisko końca, zaczynam umieć czekać, dlaczego? Bo robi się pustka koło mnie, bo zmęczenie rośnie gwałtownie z latami, ale przede wszystkim

bo mam nieskończenie ostrzejsze czucie różnicy pracy z wizji i pracy z muskułów, i nieskończenie częstsze doznania widzenia malarzkiego.

29. III. W wagonie do Paryża.

Młodość, jak często szczęśliwa (wystarczy patrzeć na te twarze młodych, słyszeć ich szczęśliwy śmiech), ale ona „o tym szczęściu nie wie”. W starości się jest szczęśliwym o ile rzadziej, ale się o tym szczęściu *wie* i z jaką siłą gwałtowną! Notatka Delacroix z 1 stycznia 1861, co za hymn *szczęścia*.

We wczesnej młodości — czy pamiętam, że ja kiedyś czułem się szczęśliwy? Ale to pamiętam dobrze: była u nas taka zabawa, nazywała się „Mehlschneiden”, przyszła do nas z Austrii. Na desce uklepywano piramidę z mąki szerokości wielkiego tortu i na jej szczycie wtykano pierścionek. Każdy musiał dużym nożem kuchennym odkroić kawałek tej piramidy, ostatecznie pierścionek sterczał na kruchym, wąskim obelisku, który w pewnej chwili się rozpadł zakopując pierścionek głęboko w mące. Ten, który upadek spowodował ścinając w kolejności słupek mąki musiał „za karę” zębami pierścionek z mąki wyciągnąć. Szalona uciecha, kiedy np. ta kara padała na starego wujaszka z ogromnymi wąsami. Widzę go jeszcze zawiniętego w dużą serwetę z twarzą umączoną i pierścionkiem w zębach. Moja Matka jeszcze żyła, jej pierścionek, szafir z dwoma brylancikami, widzę na piramidzie z mąki, więc miałem wtedy nie więcej niż 6 lat. Musieliśmy chodzić punktualnie o 9-ej spać i dziś jeszcze widzę poprzez otwarte drzwi stary zegar w salonie i strzałkę na zegarze — siedem czy dziewięć minut przed 9-tą. Pamiętam ostrą nagle świadomość: „tak! więc w niebie to jest to samo tylko już bez granic — zawsze”. Więc już wtedy to uczucie mijania i końca.

Ale rok potem śmierć Mamy. Gdy mnie ostatni raz wprowadzono do Niej, Jej twarz już nieprzytomna, Jej ciężki rżący oddech konania, rozrzucone włosy na poduszce — a potem pogrzeb, blask radosny słońca na srebrnych i złotych blachach wynoszonej trumny i w chwili opuszczenia do grobu moje zażenowanie, że wszyscy, wszyscy płaczą a ja nie. Jak zrobić żeby też zapłakać! Co ja wtedy wiedziałem o śmierci, więc właśnie o przemijaniu — NIC. Miałem siedem lat!

Pierwszy koncert mego życia. W Houlgate w Normandii. Miałem już 12 lat. Kasyno, jakaś śpiewaczka niemiecka, soprano, miała wieczór pieśni, z taką gorączką już nigdy na żaden koncert nie czekałem. Wspomnienie zachowałem dziwnej męki, która mi nie pozwalała nic używać. Od pierwszej chwili rachowałem ile

już przeszło czasu, więc już ćwierć, już połowa, już trzy ćwierci, już zaraz koniec. Całe szczęście oczekiwane było zatrute doszczętnie.

A chwile szczęścia? Dywan jasny w ciemne desenie, bawie się na nim w klocki. Mama siedzi tuż na fotelu, albo przy biurku (mahoń i złote okucia z brązu) zapach hiacyntów w doniczkach, które ogrodnik przynosił na wiosnę, pełno słońca. Błysk złoto-rudy włosów mamy pod światło. Czy mi się dziś zdaje? pocucie absolutne i „na zawsze” bezpieczeństwa, szczęście.

Myślę o ukochanym synu Marii de Gr. który zginął, młody, na froncie, na początku ostatniej wojny. Opowiadała mi jak kiedyś ona i jej dwaj synowie wyjechali do lasu na „majówkę”, po jagody czy grzyby. Podwieczorek przywieziony z domu rozłożony na trawie w lesie. I wtedy syn jej, który miał jakie 12 lat powiedział: „Mamo, spamiętajmy te chwile, my jesteśmy tacy szczęśliwi jak może nigdy nie będziemy”.

To *było* szczęście i to dziecko o tym *wiedziało*.

Obsesja mijania może właśnie na starość ginie (zobojętnienie?). Jeżeli myślę o sobie była ona nieskończenie silniejsza właśnie w dzieciństwie. Czy Delacroix ją miał w ostatnich latach życia, gdy pisał 1 stycznia 1861 roku, więc dwa i pół roku przed śmiercią, w swoim dzienniku:

„Zacząłem rok ten prowadząc dalej pracę w kościele⁶ jak zwykle wizyt nie składałem nikomu, tylko parę kartek wysłałem, które mi nie zamącają spokoju i pracowałem cały dzień; szczęśliwe życie! Cóż za kompensata niebiańska mego jakoby osamotnienia. Bracia, ojcowie, krewni wszystkich stopni, przyjaciele żyjący ze sobą, kłócący się i nienawidzący się mniej lub więcej, bez słów innych jak oszukańcze. Malarstwo prawdę mówiąc mnie nęka i męczy na tysiąc sposobów, jak najbardziej wymagająca kochanka; od czterech miesięcy uciekam od świtu, biegnę do tej pracy urzekającej jak do stóp kochanki najdroższej; co zdawało mi się z daleka tak łatwe do przewyciężenia, przedstawia trudności okropne. Więc dlaczego ta wieczna walka zamiast mnie przygnębiać podnosi mnie, zamiast odbierać odwagę — pociesza i jeszcze zapełnia mi chwile, kiedy ją porzuciłem. Szczęśliwa kompensata tego co piękne lata ze sobą zabrały, szlachetny użytek tych chwil starości, która: mnie już z tysiąca stron osacza, która: mi przecie daje jeszcze siły przewyciężenia, opanowania, bólów ciała i trosk duszy”.

Zobojętnienie?

74-letni R. ciężko chory, który chciał strzelać do B., bo ten ostatni chciał mu uwieść sekretarkę.

6. St. Sulpice, ściana kaplicy, „Walka Jakuba z Aniołem”.



D. umierający, niezawsze przytomny i jeszcze, jeszcze kierujący wszystkim coraz despotyczniej, żądający aż do okrucieństwa, do ostatnich granic bolesny (68 lat).

Biedny O. Ponad 70 lat, ciężko chory na serce, leży „za szafą”, cierpi, co chwila gniew o drobnostki. Kiedy Z. weszła do pokoju o minutę wcześniej od jego żony, która wolniej wchodziła na schody — wybucha gwałtownym płaczem bo już sobie wyobraził, że się z nią mogło stać coś złego.

*O kak na skłonie naszich liet my lubim
nieźniej i bieżnadieżniej*

Zobojętnienie?

4. IV. Trzech księży.

Ksiądz. Odwiedziny. Mało zainteresowany sztuką i literaturą — sprawy religii, sprawy człowieka. Pierwsze wrażenie: życie wewnętrzne, wielka naturalność, prostota. Ten suchy, łysy, w okularach, jeszcze młody człowiek. Znowu poczułem poprzez niego nikłość jakąś, niezasadniczą ważność sztuki. Strasznie ważne czy kto lubi Bernanosa czy Prousta, Picassa czy Braque'a! Więc co? „Buty wyższe od Puszkina?” Nie buty, ale człowiek wobec Boga i tylko to. Patrzał na trzy moje obrazy. Kobieta w głębi ciemnej łoża konserwatorium z koralową kolumną, czarny człowiek w pustym białym kafłowym korytarzu metra, kawiarnia bardzo kolorowa, na jednym brzegu obrazu całująca się para, na drugim samotnik łysy z malinową gębą. „Te obrazy? — ależ ja właśnie teraz siedzę w takich problemach” — mówi ksiądz.

Nie zrozumiałem. Myślałem, że może po abstrakcji interesuje się sztuką figuratywną. Zapytałem — odpowiedział: „La solitude”. Poczułem naraz biednego osaczonego samotnością człowieka.

Przy kolacji M. opowiada coś żartem i kończy: „No tak, ale ksiądz Boga kocha!” Milczenie.

„I tego nie jestem pewny”.

Co temu księdzu może dać moja sztuka? On czuje to może jak jakieś bogactwo, które go nie karmi, które mu nic nie pomaga.

Wyszedł w tę zimną, zadeszczoną noc ze swoją łysiną, młodością, ze swoją samotnością.

(P.P. IX. 1965)

Ksiądz-robotnik, spotkany tego lata w górach, na obiedzie u przyjaciół. Pracuje w fabryce, mieszka u ludzi bezpłatnie, za to

zajmuje się ich ogrodem, nie bierze ani grosza za śluby i chrzty, nawet za msze zamówione („od tego czasu jak zdecydowałem się nie brać pieniędzy za mszę, nikt mnie już o mszę nie prosi” — mówi z goryczą w głosie). Stosunki, które miał — „burżuazyjne” — stracił jedne po drugich. Marzy o zakonie księży, którzy by nie potrzebowali się *dotykać* pieniędzy. Przy obiedzie rozważa długo z lekka tendencyjnie podkreślając swoje w tej dziedzinie znajomości, gdzie, na jakiej górze winnica daje lepsze a gdzie gorsze wino, wyklada również zalety różnych serów okolicznych. (Precz z ascezą? Życie z innymi jak inni?) Opowiada nam jak jeździł do Niemiec Wschodnich w sprawach fabryki. Jak go przyjmowano, śmiało i serdecznie „nikt prawie nie wiedział, że jestem księdzem”. Wiozł ze sobą *une bombonne de vin* („bez tego się nie ruszam”). „Jak się języki rozwiązywały, jak szczerze rozmawiali. Dyrektor fabryki raz na tydzień je przy stole razem z robotnikami, oni wierzą, że za 20 lat prześcigną Amerykę. Ci ludzie *wierzą*”, mówi podkreślając ostatnie słowo. Siostra moja pyta go „W co wierzą?” — „W człowieka” — mówi z emfazą.

Przypomina mi się Władek Broniewski:

*„Czeławiek — eto zwuczit gordo!” —
Skazał pakojnij Maksim,
A mież tiem: tut kałotiat w mordu,
Gawaria, szto ty sukin syn”.*

Ale nawet nie mam ochoty mu o tym opowiedzieć. Już blisko 50 lat, dosłownie miliony ludzi zgładzonych po Łubiankach i obozach, kolektywizacje, czystki, gwałty, tortury i głody. A religia? Dzika nie licząca się z niczym antypropaganda, tysiące kapłanów wszelkich wyznań zakatrupionych, ściganych, wyznawcy każdej religii zagrożeni zesłaniem (te kobiety ze wsi białoruskich masowo zesłane na daleką Północ, bo należały do kółek różańcowych, ksiądz Biełohołowy cichy suchotnik z Petersburga, zamorzony na wyspach Sołowieckich) — to wszystko nie waży nic „oni są młodzi, oni wierzą z okrucieństwem młodości” — mówi nasz ksiądz z nietajonym zachwytem. Nie darmo któreś pismo francuskie stwierdziło, że te szlachetne iluzje, ta hipnoza wzniosła tkwi jeszcze najsilniej w pewnych środowiskach katolickich we Francji. Tu „Pax” i jego misje do Francji musiały się wysoce zasłużyć.

Nasz ksiądz zbiera się do Rosji „ale pod warunkiem — mówi — że będę mógł jechać niezależnie, własnym autem, zatrzymywać się gdzie będę chciał. Niestety, można jechać tylko większymi grupami ponad 30 osób, to zresztą zrozumiałe, to nie tylko opieka policji politycznej, ale to sprawa trudnego wyżywienia.

„Depuis Brest-Litovsk” aż do Moskwy jedziemy przez błota Prypeci, „de la Pripet” i tylko przez parę wiosek i dwa miasta po 20-30 tysięcy mieszkańców”. To wszystko wydaje się nam przynajmniej dziwne. Próbuje się wnieść parę poprawek geograficznych, to nasz kraj, który znamy. Ale ksiądz zmienia szybko temat konwersacji. Wszystkie u nas i w Rosji już wytarte slogany, ten szlachetny ksiądz tutaj powtarza ze świeżym entuzjazmem, więcej — z wiarą. Żyjąc w kraju jak rzadko dostatnim, gdzie każdy chłop okoliczny ma auto, bo prawie każdy pracuje nie tylko na swoim kawałku ziemi i na swojej winnicy, ale w wielkiej papierni, która wszystkich zatrudnia w dolinie. Ta wciąż żywa niewygasła nadzieja: że najczystsza idea, uwolnienie człowieka od chciwości posiadania indywidualnego (zakony!), od pieniądza da komunizm oparty o potęgę, o siłę swych wojsk i swej policji — świat zbawi. I już tam za żelazną kurtyną zbawił, *przymusem*. („Gros animal”, S.W.).

Notuję to wspomnienie z lata w chwili kiedy przychodzi „Tygodnik Powszechny” z 23 października. Z wiadomością o śmierci ks. Aleksandra Fedorowicza, proboszcza Izabelina i Laszek Warszawskich. Umarł w 41 roku życia w strasznych cierpieniach (rak). Był gruźlikiem, miał wskutek tego trudności z wyświeceniem, resekcje, torakoplastykę. Wyleczony obejmuje parafię Izabelin-Laski. Brat jego, ksiądz również, wyszedł z nami z Rosji w 1942 r. O Aleksandrze słyszałem wiele przez bliskich, że święty, że cały Izabelin go zna i on zna cały Izabelin. Chorzy, pijacy, starcy, rzeźmieszczy, dzieci, dla wszystkich miał otwarty swój „gołębnik”, pokój przy kościele zbudowanym z desek po jakimś baraku przeniesionym z Ziemi Zachodnich. Ileż razy słyszałem: nie to tylko że nic nie posiada, ale że nie ma chwili dla siebie, bo każda chwila jest dla innych. Teraz w „Tygodniku” czytam, że umarł. Ksiądz Zieja, jego przyjaciel, zebrał o nim ostatnie zeznania ludzi, którym służył i którzy go otaczali do ostatniego tchu. „Proboszcz przyjechał ze szpitala do Izabelina 3 maja 65 roku... Wybrałem się tam pod wieczór sądząc, że fala odwiedzających już się przewalila. Nic podobnego. Przed schodkami, wiodącymi na górę do „dziupli” księdza proboszcza stała duża kolejka ludzi oczekujących w spokoju na moment kiedy zostaną wpuszczeni. Gdy wszedłem, zastałem całą kłitkę zapełnioną ludźmi; stali, siedzieli na podłodze, przykucali na krawędzi łóżka...”

„11 lipca. Ostatnia niedziela w parafii. Ksiądz leży nie w swym „gołębniku” ale w niewielkim pokoiku na plebanii. Po nabożeństwach szli ludzie się żegnać ze swoim proboszczem. W ciszy tłumiąc łzy przechodzili przez pokój, przyklękali, całowali nogi księdza, ręce. On podnosił rękę i błogosławił. Ręka mdlała,

słabła, podpierał ją drugą, błogosławił, kreślił na czołach krzyżyki... Wieczorem szeptał do siebie: — Taki jestem szczęśliwy, taki szczęśliwy. Co to za szczęście! Zdołałem to usłyszeć. Zapytałam więc dziecinnie: — Czy widzi ksiądz Boga? Odpowiedział: — Nie, nie widzę, ale *wiem*. Jakie wielkie jest miłosierdzie Boże. Wy tego nie wiecie... We środę 14 lipca już wydawało się, że jest samym cierpieniem... Wszedł doktor i przywitał go Pochwalonym. Odpowiedział głośno i wyraźnie: — Na wieki wieków i wyciągnął ręce mówiąc: — To wielka radość.

„Po wyjściu doktora zaczęły się już ostatnie cierpienia. Leżał rzucony na pościel, nisko, mokry, spocony, skurczony; ręce skuliły się, pomarszczyły, były jak rączki dziecka; każdy ruch koło niego powodował bolesny skurcz na twarzy; chwytał spieczonymi ustami zmoczoną gazę, wysysając łapczywie wilgoć. Kiedyż tego będzie koniec? — Jutro! — odpowiedział przytomnie.

„O 1-ej w nocy zapaliliśmy gromnicę. Modliliśmy się. Ksiądz leżał cicho, bez jęku, skulony, drobny, żaden. Matka trzymała go za rękę. Odchodził, stawał się coraz cichszy. Nawet matka nie zorientowała się, że ksiądz życie zakończył. Była godzina 12.20 w południe”.

Chciałem podać kilka zdań, o tej śmierci wspomnieć, ale jak nie przepisać tego świadectwa! Co mi tam „Mehr Licht” Goethego! Ten „Tygodnik Powszechny”, ten numer, zachowaj w Polsce setki ludzi jak relikwie.

12. IV. Wielki Piątek.

Wizyta u Piotra, potem przy Pont-Neuf u pani H. Czeka wciąż na męża, który umarł parę miesięcy temu, siedzi w jego gabinecie, te same setki książek na półkach, te same Degasy, które tyle razy widziałem odwiedzając go. Ona siedzi całkiem zdrowa i rześka z ukochanym kotem na kolanach. I nagle mi mówi: „Szybko, szybko niech pan odchodzi, słyszę jakieś głosy, to pewno on. Czekam go z chwili na chwilę. Tacy to są mężczyźni, już 10 dni jak wyjechał i ani słowa mi nie napisał!”

Powrót do Maisons-Laffitte. Dwóch Arabów jedzie ze mną — prosto z Algieru — z adresem wypisanym nieczytelnie i niemożliwą ortografią do Mantes-la-Jolie. Jeden z nich zniszczony, jeszcze nie stary człowiek, z kuzynem, dzieckiem prawie. Ten ostatni bez słowa francuskiego, może czternastoletni, z twarzą ciemną, prawie murzyńską. Z oczami sarny, tak smutny jak by świat obojętny naokoło niego nie istniał i los jego, jak by to wszystko nie istniało. Trzydzieści parę lat temu w metrze przy Gare-St-Lazare Polak ze skrzynką z desek zbitą (całym dobyt-

kiem) pytał mnie gdzie Podkale, myślałem, że Podhale, chodziło mu o Pas-de-Calais.

(P.p.) To były czasy, kiedy płynęła fala polskiej emigracji z głodnych wsi polskich, kiedy jeszcze żadna opieka społeczna nad nimi nie była zorganizowana (zresztą nie było jej wówczas i dla Francuzów we Francji). Chłopi bez słowa francuskiego, przez rolników francuskich bez umowy zatrudniani, nieraz potwornie wyzyskiwani, wyrzucani z pracy jak tylko zaczynali po francusku mówić, bo już mogli się bronić, zastępowani nowymi bezsłownymi niewolnikami. Wtedy powstała pogardliwa nazwa na Francuzów „Katany”⁷, to wtedy pojawili się *les bandits polonais*, przeważnie spośród oszukanych, wyrzuconych, głodnych robotników rolnych.

Dzisiaj M. u Weroniki Błazyk (ojciec pracuje w fabryce), dziecka, które pielęgnuje Suzanne. Weronika ma 4 lata, leży jak kościotrupek tylko brzuch wzdęty niemożliwie. Doktorzy ją porzucili, leczą znachor. Rak kiszek. Lekarze ostatniego lata orzekli, że ma najwyżej 15 dni życia. Znachor daje jej jakieś zioła, ona wciąż żyje. Suzanne codziennie przynosi jej prezent. To lalczkę, misia, karzełka, to auto celuloidowe. Dziewczynka czeka na ten prezent cały dzień, z surową twarzą odrzuca jeżeli jej się nie podoba, żąda innej zabawki. Matka, która dziecka ani na chwilę nie opuszcza: „dlaczego dziecko tak cierpi, przecie nic nie zawiniło”.

13. IV. Wielka Sobota.

Piotr pokazał mi wczoraj jakieś 15 fotografii, powiększonych i świetnych jako zdjęcia. Zrobione przez Niemca w czasie okupacji i w Niemczech odnalezione. Lwów? Ukraina? Może Warszawa? Grupy ludzi, przeważnie nie-Niemcy ale prości chłopcy z targu, jacyś cywile, twarze roześmiane, w każdym razie przyjemnie zadowolone i wśród nich jedna czy dwie kobiety, półnagie czy wprost nagie, najwidoczniej bite. Znęcają się nad nimi. Jedna z nich w gorsecie. Mężczyzna nagi, z całą twarzą zmasakrowaną. Jedna z kobiet biegnie z szeroko otwartymi ustami, krzyczy. Przerazenie. I obok ludzie patrzą, mały chłopczyk z laseczką, na innej fotografii kobieta naga — pół leży, ludzie nad nią schyleni i jakaś starsza kobieta ze starannie fryzowanymi włosami trzyma pałkę. Na innej znów dwie kobiety, jedna młoda,

7. Jadwisia z tamtej emigracji zaręcza, że słowo „Katany” pochodzi od „Katy”.

druga starsza. Półnagie również, rzucone na ziemię, rozpaczliwie wyrzucona ręka jednej z nich — palce — ogólne wrażenie niemożliwej, nie do zniesienia męki otoczonej tłumem zabawionych, ciekawych, ale częściej półobojętnych gapiów. Oprawców nie widać, może ta kobieta z pałką, ale oprawcami są wszyscy. Tacy sami ludzie patrzyli na mękę Chrystusa, tak samo jak na widowisko, na coś nieważnego, właściwie o ich życie nie zazębionego wcale. „Ojciec odpuść im, bo nie wiedzą co czynią”. Tak, ale Chrystus umierał za świat, za Prawdę, Chrystus to wiedział, ale te kobiety, które cierpią jak Chrystus cierpiał, biczowane i opluwane jak On, wśród gawiedzi *naszych* ludzi, w *naszych* krajach? Twarze, które każdy z nas widział tysiące razy, żył wśród nich.

14. IV. Niedziela Wielkanocna.

Simone Weil: „Człowiek by chciał płakać krwawymi łzami myśląc do jakiego stopnia nieszczęście druzgocze nieszczęśliwego, który jest niezdolny zrobić z nieszczęścia użytek. Ale rozważając na zimno, nie jest to marnotrawstwo bardziej żałosne jak marnotrawstwo piękności świata. Ileż razy światło gwiazd, szum fal morskich, cisza godziny poprzedzającej świt wzywają na próżno naszą uwagę. Nie udzielać uwagi piękności świata jest może zbrodnią niewdzięczności tak wielką, że zasługuje na karę nieszczęścia? Zapewnie niezawsze człowiek tej kary doznaje, ale w takim razie jest ukarany życiem miernym (*médiocre*) a czym życie mierne jest bardziej pożądane od nieszczęścia? Zresztą nawet w wypadku wielkiej niedoli życie takich istot jest prawdopodobnie zawsze mierne”⁸ („takich”, które nie umieją uczcić piękna natury?). Jeżeli kiedy buntuję się przeciwko S.W. to kiedy ta kobieta o najzarliwszym darze współczucia, niezdolna w czasie okupacji nic kupić w sklepie, bo zawsze ustępowała swe miejsce choremu, staremu, dziecku czy kalece, płacząca gorzkimi łzami nad notatką w gazecie o z głodu ginących dzieciach chińskich, ma ten odruch lekceważenia, osądu dla mierności i *jakby* również osądu ludzi niezdolnych oddychać powietrzem „wyższym”. Nie mam siły przyjąć tej mowy twardej, przy tym co znaczy to słowo *médiocre* — przeciętny, mierny? Trzeba być S.W. tak *dla siebie* okrutną, by takie zdanie jak to ostatnie napisać. Ludzie się nie dzielą na *médiocre* i nie *médiocre*, przejście z *médiocrité* na wymiar inny, wyższy (i na odwrót) odbywa się

8. „Pensées sans ordre concernant l'amour de Dieu” Simone Weil, wyd. Gallimard. Z tekstu napisanego w 1942 r., w końcu jej pobytu w Marsylii, w Casablance czy nawet już w New Yorku.

w każdym człowieku i w każdym człowieku inaczej, na miarę na którą jest zdolny, miarę jego bólu, jego uczulenia, na miarę Łaski, która na niego spływa. Te kobiety z getta wywleczone i znieważane, które mi pokazał Piotr na fotografii, może nie patrzyły na gwiazdy i nigdy nie słyszały szumu fal morskich, może były *médiocre*. Więc co? Zasłużyły na tę mękę więcej od innych, od nas?

Chrześcijaństwo — ruch nieustanny, każde zatrzymanie jest zdradą dynamicznego chrześcijaństwa. „Mediacja — pisze S.W. — sama w sobie implikuje rozdarcie (*écartèlement*) i dlatego nie można przyjąć, wyobrazić zejścia Boga ku człowiekowi czy człowieka ku Bogu bez rozdarcia”. Chrześcijaństwo więc implikuje coraz to nowe cierpienie, ależ ona sama pisze w innym miejscu, że Boga spotykamy poprzez ostatnie ogołocenie, którego nie możemy szukać bo byłoby to kuszeniem Boga!⁹ Że nawet trzeba „usiłować o ile możliwe uniknąć nieszczęścia”¹⁰... Wiem, że krzywdę S.W. wyrywając jedną stronę, jeden fragment ze zdań pisanych *do* siebie i *dla* siebie! Ale każde jej słowo jest takiej wagi, że musi być przez czytelnika przeżyte, że *znaczy*.

Józef CZAPSKI

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

SŁOŃCE JESIENI

Ancona

Po 23 latach Ancona pamięta wciąż żołnierzy 2-go Korpusu, W biurze Linii morskich Adriatyku zastaję dwóch urzędników, którzy na widok mego nazwiska — mówią mi o wspomnieniach z 1944. — Włosi i Polacy — powiadają — byli zawsze przyjaciółmi, i żołnierzy przynoszących nam wolność witaliśmy jak braci. Ponieważ obaj wyglądają na 30-35 lat, słowa ich budzą we mnie wątpliwość. — Ile też lat liczyl sobie panowie w 1944? — Byliśmy bardzo młodzi i patrzyliśmy na polskich żołnierzy z tym większą ciekawością. Jeden oficer zwłaszcza zwrócił naszą uwagę. Był najwyższym człowiekiem, jakiego widzieliśmy kiedykolwiek. Wątpliwości moje rozwiały się. Ci dwaj obywatele Ancony widzieli na pewno 2-gi Korpus. Nie byłem wprawdzie w Armii polskiej we Włoszech, ale tego oficera znam i widziałem go nawet niedawno w Paryżu.

Komunikacje morskie z Jugosławią utrzymywane są wprawdzie do końca października, ale mało kto z nich korzysta. Na najbliższy statek zameldowało się tylko dziewięć osób: 4 myśliwych jadących do Jugosławii na polowanie, 4 odważne Angielki, wyglądające na uczennice szkoły powszechnej, i ja. Statek odchodzi pojutrze, mam więc jeden dzień czasu w Anconie.

Jak na ostatni dzień września noc jest gorąca, upalna. Naprzeciw *Molo Santa Maria*, skąd odchodzą statki pasażerskie, są dwie kawiarenki, dokoła których kręcą się marynarze, poli-

9. „La Pesanteur et la Grâce. S. W. Plon. Rozdział „*Désirer sans objet*”.

10. „La Pesanteur et la Grâce. S. W. Plon. Rozdział „*Le Malheur*”.

cjanci, celnicy, przemysłowcy i ciemne osobistości operujące za-
wyczej na marginesie życia portowego. Wynurzający się z mroku
policjanci wywołują gestami konfidentów. Widząc przygotowa-
jącą się obławę, oddalam się.

Stara Ancona wspina się zakosami na górę, na której
szczyt bieleje romańska katedra pod wezwaniem św. Cyria-
ka. Kolumny portalu, jak w innych kościołach romańskich we
Włoszech, stoją na grzbietach lwów, trzymających w łapach jag-
nięta lub jaszczurki (smoki?). W zasięgu Wenecji lwy wyglą-
dają na zwierzęta oswojone. Są to lwy św. Marka. W miarę
oddalania się od Wenecji nosy ich marszczą się gniewnie, grzy-
wy jeżą się, ich dzika natura budzi się.

U stóp góry, na wysuniętym w morze przylądku stoją łuki
tryumfalne Trajana i Konstantyna, porzucone tam przez bieg
historii po samym środku stoczni, wśród dymu i brzęku żelas-
twa.

Również u stóp góry stoi inny jeszcze kościół romański,
piękniejszy od *San Ciriaco* lecz ukryty skromnie wśród budyn-
ków. Jest to *Santa Maria della Piazza*. Otacza ją girlanda za-
parkowanych kołem samochodów.

Górna część miasta, pełna ruin wojennych, opierała się dotąd
architektom i urbanistom. W jednym miejscu widać rzymski
amfiteatr, w którego wysokie mury wbudowano kilka drobnych
domków mieszkalnych. Schodząc z *San Ciriaco* zatrzymałem się
przed domem *Pod Syreną*. W Warszawie ten twór wyobraźni
jest tylko symbolem, tu zaś, niedaleko od miejsc, gdzie syreny
zwodziły śpiewem żeglarzy, zdaje się być czymś bliskim rzeczy-
wistości doświadczalnej.

Ancona posiada dwa muzea: pinakotekę miejską i muzeum
archeologiczne, w którym zgromadzono bogate zbiory przedmio-
tów wykopanych w mieście i okolicy. Dwa przedmioty zwróciły
w nim moją uwagę. Pierwszym były złote pszczoły, których cały
rój znaleziono w jednym tylko grobowcu. Ten symbol zabiegli-
wej pracowitości znajdujemy potem na niezliczonych tkaninach
i przedmiotach z czasów Napoleona I. Po raz pierwszy widzę
ich złoty pierwowzór. Drugim są szczątki konnego posągu z
pozlacanego brązu. Koń, widocznie z mniej trwałego materiału,
znikł, i nogi jeźdźcy zawisły w próżni. Prawą rękę wyciągnął
naprzód ruchem błogosławiącym, jak Marek Aureliusz z kon-
nego posągu na Kapitolu. Wąska twarz jego nie przypomina
żadnego ze znanych imperatorów. Archeolodzy, wnioskując za-
pewne z braku brody noszonej w czasach Antoninów, umieszczają
ten posąg w I wieku po Chr. Kim jednak mógł być ten
nieznajomy, wykonujący na sto lat przedtem gest cesarza-filo-
zofa?

Skromniejsza pinakoteka municypalna mieści się w *Palazzo
degli anziani*. Wchodzącego na schody ostrzegają łacińskie napi-
sy: *Siste qui gradum ignoras* (zatrzymaj się, jeżeli nie znasz rangi
rzeczy) i parafraza Horacego: *Te vertas ad imum qui summum
depreces* (będziesz niczym, jeżeli gardzisz najwyższym). Po
tych przestrożach wchodzę w pobożnym skupieniu, gotowy do
oglądania dzieł Wielkiej Sztuki. Trzej artyści, nieznani poza An-
coną, wypełniają niemal wszystkie sale. Są to w porządku chro-
nologicznym: Andrea Lilli, Scipione Daretti, autor fantazji pow-
stałych z gry architektury i perspektywy z początku XVII w. i
bliższy nam w czasie F. Podesti, rysownik klasycyzujący. W mu-
zeach włoskich warto jest rozmawiać z woźnymi. Są tak źle
opłacani, że trzymają się swego zawodu z zamiłowaniem do sztuk
pięknych i mają zawsze w zapasie kilka zabawnych i trafnych
uwag. — Co za wspaniały rysownik! — mówi woźny, wskazując
na Olimpijczyków Podestiego. — Co za nieomylna pewność w
traktowaniu anatomii, jaka nieprzymuszona lekkość kaligrafii!
I kiedy mówię mu o ubóstwie i banalności tematów Podestiego,
powiada: — Ach, *signore*, gdyby dzisiejsi malarze, mający rze-
komo tyle wyobraźni, posiadali rzemiosło Podestiego, malarstwo
byłoby wielką rzeczą.

Z pinakoteki wychodzę z fotografią architektury Daretiego
i portretem czarownicy Angela Carosellego. Rodzina Carosellich
istnieje dotąd w Abruzzach. Sądząc z portretu czarownicy, mogą
to być potomkowie lub krewni Angela.

M/N Egadi

Jesteśmy na morzu już od 7 godzin i przepłynęliśmy większą
część Adriatyku nie spotykając żadnego innego statku. Rozumiem
teraz, czemu na naszym pokładzie jest tyle sprzętu do ratowa-
nia tonących: łodzi, tratw, pasów, kamizelek. Adriatyk jest wod-
ną pustynią i w razie jakiegoś wypadku nikt by nam nie mógł
pośpieszyć z pomocą. Minęły tu czasy Wenecji i wielkiego handlu
morskiego. Środkiem morza przebiega linia demarkacyjna między
Wschodem i Zachodem.

Nasz M/N *Egadi*, zbudowany przed 36 laty w Danii kończy
w tym miesiącu służbę. Po przerwie zimowej zastąpi go statek
włoskiej konstrukcji M/N *Tintoretto*. *Egadi* liczy kilkunastu lu-
dzi załogi, wiezie 9 pasażerów i dwa samochody, kończąc zaś
służbę ma niewielki zapas wody i paliwa. Przy tak małym ob-
ciążeniu maszyny jego dają ogromne wibracje. Statek drży jak
w febrze i na dłuższą metę powinienby rozpaść się na kawałki.

Obliczony na żywszą wymiarę towarów i pasażerów, będzie służył odpowiedniejszej dla jego wieku i uzdolnień.

Kapitan statku, zwany po włosku *il comandante* jest osobą zrobioną dokładnie na miarę swych funkcji. Już przed podróżą zauważyłem go w grupie innych oficerów, w pobliżu portu. Przyszło mi wówczas na myśl, że w razie zamieszania wszystkie oczy zwróciłyby się na niego. Na statku okazał się godny i wesoły, mówił pięciu językami i przez grzeczność zwracał się do każdego w jego mowie ojczystej.

Kuchnia na statku była doskonała, w najlepszym włoskim rodzaju, i pasażerowie oddawali się obżarstwu. Celowała w tym czwórka chłopów spod Rimini, jadących polować do Jugosławii. Stoły zaściewano na statku obrusami z grubego płótna, wyglądającymi tak, jak gdyby marynarze prali je w wodzie morskiej i prasowali między deskami. Myśliwi czuli się więc jak na poczęstunku w swoich *case coloniche*. Rozrzewieni trunkami, ofiarowali wszystkim pasażerom i oficerom po szklance *grappy*, włoskiej kuzynki francuskiego *marc de Bourgogne*. Po tej ostatniej kolejce położyli się w słońcu na pokładzie i zasnęli zdrowym, głębokim snem.

Awans społeczny przybiera różne odcienie. Jedni naśladowują maniery wyższych sfer towarzyskich, inni, przeciwnie, podkreślają plebejskie pochodzenie. Moi towarzysze z *Egadi* przejęli po latyfundystach zamiłowanie do kosztownych rozrywek cynetycznych, ale nie zmienili na jotę obyczajów. Gardzili krawatami; mimo upału nosili grube swetry roboty ich matek i żon. Mówili dialektem, głośno. Mieli świadomość, że zdobyta fortuna upoważnia ich do rozrywek. Jeden z nich zapytał mnie, czy przypadkiem nie jestem też myśliwym. Odpowiedziałem, że jestem też w pewnym sensie *cacciatore*, ale poluję na inną zwierzynę, mianowicie na książki i rękopisy. Na to mój rozmówca odparł z poczuciem wyższości: — Widzę, że i pan jedzie do Jugosławii w interesach, my zaś dla czystej rozrywki.

Tak wyglądali zapewne Wizygoci, Longobardzi i Wandale, polujący po rzymskich prowincjach i nawołujący się głośno w swych narzeczach. Położywszy na obie łopatki rzymskie imperium i wzięwszy majątki wypędzonych senatorów i zubożonych wyzwolenców, mieli prawo do godziwej rozrywki. Tak zapewne wyglądali i później jako paladyni Karola Wielkiego. Mimo podobieństw są też istotne różnice. Dzisiejsi Wizygoci nie przyszli mianowicie ze Wschodu, ale wyszli z głębin społecznych Europy, gdy wszystkie dobre duchy opuściły ją w początku obecnego stulecia.

W drodze powrotnej spotkałem tychże myśliwych, wiozących kilkadziesiąt kilogramów bitej zwierzyny.

Questiones naturales

W łaźni czy na wywczasach, nie obciążając się większą znajomością rzeczy, szlachetni Rzymianie lubili rozprawiać o obyczajach zwierząt, rzeczywistych i bajecznych. Pokłosie tych rozmów znaleźć można u Seneki, Pliniusza Starszego i in. *Genius loci* sprawił, że na pokładzie *Egadi* zawiązała się rozmowa o obyczajach mew, w takim właśnie antycznym stylu.

Za statkiem naszym leciały od Ancony dwie mewy. Ilekroć zatrzymywałem się na rufie, zbliżały się, jak gdyby czegoś ode mnie oczekując. Nie chcąc zdradzić ich zaufania zszedłem do kuchni i wróciłem z pajdą chleba. Mew jednak nie było, znikły bez śladu. Słońce zniżyło się już ku zachodowi, ale od brzegu dzieliło nas jeszcze kilkadziesiąt kilometrów. — Co się stało z mewami? — zapytałem palącego fajeczkę marynarza. Mewy — odpowiedział — nigdy nie latają nocą. Siadły sobie pewnie *far la nanna*, zdrzemnąć się, na wodzie.

Inny marynarz, słysząc naszą rozmowę, żywo zaprotestował: — Mewy nigdy nie śpią na wodzie. Żle by na tym wyszły, bo wielkie ryby i *calamari*, ośmiornice, zaraz by je zjadły. Na noc mewy siadają na wyspach i ryfach, gdzie je można widzieć o świcie.

Przypuszczenie, że ośmiornice mogą polować na mewy, wydało mi się mało uzasadnione. Ich zła sława zaczęła się od *Pracowników morza* Wiktora Hugo. Odtąd posądzano je o różne złe sprawy, nawet o napadania na kąpiących się. Tam jednak, gdzie ośmiornice stanowią niemal codzienne pożywienie rybaków, nikt się ich nie boi. Na *Côte d'Azur* widziałem złapaną przez rybaka ośmiornicę ważącą koło 25 kilogramów. Gdy opowiedziałem mu historię Gilliaty, zaczął się śmiać. — Wiktor Hugo — powiedział — musiał miewać złe sny. Zresztą ośmiornice żyją wśród nadbrzeżnych skał i nigdy nie słyszałem, aby ktoś widział je na pełnym morzu.

Zdarza się im natomiast płać figle nurkom. Jako młody chłopak przyglądałem się raz nurkowi, pracującemu przy budowie portu w Monako. Zadaniem jego było wyrównywanie gruntu pod ciężkie bloki cementowe. Pracował z dwoma towarzyszami stojącymi na małej łodzi. Jeden z nich dostarczał mu powietrza ręczną pompą. Co 10-15 minut nurek ciągnął za dzwonek, i towarzysze wyciągali go z wody. Stawał wówczas na przytwierdzonej do łodzi drabinie i, gdy zdejmowano mu hełm, ukazywała się blada twarz z włosami zlepionymi potem. Dyszał ciężko przez kilka minut po czym schodził znów na dno morza. W pewnej chwili, natychmiast po zejściu pociągnął kilka razy

za dzwonek. Z wody wysunął się hełm, na którym siedziała spora ośmiornica. Nie miała widocznie krwiopijczych zamiarów, bo zamiast przyssać się do nagich rąk nurka, opłótła maczami żelazną szyję skafandra.

Widok ten wprowadził towarzyszy nurka w osłupienie. — Noża! Gdzie jest nóż? — wołali. Noża jednak nigdzie nie było. Nurek tymczasem dawał rękami rozpaczliwe znaki. W zamieszaniu zapomniano o pompie i nieszczęśliwy dusił się. Wszystko jednak skończyło się dobrze. Uruchomiono pompę, ostrożnymi uderzeniami siekiery rozrąbano ośmiornicę, i uwolniony od niej i od skafandra nurek w stanie zupełnego wyczerpania położył się na dnie łodzi.

Kiedy tak rozmawialiśmy o obyczajach zwierząt morskich, ukazywały się pierwsze wyspy Dalmacji. Na tle ciemnej wody, w świetle zachodzącego słońca wydawały się różowe. W braku słodkiej wody wyspy te są przeważnie nie zamieszkałe. Uboga roślinność streszcza się do rzadkich zielonych plam. W kilku wklęsłościach wzgórz widać porzucone próby uprawy. Na jednej z wysp, w zasłoniętej od wiatru zatoce, stało wśród drzew pięć chat krytych dachówką.

Przyszło mi na myśl, że jedną z tych wysp można by wydzierżawić i żyć na niej jak w czasach apostołskich z połowu ryb i skorupiaków.

Split

Gdy myślę o dniach spędzonych w Splicie, na pierwsze miejsce wysuwa się w moich wspomnieniach pałac Dioklecjana. W żadnym innym miejscu ciągłość historii nie narzuca się z równą siłą wyobraźni. Mijały cywilizacje, ale nazwa miejsca, przechodząc z języka do języka, zachowywała tożsamość: Grecy nazywali je *Aspalathos* lub *Asphalathos*, Rzymianie *Spalatum*, Wenecjanie *Spalato* i Chorwaci *Split*.

Warowny pałac Dioklecjana, wzniesiony w ostatnich latach III wieku, jest prostokątem o powierzchni 211x180 metrów. Fasada południowa wychodziła niegdyś na morze, resztę otaczały mury o 16 basztach.

W końcu III-go wieku cesarstwo rzymskie było zbyt obszerne i zbyt zagrożone, aby można było nim rządzić z dawnej stolicy. Zmienne sytuacje wymagały szybkich decyzji. Dioklecjan podzielił państwo na cztery obszary, rządzone przez tyłuż cesarów. Zachowując władzę nadrzędną przystąpił do budowy swej rezydencji centralnej, leżącej po środku państwa i niezbyt oddalęj od najbardziej zagrożonej granicy północnej.

Rzymianie od dawna już widzieli nadchodzący koniec. Jeden z poprzedników Dioklecjana, Aurelian zdobywca Palmiry, przewidując pojawienie się barbarzyńców w Italii południowej, otoczył Rzym istniejącym tam dotąd murem, zwanym *muro aureliano*. Żadne jednak mury nie mogły obronić miasta, którego milionowa ludność nie życzyła sobie pod żadnym pozorem wojować. W tych okolicznościach Dioklecjan wybrał na swą rezydencję, niedaleko od ojczystej Salony, miejsce pozbawione ludności cywilnej, gdzie wznosił pałac przeznaczony dla dworu i pretorianów. Tam miały się schodzić linie komunikacyjne morskie i lądowe.

Wzorem wojskowego obozu dwie ulice przecinały pałac na krzyż: jedna — zwana *cardo* — z północy na południe, druga — zwana *decumanus* — ze wschodu na zachód. W części południowej, wychodzącej na morze, mieściły się apartamenty cesarza i dworzan, w północnej zaś koszary pretorianów. Na skrzyżowaniu głównych ulic znajdował się istniejący dotąd obszerny perystyl, imponujących rozmiarów sala przyjęć i mauzoleum, w którym miały spocząć prochy cesarza.

Rachunek Dioklecjana okazał się słuszny. Cesarstwo zachodnie rozpadło się na kawałki, Rzym był kilkakrotnie zdobywany i plądrowany, warowny pałac w Spalatum natomiast trzymał się dalej. Przez tysiąc lat opierał się inwazjom różnych ludów, łącznie z Tatarami w XIII wieku. Dzięki tym okolicznościom zachował się do naszych dni, gdy sławne pałace cesarzy na Palatynie rozpadły się w gruzy. W ostatnich latach XV stulecia Janus Vitalis Panormitanus, patrząc na płynący wśród ruin Tyber, zanotował melancholijnie: Budynki rozsypują się w proch, a rzezy mające być wiecznie płynne pozostają. W Splicie widać proces odwrotny: morze cofnęło się o kilkadziesiąt kroków od południowej fasady pałacu, ten zaś pozostał, wspinały, na dawnym miejscu. Zmiany przyszły doń z innej strony, wraz z pojawieniem się w jego murach ludności cywilnej.

Pałac Dioklecjana był tylko rezydencją cesarza, stolicą Illirii natomiast była sąsiednia Salona. W 615 spotkał ją okrutny los. Awarowie zdobyli i spustoszyli miasto, którego ludność uciekła na wyspy lub szukała schronienia w warownym pałacu Dioklecjana. Cesarzy już nie było i należący nominalnie do byłego państwa pałac był w istocie bezpański. Uchodźcy tłoczyli się zrazu w obszerne podziemia pałacu, potem zaczęli przerabiać na mieszkania apartamenty cesarza i koszary pretorianów. Tak w obrębie murów powstało miasto liczące trzy do czterech tysięcy mieszkańców.

W skrócie pochód wieków następnych widać najlepiej w mauzoleum cesarza. Wzorem rzymskiego Panteonu przemieniono

go wcześniej na kościół. Prochy Dioklecjana znikły bez śladu; cesarz był bogiem pogańskim i padł ofiarą ekskluzywności i nietolerancji nowej wiary. Puste mauzoleum wypełniły powoli ołtarze, sarkofagi, kazalnice, ławy chórów, świeczniki i ozdoby, noszące znamiona wszystkich kolejnych stylów od wczesnego średniowiecza do późnego baroku.

Podobne zmiany odbywały się na całej przestrzeni starego pałacu. O jego potężne mury opierano drobne budynki mieszkalne wznoszone we wszystkich wolnych miejscach. Dawne *cardo* i *decumanus* zeszyły do roli wąskich przejść między domami, nad wszystkim jednak górują dotąd stare mury, kolumny i sklepienia pierwotnego pałacu.

Przychodzi mi na myśl, że nasze żelazobetonowe budynki nie są przeznaczone do trwania dłużej niż ich okres amortyzacyjny, i że nikt zapewne nie będzie chciał ich konserwować.

W wiekach średnich musiało straszyć w pałacu Dioklecjana. Świadczą o tym dwie rzeźby przechowywane w muzeum miejskim i wyobrażające potwory podobne do złych snów. Jeden z nich trzyma w pazurach młodą kobietę, którą na sposób zwierząt posiada cielesnie. Wstydlive ręce złagodziły wyrazistość tego obrazu, wyjmując zeń najbardziej realistyczne kamienie. Rzeźba ta urasta do rozmiarów symbolu. Nagie ciało kobiety jest jeszcze greckie, pełne aluzji do bogiń Olimpu, *obscenitas* należy również do świata antycznego, potwór natomiast zdaje się przedstawiać złe sumienie pokoleń, pamiętających grzeszne uroki czasu poprzedniego i niedorastających do wymagań nowej wiary.

Źródłem strachów i złych snów zdaje się być miejsce, gdzie znajdowała się dawna Salona. Jest to zielona, falista równina, pocięta murami na małe prostokąty ogrodów. Niewidoczne zrazu pod zielenią pnączów mury są ścianami domów dawnej Salony. Tak zapewne wyglądałyby Frankfurt i Kolonia, gdyby ludność opuściła je w 1945. W żałosnych szczątkach Salony nie brak i nowych upiorów. Ukryty w zaroślach niewielkiego wzniesienia, przechodniowi ukazuje się niespodzianie ohydny płaski grzyb betonowy, bunkier niemiecki z ostatniej wojny.

Poza mury dioklejańskie Split — wówczas *Spalato* — wyszedł w czasach weneckich. Pozostał po nich m. in. obecny plac Republiki, otwarty na morze wielki prostokąt arkad i murów o barwie zwanej *rosso veneziano*.

Stary Split nie ma pozorów ani ciszy muzeum. Życie płynie wciąż warto w murach dioklejańskich. W niedzielę i święta skromnie lecz ładnie ubrana młodzież wypełnia gwarem i śmiechem wąskie uliczki starego miasta.

W czasach weneckich młodzież ta świętowała zapewne wesoło karnawał i mówiła, częściowo przynajmniej, po włosku.

Dziś włoski znikł zupełnie z ulic miasta. Rozumieją go częściowo tylko starsi, młodszy nie znają go wcale. Jest to fragment większego procesu przesuwania się granic w Europie. Włoski cofnął się na zachodni brzeg Adriatyku, jak niemiecki za Odrę i polski za Bug i San. Francuski wreszcie, niegdyś język znany wszystkim wykształconym, stał się zrozumiały tylko dla studentów romanistyki.

Mestrović

Zmarły przed kilku laty Ivan Mestrović, największy być może rzeźbiarz monumentalny XX wieku, urodził się jako chłopski syn w najbliższej okolicy Splitu. Wolne godziny spędzone w pałacu Dioklecjana na słuchaniu niejasnego oddechu wieków musiały zostawić mu niezatarte wspomnienie. Rzeźba zachodnia wywodzi się z Grecji muzealnej; stąd jej szkolony umiar, uczona ostrożność. Mestrović miał przed sobą inną wersję świata antycznego. W jego rzeźbie religijnej i portretach matki dostrzec można wspomnienia bizantyńskie. Nawet jego nieumiar ma precedensy antyczne. Stojąc pod pomnikiem Grzegorza z Ninu i patrząc na jego piętę wielkości końskiego zadu, przypominam sobie Memnona, kolosa rodyjskiego i gigantyczne posągi Fidiasza, wziankowane przez greckich memorialistów.

W akademiach sztuk pięknych i u mistrzów, którzy uczyli go rzemiosła, nie znalazł środków wyrazu dla tego, co wyniósł z rodzinnego Splitu. Przez całe życie Mestrović błąkał się po manieryzmach secesji i ekspresjonizmu. Niedomaganiom tego czasu przeciwstawiał swą obsesję wielkości.

Rzeźby jego wymagały wielkiego luzu, bezmiaru powietrza i przestrzeni. Warunki te posiadał tylko jego pomnik zwycięstwa w Belgradzie stojący na skalnym cyplu, dzielącym rozlewiska Dunaju i Sawy, i w mniejszej mierze mauzoleum poległych na Avali. Innym nawet na większych placach brak oddechu.

Po długich wędrówkach Mestrović wrócił okryty sławą do Splitu i na krótko przed ostatnią wojną zbudował dla siebie dom o kilka kilometrów od miasta. Dom ten, zwany także pałacem, jest rzeczą najmniej podobną do mieszkania: szeroki taras schodzący ku morzu, schody, kolumny, za nimi dwa piętra atriiów, sal tronowych i koronacyjnych. Obecnie mieści się tam muzeum Mestrovića.

Nawet w takim otoczeniu wielu rzeźbom brak powietrza. Persefona stoi przed muzeum na trawniku, ale dla wspaniałej bogini, wznoszącej ręce i twarz do nieba, i ta przestrzeń wydaje się ciasna. *Cyklop* ukrywa się w sąsiednich zaroślach, miejscu

zgoła niestosownym dla jego cyklopicznej anatomii. Imponująca *kobieta na brzegu morza* leży otoczona krzewami; brak jej otwartej przestrzeni i szmeru fal. Rzeźba portretowa i religijna znoszą oczywiście lepiej klaustrację. Niektórym jednak i w salach tronowych jest ciasno. Bryłowate postacie siedzące z twarzami zwróconymi ku niebu, jak *Hiob*, są zbyt wysokie. Udostępnienie ich patrzącemu wymagałoby otoczenia ich pomostem wysokości 30-50 cm. lub ustawienia ich poniżej poziomu galerii.

Z muzeum wynoszę wrażenie, że geniusz Mestrovića przekroczył granicę przestrzeni, przeznaczanej w naszej cywilizacji na rzeźbę. W miastach, gdzie metr kwadratowy terenu kosztuje przynajmniej tysiąc dolarów, nie ma miejsca na rzeźbę monumentalną.

Perspektywy „liberalizacji”

Przed kilkunastu laty Jugosławia oderwała się od bloku wschodniego, zachowując wszakże jego system polityczno-gospodarczy i rozluźniając tylko jego rygory. Niezależny komunizm jugosłowiański wydał się wówczas herezją i został jednomyślnie potępiony przez wszystkie partie komunistyczne. Dziś jednak w całym bloku wschodnim mówi się o „liberalizacji” systemu, o rozluźnieniu jego sztywności doktrynalnej i przystosowaniu do potrzeb ludności. Na tej drodze Jugosławia wyprzedza o dzień lat pozostałe państwa komunistyczne. Eksperyment jugosłowiański budzi więc w nich zrozumiałe zainteresowanie. Jakie osiągnięto korzyści? Jakie zebrano doświadczenia? Jak dalece można „liberalizować” komunizm nie narażając go na śmiertelne niebezpieczeństwo? Pytania te, mniej interesujące dla Zachodu, cisną się na usta przyjeżdżających do Jugosławii Polaków, Czechów, Węgrów, Rumunów, a zapewne i Rosjan.

Ostatnio pytania te stały się bardziej niż kiedykolwiek aktualne. Rzecz w tym, że mimo wydatnej pomocy finansowej Stanów Zjednoczonych trudności gospodarcze Jugosławii weszły obecnie w stadium krytyczne. Po niedawnej dewaluacji dinara skromne już przedtem zarobki Jugosłowian spadły jeszcze o 15%. Kłopoty pieniężne są wszędzie przedmiotem rozmów. „Muszę szukać dodatkowej pracy, bo obecne zarobki nie wystarczają mi na życie”. Zdanie to słyszałem nawet od przypadkowych rozmówców. W Splicie dodatkowych zarobków dostarczała turystyka, ale sezon zbliżał się do końca i wszyscy patrzyli z troską na nadchodzącą zimą.

Jednocześnie klimat polityczny zaczął również się zmieniać.

Jugosławia zbliżyła się do Rosji, gazety przypominały naszą *Tribunę ludu*, zaczęły się represje przeciw nieposłusznym pisarzom. Jugosłowianie, równie rozmowni jak Polscy, mówili nawet o możliwości powrotu do stalinizmu.

Stalinizm? To straszne słowo pojawiło się znów po dziesięciu latach doświadczeń z jugosłowiańską odmianą komunizmu. Okazało się mianowicie, że rozwodniony, złagodzony i „zliberalizowany” komunizm jugosłowiański przyniósł te same wyniki co komunizm integralny: niepowodzenia gospodarcze i spadek stopy życiowej. Brak więc widoków na zadowolenie ludności, i partia musi myśleć o utrzymaniu niezadowolonych w posłuszeństwie. Tak wyglądałoby jedno wyjście z obecnej sytuacji.

Mówiono jednak także o innym wyjściu, mianowicie przez dalszą liberalizację i usprawnienie systemu. To, co w tej mierze zrobiono dotąd, nie wystarcza; trzeba dalszych, radykalniejszych kroków. Na tej drodze stoi wszakże trudna do przeskokowania przeszkoda. Rzecz w tym, że zwycięskie rewolucje prowadzą po niedługim czasie do wytworzenia się nowej warstwy uprzywilejowanej, którą dla prostoty nazwiemy *profitariatem*. Są to ci, którzy zdobyli władzę z bronią w ręku, i ci, którzy zdążyli przyłączyć się w porę do zwycięzców. *Profitariusze* rewolucji zajmują wszystkie stanowiska kierownicze, wszystkie lepsze posady. Im wątpliwsze są ich tytuły posiadania, tym większa niechęć do jakichkolwiek zmian. „Wzięliśmy władzę z bronią w ręku i jej nie oddamy przy piwie”. Lepszy powrót do żelaznej ręki niż jakiekolwiek ograniczenie prerogatyw i stanu posiadania.

Czy żywym siłom Jugosławii uda się przezwyciężyć opór skostniałego *profitariatu*? Dowiemy się o tym być może w ciągu następnego roku. Obecny kryzys gospodarczy nie pozwala zbyt długo odkładać decyzji. Wybór, jakiego dokona Jugosławia, będzie wskazówką co do losu „liberalizacji” w innych krajach.

Zadar

W czasach weneckich Zadar nazywał się *Zara* i słynął z *maraschino di Zara*, likieru o różanym zapachu, pędzonego z miejscowej odmiany czereśni. *Maraschino* jest stałym punktem w zmiennych kolejach tego miasta, bo jest tam wyrabiany nadal i od pół wieku — to jest od kiedy go pamiętam — ma ten sam delikatny zapach róż.

Ciągłość historii ma tu nieco inny charakter niż w Splicie. Znajduje wyraz nie tyle w trwałości murów i zabytków miasta,

ile w jego ciągłym odradzaniu się z gruzów. Sprzyjało temu wyjątkowe położenia Zadaru na otoczonym morzem półwyspie, który wąski przesmyk tylko łączy z lądem. Konfiguracja ta obiecywała mieszkańcom bezpieczeństwo i korzyści płynące z doskonałego portu.

Stara część miasta otoczona jest murami, bramami i fortyfikacjami z różnych epok. Po środku jej widać forum rzymskie i odkopaną niedawno dzielnicę mieszkalną. Sądząc z jej skromnego wyglądu Zadar rzymski był miasteczkiem ubogim, posiadającym — jak to się często zdarzało za późniejszego cesarstwa — budynki publiczne wzniesione na wyrost przez zamożnych obywateli uciekających w ten sposób od podatków. Po Rzymianach zachował się w Zadarze marmurowy posąg Augusta i trochę ciekawych rzeźb.

W czasach Karola Wielkiego zburzono pogańskie świątynie i perystyle, a obalone kolumny zużyto na fundamenty imponującego rozmiarem kościoła San Donato. Wenecjanie z kolei zostawili kilka pięknych budynków. I tu jednak język włoski znikł z ulic i cofnął się na zachodni brzeg Adriatyku.

Podczas ostatniej wojny Zadar był wielokrotnie bombardowany. Na miejsce zniszczonych domów wzniesiono nowożytnie, brzydkie bloki mieszkaniowe. Kilka z nich ma piękne położenie, wśród malowniczych zabytków, frontem do morza. — Kto tam mieszka? — zapytałem portiera. — Dygnitarze, wysocy urzędnicy, członkowie partii. Liczebność profitariatu tłumaczy się zapewne tym, że po upadku Salony w 615 Zadar został stolicą bizantyńskiej Dalmacji i aż do obecnych czasów był ważnym ośrodkiem administracyjnym.

Za miastem, po obu brzegach zatoki ciągną się plaże, stoją puste już w tej chwili hotele. Zadar przygotował się poważnie do napływu turystów. Miasto i okolice są pełne zieleni. Cisza jest tu tak głęboka, że słyszę łagodne szemranie mego zegarka. Odwykłem od jego głosu, bo gdziekolwiek mieszkałem w ciągu lat ostatnich, wszędzie tłumiły go przejeżdżające pod oknami automobile. Są tu najpomyślniejsze warunki do pracy i odpoczynku.

Zadar posiada uniwersytet. Szczęśliwe okoliczności pozwoliły mi poznać kilku młodych profesorów tej uczelni. Spędzone z nimi godziny były doskonałym uzupełnieniem moich wędrówek archeologicznych i zostawiły mi najlepsze wspomnienia. Nie zdziwiło mnie ich szerokie czytanie, obejmujące tysiące tomów od Arystotelesa do ostatnich nowości wydawniczych. Tego powinienem był się spodziewać, bo gdzie nowości Zachodu miałyby być brane bardziej na serio? Rzeczą świeżą i ożywczą natomiast była nieograniczona chłonność i zdolność porządkowa ich umy-

słów, nie skażonych jeszcze sceptycyzmem. Słuchając ich mogłem zapomnieć o niedomaganiu, jakie pozostało mi po zwiedzeniu frankfurckiej *Buchmesse*, w postaci lęku przed nowymi książkami, które trzeba będzie przeczytać. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że na swych obecnych kresach wschodnich Europa posiada zapoznane rezerwy inteligencji.

Mihajlo Mihajlov

W Zadarze mieszka Mihajlo Mihajlov, który w ciągu ostatnich miesięcy z nieznanego rusycysty jugosłowiańskiego stał się głośnym autorem, tłumaczonym na liczne języki i czytany na obu półkulach.

Latem 1964, w trybie wymiany kulturalnej, Mihajlov spędził miesiąc w Moskwie i Leningradzie, gdzie odwiedził licznych pisarzy i uczonych rosyjskich. Rozmowy i wrażenia spisał później w książce pt. *Ljeto Moskovsko*.

Wizyty składał w towarzystwie przewodnika, zapalonego fotografa, robiącego zdjęcia przy każdej okazji. Aparaty fotograficzne nie budzą w Rosji zaufania. Przechodnie na ich widok odwracają się, niektórzy nawet głośno protestują. Można więc przypuszczać, że fotografowani w towarzystwie Mihajlova pisarze nie powiedzieli mu ani jednego słowa za dużo.

Rozmowy miały ton optymistyczny. Wszyscy pisarze byli zgodni w tym, że jest coraz lepiej, że cenzura złagodniała i że zaczęły ukazywać się książki, których druk niedawno jeszcze był nie do pomyślenia. Nie było w tym zapewne nic nowego. Sam Stalin mówił, że *żit' stało legcze i wiesieleje*. Mihajlov też jest optymistą, ale przewidywał swych nie opiera tylko na zapewnieniach fotografowanych pisarzy. Bierze więc także pod uwagę postawę młodzieży uniwersyteckiej, rozszerzenie się kontaktów z Zachodem itd. Pisząc o spotkaniach z pisarzami streszcza też to, co mówił sam, dając przez to obraz bardzo swobodnej rozmowy.

Gdyby Mihajlov ograniczył się do barw jasnych, w książce jego nie dostrzeżono by nic zdrożnego. Plastyczność jego obrazu wynika jednak z zestawienia światła i cieni. Dowiadujemy się więc także o rygorach cenzury i innych metodach nacisku na piszących, jak znana nam skąd inąd oszczędność papieru i ukrócanie zarobków. Mihajlov nie ukrywa również głównych przeszkód opóźniających „liberalizację” stosunków. Są to przede wszystkim bierność, brak krytycyzmu i „plebejskość ducha” obywateli.

Przypuszczać można, że kamieniem obrazy w książce Mihajlova było nie tyle wyliczenie znanych faktów, ile postawa moralna autora i jego głęboki, ludzki ton, nowy w literaturze sowietologicznej. Ambasador sowiecki, protestując w Belgradzie przeciw obrazie swego kraju przez Mihajlova, miał powiedzieć, że żaden dyplomata amerykański nie wypowiedział o Związku Sowieckim sądu równie ujemnego. W zdaniu tym jest coś słusznego. Mihajlov nie jest cudzoziemcem, wzruszającym ramionami na widok stosunków sowieckich. Wydaje sąd człowieka wychowanego na książkach Sołowjewa, Sałykowa-Szczedriny, Szestowa, sąd spadkobiercy duchowego dawnej inteligencji rosyjskiej. W książce jego znajdujemy następującą refleksję: „Porównując niektóre czasopisma z drugiej połowy XIX w. z obecnymi, doznajemy wstrząsu na widok upadku sił ducha i intelektu...” Stare *tolstyje żurnaly* są dlań zarazem miarą, którą przykłada do czasów obecnych, i najgłębszym źródłem optymizmu. Kraj, który wydał tę literaturę, nie może długo gnić w „plebejstwie ducha”. Nie są to myśli wroga, ale swojego, heretyka. Czytelnicy sowieccy, jeżeli książka Mihajlova wpadnie kiedyś w ich ręce, poznają w nim bez wahania przyjaciela. Dlatego wydała się drożniejsza od tomów amerykańskich sowietologów.

Wkrótce po proteście sowieckim Tito potępił publicznie Mihajlova za oczernienie Rewolucji Październikowej, prokurator wdrożył przeciw niemu postępowanie sądowe, uniwersytet zaś pośpieszył pozbawić go *veniam legendi*. W marcu ub. r. Mihajlov został aresztowany w Zadarze i spędził 48 dni w tamtejszym więzieniu. (Hotel mój był w najbliższym sąsiedztwie tego więzienia, często więc przechodziłem pod jego murami. Jest to jeden z większych w Zadarze budynków, zupełnie nowy, mieszczący również dyrekcję policji).

To, co w książce Mihajlova jest nowe, nie zwróciłoby zapewne od razu uwagi. Represje zrobiły jej autora znanym na całym świecie.

Przyjechawszy do Zadaru chciałem oczywiście odwiedzić Mihajlova. Wiedziałem, że mieszka przy ulicy Save Kovacevića, nikt jednak nie umiał mi jej wskazać, zanim w biurze *Putnika* nie znalazłem jej na planie miasta. Leżała na skraju starej dzielnicy, w miejscu, gdzie domy stoją w zieleni drzew i trawników. Ponieważ w Zadarze na rogach ulic nie ma nazw, na domach zaś brak numerów, zwróciłem się do trzech gracji rozmawiających na chodniku: — Czy to jest ulica Save Kovacevića? Gracie spojrzały na siebie i zaczęły się śmieć. Wreszcie jedna rzekła: — Nazwy ulic zmieniano już trzy razy, i nikt więcej ich nie zna. Wszedłem więc rezolutnie na schody pierwszego z brzegu

domu i na pierwszym piętrze zobaczyłem poszukiwane nazwisko. Mihajlo Mihajlov otworzył drzwi. Jak wszyscy *Zadrani* ubrany był w białą koszulę i ciemne spodnie. Ma lat 31, ale wygląda nieco młodziej. Rysy jego przypominały mi kogoś z dawnych czasów. Bardziej słowiański i drobny, wyglądał trochę jak Carl von Ossietzky. Podobieństwa takie mają być może głębszy sens.

Pozbawiony docentury, możliwości druku i paszportu zagranicznego, Mihajlov znajduje się w trudnym położeniu. Nie chce jednak opuszczać Zadaru, gdzie ma najlepsze warunki pracy. Dotychczasowe publikacje, pisane w pośpiechu, uważa za próby pióra. Chciałby mieć kilka lat czasu na prace bardziej przemysłane i ubrane w lepszą formę. Nie wiem, czy gdziekolwiek indziej miałby równie pomyślne warunki. Na Zachodzie byłby oblegany przez dziennikarzy i fotoreporterów; telefon dzwoniłby nieustannie.

Aby żyć i pracować w Zadarze, Mihajlov musiałby liczyć na honoraria wydawców zagranicznych. Rachuby te mogą jednak okazać się zawodne. *Lato moskiewskie* ukazało się, w całości lub wyjątkach, w kilku językach, ale tylko wydawca szwajcarski wypłacił autorowi honorarium. Najgorzej zachował się amerykański „New Leader”: ogłosił *Lato* w czasopiśmie, potem w tomie, zastrzegając dla siebie *copyright* na Stany Zjednoczone i Kanadę i zawiadamiając autora, że nie zamierza mu nic płacić, ponieważ Stany Zjednoczone nie podpisały konwencji berneńskiej o prawach autorskich. Wszystko to działo się w najtrudniejszym dla Mihajlova okresie. Zapewne, w Ameryce można by dlań znaleźć stypendia i zapomogi, ale Mihajlov nie jest do kupienia za pieniądze, ani ryzykantem literackim chwytającym każdą okazję. Jest młodym uczonym, spadkobiercą pewnych tradycji, zasługujących na taki sam szacunek jak dolary. Losami jego interesują się w tej chwili tysiące czytelników, i Amerykanie muszą uważać, aby przez dezynwolturę swych wydawców nie stracić twarzy w Europie.

Z Mihajlovem nawiązaliśmy od razu przyjacielski kontakt, gdy zapytał mnie, czy nie posiadam pewnej książki Lwa Szestowa. Z kijowskim filozofem, później emigrantem, byłem bardzo zaprzyjaźniony i miałem kiedyś w bibliotece wszystkie jego drukowane utwory. Nigdy jednak przedtem — nawet wówczas, gdy Szestow zaczął uchodzić za prekursora egzystencjalistów — nie widziałem kogoś, kto by jego książki czytał.

Kiedy w kilka dni później zagnałem Mihajlova w porcie, miałem wrażenie, że rozstaje się ze starym przyjacielem. Gdyby nie różnica wieku mógłby być moim kolegą z rosyjskiego gimnazjum. Z tym wszystkim Mihajlo Mihajlov jest wybitną osobistością, i często zapewne będziemy o nim słyszeć.

Dla turystów

Moja relacja z podróży byłaby niekompletna bez kilku słów o urokach turystycznych Dalmacji. O morzu, plażach, wyspach, górach i malowniczych krajobrazach mówią prospekty biur podróży. Do tego chciałbym dodać kilka wiadomości praktycznych.

Konsulaty jugosłowiańskie wystawiają wizy od ręki, w ciągu kilku minut. Policja nie depcze turystom po piętach i nie wzywa ich na przesłuchania, jak to się praktykuje w Polsce.

Dalmacja przyciągała obcych już w czasach austriackich i była do tego wyekwipowana. Odnowienie ruchu turystycznego wymagało więc tylko uprzątnięcia hoteli i pomalowania ich na nowo. Brak w nich często ciepłej wody, ale w sezonie letnim można się z tym pogodzić. Ceny w dobrych hotelach wynoszą wszędzie koło 2 i 1/4 dolara za pokój. Obiad w restauracji kosztuje 1 do 1 1/2 dolara. Pobyt kosztuje o 1/3 taniej niż we Włoszech. Mówię tu o podróżujących indywidualnie. Uczestnicy podróży zbiorowych korzystają z dużych zniżek. Sieć kolejowa jest mało rozbudowana, ale posiadanie samochodu nie jest niezbędne. Dalmacja posiada rozgałęzioną sieć autobusów.

Przejdę teraz do zabytków historycznych Dalmacji.

Dla interesujących się światem antycznym kraj ten jest niewyczerpanym źródłem odkryć i niespodzianek. Zabytki starożytne są tam bardzo liczne, dobrze zachowane i nieco inne niż gdzie indziej. Rzecz w tym, że nasza szkolna znajomość autorów i historii rzymskiej ogranicza się do tzw. złotego wieku. Nikt nie zachęca zresztą do wychodzenia poza to zaczarowane koło. Profesor Miodoński, któremu zawdzięczam pierwszy kontakt z autorami IV i V wieku, był wyjątkiem. Każdy coś wie o Forum Romanum, ale gdy zaczęto rozkopywać sąsiednie wzgórze Palatynu i spod zarośli i chwastów ukazały się zręby pałaców, nikt zrazu nie umiał ich rozpoznać. Zabytki Dalmacji wprowadzają nas w mniej znany, nieco tajemniczy świat późnego i najpóźniejszego cesarstwa, w czasy *Twarzy księżycy* Teodora Parnickiego. Tam, na pograniczu Rzymu i Bizancjum, zaczęły się ukazywać nowe ludy. Wielu tamtejszych Bizantyńczyków, nazywających siebie *romaioi*, Rzymianami, mówiło w domu po słowiańsku. W tych warunkach narodził się wielki zamyśl Cyryla i Metodego. W Rawennie przejście od Rzymu do Bizancjum widać w skrócie, w dramatycznym przeciwstawieniu dwóch sąsiadujących ze sobą budynków: mauzoleum Galli Placidii i kościoła San Vitale. W Dalmacji oglądamy to przejście krok za krokiem, w niezliczonych szczegółach.

Sławiści znajdą tam scenerię, w której po raz pierwszy ukazały się ludy słowiańskie. Czytający po serbsko-chorwacku znajdą do tego na miejscu obszerną dokumentację.

Italianizanci zobaczą sławę i zmierzch Republiki Weneckiej, odbite jak w zwierciadle w zabytkach dalmatyńskiego wybrzeża.

Kogo pociąga epopeja Napoleona, ten będzie szukał śladów Marmonta, księcia Raguzy, i fantastycznego Królestwa Illirii. Charles Nodier był jego urzędnikiem. Na domu, w którym mieszkał w Zagrzebiu, znajduje się tablica pamiątkowa. Z urzędowania w efemerycznym tworze Napoleona Nodier wyniósł temat do swej powieści *Jean Sbogar*.

Chciałbym wreszcie nadmienić o kilka aspektach życia, związanych z jugosłowiańskim komunizmem.

Zdaniem Erenburga komunizm nie sprzyja sztuce kulinarnej. W drukowanej niedawno w *Kulturze* relacji z podróży Hans Zbinden ubolewa nad złą kuchnią w obecnej Polsce. Nie będąc znawcą przedmiotu powiem tylko, że restauracje w Dalmacji są niewiele tylko gorsze od tych, jakie poznałem w Belgradzie w 1940. Nie jest więc tak źle. Centralne planowanie kulinarne dostrzec można tylko w jadłospisach, drukowanych dla całego miasta czy nawet prowincji. Poszczególne restauracje podkreślają potrawy, które można w nich rzeczywiście otrzymać, zostawiając resztę in blanco. Usługa, na którą Zbinden w Polsce najbardziej się skarżył, jest sprawna i szybka, mimo że w obu krajach kelnerzy są urzędnikami państwowymi. Objaśniono mi, że kolektywy kelnerów prowadzące restauracje rozdzielają zyski między członków, wszyscy więc są zainteresowani w prosperowaniu przedsiębiorstwa.

Skutki planowania widać również w sposobie ubierania się. Wszyscy w Dalmacji noszą ubrania tego samego, zresztą dobrego i modnego kroju. Państwowa fabrykacja ubrań gotowych ułatwiona jest przez to, że Dalmatyńczycy obojga płci są wszyscy szczupli i zgrabni. Objaśniono mi, że wygląd ich jest też ubocznym skutkiem gospodarki planowej, mianowicie bardzo oszczędnego odżywiania się, oraz dostępnych dla wszystkich kąpiel morskich.

Dziewczęta, bardzo skromnie lecz gustownie ubrane, były wszystkie zgrabne i przystojne. Wydawały się też dobrze wychowane. Szczegół ten zasługuje na uwagę, bo większość tych, które widziałem na ulicach miast, pochodziła ze wsi. Swych miejskich manier nie wyniosły więc z domu. Jest to zapewne ich dorobek osobisty.

Piękni, dwudziestoletni (3)

Annie Dastrée

REPORTER NAJBARDZIEJ BOJOWEGO PISMA W POLSCE

Już nie pamiętam w jaki sposób przypętałem się do grupy „Po Prostu”. Kiedy dziś usiłuję natężyć pamięć, aby wyjaśnić samemu sobie jak zostałem pracownikiem „Po Prostu” i w ogóle tam trafiłem, przychodzi mi na myśl tylko jedyne logiczne wyjaśnienie tej nekającej mnie zagadki: otóż na dole tego gmachu, w którym mieściła się redakcja najbardziej bojowego w swoim czasie tygodnika polskiego, był bar „Jontek”. Być może, że kiedyś pomyliłem sobie i przez pomyłkę poszedłem do redakcji „Po Prostu” aby zażądać dużej wódki w cienkim szkle i śledzia po japońsku. Natomiast zupełnie nie wiem, dlaczego nie wyrzucano mnie stamtąd od razu i bez wdawania się w zbędne wyjaśnienia. Zresztą wyrzucano mnie w parę miesięcy później, tak, że zmysł kompozycji mego losu nie został naruszony.

Bar „Jontek” nie należał do lokali wykwintnych. W tym czasie chodziło się do „Kameralnej”. „Kameralna” była restauracją pomyślaną bezbłędnie i dzieliła się na trzy części: „Kameralna” dzienna pierwsza, „Kameralna” dzienna druga i „Kameralna” nocna. Odkrywczość tego pomysłu gastronomiczno-architektonicznego polegała na tym, że można było zacząć pijaństwo w „Kameralnej” drugiej dziennej już wcześniej rano; po czym można było przejść na obiad do „Kameralnej” pierwszej, bawić się kielichem do wieczora kiedy to otwierano „Kameralną” nocną i tam dopiero wyrobić się towarzysko i dramatycznie. Do „Kameralnej” dziennej pierwszej i drugiej mógł wejść każdy łachudra; natomiast w „Kameralnej” nocnej obowią-

zywała pewna etykieta: otóż gość musiał mieć krawat i marynarkę. To nieważne zupełnie, że konsument mógł zostać akurat wyciągnięty po dwudziestu czterech godzinach ze śmietnika: musiał mieć tylko marynarkę i krawat. Ponieważ ja sam w owym czasie nie miałem stałego miejsca zamieszkania a garderobę gubiłem na skutek częstych zatargów z innymi mieszkańcami stolicy, wpadłem na pomysł wręcz spartański w swej prostocie: otóż nabyłem w Państwowym Domu Towarowym welwetową marynarkę i krawat i zostawiłem ją w garderobie „Kameralnej” nocnej. Dzięki temu, natychmiast po przyjeździe przemieniałem się z brudnego łachudry w młodzieńca z klasycznym wykształceniem, rokującego nadzieje na przyszłość; i w radosnych podskokach wbiegałem na salę.

Nad moralnością publiczną i zachowaniem spokoju czuwali szatniarze oraz kierownik sali. Pamiętam, jak kiedyś po straszliwej bójce którą już zlikwidowano i pozmiatano z parkietu zęby, kierownik nocnej wszedł i tragicznie wzniosłszy prawicę, zawołał: „Panowie! Ogólna buźka i spokój” Po czym Sarmaci poczęli bawić się dalej. Jeśli któryś z Sarmatów wyróżniał się przesadną wesołością i trzeba było wzywać do niego milicję, otrzymywał zakaz wstępu do „Kameralnej” na czas ustalany kolegiąlnie przez kierownika sali i szatniarzy; ale była to kara straszliwa. Wszedłszy kiedyś do „Kamery” ujrzałem następujący widok: dwaj moi przyjaciele: Andrzej Roman i Paweł Minkiewicz, nieśli przez salę jakieś zwłoki w kierunku baru krzycząc przy tym: „Uwaga, niesiemy kasę”. Zwłokami okazał się Jurek Cukrowski, który zbyt wcześniej wyłączył się z otaczającej go rzeczywistości, a panowie Roman i Minkiewicz nieśli go do baru, gdyż etykieta nie pozwalała im na wyjęcie pieniędzy z kieszeni nieszczęsnego fundatora. Rokujący świetne nadzieje na przyszłość alkoholik, kolega Wojciech Frykowski, zirytował się pewnego dnia na zbyt opieszałego kelnera i, aby mu dać znak do rozpoczęcia działalności, rzucił w niego ogórkiem, ponieważ jednak stopień rozbawienia kolegi Frykowskiego uniemożliwił mu celność ciosu, ogórek trafił w barmana, poważnego starca w okularach, po czym odbił się od okularów i trafił w samotnego konsumenta trującego się przy barze, który nie czekając na wyjaśnienia wymierzył barmanowi cios w czaszkę, co stało się hasłem do ogólnej bójki w myśl zasady WSZYSCY PRZECIWKO WSZYSTKIM. Akurat znajdowałem się w szatni, kiedy wbiegł barman.

— Trzy radiowozy z bananami! — krzyknął do szatniarza.

Szatniarz wbiegł na salę i przez chwilę taksował walczących fachowym spojrzeniem. Po czym wrócił do szatni.

— Dwa z bananami też będzie dosyć — oświadczył; następnie zaczął łączyć się z milicją.

Zainteresowany fachową a nieznaną mi dotychczas terminologią poprosiłem o wyjaśnienia i udzielono mi ich z całą życzliwością. Otóż stopień rozbawienia gości obliczano na radiowozy policyjne, a czym jest „banan” wie każdy i nie należy się o tym rozpisywać. Tak więc przy małej bójce zamawiano jeden radiowóz; przy większej dwa; górna granica nie została jeszcze ustalona i może stanowić obiekt niegasnącego zainteresowania badaczy.

Najsympatyczniejszym szatniarzem był pan Miecio: straszliwy olbrzym, który nigdy nie bił gości po głowach i szczękach, lecz tylko zgarniał ich do kupy — zupełnie jak oko radaru kondensujące tysiące mil morskich — i wyrzucał za drzwi z siłą tornada, tak że goście rozplaszczali się na murze po przeciwległej stronie ulicy Foksal, w pierw Młodzieży Jugosłowiańskiej, a jeszcze przedtem Pierackiego. Inni szatniarze wyrzucali za gośćmi ich palta, kapelusze i laski jak również inne atrybuty męskiej elegancji życząc im przy tym dobrej nocy, lub mówiąc: „Pan redaktor jest już zmęczony”.

Życie okrutnie obeszło się z panem Mieciem. Wracając akurat z pogrzebu Prezydenta Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, Bolesława Bieruta. Było to zaiste widowisko godne zapamiętania. Ponieważ towarzysza Tomasza wieziono z lotniska na Okęcie, wzdłuż całej trasy zebrały się tłumy, aby nic nie stracić z widoku ostatniej wędrowki ukochanego Gospodarza i myśliciela. Wynikł oczywiście straszliwy burdel i trumna z ciałem gdzieś się zakorkowała po drodze. Pijani ludzie na ulicy wciąż pytali: „Czy ciało już przeszło?” Albo: „Co jest z ciałem. Przecież mieli je czas zapakować”. Inni odpowiadali uspokajająco: „Stygnie, stygnie”. Wreszcie ciało przeszło i zgnębieni ludzie rozeszli się do domów. Wtedy spotkałem pana Miecia. Twarz jego porzyła była troską. Złożyłem mu kondolencje; on mnie również. Zapytałem go, czy troska ocieniająca mu twarz wynika z faktu, że towarzysz Tomasz zmienił się w ogólnie szanowanego nieboszczyka; okazało się jednak, że pan Miecio ma i inne kłopoty — wyrzucono go z „Kamery”.

— Za dobry byłem dla was — dodał nieszczęśnik.

Abby zilustrować swą dobroć opowiedział mi, że wpadłszy w lekkie rozdrażnienie pobił któregoś z natarczywych konsumentów kluczem po głowie; konsumenta trzeba było odwieźć do szpitala, gdzie stwierdzono dwanaście ran ciętych. Aby jednak sprecyzować sytuację, trzeba wyjaśnić, że drzwi do nocnej „Kamery” opatrzone były potężnym zamkiem kowalskiej roboty, a jeśli chodzi o klucz, to tak właśnie przedstawiony jest Święty Piotr, który, jak wiemy z opowieści i obrazów, dzierży w ręku olbrzymiej wielkości klucz francuski, jakiego zazwyczaj używają

hydrauliczy, zwany jednak w sferach skłonnych do ekstazy religijnej: „Kluczem do królestwa”.

O „Kamerze” napisał w swoim czasie Poldek Tyrmand i nie będę już dłużej o tym mówić. Miałem tam swoje dobre dni i noce; przez wiele lat szukałem takiego lokalu po całym świecie i nie mogłem go znaleźć. W Jaffie był na przykład lokal, gdzie panowała całkowita ciemność i gdzie wpuszczano tylko ludzi w towarzystwie kobiet; na próżno tłumaczyłem im, że jestem człowiekiem samotnym a moje życie erotyczne stanowią nieśmiałe próby onanizmu zakończone fiaskiem. Nie wpuszczono mnie. Niemieckie lokale nocne są nudne jak nagła cholera; w Zurichu jest tylko jeden nocny lokal, który zamykają o godzinie dwunastej. Wreszcie, po latach badań i starań, udało mi się wypełnić tę tak bolesną w moim życiu pustkę: odkryłem lokal „La Bohème” w Paryżu przy rue de l'Odessa. Kiedy wszedłem tam, po raz pierwszy w życiu trzeźwy jak dziecko, i podążyłem do baru wypełniony pragnieniem jak najszybszego stracenia przytomności — dostałem od razu po zębach od jakiegoś pijanego Irlandczyka, który wziął mnie za swego brata-bliźniaka z którym był w stanie waśni. Nie byłoby w tym nic szczególnego gdyby nie to, że ja jestem chudym szatynem o melancholijnym spojrzeniu, podczas gdy tamten był rudy, gruby i mały. Właściciel lokalu, Tony, wyjaśnił mi, że zaszła pomyłka i że w ogóle nie ma o czym mówić. Jest to zadziwiający lokal: kiedy ostatni raz przyszedłem tam zakrławiony od stóp do głów nie wzbudziłem nawet najmniejszego zainteresowania: po prostu wzięto mnie do kuchni i znieczulono za pomocą „Tony Special”: jest to trunek stanowiący połączenie czystego spirytusu z Martini-Dry. Po czym kelner Jack, ku mojemu osłupieniu, wyciągnął olbrzymie pudło z lancetami, piłami, szczypcami oraz z klamrami i nićmi do szycia po operacji. Fachowym ruchem obmył ręce czystą wódką którą potem znów wlał do butelki: pozszywał mnie i pospinał moje rany klamrami, a następnie znudzonym głosem kazał mi przyjść za sześć dni — na zdjęcie klamer. Chciałem go zapytać gdzie nabył wiedzę anatomiczną, ale nie było na to czasu: właśnie wniesiono do kuchni człowieka z nożem w udzie i Jack rażno zabrał się do dzieła.

Klientami lokalu są przeważnie amerykańscy żołnierze, których dochody nie są proporcjonalne w stosunku do ich planów rozrywkowych. Tony wynalazł sposób: po prostu każdemu wchodzącemu stempluje łapę. Ale i to nie na wiele się zdało: cwani Murzyni nie myli łap po parę dni, aby wejść „na frajera”; wtedy Tony zamówił kilka tuzinów stempli fosforyzowanych, które widać tylko w świetle latarni jarzeniowej i zmienia stemple każdego wieczoru. Wejście do „La Bohème” wygląda więc tak, że każdego

wchodzącego łapie w przejściu olbrzymi Murzyn i ogląda jego łapę podnosząc ją ku rzuconej lampie: jeśli stempel zgadza się z harmonogramem ustalonym przez Tony'ego — gość zostaje wpuszczony; jeśli nie — Murzyn wyrzuca gościa kopniakiem w tyłek. Gdyby wieszcz Mickiewicz żył w czasie teraźniejszym, to miałby o czym dumać na paryskim bruku: po prostu latałby przez cały dzień i kombinował gdzie pożyczyć parę groszy, aby wieczorem móc wyrobić się dramatycznie w „La Bohème”.

Nie wiem dlaczego tak dużo napisałem o „Kamerze” i o „La Bohème”. Myślę, że dzieje się ze mną tak jak z tym uczniem siedzącym w ostatniej ławce, któremu wszystko kojarzyło się z dupą. Jest to dowcip stary, ale pamiętając o tym, że „Kulturę” czyta młodzież wstępująca w życie, przytaczam go tutaj w całości, aby wyjaśnić dlaczego tak bardzo odbiegłem od historii najbardziej bojowego i bezkompromisowego pisma w Polsce. Robię to tylko ze względu na czytelnika młodego; ludzie doświadczeni nie muszą czytać.

Szkoła. Nauczyciel bada stopień inteligencji swych uczniów. Wyjmuje z kieszeni białą chusteczkę.

Nauczyciel: — Kowalski — z czym ci się ta chusteczka kojarzy?

Kowalski: — Z dymem ognisk i mgłami.

Nauczyciel: — Dlaczego?

Kowalski: — Bo jesienią mam zawsze katar a mgły i dymy z pastuszych ognisk widzimy najczęściej jesienią.

Nauczyciel: — Doskonale, Kowalski. Masz przed sobą przyszość. Siadaj. (do następnego) Rappaport. Z czym ci się ta chusteczka kojarzy?

Rappaport: — Z wakacjami.

Nauczyciel: — Dlaczego?

Rappaport: — Bo kiedy wyjeżdżam na obóz młodzieży katolickiej, to mama zawsze stoi na peronie i powiewa mi chusteczką.

Nauczyciel: — Doskonale, Rappaport. Masz przed sobą przyszość. (do następnego) Sierżputowski — z czym ci się ta chusteczka kojarzy?

Z ostatniej ławki podnosi się ponury olbrzym. Pryszczyaty. Widać że mimo najszczerszych wysiłków woli nie udaje mu się przerobić jednej klasy w terminie krótszym jak trzy lata. Kamera najeżdża na twarz Sierżputowskiego. *Close up*. Widać olbrzymi wysiłek myśli, malujący się na twarzy nieszczęsnego olbrzyma.

Sierżputowski: (bełkoce ku ogólnemu zadowoleniu) — Z dupą, panie profesorze.

Close up to the teacher.

Nauczyciel: — Z dupą? Chusteczka? Dlaczego?

Close up to Sierżputowski.

Sierżputowski: (zwycięsko) — Bo mnie się wszystko z dupą kojarzy.

Tak więc i ze mną: cokolwiek bym nie zaczął pisać, wszystko mi się kojarzy z pijaństwem.

Po raz pierwszy wyjechałem na reportaż dla „Po Prostu” kiedy nie byłem jeszcze stałym pracownikiem, lecz tylko wolnym strzelcem. Pojechałem do Lublina: dwóch chłopców, mieszkających w bursie, zamordowało swego wychowawcę i zrabowało mu przedmioty wartości około trzystu złotych. Obaj byli niepełnoletni; nie można było zastosować wobec nich kary głównej. Dostałem akta sprawy: chłopcy byli grzeczni, uczyli się nieźle i byli faworytami owego wychowawcy, tak że mogli do niego przychodzić wieczorami, gdyż ten samotny i stary człowiek pokochał ich. Tu należy dodać, że wychowawca ich nie był homoseksualistą lecz po prostu samotnym człowiekiem, któremu obecność dwóch młodych chłopców sprawiała przyjemność. Rozmawiając z obrońcą tych dwojga specjalnie pytałem go, czy nie zaszedł tam wypadek szantazu wobec homoseksualisty; obrońca odparł mi, że stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że wychowawca był człowiekiem jak najbardziej normalnym i nigdy w jego przeszłości nie dopatrzonego się związków homoseksualnych. W aktach sprawy, obaj chłopcy stwierdzili zgodnie, że ich wychowawca nie próbował nigdy zbliżyć się do nich w sensie moczopłciowym (jak to genialnie określił Mistrz Wiech); obaj nawet nie bardzo wiedzieli co to jest homoseksualizm; a w żadnym wypadku nie umieli określić i sprecyzować na czym polega stosunek erotyczny między mężczyzną a mężczyzną.

Na pytanie prowadzącego śledztwo: Na co chcieli użyć zrabowane pieniądze — obaj oświadczyli, że nie myśleli o tym przedtem. Pomysł zabójstwa przyszedł im do głowy i postanowili go wykonać, gdyż byli przekonani, że uda im się zrobić to, co w powieściach kryminalnych zwie się mądrze „zabójstwem doskonałym”. Na ponowne pytanie prowadzącego śledztwo, na co były potrzebne im pieniądze i na co chcieli je przeznaczyć, odpowiedzieli, że chcieli iść do kina i wypić dwie butelki krajowego wina. Na pytanie prowadzącego śledztwo, czy znając przychylnie usposobienie wychowawcy nie lepiej było po prostu iść do niego i poprosić go o pieniądze — obaj odrzekli, że to im po prostu nie przyszło do głowy. Dalszych materiałów nie mogłem otrzymać: nie dostałem, z niewiadomych mi powodów protokołu konfrontacji. Ale widziałem ich zeznania i uderzył mnie właśnie ten punkt: dlaczego znając życzliwość i przyjaźń człowieka nie poprosili, a zabili.

Obrońca ich był człowiekiem bardzo zajęтым i nie miał dla mnie zbyt dużo czasu. Poprosiłem o rozmowę innego prawnika,

gościa młodego i inteligentnego i umówiłem się z nim w którejś z kawiarni na Krakowskim Przedmieściu. Zapytałem go: dlaczego zabili? Dlaczego nie poprosili? Odpowiedział mi, że jako prawnik jest mi w stanie udzielić tylko jednej odpowiedzi: z jego punktu widzenia istnieją tylko winni i niewinni. Ale, dodał, prawnik — zwłaszcza obrońca karny jest od wielu lat zawodem fikcyjnym — chyba, że prowadzi się sprawy rozwodowe. Jeśli zabili a nie pytali, to uczynili to dlatego, że przeważał w ich umysłach obraz zła ogólnego — obraz korupcji, wiedza o mordach politycznych, świadomość sowieckiej okupacji, wiedza o pijaństwie, złodziejstwie, prostytutce, rozpuszc — miłość i dobroć samotnego człowieka nie zdoła zaćmić tamtych spraw. Waga Temidy jest wyważana za pomocą odważników, wydrążonych w środku przez pomyslowych sprzedawców Miejskiego Handlu Detalicznego. I powiedział mi jeszcze: nie możemy żądać od nich moralności gdyż dostarczyliśmy im tylko wiedzę o tym jak należy myśleć — ale nie rozum. Obiecaliśmy im wzrost stopy życiowej — zamiast tego widzieli wciąż postępującą pauperyzację kraju. Obiecaliśmy im praworządność — a skazaliśmy biskupa Kaczmarka, o którym każdy człowiek w Polsce wie, że był i jest niewinny. Obiecaliśmy im wolność słowa i myśli — a pokazaliśmy im sowieckie czołgi w Berlinie, kiedy rozwścieczeni Niemcy nie mogli już dłużej milczeć. Obiecaliśmy im sztukę ludową i prawdziwą — a nasi pisarze są wybrakowanymi prostytutkami, którzy na Zachodzie nie przeżyliby ani dnia, gdyby przyszło im żyć z tego co zarobią pisanie. W imię czego mamy wymagać od nich wiary w miłość jednego, samotnego i bezinteresownego człowieka? Nie łatwo być sprawiedliwym z Gomory.

Zapytałem go: czy gdyby był ich obrońcą — poruszyłby w swym przemówieniu obrończym to wszystko, co mi powiedział. Oczywiście — powiedział — ale tylko w jednym wypadku. — W jakim? — zapytałem mądrze. — Gdyby ich proces toczył się przed międzynarodowym trybunałem w Hadze.

W dwa lata później polskim *best-seller*em stała się książka Leopolda Tyrmanda „Zły”. Tyrmand bezbłędnie oddając atmosferę warszawskiej draki, warszawskiej ulicy i knajpy, zniszczył swoją książkę demonizując zbrodnie w Polsce. Bohaterowie Tyrmanda strzelają do siebie z broni palnej, ścigają się samochodami, zorganizowani są w gangi, tworzą organizację o charakterze zbrodniczym i tak dalej. Są złoczyńcami w wielkim stylu: tymczasem styl polskiej zbrodni jest nędzny — rabunek, gdzie zabitemu odbiera się sto złotych; bójka po pijanemu o miejsce w kolejce do kina, kradzież pary butów; jakaś mała afera w handlu uspołecznionym — oto jest styl polskiej zbrodni. Potem na szczęście trochę się poprawiło: myślę o „aferze mięsnej”, „garbarskiej” i

„włókienniczej”. Ale cóż zrobić: ulubionym aktorem Tyrmanda jest Humphrey Bogart. Moim także.

Wróciłem do Warszawy i usiłowałem napisać swój reportaż. Wyrzucono mi dwie trzecie. Skrótów dokonał Lasota. Kiedy piszę to dzisiaj, Lasota nie jest już naczelnym redaktorem „Po Prostu” i posłem na Sejm Rzeczypospolitej Ludowej; przykro mi. Lasota był najbardziej przerażonym człowiekiem w „Po Prostu”. Lasota pewnego dnia został posłem na sejm — najpopularniejszym obok Dymyzy człowiekiem w Polsce; o jego mandat poselski upominali się studenci — ale ten człowiek był tchórzem. Pismo robiła Hanka Bratkowska; która zrobiła z tej szmaty jaką było „Po Prostu” przed końcem roku pięćdziesiątego piątego zrobiła najbardziej czytane i ukochane pismo w Polsce. Kiedy ja zacząłem pracować w „Po Prostu” i wybrałem dla swego działu prozy od pięknej Miry Michałowskiej jej tłumaczenie jednego z najlepszych opowiadań Hemingway’a „Czyste, jasno oświetlone miejsce” — Lasota kazał je drukować na ostatniej stronie. Kiedy napisałem swoje opowiadanie „Pierwszy krok w chmurach” — Lasota wyrzucił mnie na zbitą mordę; poszedłem do Wilka Macha i Mach wkleił je do „Nowej Kultury”. Natychmiast po publikacji Bratkowska wpadła na mnie jak szpic na garbatego:

— To ty bydlaku swoje najlepsze opowiadanie drukujesz w „Nowej Kulturze”, a nie w „Po Prostu”. Dlaczego?

— Tam siedzi twój bezpośredni zwierzchnik a mój naczelny redaktor — powiedziałem wskazując na drzwi gabinetu Lasoty. — On ci już wytłumaczy dlaczego.

Bratkowska zrobiła piekło Lasocie. Cóż jednak z tego: do Warszawy przyjechał teatr BIM-BOM pod kierownictwem Kobieli i Cybulskiego z drugim programem. Pierwszy program BIM-BOMU był uroczy; drugi kretyński. Ktoś wchodził i mówił: „Nic”. Potem wylatywał; wchodził ktoś drugi i mówił: „Nic”. I znów wylatywał. Robiło się ciemno, a potem robiło się jasno. Puszczali bombę atomową. Pękały jakieś balony i to miało nam się kojarzyć z rozbitymi marzeniami, a przecież wszyscy wiemy, że pęknięta guma kojarzy nam się przede wszystkim z poważnym wydatkiem na doktora, z ryzykiem że przesiedzimy się w pudle i z cholerną awanturą ze strony żony. Potem wszedł jakiś anioł i grał na bałajajce. Potem wleciał szatan, wyrwał aniołowi bałajajkę i strzelał ze straszaka. Potem jakiś zwariowany cyklista przejechał przez scenę; nie było go, skurwysyna, pół minuty a tu nagle wleciała Zyskindówna i coś szczebiotała, że już nie będzie wiosny. A potem wszyscy zaszczębiotali, że już w ogóle niczego nie będzie. I tak bez końca. Napisałem o tym artykuł, i Lasota wyrzucił mnie za drzwi. Innym się po-

dobąło — podobało się i Lasocie, chociaż na przedstawieniu nie był. Podobało się większości — podobało się i Lasocie.

Również i w innym wypadku moja kariera sprawozdawcy sądowego zakończyła się w ten sam sposób. Pojechałem na proces pana Władzia Mazurkiewicza; Mazurkiewicz zapraszał rozmaitych ludzi na wódkę i potem na przejażdżkę samochodem z tym jednak, że nie rozstawał się z nimi w pocałunkach nad ranem, lecz wprowadzał im kulę w tył głowy. Proces był jedyny w swoim rodzaju: Mazurkiewicz był szpiclem i prowokatorem UB i świadkowie bali się otworzyć mordę na procesie. Wszyscy wiedzieli, że pan Władzio jest mordercą ale wszyscy myśleli, że wykonuje wyroki swych mocodawców z UB. Trzeba pamiętać, że proces Mazurkiewicza toczył się przed Październikiem. Proces był kompromitacją: świadkowie bali się mówić, prokurator zrzęcznie zmieniał temat; zramolały obrońca Mazurkiewicza bronił go posługując się tezą, że Mazurkiewicz jest urodzonym mordercą; typem patologicznym o wrodzonych skłonnościach zbrodniczych a zupełnie uszedł jego uwadze fakt, że jego klient-wariat był o tyle przytomny, że przywiązywał się uczuciowo do precjozów, będących własnością jego ofiar — ofiary peklował u siebie w garażu pod betonem. Proces był pośmiewiskiem; było sprawą oczywistą, że ludzie bali się mówić, że Mazurkiewicz zrzęcznie kolportował informacje o swojej współpracy z UB; jest nie do pomyślenia, aby podobny wypadek mógł się zdarzyć w państwie, gdzie policja zachowuje chociaż pozory przyzwoitości. Ale nie był to proces przeciw Mazurkiewiczowi; był to proces przeciw całemu miastu. Hoffmokl-Ostrowski, którego dopadłem z prośbą o wywiad, zaczął mi tłumaczyć, że Mazurkiewicz ma tak zwanego „zeza widlastego”, co jest najlepszym dowodem, iż jego zbrodnicze skłonności są wrodzone i że Mazurkiewicz nie ponosi za nie winy. Dzidzia bredziła a ja słuchałem. Nagle mecenas Ostrowski pokrył się trupią bledością.

— Panie Mecenasie? — zawołałem. — Może wody? Co się stało?

— Pan także ma „zeza widlastego”? — wybełkotał Ostrowski i szybko się ze mną pożegnał. Napisałem o tym artykuł: „Proces przeciwko miastu”: Lasota wyrzucił mnie won.

W końcu roku pięćdziesiątego piątego wielki syn Warszawy, Kazimierz Brandys, napisał opowiadanie pod tytułem: „Nim będzie zapomniany”. Chodziło tu o Czesława Miłosza, który zdradził Polskę i pozostał na Zachodzie. Kazimierz Brandys nie zawiódł swoich czytelników: również i to opowiadanie było kretyńskie, tak jak i wszystkie jego pozostałe dzieła.

Ale w parę miesięcy później w duszy Brandysa zaszła metamorfoza i napisał opowiadanie pod tytułem „Obrona Grenady”.

Że niedobrze ale, że będzie lepiej. Niedobrze było dlatego, że musiało być niedobrze; ale od tej chwili — ogólna buźka i spokój. Również i tym razem Brandys nie sprawił niespodzianki swoim czytelnikom i nie podważył ich zaufania. Epos Brandysa rozłożył fachowo Artur Sandauer, człowiek bez złudzeń (niestety dla mnie) i nazwał, a właściwie wyśmiał, określając je mianem „oportunizmu bohaterskiego”. W tym czasie przyszedł do redakcji pan Maruś Perelmann i przedstawił Lasocie projekt, aby „Obronę Grenady” wydrukować na wkładce i urządzić nad tym specjalną dyskusję w KLUBIE KRZYWEGO KOŁA. Lasota był wtedy w szczytu euforii i zgodził się natychmiast; „Po Prostu” patronowało KRZYWEMU KOŁU. Ale ja wpadłem we wściekłość i poszedłem do Lasoty.

— Lilek — powiedziałem. — Wyrzucić Perelmanna razem z jego zasraną „Obroną”. Szkoda „Po Prostu” dla tego rodzaju rzeczy. Albo drukujmy debiutantów, w których wierzymy, albo drukujmy pisarzy, którzy się nie kurwili. Nie czarujmy się. To nie jest O.K. jeśli taki poeta jak Miłosz wybył z Kraju. A ten tu nagle przeszedł metamorfozę. Won Brandysa.

Lasota nie chciał nawet słuchać: wydrukowali „Grenadę” i urządzili nad nią dyskusję. Od tej historii sprawa „Po Prostu” przestała mnie interesować. Spróbowałem raz jeszcze: napisałem artykuł o Dostojewskim — Lasota wyrzucił mnie won. Postanowiłem mu zrobić dowcip: zaniósłem Dostojewskiego do „Trybuny Ludu” gdzie mi wydrukowali i nawet zapłacili. Lasota — poseł na sejm, redaktor pisma, które było i jest symbolem, bał się drukować to, co tak chętnie wydrukowała „Trybuna Ludu” — organ Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Dla Lasoty artykuł był zbyt niebezpieczny; u Staszka Brodzkiego przeszedł jak woda.

Czy postępuję słusznie pisząc to wszystko o Lasocie właśnie teraz, kiedy nie jest już ani redaktorem „Po Prostu”, ani posem na Sejm PRL? Nie wiem: nie piszę o Lasocie jakim jest dzisiaj, ale jakim był wtedy. Pamiętam, że byłem kiedyś świadkiem rozmowy pomiędzy amerykańskimi prawnikami: chodziło o to, czy należy stracić tego gagatka imieniem Cyryl Chessman. Argument przeciw egzekucji był tego rodzaju, że człowiek który przesiedział dwanaście lat w więzieniu zmienił się, i jeśli nawet nie może na nowo zacząć życia w społeczeństwie, to należy go pozostawić przy życiu. Kontr-argument był prosty: egzekucję należy wykonać. Nie zabijamy go za to kim jest dzisiaj, ale za to kim był niegdyś. Lasota był tchórzem.

Ale czy „Po Prostu” miało szansę pozostania pismem atrakcyjnym, bojowym i prawdziwym? Nie widzę potrzeby odpowiadania na to pytanie. Polska jest krajem okupowanym i tylko nie

zapominając o tym ani na chwilę, trzeba o Polsce myśleć i starać się Polsce pomagać. Każde inne myślenie na temat Polski, jest myśleniem nie-Polaka; jest myśleniem dozorczy niewolników i głupca. Oczywiście, że „Po Prostu” tej szansy nie miało; i każdy kto myśli inaczej wyrządza krzywdę tym wszystkim dobrym i czystym ludziom, którzy tam pracowali; którzy chodzili kilometrami po błocie zakładając kluby dyskusyjne i pisząc o ludziach, którzy otrzymali nakaz pracy, i starali się tym ludziom pomóc. Pismo miało świetnie postawiony dział reportażu terenowego; i ci tam, łażący po błocie, niedożywieni i chudzi, to byli właśnie najlepsi ludzie. O ile dobrze pamiętam, mieliśmy w redakcji sześciu gruzlików — a więc co drugi był chory na TB. Partia, ze swego punktu widzenia rozegrała bezbłędnie sprawę tego pisma. „Po Prostu” pracowało dla partii; „Po Prostu” rozkołysało masy; „Po Prostu” było pierwszym pismem w Polsce, które przeprowadziło wywiad z Władysławem Gomułką; „Po Prostu” walczyło o Gomułkę i „Po Prostu” zostało przez Gomułkę zniszczone.

„Po Prostu” przed październikiem roku pięćdziesiątego piątego było pismem przeznaczonym dla studentów; osiemdziesiąt procent pisma wracało z powrotem na przemiał. Po przerwie wakacyjnej („Po Prostu” przestawało wychodzić każdego roku na przeciąg dwóch miesięcy: prawdopodobnie jako jedyne pismo na świecie i w ogóle) „Po Prostu” zaczęło rozchodzić się w setkach tysięcy egzemplarzy i kiedy dziś przeglądamy stare roczniki widzimy na okładce wciąż zwiększającą się ilość nakładu, podaną w cyfrach. „Po Prostu” przestało być pismem dla studentów a miało stać się pismem młodej inteligencji; stało się pismem całego narodu. „Po Prostu” przeprowadziło akcję pomocy dla młodych artystów; pamiętam, że mój bezpośredni przełożony wysyłał mnie na miasto, aby ich odszukać a ja godzinami latałem po jakichś poddaszach i patrzyłem jak żyją te głodomory. „Po Prostu” pierwsze w Polsce zaalarmowało opinię i tak zwane „czynniki” opisując losy ludzi, którzy po ukończeniu wyższych studiów dostali nakaz pracy i marnowali się na prowincji. „Po Prostu” pierwsze w Polsce poruszyło sprawę bohaterów Armii Krajowej. „Po Prostu” pierwsze w Polsce zademonstrowało styl życia książąt socjalizmu opisując sklepy za „żółtymi firankami” — i to pozostanie zasługą takich ludzi jak Hanka Bratkowska, Misza Grzelak, Janusz Chudzyński, Jurek Urban i inni. Moim bezpośrednim przełożonym był Juliusz Garztecki; mówi się o nim, że jest czy też był pracownikiem UB. Nie wiem. W Polsce o ludziach z tak zwanego środowiska mówi się zazwyczaj tylko trzy rzeczy: że są pracownikami Urzędu Bezpieczeństwa, pederastami lub pijakami. Trudno mi na ten temat coś sensownego

napisać; wiem, że Garztecki pracował dla „Po Prostu” jak biedny diabeł i stale mnie opieprzał; o ile dobrze pamiętam, to on właśnie poruszył sprawę rehabilitacji bohaterów Armii Krajowej. Ale jak już powiedziałem: marksizm nie dopomaga człowiekowi w zdobyciu rozumu; dialektyka jest wiedzą nie o tym jak należy myśleć, ale jak powinno się myśleć. Kiedy „Po Prostu” zaczęło myśleć na swój sposób — zostało rozwiązane.

Błąd Bratkowskiej i innych członków kolegium polegał na tym, że dopuścili do współpracy rozmaite szumowiny, które z chwilą kiedy „Po Prostu” stało się pismem numer jeden — natychmiast zjawily się w naszej redakcji przy ulicy Wiejskiej. Lasota nie ponosi odpowiedzialności za ten fakt, ponieważ był tchórzem; ale Hanka powinna była wyrzucić ich wszystkich won. Ludzie rozmaicie mówią o Hance; ja wiem o niej tylko najlepsze rzeczy. Kiedy dostałem od Jerzego Andrzejewskiego jego genialne opowiadanie „Ucieczka” — Lasota począł trząść się ze strachu — Hanka zgwałciła Lasotę i Lilek zaakceptował. Potem dostaliśmy tysiące listów od ludzi; pisali, iż jest to najlepsze opowiadanie jakie Jerzy Andrzejewski napisał. Sam Andrzejewski uważał „Ucieczkę” za opowiadanie słabe i nieudane; wybrałem „Ucieczkę” klęcząc przed nim na kolanach i całując go po rękach; aż w końcu rozcałowaliśmy się tak ogólnie. Nieszczęściem Jerzego jest niedocenianie olbrzymiego talentu, danego mu przez Boga i brak szacunku w stosunku do samego siebie; brak dumy na miejsce której zjawiała się pycha. Ten człowiek jest tylko niszczycielem — a wmówił sobie, że jest moralizatorem. Idioci z Filmu Polskiego nie wiedzą, że nawet przy ich całkowitej i wręcz zastanawiającej nieumiejętności, jeśli chodzi o robienie filmu — z „Ucieczki” mogliby zrobić najwspanialszy film o wojnie. Nawet pułkownik i profesor Aleksander Ford nie mógłby spieprzyć „Ucieczki”, a przecież on potrafił spieprzyć wszystko.

I jeszcze o Hance: kiedyś powołano mnie na komisję wojskową i dostałem wezwanie do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Przyszedłem do redakcji i zaszedłszy na trzecie piętro do hali maszyn, zacząłem pisać list do jednego ze swych znajomych reżyserów, że nie mogę mu, niestety, napisać scenariusza ponieważ jak mówi pieśń „A on do wojska był przynależniony; a ona za nim płakała...” W liście tym użyłem zwrotu: „Polsce bardziej potrzebni są szpicle... od dziennikarzy”. Chodziło o to, że ci którzy zgłaszali się na komisji wojskowej do służby w milicji, nie potrzebowali odbywać tak zwanej „służby zasadniczej”. Pisałem ten list dygocząc ze wściekłości: po czym wykręciłem papier z maszyny i nie zauważyłem, iż z przyzwyczajenia założyłem kalkę — kopię listu, jako rasowy polski konspirator, zostawiłem na stole.

W dwie godziny później wezwał mnie Lasota. Wyglądał jak Jasiński: młodziak piękny i posępny.

— Słuchaj stary — zaczął redaktor najbardziej bojowego pisma w Polsce. — Muszę cię prosić, abyś zgłosił podanie o dymisję.

— Dlaczego?

Tragicznym gestem Lasota wyciągnął z szuflady kopię mego listu i pokazał mi ją. Oczywiście Bratkowska załagodziła całą sprawę. A kto przyniósł kopię tego listu do Lasoty? Maszynistki; osiemnasto i dwudziestoletnie dziewczynki, z którymi się flirtowało. I po co tym ludziom niepodległość? Niech pozostaną do końca świata stróżami braci swoich, i niech się nudzą.

Kiedy piszę o tym przypomina mi się historia jaką przeżyłem w Izraelu. Przyjaciół mój, Jerzy Buchbinder-Press, znalazł mi znakomitą pracę: a mianowicie w hucie. Trzeba pamiętać, że na zewnątrz było pięćdziesiąt stopni ciepła, a na sali stał piec o temperaturze dwóch tysięcy dwustu stopni Celsjusza. Piekło, a ja w dodatku pracowałem „na czarno”, gdyż nie miałem pozwolenia pracy. Tak więc gdy kolega Buchbinder-Press siedział w kawiarni i gładząc swą poważną brodę załatwiał interesy, czyli — jak to się fachowo mówi w Izraelu — „sze kręcił”, ja ładowałem szesnaście i pół tony materiału do pieca, prowadząc rozmowy towarzyskie ze swym majstrem, panem Szapiro. W tej fabryce wszyscy wiedzieli że nie nazywam się Joram Buchbinder-Press tylko po prostu Hłaskower — od dyrektora fabryki do ostatniego łachury który wynosił śmieci z sali. Po paru miesiącach dostałem lepszą pracę; po prostu stałem się dla pewnej paniutki alfonsem i omegą; przyszedłem więc do fabryki aby rozstać się ze wszystkimi w pocałunkach. I nagle jeden z nich nie chciał mi podać ręki.

— A dlaczego?

— Bo ty jesteś szajgec, a nie Joram Buchbinder-Press.

— Miałeś pół roku czasu — powiedziałem. — Dlaczego nie poszedłeś na policję i nie powiedziałeś im?

— Bo kiedy tu przyszedłeś, widziałem, że jesteś głodny i że potrzebujesz pracy. Ręki ci nie podam. Niech będzie przeklęty twój naród i ty sam, i twoja ziemia.

Tak dzieje się w Izraelu z Żydami, którzy przez dwa tysiące lat tułali się po świecie; bici torturowani, opluwani i pędzeni przez wszystkie więzienia i łagry świata. Państwo Izrael powstało w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym; w czasie walk o Jerozolimę, niesubordynowanych żołnierzy karano w jedyny sposób — kazano im na pewien okres czasu odejść z linii walki; i to była najgorsza kara dla żołnierza izraelskiego — dla Żyda, który przez setki lat był przedmiotem drwin i szyderstwa. Żydów

raniono tylko dlatego że nie chcieli zapomnieć o tym, że wchodząc do domu mówią: „Słuchaj Izraelu. Jeden jest Bóg i jedna jest ziemia”. I oni mają swoją ziemię; i jeśli rzeczywiście istnieje Bóg i miłosierdzie — nigdy jej nie tracą. Każdy człowiek wierzący naprawdę w Boga powinien nosić na szyi gwiazdę Dawida obok krzyża tak długo, aż ostatni antysemita nie zostanie zabity i dopóki ciało jego nie zamieni się w proch, który ze wstydem przyjmie cierpliwa ziemia.

Karierę w „Po Prostu” skończyłem po wydrukowaniu „Obroń Grenady”. Przestało mnie to wszystko interesować; przychodziłem tylko pierwszego po pieniądze — rzecz jasna przemogłszy przedtem nadludzkim wysiłkiem woli dreszcz wstrętu. Szkoda mi tego pisma. Nie szkoda mi tylko tego człowieka, który w chwili gdy „Po Prostu” zamieniło się w pismo młodej inteligencji uparł się, aby zamieścić jako program skrzydlate słowa „O inteligencji”, pióra pewnego Rosjanina, który wyjaśnił nam w referacie wygłoszonym na XVIII Zjeździe WKP (b), że inteligenci także są w jakiś sposób ludźmi. Rosyjskim myślicielem był człowiek nazwiskiem Stalin; nie należy dodawać, kto uparł się aby drukować jego tekst. W ogóle trzeba pisać jak najkrócej i żeby było umownie: kiedy kolega Kape wszedł ze mną w roku 1949 do Spółdzielni Kamaszników w Legnicy, na zapytanie kierownika — „Czego pan sobie życzy” — wyjaśnił życzliwie: — „Kasy” i pokazał przy tym TT. Tak właśnie trzeba. Tak skończyła się moja kariera reportera.

Ja w tym czasie nie miałem jeszcze mieszkania i sypialiśmy z kolegą Berezą częściowo na Dworcu Głównym — częściowo byliśmy goszczeni przez poszczególne komisariaty i Izby wytrzeźwień. Wreszcie chwilowo ulokowałem się u innego kolegi, mieszkającego u babki. Kolega ten nienawidził alkoholu; natomiast był miłośnikiem cudzołóstwa. Ale cóż zrobić z babką-starszą? Proste; my mieszkaliśmy na Powiślu — więc kupowało się dla babki bilet do kina, gdzieś na Ochocie. Kino dwie godziny, jazda tramwajami trzy godziny, to już mamy pięć. W tym czasie można coś niecoś zadziałać. Po jakimś czasie babka kolegi zaczęła mówić stylem bohaterów filmu. Mówiła na przykład: „Ty, Marek. Kiedy mówisz do mnie to trzymaj ręce opuszczone, bo może być nieprzyjemnościunia”. Kiedy inny kolega przychodził aby przywitać się z babką, babka odpowiadała: „Nie podaję nigdy ręki mańkutowi. To mi nieraz ocaliło życie”. Albo jeszcze inaczej: „Nie bądź taki równiak, Mark. Pamiętaj że przyjechałeś do Frisco, aby odpocząć i nabrać zdrowia”. I wszystko szło dobrze; ale mój przyjaciel-erotoman przechytrzył. Wyświetlano czterogodzinny film radziecki pod tytułem „Admirał Uszakow”. Cztery godziny kina i trzy tramwajem — idealna sytuacja. Aku-

rat kiedy dziewczęta zgodziły się oddać nam to, co miały najświętszego, wpadła babka.

— To skandal! — zaczęła krzyczeć. — To! chamstwo. To zwierstwo! To niedopuszczalne! To ohyda!

Ale nie chodziło jej wcale o nagie dziewczęta, jak myśleliśmy z początku; otóż w filmie „Admirał Uszakow” występował jakiś człowiek o wyglądzie podleca: Admirał Nelson. Jego partnerką była jakaś dziewczina z typu tych, które spotykamy nocą na Chmielnej i które klepiąc się zachęcająco po tyłku krzyczą: „No co? Będziemy dziś katować to dupsko?” — Lady Hamilton; ubrana w dodatku w nocną koszulę z koronkami na zasadzie szczytu wykwintu. Admirał Nelson podszedł do niej i demonicznie mrugając brwią wyciągnął ku niej jedyną rękę wołając przy tym tubalnym basem:

— *Kak pażywajetie, ledi Gamilton?*...

I tego nam babka wybaczyć nie mogła. Znów mnie wyrzucano. Pamiętam jak szedłem smutny Krakowskim Przedmieściem w owe nieśmiertelne dni Października a koledzy zatrzymali mnie przed Uniwersytetem.

— Przyjdź dzisiaj wieczorem na Żerań — powiedzieli. — Będą rozdawać karabiny.

— A po co mi karabin? — zapytałem.

— Będziemy się bić.

— Odłóżcie, panowie, ruchy wolnościowe do jutra — powiedziałem. — Dziś wieczorem jestem zaproszony na imieniny do Kropki Minkiewiczowej. Nie mogę nawalić.

I poszedłem dalej.

Marek HŁASKO

(c.d.n.)

Copyright by „Kultura”, 1966.

Weekend kibica

„Tajemnica powodzenia jest prosta: trzeba dotrzeć do właściwych ludzi”. (Z poradnika amerykańskiego „How to attain beauty, health and happiness”).

Piątek, Frankfurt nad Menem.

Dobrze, że oni o tym nie wiedzą. Oni, pochyleni nad kartką papieru jak nad twarzą ukochanej. Oni, nawiedzeni, dla których te sprawy są tlenem, niebem, piekłem. Ci, co pośród nocy, niczym drapieżnik uwięziony w klatce, biegają po pokoju w poszukiwaniu właściwego Słowa, bijąc łbem o pręty Nienazwanego. A może oni o manipulowaniu pisarskiego losu, o korygowaniu pewnych niedopatrzeń opatrności, o przygotowywaniu przypadku, o zdalnym sterowaniu łutem szczęścia, o wydobywaniu kilku ziarenek z kopca piasku już tam niejedno wiedzą, lecz odpędzają tę osę od nosa, by nie poddać się niewierze we własne możliwości? Lub też — wręcz na odwrót — chwytają się kurczowo myśli o Wielkim Humbugu i Przemyślnym Aranżerze, by osłodzić sobie porażkę?

Sukcesie, jakież twoje imię? Los na loterii? Zaufać „szczęściu” czy machinacji? Co roku ukazuje się w Niemczech zachodnich dwadzieścia tysięcy nowych tytułów, ale „wyskoczyć” może tylko kilka. Dziewiętnaście tysięcy dziewiętnastu dziewięćdziesiąt dwa lub trzy musi „odpaść”. Czy te, które „wyskoczyły” (gieldziarze mają swój język), rzeczywiście na to zasłużyły? Czy kłamstwo, ulubione dziecko świętego Bestsellera, nie ma długich nóg, dłuższych od legendarnych kończyn Marleny Dietrich? Jak zostać kowalem własnego sukcesu? Czy wystarczy napisać dzieło nieprzeciętne?

A może to za mało? Jaki jest mechanizm powodzenia w skali światowej? Jacy szatani są przy tym czynni? Czy istnieje niewidzialna giełda? Czy wierzyć w bociany czy w sprzysiężenie mędrców Syjonu? Jedenaste: nie demonizuj! Nic to: potomności na brać ani przekupić się nie da? A nuż jest inaczej?

— Talent, młodość, uroda, to jeszcze nie wszystko — utrzymują nie odkryte gwiazdki filmowe i statystki teatralne w prowincjonalnych przybytkach Melpomeny — trzeba jeszcze trafić do właściwego łóżka. Ale czy to prawda? Brońmy się przed naporem trywialnych mądrości. Tylko bez rewelacji z cyklu: „Jak sobie mały Jasio wyobraża mechanizm tego świata!” Mędrzec nie wyzybywa się złudzeń. Idealiści żyją krócej, to prawda, ale za to pełniej. Naiwność jest darem nieba.

A więc to tutaj, mój Wergiliuszu. W piwnicy modnego hotelu. Ta karczma Jimmy-Bar się nazywa. Senną mrużąc powiekę, poprzez bursztynową mgiełkę koniaku słyszę tajemnicze sygnały. Osobliwy język międzynarodowych kosmołazików, zakulisowych wyręczycieli sił nadprzyrodzonych:

— Mój przebój: Philip Roth. Dwóch Bulatowiczów za Grassa. Plus Ana Maria Matute.

— *Gemacht!* Dorzucam von Salomona. „Piękna Wilhelmina”. Hohenzollernowie idą jak bułeczki: społeczeństwo się najadło i ufutrzyło, *you see*, czasy nowej Restauracji. „Fala Kennedy” zwolna opada. Przesyciło się. Sorensen u nas nie chwycił.

— Przydałby się w tym sezonie Finn. Jest taki: Pentti Saari-Koski. Niestety, liryk. Nie przejdzie!

— Nie Finn, nie Japończyk, nie Hawajczyk. Rumun by poszedł w tym roku! Rumun z Besarabii.

— Trzymam Saula Bellowa. Dodam do tabeli Barzini’ego, chociaż to pływacz. Co leci? Murzyn z Alabamy. Czarny Orfeusz. Młody i gniewny. Ostatecznie może być Turek z Cypru.

— Włosi? Znowu Włosi? Carlo Emilio Gadda nie wyskoczył. Polacy? Już nie. Niezłe recenzje, ale sortyment ich nie chce. Mamy coś lepszego: Gisela! Sex! Szok! Infantyizm! Trzy licencje w ciągu tygodnia. Nagroda w Salzburgu. Protest biskupa. R. ją przepchnął przez ucho igielne. Nie było to łatwe: wielbłądzica szeroka w biodrach.

— Publiczność nie ufa pięknościom nocy. Niezwykłość się uzwykla. Żadnych cudownych dzieci, niewidomych sierotek, jezuitów wracających z Syberii, pamiętników Dalaj-Lamy!

Jeden z Wielkich Zwrotniczych Sukcesu ostrzega w swoistym *volapückeru*:

— Kacety, okopy, więzienia, hekatomb, katakumby, wojny, Hiroszimy *et tutti quanti sind, I’m afraid, nicht mehr en vogue*. Martyrologia — *nix!*

— Z wyjątkiem *The Painted Bird* Kosinskiego! *It’s my turn now!*

Czuję ukłucie pod sercem i złościę się na siebie: ach, ty zakuty, prowincjonalny łbie, zabolalo cię, że Oświęcim nie jest *en vogue!*

— Pochlebiam sobie, że mam pewien wpływ na papieża krytyki literackiej w waszym kraju — Zwrotniczy Sukcesu Nr 2 mruży znacząco oko; o tym oku warto powiedzieć, że za grubymi binoklami wygląda jak rybi pyszczyk trykający w szkło akwarium. — Przy byle g... fatyguje Dantego, Grimelshausena, Lautréamonta, Breughela, Goyę. Szantaż przy pomocy paranteli. Ten numer z reguły chwytą. Przy innej zaś sposobności zaczyna polemizować z nieboszczykiem Nietzschem. „Nieprawdą jest — wpada łbem w otwarte drzwi — że pisarz musi być naiwny lub żywiołowy. Potrzeba nam prozy typu intelektualnego!” I już się włóczy pruje: Musil, Joyce, Proust, Huxley, Kafka...

— O Kafce już nie mogę czytać ani słuchać. — skarży się wschodniopruska grafini. — Co za wiele, to niezdrowo!

— *Très bien!* Wróćmy do hycła G. Malwersant. Złodziejaszek. Zaczął pisać w domu poprawy.

— Kryminaliści pisarzami? Ten numer dawno już wybladł.

— *I beg your pardon.* Zakładamy czytelnikowi podwójnego nelsona! G. wyszydza bohaterów 20 lipca: hrabiego von Stauffenberga *et consortes*. Interpelacja w Bundestagu murowana. Zobaczenie, zrobimy z niego Hochhuta do kwadratu.

— Skandale się przejadły. Mówmy lepiej o prawdziwej literaturze. Ekshumujmy klasyków. *Ad fontes!*

— Klasyków? Melvin, nie wygłupiaj się! To może od razu książkę kucharską?

— Podobno Paulsen ukrywa bombę w rękawie: pamiętniki Berii. Ernesto je wygładza.

— Apokryf!

— Apokryf nie apokryf. Nazwisko się liczy. Łatwo wpada w ucho.

— *There is something in it!* Rzućcie mojego psychopatę z Argentyny na siatkę Gutenberga, a ja wylansuję tego Czechodwilżowca. Cholera, niech strące! Rozczarowanego Węgra na dodatek! „Od KP do sodalicyj i z powrotem”. Czy coś w tym sensie. No, jak się on nazywa? Nie mam pamięci do nazwisk!

To taki fason: większość z nich nie ma pamięci do nazwisk i do tytułów. Pamięć do cyfr wystarczy im w zupełności. I jeszcze jeden drobiazg łączy ich ze sobą: nie czytują książek. Robią to za nich żony-octyane analfabetki lub lektorzy. Rzadko się zdarza, by handlarz żywym towarem był wrażliwy na dziewczęce

wdzięki. Stosunek maklera sukcesów wydawniczych do literatury również bywa oziębły.

Do trzeciej nad ranem niczego nie uzgodniono. *Keine Sensationen*. Ale to dopiero pierwszy dzień zjazdu. Rozmowy wstępne. Opukują się. „Sztuczna mgła. Jeszcze nie odkrywamy kart.

— Co znaczy: „on nie umie pisać”? — denerwuje się dzia-dzio-nadstręczyciel z półwiecznym doświadczeniem, dziobiąc palcem kłęby dymu. — Ale on ma tyle do powiedzenia! Od czego płacę trzem młodym germanistom w moim biurze? Oni go wyglądają, przepiszą na czysto, a ja go uplasuję w sezonie wiosennym. Zobaczycie: on wystrzeli. Już ja noszę w sobie radar do takich odkryć.

— Na wiosnę — zwierają się wtajemniczeni, rozdzielają się bez fałszywego wstydu; rzekłbyś posiwiśle w służbie Erosa miłośnice wylazą z bielizny — zaprosi się kilku nieprzekupnych jurorów na Majorke. Czy Amerykanie wycofają w tym roku dotację dla „transatlantycznej katapulty”? W zeszłym roku dla G. zabrakło trzech głosów. B. walczył o niego jak lwica o młode. Rzecz popsuli nie urobieni na czas przez L. wolni strzelcy C. i M. Prof. M., chroniczny konwertyta polityczny, coś tam szepnął L. do ucha, i — diabli wzięli cały gejzer. L. to potęga. Równa samemu F. Nie, Mediolańczyków nie przeskoczysz. Jeśli pozyskamy na alpejskiej sesji upartego B. dla Pingeta, z pewnością zrewanżuje się poparciem Shermana. Grzeczność za grzeczność. Walka będzie zacięta. Na przyjęciu dla Anglików trzeba będzie przycisnąć starego lisa V. Pryncypialiści psują każdy geszeft, do zasad trzeba dopłacać. Na część pastuszka z Montenegro (R. ma już dla niego etykietkę: „dureń stulecia”); ta naklejka się przyjmie) zwoła się konferencję prasową. I to taką o której uczestnicy będą pamiętali do późnej starości. Niech się brudas rozbierze i pokaże tatuaż na plecach. Nie, to już było: w Berlinie, w latach dwudziestych. Petarda polityczna wystarczy. Plus rozbicie lustra. Któryż to tylko poeta powiesił się dla rozgłosu? Na pastuszkach można polegać. Nie w ciemną bitą. Wczoraj na przyjęciu w ratuszu, ku zdumieniu (czytaj: cichemu zachwytowi) żony i podrastającej córki ministra rządu krajowego, odtrącając kieliszek, zawołał łamaną francuszczyzną na całutki głos:

— Madame wybacz, że nie wypiję jej zdrowia. Ale jak sobie popiję, nie mogę chędożyć.

— Jeśli po tym głosie niezsputych (przez cywilizację) Bałkanów nie pęknie dziesięć tysięcy egzemplarzy w ciągu tygodnia, przestaję wierzyć w bożka *Publicity* — rzecz telewizyjny Zaratrasta w kącie baru. — Wolę już te niewybredne kawały niż przedmowy pisane przez Jaspersa.

Wesolutko w tej piwnicy. O bladym świetle miła niespodzian-

ka: spotkanie z rodakami. Płowe nadwiślańskie spojrzenia; jakże nie kochać tego kraju. Przywożę dobre nowiny:

— Przeorganizowaliśmy się — mówią zadowoleni. — Dzięki zrozumieniu, okazanemu nam przez ministerstwo kultury, opieramy nasz wysiłek na nowych podstawach. Nasza placówka już teraz może się poszczycić znacznym dorobkiem. Kolega Dolny przywiózł „Album męczeństwa polskiego”.



— Czy podziękowałem już panu za odsiecz Wiednia? — słyszę śmiech do psiego kaszlu podobny.

Sędziwy grafoman T. (pyszna głowa z siwym pióropuszem) przybył tutaj aż z Tyrolu. Podobno co roku przyjeżdża na ten majufes. Obwozi swe manuskrypty jak komiwojażer próbki towarów. Nawet w ruchach ma coś z domokrażcy. O ile grafomania w młodym wieku jest zjawiskiem sympatycznym i dość naturalnym, budzącym ludzką życzliwość, o tyle pod osiemdziesiątkę staje się czymś przynębiającym. Niebezpieczny staruch potrafi wejść bez pukania do hotelowego pokoju, błyskawicznym ruchem wyjąć z teczki rękopis i z nogą w drzwiach odczytać fragment swej prozy, co przypomina zamach przy pomocy gazowego pistoletu. Nazywa siebie „skrajnie lewicowym monarchistą”, zapewnia mnie o zasługach, jakie Jan III Sobieski poniósł dla zachodniej cywilizacji, a w twórczości swej najchętniej porusza tematy erotyczne.

— Jedyna rzecz na której się znam — wyjaśnia z kokieteryą w oku.

Nie trudno się domysleć, że w akwarium, jakie ukrywa pod wachlarzem siwizny, roi się od kielbi. Zanim mi wręczył swoje *opus magnum* pt. „Pamiętnik z rue Darcet”, wyimaginowany dziennik paryskiej jawnogrzesznicy, niezwykle starannym charakterem pisma, tak typowym dla grafomanów, wpisał dedykację:

„Gdy Habsburg zasiądzie na tronie, Lwów znowu będzie polskim miastem, a południowy Tyrol rozerwie włoskie kajdany!”

Starość, patriotyzm, erotyzm, grafomania — nie wiadomo przed czym najpierw ukryć oczy. Już na pierwszej stronie książeczki jesteśmy w domu. Nie trudno zgadnąć w jakim:

„Lubiłam tego Japończyka. Miałam wrażenie, że się wszczerza we mnie. Wydawał ze siebie krzyki wyższe od piania. Opa-dał na mnie jak ciężki kogut, bijąc mnie skrzydłami. „Sanuraju, litości!”

Z erraty, zamieszczonej na końcu dzieła, dowiadujemy się, że miało być: „Samuraju”.

Maupassant dla ubogich, Matuzalem tyrolskiej prozy zwierza mi się — nie ma ucieczki przed jego napierającym brzuszylem! — że musiał się rozstać z osiemnastoletnią przyjaciółką, gdyż stała się uosobieniem miłosnej opieszałości.

— *Keine Initiative!* — marszczy się, rozżalony. — Przerazające ubóstwo repertuaru!

(Te żalosne przechwałki obleśnego gębacza przypominały mi ulubiony gag pewnego seniora nauki polskiej na obczyźnie, który nie bacząc na późną jesień żywota, a chcąc zaimponować towarzystwu niezmożonym juhasostwem, zamiast chusteczki do nosa, wyciągał z kieszeni „przez roztargnienie” małą paczuszkę w opakowaniu ze staniolu.)

— *Mein Gott*, tyle lat w niewoli! — dziadzio-grafoman klepie mnie po ramieniu. — Bohaterstwo Polaków pod zaborami, to jedna z najpiękniejszych kart w historii Abendlandu. Jakież to piękny przykład dla uciśnionego Tyrolu!

Na pożegnanie chce mnie przycisnąć do piersi.

— Polska, Węgry i Czechosłowacja zjednoczone pod berłem Habsburgów — szepce mi czule do ucha. — A Lemberg uwolnimy!

Jeszcze kilka takich toastów, a uzbrojeni po zęby karabinierzy włoscy na dworcu w Meranie staną mi się bliscy jak bracia.

Niewesołe to odkrycie, że dość znaczny procent zagranicznych przyjaciół Polski stanowią ludzie z lekka stuknięci.



Każdy ma swoje kłopoty. Nawet psy i koty. A cóż dopiero mówić o znawcach literatury polskiej. Powiewając futrzaną pelerynką w poczekalni hotelu, tłumaczka-polonofilka z babki-prababki zwierza mi się w przelocie, że „Lokomotywy” Tuwima, niestety, nie mogła przełożyć słowa w słowo. Linijki „Puff, jak gorąco!” — przetłumaczyć się nie da, bo „Puff” w języku Schillera i Goethego oznacza „dom publiczny”, a wierszyk bądź co bądź jest dla dzieci.

Ta sama dama uszlachciła niegdyś Hłaskę. Zdanie „Zerznąłbym tę dziwkę!” przełożyła na: „A ja bym tej pannie zagroził nożem!”

Między facecje i wódczane chichy wkrada się moment mniej zabawny: zamroczony alkoholem przybysz z Lipska, cudzoziemiec we własnej ojczyźnie (zdumiewające, jak szybko te dwie połowy Niemiec rozwiódły się ze sobą!), ni stąd ni z owąd zaczyna się znęcać nad sobą. Czyżby masochizm nie był wyłącznym przywilejem Słowian?

— Moja praca umysłowa, *liebe Freunde*, przypomina dobrze

uregulowany stolec. Punkt dziesiąta rano zasiadam do maszyny i wystukuję tekścik dla świata pracy. Jest to czynność na wkrótce fizjologiczna.

Po Rabelaisowsku brnie dalej:

— Jakżeśmy ten piękny mur zbudowali w Berlinie, *gute deutsche Arbeit*, przez jakiś czas nie mogłem się wywiązać: katerek psychiczny czy też — hm! — opory ideologiczne. Coś się tam we mnie zatkało. Ale od czego nasze niezawodne proszki „Laxative”! Ledwie mój szef wspomniał o „kompresji etatów”, od razu mnie ruszyło. Na osiem i pół strony maszynopisu!

— *Double Scotch* dla rodaka! — zahuczały basy współczucia. — Poznasz po chmielu, co w przyjacielu!

— Biedny człowiek. Ofiara systemu — szepnął mi do ucha wydawca-milioner. Nadreńczyk litował się nad Saksończykiem. „*Nervus lacrimalis*” podrażniony. Ale nie trzeba absolutnego słuchu, by na dnie tego współczucia uświadczyc nutkę faryzejsko-radosną. Krezus znad Renu w głębi duszy jest zadowolony, że t a m jest źle. Ten nieszczęśnik zza między całym swym istnieniem, duchową rozterką, rozgoryczeniem, strachem, niedostatkiem staje się dlań potwierdzeniem na które stale czeka: że tamten świat jest gorszy. Tamten świat p o w i n i e n być gorszy. Tego wymaga dobre samopoczucie naszego Krezusa znad Renu, który chce wierzyć, że cokolwiek tutaj tworzy, ma nie tylko swój sens gospodarczy, kulturalny, polityczny, ale i etyczny. Poczucie przewagi go uskrzydla. Złe wiadomości stamtąd spadają mu jak manna z nieba. Cudze nieszczęście krzepi.

Kukułka z Czarnego Lasu wykukała nad baterią butelek czwartą, gdy młody, kędzierzawy Brooklyńczyk w rogowych okularach, Mr. Edgar Hilsenrath, zapytał mnie co porabiałem w czasie drugiej wojny światowej.

— Pierwsze słyszę, że Hitler zamykał Polaków do obozów i więzień — moją odpowiedź zaoceaniczny okularnik pokwitował najwyższym niedowierzaniem. — Przecież byliście jego sprzymierzeńcami!

Na temat emigracji Mr. Hilsenrath również miał pogląd wyrobiony:

— Po wojnie nie wrócili do Warszawy tylko ci Polacy, którzy wydawali Żydów w ręce Gestapo.

— I hrabiowie — dodaje po namyśle.

Wtórzuje mu zażywny blondyn z wąsikiem korporanckiego zawadiaki, lekarz z zawodu, Herr Heinar Kipphardt, autor reportaży scenicznych o prof. Oppenheimerze i Joeli Brandzie, mówiąc że Polacy są narodem antysemitów, a Piłsudski był faszystą „gorszym od Mussoliniego”. Herr Kipphardt zna tylko jedno słowo po polsku: „szmalcownik”.

Sympatyczna Greczynka, romanistka z Hamburga, przychodzi mi z dobroduszną odsieczą:

— Dajcie, panowie, spokój. Polacy wiele przeszli. W czasie powstania warszawskiego zginęło dziesięć tysięcy ludzi.

— Jedenaście — mruczę nieśmiało w kieliszek.

Był czas, że się unosiłem, wykrzykiwałem prawdziwe cyfry, prostowałem kłamstwa i nieścisłości, wręczałem ignorantom broszury w obcych językach, pisywałem listy do redakcji, pokazywałem zdjęcia fotograficzne, powoływałem się na dokumenty i wiarygodnych świadków, paszkwilantom groziłem sądem, ludziom dobrej woli dawałem słowo honoru, przysięgałem na wszystkie świętości. Dzisiaj już tego nie robię. Nie ma sensu. Moje zaprzeczenia jedynie utwierdzały ich w przekonaniu, że mają rację. Syzyfowa praca. Głową muru nie przebijesz. Szkoda zdrowia i tych kilku lat, jakie nam jeszcze zostały. Czas wreszcie skapitułować przed odkryciem starym jak świat: fakty są złudzeniem, precyzja nie oddaje prawdy, empirycznie postrzegalna rzeczywistość nie dorasta irracjonalnym przywidzeniom do kolan, ludzie wierzą tylko w to w co wierzyć chcą. Jesteśmy bezbronni. Tej wojny nigdy nie wygramy.

Pewien żydowski myśliciel przed śmiercią w obozie wypowiedział niezwykle słowa:

— Zobaczycie, że Niemcy nam, Żydom, nigdy nie wybaczą Oświęcimia!

Trudno uwierzyć, żeby podobne odwrócenie sytuacji moralnych było jedynym źródłem antypolskiego resentymentu pewnych kół na Zachodzie. Skoro i my sami nie jesteśmy tutaj bez winy.

— Wiecie, że syn Mary MacCarthy studiuje w Krakowie? — próbuję zmienić temat.

— *Poor guy!* — śmieje się Mr. Hilsenrath — Czemu nie w Ułan-Bator?

Sobota, Monachium

Herrenabend. Wieczór w nowoczesnej restauracji, wystylizowanej na gospodę. Komody z niezdarnie wypędzłowanymi serduszkami. Chłopski barok, duma bawarskiego regionu, ostatni krzyk mody. Milionerzy z Zagłębia Ruhry płacą dziś każdą cenę za *Wäschetrube*, kołowrotek, stojącą latarnię, wiejskie wyrko z pomalowanych desek, nie mówiąc już o przydrożnych świątkach. Madonny z dzieciątkiem, rzekomo autentyczne dzieła ludowej sztuki snycerskiej, zdobią dziś domowe bary w hollywoodzkich willach nad Renem, — wizytówka nowobogackiego smaku.

Siedzimy w czwórce. Przyjaciół z bawarskiej telewizji, któremu arcyodwilżowi Czesi odmówili akredytacji w Pradze, gdyż popeł-

nił zbrodnię na miarę naszych czasów: ktoś go podejrzwał na ulicach Monachium w towarzystwie emigrantów; nad brzegami rączęj Izary uwija się około dwóch tysięcy łapsów, szpiclów i wachaczy najrozmaitszej maści i konduity; tylko Zambia nie ma tutaj rezydenta swego wywiadu, ale i ona z czasem doszłusuje do powszechnego omniłapsownictwa. Obok wiernego Bawara zasiadł dostojny gość z Londynu (z którym mam zaszczyt sąsiadować w antologii „Niemcy w oczach cudzoziemców”), *Arnold the Great*. Jest również Golo Mann, syn autora „Czarnodziejskiej góry”.

Golo Mann, ex-emigrant, szczerzy przyjaciel wszystkiego co polskie, fizycznie coraz bardziej upodobnia się do swego rodzica. Ino patrzeć jak w krzaczastych brwiach błysnie pierwsza nitka siwizny. Długoletni pobyt za granicą nie naruszył w nim substancji duchowej: jest hanseatycki w każdym słowie i geście. Ale po ojcu (niezawsze jabłko pada tuż przy jabłoni) odziedziczył jedynie pracowitość i rzetelność. W jego pracach naukowych isierki geniuszu nie uświadczysz, a niejeden tekst toczą korniki szlachetnej publicystyki. (Z niezwyklej rodziny Mannów, która niezgorzej nadawałaby się na temat do sztuki teatralnej, najbardziej urzekła mnie zawsze tragiczny Klaus; panie mniej ciekawe, a jeśli wolno trochę pobлуźnić, niechaj się na mnie znakomity mannolog Aleksander Rogalski z Poznania nie rozsierdzi, — o niebotycznym Thomasie już dzisiaj pewien śmiałek nad śmiałkami powiada ze złośliwym uśmiechem: „Thomas Mann? Ależ znam, znam, to przecież brat wielkiego Heinricha!”)

Przybysz z Londynu, zaprofesorzony bo zaprofesorzony, ale oka z bieżącej polityki zagranicznej swego kraju nie spuszczaający nawet na chwilę (*Royal Institut of International Affaires*), mimo 77 wiosen odznacza się świeżością umysłu, nieczęsto spotykaną w tym wieku u braci Lechitów. Tą samą świeżością, dodajmy, co w roku 1908, kiedy wielu jego dzisiejszych czytelników jeszcze nie było na świecie, a on ogłaszał swoje *Lectures on the Industrial Revolution*.

Mój Bawar, który ugina się pod ciężarem urojonego kalectwa: że nie jest Anglikiem (biedaczek!), w oksfordzki akcent Wielkiego Arnolda wsłuchuje się jak w muzykę sfer. Przymyka oczy w zachwyceniu, komunikant w stanie łaski, by nie uronił nic z fonetycznego misterium: oto z głębi profesorskiego gardła zwolna, jakby niechętnie, odklejają się cudownie zniekształcone samogłoski, by za ułamek sekundy wpaść w rezonansowe pudło nosa i odezwać się stłumionym echem.

Kto ma uszy do słuchania, niechaj w tej chwili nie siorbie Mosela. Słuchaliśmy tedy, przenosząc się myślą w odległe czasy. Właśnie dostojny gość rozwodził się przy pstrągu *à la Müllerart*

nad dwoma kalifatami konkurującymi z bagdadzkim: o kalifacie Omajadów w Hiszpanii (początek X wieku; jak ten czas szybko leci!) i Fatymidów w Egipcie; właśnie kelnerowi zmieniającemu widelce z nadmiaru szacunku trzęsły się ręce: bałwochwalczy afekt dla profesorów Niemcy mają we krwi; gdy w drugim kącie lokalu dojrzałem parę zakochanych.

Desperacko spleceni, para rozbitków na pękającej krze, patrzeli sobie w oczy. Ona, nieduża i brzydka, oczy miała króliczo czerwone po miłosnej nocy. Po nocy której „nie zapomni do śmierci”. Jemu — twarz miał szarą, nijaką — drżał podbródek. Rozstanie na zawsze. Zmiażdżeni swym nieszczęściem, większym od końca świata, nie zwracali uwagi na resztę gości.

— Nazwa Gibraltaru pochodzi od zwyczajnego wodza Tarika, Berbera z pochodzenia. „Gabel Tarik” oznacza górę Tarika — ciągnął profesor, rozmazując masło na kartofelkach.

Mój Boże! — przeszło mi przez głowę. Dla nich obojga, tam, w kącie restauracji, świat się kończy, słońce zgasło, a tutaj wielki Toynbee za przeproszeniem pieprzy o kalifatach sprzed stuleci. Cóż za zderzenie żywej, autentycznej egzystencji ludzkiej z papierową abstrakcją! Kawał krwawiącego mięsa zwanego sercem, żywa ryba podskakująca na patelni, i jakieś muzealne eciepecie. Wielkie syntez historyczne, studia nad morfologią kultur i cywilizacji, przetrząsanie grobów — same mądrości i wzniosłe sprawy, radość intelektu, a tymczasem o kilkanaście kroków od nas z niedosłyszalnym łoskotem rozpada się uniwersum, pęka ludzka planeta. Jakże umowne są przydatności wiedzy o świecie, jak niewiele wnoszą do naszych przypuszczeń o człowieku i jego życiu.

W pewnej chwili dziewczyna z chusteczką przy oczach wybiegła z lokalu na ulicę. Znękany mężczyzna poderwał się z kanapki, jakby chciał za nią pójść, ale po namyśle usiadł i zapadł się w swym wyjściowym garniturku. Topielec w worku. Banalna historia.

Profesor zaś, uporawszy się z ościami, których pstrąg, na szczęście, ma niewiele, słusznie zauważył, że pojawienie się na scenie historycznej dwóch nowych elementów: perskiego i tureckiego w konsekwencji doprowadziło do osłabienia centralnej władzy kalifatu.

— Chociaż wielki dramat świata arabskiego rozegrał się znacznie później, Bagdad irańskich Bujjidi przestał już być Bagdadem Haruna-ar-Rasziada.

— *How sad!* — rozległo się nad talerzami jak modlitwa za umarłych.

A może myśleliśmy o zapłakanej dziewczynie, biegnącej ulicą z młyńskim kamieniem miłości u szyi?

„Wielki” dramat świata arabskiego przed iluś tam wiekami. „Mały” dramat dwojga głuptasów na naszych oczach. Oczywiście, dramat dramatowi nie równy. Co ważne? Co błahe?

„To zależy”. „I jak dla kogo” — nienajgłupsze to zwroty w ludzkiej mowie.

Niedziela, Monachium

Knajpa artystyczna *Zum Tröppchen*.

Malarze, muzycy, gęslarze, miejscowa geniuszeria i „ostatni ściek ze zlewu”. (Tym pieszczotliwym epitetem mój przyjaciel obdarza żurnalistów radiowych i telewizyjnych; o filmowcach jest jeszcze gorszego mniemania). Na ścianach dopiero co podpatrzeni w Paryżu abstrakcyjniści. Ale w kuflach nieodmienne od pokoleń piwo „Löwenbräu”. Skrzyżowanie paryskiej bohemy z warszawskim Stammtischem. Pół Pegaza, pół browarniczego perszerona. Gdyby Przybyszewski żył, pewnie by tutaj z kabotyńskim szlochom młócił Chopina na klawikordzie. Tam, w rogu, przed drzwiami z napisem *Herren*, egzotyczny Jewtuszenko w smokingu wyciął kozaka. Dalibóg, historyczne miejsce. Niemcy z podziwem, ale i dość uważnie przyglądają się Słowianom. (*Halbverrückter Mystiker* nazwał Karl von Holtei naszego Pana Adama, zabawiającego dziewczynskie ptactwo domowe w Weimarze wróceniem z pierścionków).

Monachium się zmienia. Idzie Nowe. Od rybo-do cudzołóstwa krok tylko.

— Odkąd włoscy i hiszpańscy robotnicy śpią z naszymi żonami — mruknął kiedyś rozgorączkowany piwosz-autochton w skórzanych portkach — *mir san halt 'ne Weltstadt*. Staliśmy się europejską metropolią!

Wszyscy tutaj są hurra-postępowi, lewicowi, brzydzą się świerzbem nacjonalizmu, militaryzmem, bombą wodorową, podatkiem kościelnym, paragrafami ścigającymi komunizm, przerywaniem ciąży czy homoseksualizmem. No, i ma się rozumieć, jeden pisarz aresztowany w Madrycie bardziej rozżagwia ich emocje niż dwóch pisarzy więzionych na Łubiance. A gdy się tutaj, chyba przez pomyłkę, przyplątał kiedyś major Bundeswehry, tak długo spoglądali nań ironicznym wzrokiem, aż speszony intruz, nie dopiszy swego piwka, z przekleństwem wybiegł na ulicę.

O Polsce wiedzą niejedno. Chętnie przeciwstawiają polską odwilż wschodnio-niemieckim przymrozkom. Gomułka jawi im się na kształt „Jana XXIII demokracji ludowej”. Nie obca im jest problematyka dzisiejszego państwa polskiego. Wiedzą dobrze

w jakim punkcie schodzą się nasze interesy państwowe i narodowe. Nie przypadła im do gustu frywolna wypowiedź Mendego: „Po co rozmawiać z kelnerami w Warszawie, skoro można się porozumieć wprost z właścicielem restauracji w Moskwie?” Podobno więcej jest autentycznych gaullistów w Warszawie niż w Paryżu. Gomułkowców zaś radzę szukać w NRF.

Bywalcy *Zum Tröpfchen* znają prace Kołakowskiego, muzykę Pendereckiego, obrazy Lebensteina, filmy Polańskiego i Lenicy. Ich polonofilstwo jest nie tylko funkcją nieczystego sumienia. Są szczerze niezadowoleni ze swej niemieckiej skóry. Chętnie by z niej wypelzli na szeroki przestwór oceanu. „Baza” też im doskwiera: szeroko rozreklamowany w świecie „cud gospodarczy” w nieporównanie większym stopniu polepszył położenie materialne sprzątaczek niż intelektualistów. Sklepiarki paradują w nurkach, urlopy spędzają w Tunisie. Pracownicy naukowcy z trudem wiążą koniec z końcem.

Cieszę się, że lubią Polaków. Zastanawiam się jednak nieraz, czy ten afekt pro-polski nie przychodzi im za łatwo? Podobnie jak niegdyś afekt anty-polski? Brak mi w tej metamorfozie postulowanej przez Norwida „pracy ducha”.

Z oczu i z uszu nie schodzi mi publiczna dyskusja na uniwersytecie monachijskim. Było to w dwa tygodnie po haniebnym najeździe policji na redakcję opozycyjnego tygodnika „Der Spiegel” w Hamburgu. Przez bite dwie godziny pół tuzi: a mówców piętnowało rządy i Straussa, a sławiło pojmanego Augsteina. Sprawa była pod względem moralnym jasna, racja była po stronie Augsteina, ale w pewnej chwili zaniepokoiło mnie, że w auli wypełnionej po brzegi setkami młodych ludzi ani jeden głos nie wypowiedział się za Straussem. Czy to możliwe, żeby wszyscy bez wyjątku byli tego samego zdania? Czyżby do tej sali zeszli się tylko jego przeciwnicy polityczni? A może zwolennikom Straussa zabrakło odwagi cywilnej? Ta jednomyślność — nawet w słusznej sprawie — wydała mi się zbyt piękna. Przyszła im za łatwo.

Więc siedzimy przy stoliku i rozprawiamy o liście rabina Passawy, zamieszczonym w „Süddeutsche Zeitung”. Myślę, że warto go przytoczyć:

„Jestem Żydem z Litwy. Moja żona wraz z dziećmi zginęła w komorze gazowej w Oświęcimiu. Mój dobytek padł ofiarą grabieży. Zwróciłem się do *Landesentschädigungsausschuss* w sprawie zwrotu skonfiskowanego mienia i symbolicznego odszkodowania za mord, dokonany na moich najbliższych. Otrzymałem odpowiedź odmowną z następującym umotywowaniem: dobytek utracony na Litwie przez nie-Niemca nie podlega w moim przypadku przepisom o odszkodowaniu; śmierci moich dzieci w Oświęcimiu 'nie

uwzględnia się, gdyż były za małe, aby mogły zarabiać na życie; co do śmierci mej żony — strata przeze mnie poniesiona 'wyrównała się', gdyż w r. 1946 ożeniłem się po raz drugi”.

Zdania bywalców *Zum Tröpfchen* są podzielone.

— Niemiecka Republika Demokratyczna w ogóle nie płaci odszkodowań ofiarom Trzeciej Rzeszy! My zaś płacimy miliardy! O tym się nie pamięta! — wzrusza ramionami reżyser teatralny.

— Ja osobiście nie miałem z tym wszystkim nic wspólnego. Urodziłem się w roku kapitulacji Niemiec. Ale proszę bardzo: możecie płacić z moich podatków! — wtrąca kogutek w czarnym swetrze, zdaje się że jest uczniem studium baletowego przy operze.

— Co do motywacji urzędu krajowego: rzeczywiście, zawiera ona sformułowania raczej niefortunne — rzeczy młody liryk. — Ale nie wymagajmy od urzędników wyobraźni moralnej, to nie poeci i nie teologowie. A zresztą takie są przepisy, uchwalone na górze!

— Jak można się domagać pieniędzy za śmierć żony i dzieci? — oburza się jeden z moralistów.

— Jest coś nieetycznego w samym założeniu: kto przeżył, profituje z cudzej ofiary i męki — dorzuca drugi. — Tragifarsę odszkodowań najlepiej charakteryzuje fakt że na każdym banknocie, wręczonym ofierze, figuruje podpis Carla Blessinga, byłego członka „Koła Przyjaciół Heinricha Himmlera”, a obecnego dyrektora *Dr. Carl Blessing, Bundesbank*.

— Załatwienie t a m t y c h spraw, choćby tylko w symbolicznej a więc niedoskonałej formie, winniśmy nie tylko opinii zagranicznej, ale samym sobie — ten naoliwiony baryton należy do komentatora radiowego, stąd ta zawodowa łatwość w wypowiedzeniu okrągłych zdań — Jest to, proszę nie zapominać, zabieg pedagogiczny w wielkim stylu i na dłuższą metę...

— Nie trzecz, wujciu, o „zabieg pedagogiczny na dłuższą metę”! Od kiedy to wychowuje się ludzi przez opodatkowywanie ich na wzniosłe cele? — irytuje się kandydat na bawarskiego Nurejewa. — Wolę już, co prawda, ten cel, niż finansowanie fabrykantów broni, ale zapytuję się: jak długo może naród wytrzymać na ławie oskarżonych? Dwadzieścia lat? Pięćdziesiąt lat?

— Nie przesadzajmy! — przerywa mu miejscowy Picasso. — Alboż to się nam źle powodzi na tej ławie oskarżonych? Znacznie lepiej niż wielu naszym oskarżycielom i ofiarom!

— Dostę już szlachetnych sztuk o Oświęcimiu i getcie! — woła młodzieniec w swetrze. — Dostę już książek i filmów o niemieckich zbrodniarzach wojennych! Wiem, wiem: jesteśmy winni! Ja też jestem współwinny i współodpowiedzialny, cho-

ciaż nie było mnie wtedy na świecie! Ja w tę edukację nie wierzę! A co ważniejsze: je tej edukacji nie chcę! Życie płynie dalej. Ja chcę, ja mam prawo żyć normalnie! Małe jasne!

— Tak czy inaczej, młody człowieku — odzywa się sędziwy autor słuchowisk rocznicowych, dostawca szlachetnej ramoty teatralnej na „Tydzień Braterstwa”; dopiero przed trzema laty wrócił z Golders Green w Londynie na monachijski Schwabing — skrzywdzonemu rabinowi z Passawy należy się odszkodowanie, a biurokratów, którzy napisali nietaktowny list, trzeba wziąć do galopu. *Jawohl*, do galopu!

Starszy pan zaciska siną piąstkę i groźnie bije nią w tekturowe podstawki do piwa. Coś tam jeszcze mówi i tłumaczy, cytując Goethego, cofa się myślą do republiki weimarskiej i Ligi Narodów, ale nikt go już nie słucha. Wyłączamy się: to postrach każdego stolika, nudziarz patentowany.

Takie oto spory i rozmówki toczą się w długie jesienne wieczory w monachijskiej knajpcie „Pod Kropelką”. W tym samym mieście, które pewien psychopata zesłany przez diabła, zamierzał przeznaczyć na stolicę „Tysiącletniej Rzeszy”. Pomyśleć tylko, że tą właśnie ulicą z podniesionym kołnierzem chodził za młodu na samotne wieczorne spacerki.

Wyjrzymy przez szybę, czy we mgle kłębiącej się za rogiem nie czai się przypadkiem jego następca. Diabeł nie śpi.

Tadeusz NOWAKOWSKI

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI

\$ = 72 zł. £ = 201 zł.

PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU P.K.O.



HASKOBA LTD

81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

Tel: FRE. 7883

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

Pchenc

1.

Dziś znowu spotkałem go w pralni. Udał, że mnie nie widzi, że obchodzi go wyłącznie jego brudna bielizna.

Najpierw prześcieradła, które mają tu zastosowanie zgodnie z zasadami higieny. Na jednym brzegu wyszyte jest maleńkimi literkami słowo „nogi”. To zostało wynalezione po to, żeby ostrzec: człowiek nie powinien dotykać wargami zarażonego miejsca, o które jeszcze wczoraj ocierały się jego stopy.

Uważa się, że uderzenie nogą jest o wiele bardziej obraźliwe, niż uderzenie ręką, i to wcale nie dlatego, że noga zadaje większy ból. Widocznie, to rozróżnienie powstało w wyniku niewyżytych uczuć chrześcijańskich. Nogę należy uważać za bardziej grzeszną od reszty ciała z tej prostej racji, że jest bardziej oddalona od niebios. O wiele gorzej traktuje się jedynie organy płciowe i w tym kryje się jakaś tajemnica.

Następnie poszewki z ciemnymi pasmami na środku. Potem — ręczniki, które w odróżnieniu od poszewek najszybciej brudzą się na brzegach, i wreszcie różnokolorowe zawiniątka osobistej bielizny.

Nagle zaczął ciskać to wszystko z taką szybkością, że nie miałem czasu obejrzeć jak należy. Być może, chciał zachować jakiś sekret, albo też, jak inni ludzie, wstydził się demonstracyjnie pokazywać rzeczy, mające bezpośredni kontakt z nogami.

Wydała mi się jednak podejrzana okoliczność, że przyniósł do prania taką brudną bieliznę. Zazwyczaj garbusy dbają o czystość. Obawiają się, że ich ubranie może spowodować pod ich adresem dodatkowy wstąpienie. A ten, wbrew oczekiwaniu, był niechlujny, jak gdyby nie był garbusem.

Nawet kobieta przyjmująca bieliznę, osoba, która przyzwyczaiła się do wszystkiego, której nie zadziwią ślady najbardziej dziwacznych wydzielin, nie wytrzymała i powiedziała do niego całym głosem:

— Cóż to wy, obywatelu, podsuwanie mi pod sam pysk? Jeżeli nie potraficie wręczać bielizny porządnie, to pierzcie sami!

Zapłacił bez jednego słowa i uciekł. Nie poszedłem za nim tylko dlatego, żeby nie zwracać na siebie niczyjej uwagi.

W domu było jak zawsze. Ledwie wszedłem do pokoju, zjawiała się Weronika. Spuściła wzrok i zaproponowała, żebyśmy razem zjedli kolację. Odmawiać tej dziewczynie było mi nieporęczne. Ona jedyna w całym mieszkaniu traktuje mnie w możliwy sposób. Szkoda tylko, że jej uczucie powstało na gruncie seksualnym. Właśnie dziś ostatecznie o tym się przekonałem.

— Jak się miewa Kostrickaja — zapytałem Weronikę, starając się skierować rozmowę w stronę wspólnych wrogów.

— Ach, Andrzeju Kazimierzowiczu, znowu groziła.

— O co chodzi?

— Ciągłe to samo. W łazience paliło się światło i woda na podłodze. Kostrickaja oświadczyła, że poskarży się kierownikowi domu.

Ta wiadomość wytrąciła mnie z równowagi. Jestem z tych, którzy najmniej korzystają z kanalizacji. Do kuchni prawie nie zaglądam. Czy mam prawo do kompensacji: używalność łazienki zamiast kuchni?

— Niech się skarży. — odpowiedziałem opryskliwie. — Ona sama zużywa kilowaty prądu. Jej dzieci stłukły moją butelkę. Niech przyjdzie kierownik domu.

Rozumiałem jednak, że interwencja władzy byłaby dla mnie oczywistym ryzykiem. Po cóż raz jeszcze zwracać na siebie uwagę?

— Andrzeju Kazimierzowiczu — powiedziała Weronika — proszę się uspokoić. Wszystkie nieporozumienia z sąsiadami biorę na siebie. Bardzo was proszę, uspokójcie się.

Wyciągnęła rękę, chcąc dotknąć mego czoła. Zdążyłem uchylić się.

— Ach, nie, jestem zdrow i nie mam gorączki. Lepiej siadajmy do kolacji.

Od jedzenia na stole biła para i wstrętny zapach. Zawsze uderzał mnie sadystyczny charakter sztuki kulinarnej. Jedzą rozbabbrane niedosze kurczęta. Wnętrznosci świni wypełniają jej własnym mięsem. Jajecznica z kielbasą to w gruncie rzeczy kiszka, która połknęła sama siebie, z dodatkiem niedonoszonego kurzego płodu.

Jeszcze gorzej traktują pszenicę: tną, biją, rozcierają na proszek. Czy to nie dlatego między słowami mąka i męka różnica jest tak niewielka?

— Andrzeju Kazimierzowiczu, proszę jeść — namawia Weronika. — Proszę się nie denerwować. Całą odpowiedzialność biorę na siebie.

A żeby tak człowieka spreparować w identyczny sposób? Wziąć jakiegoś inżyniera albo pisarza, nafaszerować go jego własnym mózgiem, podsmażyć i w dziurkę od nosa wetknąć kwiat fiołka — i podać kolegom biurowym do stołu? Tak, męczarnia Chrystusa, Jana Husa czy Stienki Razina to prawdziwy drobiazg w zestawieniu z udręką ryby, wyciągniętej na haczyku z wody. Tamci przynajmniej wiedzieli — za co!

— Powiedźcie, Andrzeju Kazimierzowiczu — zapytała Weronika, wchodząc do pokoju z czajnikiem — odczuwacie waszą samotność?

Kiedy poszła po czajnik, wyrzuciłem jedzenie do gazety.

— Mielicie przyjaciół...

nasypała cukru —

albo dzieci...

jeszcze łyżeczkę cukru —

ukochaną kobietę?

i zaczęła mieszać bez końca.

Było widoczne, że Weronika jest bardzo przejęta.

— Co do przyjaciół — zacząłem ostrożnie — wy mi ich zastępujecie. Jeśli zaś chodzi o kobiety, przecież widzicie: jestem stary i garbaty. Stary i garbaty — powtórzyłem z bezwzględny uporem.

Uczciwie chciałem nie dopuścić do wyznania; po co mi to, skoro i tak życie jest ciężkie? Czyż warto psuć nasz wojenny sojusz przeciw złym sąsiadom, wzbudzać zainteresowanie panny, która nie znalazła dotychczas żadnego zastosowania?

Żeby uniknąć nieszczęścia, gotów byłem udawać alkoholika. Albo przestępcę. A może lepiej wariata, czy w ostateczności — pederastę? Ale lękałem się: każda z tych cech mogła dodać mojej osobie niebezpiecznego, intrygującego blasku.

Pozostawało mi tylko uwydatniać mój garb, wzrost i nędzny zarobek, skromny zawód księgowego, pochłaniający mnóstwo czasu, i dodawać, że takiemu jak ja garbusowi należy się odpowiednia garbuska, zaś normalnej, pięknej kobiecie potrzebny jest symetryczny mężczyzna.

— O, nie! — zdecydowała Weronika. — Jesteście zbyt szlachetni. Uważacie siebie za kalekę i obawiacie się, że będziecie ciężarem. Pomyślcie jednak, że to nie żadna litość z mojej strony. Po prostu lubię kaktusy, a wy jesteście podobni do kaktusa. Ileż się ich rozplodziło na parapecie waszego okna!

Jej gorące palce dotknęły mojej ręki. Rzuciłem się, jak gdyby mnie oparzano.

— Jesteście zmarznięci, chorzy? — współczująco zapytywała Weronika, wprawiona w zdumienie temperaturą mego ciała.

Tego już było zawiele. Oświadczyłem, że mam migrenę i prosiłem, żeby mnie zostawiła w spokoju.

— Do jutra — powiedziała Weronika i, jak mała dziewczynka, pomachała rączką. — A jutro подарujecie mi kaktusa. Koniecznie.

Ta łagodna dziewczyna mówiła do mnie tonem głównego buchaltera. Wyznała swoją miłość i teraz żądała rekompensanty.

Gdzieś czytałem, że zakochane osoby stają się podobne do pokornych niewolników. To zupełna nieprawda. Niech tylko człowiek pokocha, a natychmiast czuje się władcą, mającym prawo rozporządzać losem tych, którzy kochają go w niedostatecznym stopniu. Jakże bardzo bym pragnął, żeby nikt mnie nie kochał!

Kiedy zostałem sam, zabrałem się do polewania kaktusów. Powolutku karmiłem z emaliowanego kubka te moje garbate dziatki i odpoczywałem.

O drugiej w nocy, wycieńczony z głodu, przekradłem się na palcach przez mroczny korytarz do łazienki. I tam dopiero zjadłem taką kolację!

To ciężka sprawa, gdy trzeba jeść tylko jeden raz na dobę.

2.

Od owego wieczora minęły dwa tygodnie. Weronika oświadczyła mi, że zaleca się do niej pewien podporucznik i aktor z teatru Stanisławskiego. I mimo to wolała mnie. Groziła, że ostrzyże się do skóry, abym więcej nie mógł mówić o jej urodzie, że szkoda nią obdarowywać starego pokrakę. Wreszcie wpadła na pomysł, żeby mnie szpiegować, i czyhała na mnie po drodze do łazienki.

— Schludność jest ozdobą garbusów — taka była moja stereotypowa odpowiedź na jej zapytania, czemu kąpię się tak często.

Na wszelki wypadek zacząłem przesłaniać dyktą matową szybkę, oddzielającą łazienkę od ustępu. Przed rozebraniem się zawsze sprawdzałem, czy drzwi są dobrze zamknięte. Było mi nieswojo na myśl, że ktoś mnie obserwuje.

Wczoraj rano zastukałem do jej pokoju, żeby nabrać atramentu do wiecznego pióra i wpisać kilka słów do nieregularnie prowadzonego dziennika. Weronika jeszcze nie wstała, i leżąc w łóżku, czytała „Czterech muszkieterów”.

— Spóźnicie się na wykład — powiedziałem, grzecznie ją pozdrawiając.

Zamknęła książkę i powiedziała:

— Czy wiecie, że wszyscy w tym mieszkaniu uważają mnie za waszą kochankę?

Nie odpowiedziałem, a wówczas stało się coś strasznego. Weronika odrzuciła kołdrę i z błyskiem w oczach gniewnie wpatrzyła się we mnie całym swoim nieokrytym ciałem.

— Spójrzcie no, Andrzej Kazimierzowicz, coście odrzucili!

Przed piętnastu laty natknąłem się na podręcznik anatomii. Pragnąc poznać istotę rzeczy, uważnie przestudiowałem wszystkie obrazki i wykresy. Następnie, w Parku Kultury i Odpoczynku imienia Gorkiego miałem możność obserwować chłopaków kąpiących się w rzece. Ale żeby oglądać rozebraną kobietę, i przy tym z tak bliskiej odległości, to mi się przedtem nie zdarzyło.

Powtarzam — to było okropne. Okazało się, że cała jest tegoż nienaturalnie białego koloru jak jej szyja, twarz i ręce. Z przodu kołysały się dwie białe piersi. Początkowo wziąłem je za drugą parę rąk, amputowanych powyżej łokcia. Ale każda kończyła się okrągłą przyssawką, podobną do guzika od dzwonka.

A dalej — aż do nóg — całe wolne miejsce zajmował brzuch podobny do balonu. To tu gromadzi się w jedną kupę jedzenie przełknięte w ciągu dnia. Dolna część porośnięta kędzierzawymi włosami, jak gdyby to była głowa.

Od dawna niepokoiło mnie zagadnienie płci, grające pierwszorzędą rolę w ich umysłowym i moralnym życiu. Zapewne dla bezpieczeństwa, od najdawniejszych czasów otula je zasłona nieprzeniknionej tajemnicy. Nawet podręcznik anatomii nic na ten temat nie mówi, albo też mówi mgliście i mimochodem, żeby się nikt nie domyślił.

A teraz, gdy już pokonałem zmieszanie, postanowiłem wykorzystać tę chwilę i zajrzeć tam, gdzie — jak napisano w podręczniku — znajduje się aparat rozrodczy, który wystrzeliwuje gotowe niemowlęta, niczym katapulta.

Przelotnie dojrzałem tam coś podobnego do ludzkiej twarzy. Ale wydało mi się, że to nie kobieca, lecz męska twarz, dość podstarzała, nieogolona, z wyszczerzonymi zębami.

Głodny, zły mężczyzna mieszkał między jej nogami. Prawdopodobnie, po nocach chrapał i z nudów mówił sprosne rzeczy. Widocznie właśnie z tego wywodzi się dwulicowość kobiecego charakteru, o której tak celnie powiedział poeta Lermontow: „Piękna jak anioł niebiański, jak szatan zdradziecka i zła”.

Zanim zdołałem zorientować się dokładnie, Weronika nagle zadygotała i powiedziała:

— No i co?!

Zamykała oczy, otwierała usta, przypominając rybę, wyciągniętą z wody. Rzucała się na łóżku — wielka, biała ryba — bezradnie i bezskutecznie, a na jej ciele wyskakiwały w międzyczasie błękitne pępuszki.

— Proszę mi wybaczyć, Weroniko Grigorjewno — powiedziałem bojaźliwie. — Wybaczone — powiedziałem. — Na mnie czas do biura.

Oddaliłem się, starając się nie tupać i nie oglądać się za siebie.

Na ulicy padał deszcz, ale nie śpieszyłem się: w naszej instytucji odbywało się tego dnia sprzątanie. Wolny od Weroniki pod pretekstem państwowych obowiązków (preleminarze, nikotyna, naczelną księgową Zykow, zwariowane maszyny — za to wszystko 650 rubli miesięcznie), mogłem pozwolić sobie na taki luksus, jak spacer na świeżym powietrzu przy deszczowej pogodzie.

Wybrałem dziurawą rynną i stanąłem pod strugą wody. Ciekła prosto za kołnierz — chłodna i smaczna — i po jakichś trzech minutach byłem już całkowicie mokry. Idący pośpiesznie przechodnie, wszyscy pod parasolami i uzbrojeni w porowate zelówki, przyglądali mi się spode łba, zaintrygowani moim postępowaniem. Trzeba było zmienić taktykę i zacząć spacerować po kaulach. Moje buciki doskonale przemakały. Przynajmniej od dołu doznawałem przyjemności.

— Ach, Weronika, Weronika — powtarzałem w oburzeniu. — Czemu jesteście taka okrutna, po coście mnie pokochali? Dlaczego nie opanował was wstyd na widok zewnętrznego wyglądu, czemu zachowaliście się tak otwarcie, tak bezlitośnie?

Przecież wstyd jest podstawową zaletą człowieka. To niewyraźny domysł dotyczący własnej niedoskonałej powierzchowności, instynktowny lęk przed tym, co schowane pod suknem. Tylko wstyd i jeszcze raz wstyd jest w stanie jako tako ludzi uszlachetnić i uczynić ich, jeśli już nie piękniejszymi, to przynajmniej bardziej skromnymi.

Naturalnie, skoro już tu trafiłem, musiałem iść za ogólną modą. Przestrzegaj praw kraju, w którym wypadło ci mieszkać. Do tego dochodził nieustanny strach, że mnie przylapią, i kazał wciągać na ciało te wszystkie maskaradowe gałgany.

Ale gdybym znalazł się w ich sytuacji, nie wyłaziłbym ani dniem ani nocą, już nie tylko z ubrania, z futra bym nie wyłaził. Kazałbym zrobić sobie plastyczną operację, żeby skrócić nogi i przynajmniej jakiś garb na plecach. Tutejsze garbusy wyglądają jednak bardziej przyzwoicie, niż cała reszta, chociaż także są potworami.

W smutnym nastroju udałem się na ulicę Hercena. Naprzeciw konserwatorium, w półpiwnicy mieszkał w wynajętym pokoju ten sam garbus. Już od półtora miesiąca miałem go na oku

— pełen gracji, powyginany, nie podobny do człowieka i jakoś przypominający mi moją niepowrotną młodość.

Trzy razy pod rząd widziałem go w pralni i tylko jeden raz w sklepie z kwiatami, przy kupowaniu kaktusa. Gdy pokazywał kwit na bieliznę, udało mi się dowiedzieć jego adresu.

Przyszła już czas postawić kropkę nad i.

Wmawiałem w siebie, że to niemożliwe, że wszyscy zginęli, a tylko ja jeden ocalałem niczym Robinzon Cruzoe. Przecież to ja sam, własnymi rękami zlikwidowałem wszystko, co zostało po katastrofie, i oprócz mnie innych tu nie ma.

A jeżeli go wysłano moim śladem? Ukrywa się, udaje garbatego... Zainteresowali się! Połapali się, poszukują!

Skąd mogą wiedzieć? Po trzydziestu dwóch latach? Nie ważne, że według miejscowego czasu. Żywy i zdrowy. To nie przelewki!

Ale dlaczego akurat tu? Coś takiego. Nikt się nie wybierał. Zupełnie z innej strony. Tak się nie zdarza. Zmylili drogę. Gdzie pieprz rośnie. Siódma i pół. No i wpadli.

A jeżeli to przypadek? Taki sam lapsus jak tamten. Odchylenie od wytyczonej drogi i zimowego rozkładu. Pierwsze lepsze, co się trafiło. Zdarzają się przecież zbiegi okoliczności. Kropla w kropkę. Gdzie noga nie stawała. Czy to się nie zdarza? Udaje garbatego. Taki sam. Żebyż chociaż jeden taki sam!

Drzwi otworzyła jakaś pani podobna do Kostrickiej. Ale ta jego Kostrickaja była starsza i grubsza. Szedł od niej dziesięciokrotnie wzmocniony zapach bzu. To były perfumy.

— Leopold zaraz wróci. Proszę bardzo, proszę wejść.

W głębi korytarza szczekał niewidoczny pies. Rzucić się na mnie nie śmiał, ale ja już miałem nieprzyjemne zajścia z tym rodzajem zwierząt.

— Ależ bez obawy! Ten pies nie gryzie. Niksa, kusz, *silans!*

Podczas gdyśmy się uprzejmie spierali, zaś zwierzę wściekało się coraz bardziej, z bocznych drzwi wyrzuciły trzy głowy. Przyglądały mi się z zainteresowaniem i wymyślały pod adresem psa. Wynikł z tego straszliwy harmider.

W pokoju, do którego przedostałem się z niemałym ryzykiem, znajdował się jedynie mały dzieciak, uzbrojony w szablę. Na nasz widok zażądał żurawin z cukrem i uderzył w głośny ryk, strojąc miny i wierząc zadkiem.

— Łasuch. Wrodził się we mnie — wyjaśniła Kostrickaja.

— Nie mazgaj się, bo wujaszek cię zje.

Żeby zrobić gospodyni przyjemność, powiedziałem żartobliwie, że zamiast zupy lubię podgrzaną dziecięcą krew. Dzieciak natychmiast uciął, rzucił szablę i schował się do najdalszego

kąta, nie odrywając ode mnie oczu, wypełnionych zwierzęcym strachem.

— Podobny do Leopolda, prawda? — powiedziała Kostricka niby to bez żadnej intencji, ale z ochrypniętą czułością w głosie.

Udałem, że przyjmuję jej aluzje za dobrą monetę.

Stęchłe powietrze, zmieszane z oparami bzu, przyprowadziło mnie o zawrót głowy. Skóra, rozdrażniona zapachem perfum, zaogniła się w kilku miejscach. Obawiałem się, że na twarzy zaraz wystąpią zielone plamy.

W korytarzu złośliwa Niksa drapała parkiet pazurami i wachała moje ślady, głośno parszcząc nozdrzami. Podniecone lokatorki porozumiewały się między sobą szeptem, nie podejrzewając, że posiadam niezmiernie zastrzony słuch.

— Widocznie, brat Leopolda Siergiejewicza...

— Skądże znowu, nasz garbusek przy tym to kubek w kubek sam Puszkin.

— Nie dopuść Panie Boże, jeszcze się taki w nocy gotów przyśnić...

— Na takiego nawet patrzeć nieprzyjemnie...

Wszystko to urwało się wraz z przyjściem Leopolda. Pamiętam, spodobało mi się, że — prosto z mostu — zagrał swoją rolę, klasyczną rolę garbatego, który w obecności innych osób spotkał podobne do siebie monstrum.

— A, współnik w nieszczęściu! Z kim mam zaszczyt? Cemu zawdzięczam?

Była to imitacja najcieniej utkanej psychologicznej pajęczyny — duma, broniąca się szyderstwem, i wstyd, ukryty pod wygłupem. Siadał na krześle, jak jeździec, okracając, wskakiwał, znowu siadał zadem do przodu, kładł głowę na oparciu krzesła, stroił dzikie miny i bez przerwy poruszał ramionami, jak gdyby macał garb, który sterczał nad nim, jak wypchany plecak.

— Tak, tak, a więc Andrzej Kazimierzowicz. A ja znowu, choć to brzmi śmiesznie, nazywam się Leopold Siergiejewicz. Jak widzicie, imię także nieco garbate.

Zachwycała mnie ta zabawa i ta przesada, ta sztuka tym bardziej wyglądająca na prawdziwą, im więcej było w niej nonsensu, i zdawałem sobie z łagodnym smutkiem sprawę z jego życiowej przewagi i własnej nieumiejętności, podobnego przystosowania się do jedynego możliwego dla nas kształtu na ziemi — kształtu garbatych potworów i dotkniętych na ambicji zarozumiałców.

Ale interes interesem i dałem do zrozumienia, że pragnę z nim rozmawiać po-uf-nie.

— Nic łatwiejszego jak wyjść — powiedziała Kostricka ob-

rażonym tonem i wyszła, ogarnawszy mnie na pożegnanie swoim palącym aromatem.

Żeby się zemścić, pomyślałem, że jest przeżarta tym zapachem aż do samego stosu pacierzowego. Nawet jej ekskrementy śmierdzą perfumą, a nie ugotowanymi ziemniakami i zaciszem domowego ogniska, jak to się zdarza zazwyczaj. A zamiast moczu wydziela czystą wodę kolońską, więc w takich warunkach biedny Leopold zwiędnie w niedługim czasie.

— Wy także przybyliście stamtąd? — zagadnąłem go wprost, kiedy zostaliśmy sami, a tylko zdrętwiały dzieciak siedział w odalonym kącie, a jego tępy, pytający wzrok wyrażał przerażenie.

— Skąd — stamtąd? — uchylił się od odpowiedzi.

Z chwilą, gdy gospodyni wyszła, całą jego sztuczną wesołość jakby ręką odjął. Znikła błazeńska ambicja, tak typowa dla większości garbusów, którzy są dostateczni rozsądni, żeby chować plecy, i dostatecznie dumni, żeby nie cierpieć z tego powodu. Ale wydało mi się, że jeszcze nie przyszedł do siebie i zmęczony, prawem bezwładności w dalszym ciągu udaje nie tego, kim jest naprawdę.

— Dajcie spokój! Dość tego! — poznałem was od pierwszego spojrzenia. Obaj jesteście z tych samych stron. Można powiedzieć, z tej samej rodziny. Pchenc! Pchenc! — przypominałem mu szeptem świętą dla nas obojga nazwę.

— Coście powiedzieli? — A wiecie, mnie się także wydało, że skądś was znam. Gdzie też mogłem was widzieć?

Pocierał czoło, marszczył się, wykrzywił usta. Jego twarz była ruchliwa, jak u człowieka i znowu pozazdrościłem mu zadziwiającej techniki treningu, mimo że jego ostrożne zachowanie się zaczynało mnie drażnić.

— Ba! — zawołał, nie przestając udawać głupiego. — Może pracowaliście w Głównym Biurowym? Dyrektorem tam był w 1944 Jakub Salomonowicz Zak. Bardzo sympatyczny Żydek...

— Żadnego Zaka nie znam — odpowiedziałem oschle. — Natomiast wiem dobrze, że wy, Leopoldzie Siergiejewiczu, wcale nie jesteście Leopoldem Siergiejewiczem i w ogóle nie jesteście garbaty, chociaż wszędzie wpychacie swój garb. I cały jesteście pokrzywiony. Ostatecznie ryzykuję nie mniej niż wy.

Dosłownie jakby w niego diabeł wstąpił.

— Jak śmiecie — powiada — wtrącać się do tego, kim jestem? Psuć moje stosunki z gospodynią i jeszcze ubliżać? Najpierw znajdźcie — powiada — taką rozkoszną kobietę, a potem rozprawiajcie o moim fizycznym braku. Jesteście bardziej garbaty niż ja! Słyszycie? I bardziej nikczemny. Potwór! Garbus! Nieszczęsny kaleka!

Nagle roześmiał się i trzepnął się dłonią w ciemność.

— Przypomniałem sobie! Widziałem was w pralni. Jesteśmy do siebie tylko tym podobni, że oddajemy bieliznę do prania w tym samym miejscu.

Tym razem uwierzyłem w jego szczerość. Tak, on naprawdę sądził że jest Leopoldem Siergiejewiczem. Znadto przejął się odgrywaną rolą, zdziżał, ucłowieczył się, znadto upodobił się do otoczenia i poddał się obcym wpływom. Zapomniał kim był, zdradził daleką ojczyznę i, jeżeli mu nie przyjdzie z pomocą, to raz-dwa zginie.

Chwyciłem go za ramiona i ostrożnie potrząsałem. Trząsałem nim i namawiałem po przyjacielsku, po dobremu, żeby sobie przypominał, żeby zrobił wysiłek i przypomniał, żeby wrócił do samego siebie. Po co mu ta Kostrickaja, wydzielająca taki jadowny zapach? Nawet wśród ludzi spółkowanie z bydlętami nie cieszy się poważaniem. Tym bardziej zdrada ojczyzny, mimo że to nie ze złej woli, tylko przez zwyczajny brak pamięci...

— PCHENC! PCHENC! — powtarzałem raz po raz i inne słowa, które jeszcze pamiętałem.

I nagle przez jego marynarkę z bostonu doszło do mnie — nie wiadomo skąd i jak — ciepło. Coraz gorętsze robiły się jego ramiona, równie gorące jak ręce Weroniki, jak tysiące innych gorących rąk, których przy powitaniu wołałem nie dotykać dłonią.

— Przepraszam — powiedziałem i rozwarłem palce. — Zda się, że jestem w błędzie. Przykre nieporozumienie. Widzicie — nie wiem, jak to wam wyjaśnić — czasem dostaję nerwowych napadów...

W tejże chwili usłyszałem łoskot i obejrzałem się. Z tyłu, w przyzwoitej odległości podskakiwał dzieciak, wygłaszając mi szablą.

— Puść Leopolda! — krzyczał mały. — E, ty! Puść Leopolda! To mój tatuś, to mój Leopold, a nie twój!

Nie mogło być żadnych wątpliwości. Pomyliłem się. To był człowiek, jak najbardziej normalny człowiek, mimo że garbaty.

3.

Z każdym dniem czuję się coraz gorzej. Przyszła zima, najchłodniejsza pora roku w tej części świata. W ogóle nie wyłażę z domu.

A jednak nie mam prawa skarżyć się. Po listopadowych obchodach poszedłem na emeryturę. Niby niewiele, ale spokojniej. W przeciwnym razie cóżbym zrobił podczas ostatniej choroby? Chodzić do biura nie mógłbym z braku sił, a brać świadectwo

— kłopotliwe i niebezpieczne. Nie będę przecież na stare lata poddawać się lekarskiemu badaniu! To byłaby moja zguba.

Niekiedy zadaję sobie takie zdradzieckie pytanie: a ostatecznie dlaczego nie zalegalizować swojej sytuacji? Po co przez trzydzieści lat udawałem kogo innego, niczym zbrodniarz? Andrzej Kazimierzowicz Suszyński. Pół-Polak, pół-Rosjanin, 61 lat. Inwalida. Bezpartyjny. Kawaler. Nie ma krewnych ani dzieci. Za granicą nigdy nie przebywał. Urodził się w Irkucku. Ojciec — drobny urzędnik. Matka — gospodarzyła w domu. Umarli na cholerę w 1901 roku. To wszystko!

A gdyby tak pójść na milicję, przeprosić, opowiedzieć porządek, po prostu, wyjaśnić?

Powiedzieć — tak i tak. Sami widzicie — istota z innego świata. Nie z Afryki i nie z Indii, a nawet nie z Marsa czy jakiegś tam innej waszej Wenus, lecz z o wiele dalszych, bardziej niedostępnych stron. Wy nawet nazwy na to nie macie, a nawet ja sam — wyłóżcie przede mną wszystkie istniejące mapy i spisy konstelacji — nie znajdę, słowo honoru, nie znajdę, nie powiem gdzie się zagubiła ta wspaniała planeta, z której pochodzę.

Po pierwsze, nie jestem specjalistą w astronomicznej materii. Jechałem, dopóki wieźli. Po drugie, obraz zupełnie inny i poznać mego ojczystego nieba według waszych map i papierzków nie potrafię. Oto choćby teraz — wyjdę w nocy na ulicę, podniosę głowę i widzę: znowu nie to! Dokąd, gdzie kierować swoją tęsknotę, też nie wiadomo. Może stąd nie widać nie tylko mojej ziemi, ale nawet mojego słońca. Może znajduje się po tamtej stronie Galaktyki. Nic tu nie wykombinujesz!

Proszę nie myśleć, że przybyłem tu w jakimś ubocznym celu. Przesiedlanie narodów, walka światów, piąte przez dziesiąte. W ogóle nie jestem ani uczony, ani wojskowy, ani podróżnik, mój zawód — buchalteria, rozumiem się tutejsza, o tamtej, dawnej lepiej nie wspominać i — tak nikt nie zrozumie.

Wcale nie wybieraliśmy się w żaden przestrzenny lot, a po prostu jechaliśmy, że wyrażę się prymitywnie, na wywczasy. A w drodze wydarzenie, no, powiedzmy, meteoryt, bo każdy wie, o co chodzi, no, więc spadamy, pozbawieni pomocy, nie wiadomo dokąd, spadamy w ciągu siedmiu i pół miesięcy — ale nie waszych, tylko naszych miesięcy — i trafiamy tutaj na mocy zwykłego przypadku.

Odzyskałem przytomność, patrzę — moi towarzysze podróży zginęli. Pochowałem ich, jak należy, i zacząłem dostosowywać się.

A dokoła — wszystko egzotyczne, niezrozumiałe. Na niebie płonie księżyc, ogromny, żółty, ale za to tylko jeden. Powietrze nie takie, światło nie takie, ciśnienie znowu, ciśnienie, także nie bardzo odpowiada. Cóż tam mówić! Jakaś elementarna choinka to

w mojej nietutejszej percepcji całkiem to samo, co dla was jeżozwierz.

Gdzie się podział? Trzeba jeść i pić. Pewnie — nie jestem człowiekiem, ani zwierzęciem, ze wszystkiego, co tu posiadacie, najchętniej wybrałbym roślinność, ale posiadam jednak pewne podstawowe potrzeby. Przede wszystkim potrzebuję wody z braku innego płynu, i jeśli to możliwe, określonej temperatury — i jeszcze żeby do wody, od czasu do czasu, dodawać brakujące sole. A przy tym czuję, że stopniowo robi się coraz chłodniej. Sami wiecie jakie są mrozy na Syberii.

Cóż było robić, musiałem wynieść się z lasu. Ludziom to ja już z krzaków przez kilka dni się przyglądałem. Od razu zdałem sobie sprawę, że to rozumne stworzenia, chociaż w pierwszej chwili bałem się, że mnie zjedzą. Obwiesiłem się jakimiś gałganami (to wtedy popełniłem pierwszą kradzież, wybaczną w zaistniałej sytuacji) i wyłażę z tych krzaczków z przyjemnym wyrazem twarzy.

Jakuci — to naród gościnny i łatwowierny. Od nich przejąłem najprostsze ludzkie nawyki, a potem przeniósłem się do bardziej cywilizowanych stron. Nauczyłem się języka, opanowałem nauki, wykładałem arytmetykę w średniej szkole miasta Irkucka. Przez jakiś czas na Krymie zamieszkiwałem, ale wkrótce wyjechałem stamtąd z klimatycznych powodów: w lecie zanadto przypieka, a w zimie niedość, i tak czy owak potrzebne jest mieszkanie z centralnym ogrzewaniem. Tego rodzaju wygody zdarzały się tam w dwudziestych latach rzadko, no, i nie na moją kieszeń. Tak oto osiadłem w Moskwie... I żyje się...

Komu bym nie opowiedział tę smutną historię, choćby w najbardziej popularnej formie, przecież nie uwierzą, za nic w świecie nie uwierzą. Żeby przynajmniej w miarę rozwoju opowiadania potrafił płakać, ale nie, śmiać się jako tako nauczyłem się, a płakać — ani rusz, nie umiem. Uznają za szaleńca, fantastę, a nawet mogą pociągnąć do sądowej odpowiedzialności: paszport fałszywy, podrobione podpisy i pieczęcie i inne tego rodzaju czyny przeciw prawu.

A jeżeli nawet — wbrew zdrowemu sensowi — uwierzą, będzie jeszcze gorzej.

Zjadają się z najdalszych stron akademicy ze wszystkich akademii: astronomowie, agronomowie, fizycy, ekonomiści, geolodzy, filolodzy, psychologowie, biolodzy, mikrobiolodzy, chemicy i biochemicy, zbadają aż do najmniejszej plamki, niczego nie zapomną. I nic tylko pytają, badają, oglądają, wydobywają.

Dysertacje, filmy i poematy o mnie rozejdą się w milionowych nakładach. Panie zaczną malować usta zieloną szminką i zamać kapelusiki w kształcie kaktusa, czy choćby tylko fikusa.

I wszyscy garbaci — przez kilka lat — będą cieszyć się u kobiet nadzwyczajnym powodzeniem.

Imieniem mojej ojczyzny nazwę samochodowe marki, a moim imieniem setki nowonarodzonych niemowląt, nie mówiąc już o ulicach i psach. Stanę się znany, jak Lew Tołstoj, jak Guliwer i Herkules. Jak Galileo Galileusz.

Lecz pomimo tej powszechnej uwagi dla mojej skromnej osoby, nikt nic nie zrozumie. Jakże mają mnie zrozumieć, jeżeli ja sam w ich mowie w żaden sposób nie mogę wyrazić mojej ludzkiej istoty. Ciągłe tylko kręcę się dokoła sedna i wykręcam się przy pomocy metafor, a gdy dojdzie do najważniejszego — zamilkam. Tylko widzę tęgie, niskie — GOGRY, słyszę szybkie — WZGLAGU i mój cień olśniewa niewypowiedziane piękne PCHENC. Przy pomocy dźwięków ludzkiej mowy można oddać ich konstrukcję jedynie w przybliżeniu. A jeżeli obstąpią mnie lingwiści i zapytają, co to takiego, powiem tylko GOGRY TU-ZEROSKIP i rozłożę ręce.

Nie, to już lepiej będę wegetować, nie porzucając mego samotnego incognito. Skoro już taki jesteś specjalny, to żyj niepostrzeżenie. I umieraj także niepostrzeżenie.

Kto wie, kiedy umrę — a umrę niedługo — włożą mnie do wielkiego szklanego słoja ze spirytusem i wystawią na widok w muzeum zoologicznym. Będą przechodzić szeregami, wstrząsając się ze strachu, i, żeby dodać sobie otuchy, będą śmiać się impertynencko, wydymając wargi z obrzydzeniem: „Ach, jakie nie-normalne, jaki nieładny pokurcz!”

Nie jestem żaden pokurcz! Jeżeli ktoś jest inny, to zaraz wymyśli? Nie ma co własną pokracczością mierzyć mojej urody. Jestem od was bardziej normalny i piękniejszy. Ilekroć spojrzę na siebie, przekonuję się o tym dowodnie.

Zanim się rozchorowałem, popsuła się wanna. Dowiedziałem się o tym nieszczęściu późnym wieczorem i zrozumiałem, że to Kostrickaja, żeby mi dokuczyć. Nie mogłem oczekiwać pomocy od biednej Weroniki. Obrząziła się na mnie po tamtym incydencie, gdy mi ofiarowała to, co — z ludzkiego punktu widzenia — miała najcenniejszego, a ja, zamiast skorzystać, poszedłem na spacer.

Teraz przez cienką ścianę dochodzą do mnie nieraz odgłosy jej pocałunków z pewnym aktorem z teatru Stanisławskiego, za którego wyszła za mąż. Szczerze się ucieszyłem i nawet anonimowo posłałem na wesele tort za 16 rubli, z jej inicjałami i monogramami z czekolady.

Ale byłem nieprawdopodobnie głodny, zaś Kostrickaja uszkodziła wannę, żeby mnie zgubić. W otwór, z którego płynie woda, wbito drewniany czop, w oczekiwaniu na reparację — i wody

nie było. Teraz, gdy wszyscy poszli spać i z piętér nade mną i pode mną, i z bocznych mieszkań dobiegało miarowe chrapanie, z gwoźdźcia w ustępie zdjąłem nieckę Weroniki, wiszącą pośród innych sąsiedzkich niecek. Huczało jak grzmot, kiedy ją ciągnąłem przez korytarz, a na dolnym piętrze, pod podłogą, ktoś przestał chrapać. Ale doprowadziłem rzecz do końca, w kuchni zago-towałem wodę w czajniku, wypełniłem wiadro zimną wodą, zaniósłem do mego pokoju i zamknąłem się na zasuwkę. W otwór zamku wsadziłem klucz.

Jak przyjemnie zrzucić ubranie, zdjąć perukę, oderwać muszle z prawdziwej gumy, imitujące uszy, i odpiąć rzemienie ściągające piersi i plecy. Moje ciało otworzyło się niczym palma, przeniesiona ze sklepu w zwiniętym kształcie. Wszystkie członki, obrzękłe w ciągu dnia, ożywiły się i zaczęły działać normalnie.

Ustawiłem się w niecce, jedną ręką chwyciłem gąbkę, żeby rozprowadzić wodę na wszystkie suche miejsca, w drugiej ręce — czajnik. Trzecia ręka trzymała kubek z zimną wodą i po dodaniu ukropu pozostała czwartą ręką sprawdziłem, czy woda nie jest zbyt gorąca. To jest dopiero wygoda!

Skóra sprawnie wsysała drogocenny płyn, lejący się na mnie z wysoko podniesionego emaliowanego kubka, i po nasyceniu pierwszego głodu postanowiłem obejrzeć siebie uważniej, żeby zmyć niezdrowy śluz, który wystąpił z porów i zastygł tu i ówdzie skrzepami liliowej barwy. Co prawda, moje oczy na rękach i nogach, na ciemieniu i na potylicy zaczynały wyraźnie słabnąć, przesłonięte w dzień szorstkim odzieniem i sztuczną fryzurą. Jedno oko oślepiło jeszcze w 34-ym roku, przytarte prawym buci-kiem. Trudno było przeprowadzić przegląd z właściwą skrupulat-nością.

Kręciłem głową, nie skrępowany granicami półkola — nędzną normą stu osiemdziesięciu stopni, wyznaczoną ludzkiej szyi — mrugałem wszystkimi oczami, które się uratowały, rozpraszając znużenie i mrok, i udało mi się obejrzeć siebie ze wszystkich stron, od razu z kilku kierunków. To naprawdę porwijące wido-wisko, niestety, dostępne dla mnie wyłącznie w niezbyt częstych nocnych godzinach. Wystarczy wznieść rękę i widzisz siebie spod sufitu, wywyższony i poniekąd zwisający nad samym sobą. A w tymże czasie pozostałe oczy nie tracą z widoku dolnej, tylnej i przedniej części, i widzisz jednocześnie całe swoje rozgałęzione, szeroko rozrzucone ciało.

Być może, gdybym nie znajdował się na obczyźnie od trzydziestu dwu lat, nawet do głowy by mi nie przyszło, żeby zachwycać się własną powierzchownością. Ale tutaj jestem jedynym wzorcem tego utraconego, harmonijnego piękna, jakie stanowi moja ojczyzna. Cóż mam czynić innego na tej ziemi, jeżeli

nie zachwycać się sobą? To nic, że moja tylna ręka wykrzywiła się na skutek konieczności stałego udawaniu ludzkiego garbu! To nic, że u mojej przedniej ręki, pokaleczonej rzemieniami, uschły już dwa palce, że moje stare ciało utraciło dawną sprężystość. I tak jestem piękny, proporcjonalny, wytworny! — wbrew twierdzeniom wszystkich zazdrośników i zawodowych krytyków.

Tak właśnie rozumowałem, polewając się z kubka, tej nocy, gdy Kostrickaja postanowiła mnie zabić za pośrednictwem zepsutej wanny. Rankiem zachorowałem, prawdopodobnie zaziębiłem się w tej niecce, i zaczął się najcięższy okres w moim życiu.

Przez półtora tygodnia leżałem na twardym tapczanie i czu-łem, że usycham. Nie miałem siły, żeby pójść do kuchni po wodę. Mocno ściągnięte w kształt przypominający człowieka, moje ciało obrzękło i zamarło. Zeschnięta skóra popękała. Nie byłem w stanie podnieść się i osłabić pęta, tnące jak gdyby były z drutu.

Tak minęło półtora tygodnia i nikt do mnie nie zaglądał.

Wyobrażałem sobie jak po mojej śmierci uradowani sąsiedzi zadzwonią do polikliniki. Dzielnicowy lekarz przyjdzie skonsta-tować zgon, nachyli się nad tapczanem, rozetnie chirurgicznymi nożyczkami ubranie, bandażę i rzemienie, odskoczy w przeraże-niu od tapczanu i wyda polecenie by jak najszybciej dostarczyć mego trupa do najlepszego, największego prosektorium.

Oto już widzę skój ze spiritusem, palącym jak perfumy Kostric-kiej. Oto mnie, potwora, największego potwora na ziemi, zanur-zają w wannie z trucizną, w szklanym grobowcu, w historii, ku zbudowania potomstwa — na wieczne czasy!

Wtedy to zacząłem jęczeć, początkowo cicho, potem coraz głośniejsz, w nieuniknionej i zniechęcającej ludzkiej mowie. „Ma-mo, mamó, mamó” — jęczałem, naśladując intonację płaczą-cego dziecka, licząc, że wzbudzę litość w kimś, kto mnie usły-szy. Przyzywając na pomoc przez całe dwie godziny, złożyłem przysięgę, że jeżeli wyżyję, utrzymam tajemnicę aż do końca, nie wydam w ręce wrogów, na rozzdarcie i naigrzanie, mego urodzi-wego ciała — ostatniego skrawka mojej ojczyzny.

Weszła Weronika. Wyraźnie schudła, jej spojrzenie, wolne już od miłości i urazy, było jasne i obojętne.

— Wody — zajęczałem ochryple.

— Jeżeli jesteście chorzy — powiedziała Weronika — to po-winniście rozebrać się i zmierzyć gorączkę. Zawołam lekarza. Postawią wam bańki.

Lekarz! Bańki! Rozebrać się! Tylko brakowało, żeby dotknę-ła mego czoła, chłodnego jak powietrze w pokoju, i rozpalonymi palcami szukała nieistniejącego pulsu. Poprawiając poduszkę, We-ronika dotknęła mojej peruki i ze wstrętem cofnęła rękę. Wi-

docznie, moje ciało budziło w niej, podobnie jak w innych ludziach, wyłącznie obrzydzenie.

— Wody! Na rany Chrystusa — wody!

— Surowej czy gotowanej?

Nareszcie poszła i wróciła z karafką. Wycierając zakurzoną szklankę z zamyśloną powolnością, którą uznałbym za zemstę, gdybym nie był pewny, że o niczym nie wie, Weronika powiedziała:

— A przecież, Andrzeju Kazimierzowiczu, ja was naprawdę kochałam. Teraz już wiem: to była miłość — jakżeby wam wytłumaczyć? — miłość z litości. Wybaczenie szczerość, to była litość do samotnego kaleki. Ale litowałam się nad wami tak bardzo... nie dostrzegałam... fizycznych defektów... Wydawaliście mi się, Andrzeju Kazimierzowiczu, najpiękniejszym człowiekiem na świecie... samego... człowieka... A wyście ze mnie tak okrutnie zakpili... Położyć kres życiu... Kochałam... powiem, nie ukrywając... godny człowiek... Znowu pokochałam... Teraz nawet jestem wdzięczna... Człowiek... po ludzku... ludzkość... jak człowiek do człowieka...

— Weroniko Grigorjewna — przerwałam jej, nie mając już siły cierpieć dłużej. — Błagam was. Wody, jak najprędzej.

— Człowiek... wiekczło... człokiew... wieczłok... człowiek...

— Wody! Wody!

Weronika nalała szklankę i nagle zbliżyła ją do moich ust. Moje sztuczne zęby zetknęły się ze szkłem, ale nie mogłem zdecydować się na przyjęcie tego płynu do wewnątrz; należy mnie polewać z góry, jak kwiatek albo jabłonkę, a nie do ust.

— Dlaczego nie pijecie? — nalegała Weronika. — Przecież prosiliście wody...

Odepchnąłem, szarpnąłem się i, czując, że ginę, usiadłem. Woda sączyła się z ust na tapczan. Udało mi się schwytać kilka kropli w podstawioną suchą dłoń.

— Zostawcie karafkę i odejdźcie — rozkazałem z całą stanowczością, na jaką mogłem się zdobyć. — Proszę mnie zostawić w spokoju! Napiję się sam.

Z oczu Weroniki spływały grube łzy.

— Za co mnie nienawidzicie? — zapytała. — Co ja wam uczyniłam? Nie zaakceptowaliście mojej miłości, odrzuciliście litość... Andrzeju Kazimierzowiczu, jesteście po prostu złym, niedobrym, bardzo niedobrym człowiekiem.

— Weronika! Jeżeli została w was chociażby odrobina litości, to odejdźcie, proszę was, błagam, odejdźcie, zostawcie mnie samego.

Przygarbiła się i wyszła. Wtedy rozpiąłem koszulę i wsunąłem karafkę w zanadrze, szyjką ku dołowi.

4.

W przyrodzie harmider i bieganina. Nerwy rozdygotane. Z pospiechem pchają się liście. Urywane śpiewy wróbli. Dzieci śpiącą się do szkół i technikum na egzaminy. Głosy nianiek rozlegają się piskliwie, z histeryczną nutką. A powietrze z zapaszkiem. Wszędzie w niewielkim nasileniu unosi się zapach Kostrickiej. Nawet kaktusy na parapecie pachną z rana cytryną. Żeby tylko nie zapomnieć — przed wyjazdem kaktusy podaruję Weronice.

Obawiam się, że ostatnia choroba wykończyła mnie do reszty. Nie tylko złamała ciało, również okaleczyła duszę. Niekiedy nawiedzają mnie dziwne zachcianki. Nagle zachciewa się pójść do kina. Kiedy indziej zagrać w warcaby z mężem Weroniki Grigorjewny. Powiadają, że on świetnie gra w warcaby i szachy.

Przeczytałem swoje notatki i jestem niezadowolony. W każdym zdaniu znać oddziaływanie obcego środowiska. Komu potrzebna ta gadanina w miejscowym dialekcie? Żeby tylko nie zapomnieć spalić przed wyjazdem. Przecież ludziom tego nie pokażę. A nasi i tak na pewno nie przeczytają i nie dowiedzą się o mnie. Nasi w ogóle nigdy tu nie dolecą, w te niedorzeczne strony, w taką dzicz.

Coraz trudniej mi przypominać sobie przeszłość. Z ojczystej mowy ocalało zaledwie kilka słów. Nawet oduczyłem się myśleć po własnemu, coż dopiero pisać i mówić. Pamiętam, że coś pięknego, a co mianowicie — już sam nie wiem.

Niekiedy wydaje mi się, że w ojczyźnie zostały moje dzieci. Takie przepyszne kaktusięta. Żeby nie zapomnieć dać Weronice. Teraz już pewnie podrosły. Wasia chodzi do szkoły. Dlaczego do szkoły? Przecież to już solidny, dorosły człowiek. Inżynier. A Masza wyszła za męża.

O, Boże! Zdaje się, że zamieniam się w człowieka!

O nie! Nie po to męczyłem się przez 32 lata, nie po to cierpiałem w zimie na twardym tapczanie, pozbawiony wody. Chciałem wyzdrowieć tylko po to, żeby, jak ociepli się, ukryć się gdzieś na ustroniu i umrzeć bez wywoływania skandalu. Tylko w ten sposób można uratować, co jeszcze pozostało.

Wszystko przygotowane do wyjazdu: bilet z miejscówką do Irkucka, bidon na wodę, spora suma pieniędzy. Prawie cała zimowa pensja na książeczkę oszczędnościowej. Nie wydałem ani na ciepłe palto, ani na tramwaje i trolebusy. Przez cały czas ani razu nie byłem w kinie... I za mieszkanie nie płacę od trzech miesięcy. Razem — 1657 rubli.

Pojutrze, gdy wszyscy udadzą się na spoczynek, wyjdę niepostrzeżenie z domu, do taksówki i na dworzec kolejowy. A po-

tem to już szukaj wiatru w polu! Lasy, zielone jak matczyne ciało, przyciągną mnie i ukryją.

Jakoś się tam dostanę. Część drogi na wynajętej łódce. Jakies 350 kilometrów. Cały czas rzeką. Woda obok. Nawet trzy razy na dzień można się oblewać.

Tam dół pozostał. Odszukam. Przy upadku wybiliśmy dół. Obłożyć dokoła drzewem. Jałowiec pali się jak proch. Usiądę w środku, rozwiążę wszystkie pęta, żeby było wygodniej i będę czekał. I żeby ani jednej ludzkiej myśli, ani jednego słowa w obcym dialekcie.

A kiedy zaczną się przymrozki zrozumieć, że już czas, wystarczy jedna zapalka. Nic nie zostanie.

Ale to jeszcze nie zaraz. Jeszcze będzie wiele ciepłych, życzliwych nocy. I w letnim niebie mnóstwo gwiazd. Która to z nich? — nie wiadomo. Będę spoglądać na wszystkie — razem i pojedynczo — szeroko otwartymi oczami. Któraś z tych gwiazd to właśnie ta.

Ojczyzno! PCHENC! GOGRY TUŻEROSKIP! Idę ku tobie. GOGRY! GOGRY! GOGRY! TUŻEROSKIP! TUŻEROSKIP! BONŻUR! GUTENABEND! TUŻEROSKIP!

BU-BU-BU!

MIAU-MIAU!

PCHENC!

Abram TERC

(Z rosyjskiego przełożył Józef ŁOBODOWSKI)

Pseudonim „Abram Terc”, pod którym pisze znany pisarz sowiecki, nie jest przypadkowy. W okresie stalinowskim w łagrach i więzieniach śpiewano wiele pieśni złodziejskich, które potem przenikały na zewnątrz i były bardzo popularne w kołach inteligentnych. (Pisze o tym w swej znakomitej noweli „Odkupienie” — Mikołaj Arżak). Jedną z nich była piosenka o Abramku Tercu.

Otrzymałmy niedawno oryginalny tekst wspomnianej piosenki i podajemy go poniżej w przekładzie Józefa Łobodowskiego.

ABRAMEK TERC

*Abramek Terc to znany kieszonkowiec,
zaś Sońka — brzana wśród moskiewskich brzan.
Abramek Terc kieszenie wciąż wypróżnia,
a Sońka dobrze dba o własny stan.
Abramek Terc nazbierał grubą forszę,
jak nigdy dotąd ciężkie hopy skradł.
I teraz huczne sprawia imieniny
za tyle dawniej przecierpianych lat.
Już przyszedli goście, wódka i zagrycha,
Abramek pił się sznapsem, to się wie,
ten na gitarze, ten ręką takt wybija,
a sam Abramek na harmonii rżnie.
Odeskie pieśni gra i rzewnie śpiewa,
Sońka zalana jest już w drobny mak,
Abramek Terc znów wódki jej dolewa
i przemówienie do niej trzyma tak:
„Ach, Sońka-żdzira, cóż ty nos zadzierasza?
Za długo-m z tobą za wariata był.
Wiem z kim chodziłaś i z kim chodzisz teraz,
twój frajer puścił farbę, jak się pił.
Teraz mnie kumple palcem wytykają,
cała zaczyna się ulica śmiać —
i na robotę już mnie wyjść nie dają,
a wszystko to przez ciebie, stara bladź!”*

Wiersze

Bogdan CZAYKOWSKI

PISAŁ KAROL I. (w 1944):

Nowych instrumentów przybyło sporo
Gdyby brać od tej strony
jakie są podobieństwa głosów —
dla połowy dałoby się znaleźć analogie,
choć bardzo skomplikowane:

więc

wysuwanie i zamykanie szuflad
wstrząsanie żelaznymi drzwiami
(bramy piekieł)
zagarnianie żwiru
rozpylanie, przesypywanie go przez sito,
strzepnięcie palcami,
dziecięca pukawka,
zrzucanie pak z góry,
bicie w pudło,
bicie w kotły,
wylewanie wody z pełnej przechylonej flaszki,

wieża waląca się,
rozsuwają się trony niebieskie,
trzask, blacha, wstrząs, terkot
i po prostu piorun.

Najlepsze są jednak te najgłębsze.

I jeszcze dziś nawet
nie można wszystkiego pisać.

2. 8. (1. 1. 1965)

Bogdan CZAYKOWSKI

NA MUZYKĘ

Do ciebie wreszcie mówię, dyrygencie,
podobno z długich palców masz zacięcie
rozkosznej partytury,
podobno plastry miodu rwiesz ze słońca
w ciemne ostępy wybrednej wyobraźni,
podobno się przechadzasz po ulicach miasta
gwiazdą wieloramienną, albo słyszysz szepty
z perlistych wodospadów: z tych znaków poznany
jesteś.

Gdziekolwiek bywasz, we śnie czy na jawie,
jest moment twojej całości, choć grasz na fragmencie
i w każdym futerale śpisz przy instrumencie;
trzymasz całą z napięcia partyturę kluczy
brzęczącą w ciągłych błyskach kiedy się przechadzasz
jak powiedziano w górnych, i w niższych rejestrach,
do otwierania każdym gestem kuźni znaków,
którędy wiedziesz swoich orkiestr marsze
z każdym atomem lśniących metali i drzewców.

Gdy zostawiasz nas samych w ciszy, dyrygencie,
odbywa się to wszystko, o czym jest muzyka,
choć tylko jest o sobie, całe Universum.

Gdyby malarz współczesny chciał zrobić emblemat,
namalowałby palce wokół konchy ucha
i tak maczając pędzel dbał więcej o rytmy,
bez których słowa są ciężkie jak zwłoki:
wokół martwej osi
obroty rzeczy są nieznośne.

Bogdan CZAYKOWSKI

ODWIEDZINY

Niebo, słyszę, otwarło potężny mechanizm:
w przestrzennym zegarze

jest mała skala
gdzie liść opada
i czas odmierza
akumulacją kolorów zakwita
drzew szpaler: złoto ginący kapitał.

Gdy ściemnia centrum,
słyszę, noc się rozjaśnia,
obrasła wokół jak grzybnia
sprężyn alabastrowa czaszka.

Na karuzeli dzwonią zegary,
koguty pieją w trzaskach wabadła,
koń w lejcach ruchu płoszy widziadła
przenikające horyzont jak łódzie
wydmuchane falą ze mgły.

Co nas odwiedza?
Rzut wyobraźni,
pionowy, ostry jak dzi ryt.

Jeszcze nie pożegnany z rybakami,
odwrócony jak żona Lota
ku wiecznie rozpalonym miastom,
w momencie przejścia,
w procesie skamielin,
znieczulony śmiertelnym napięciem percepcji,
zapowiedzianych, nagłych odwiedzin.

Adam CZERNIAWSKI

KRAJOBRAZ BEZ KRÓLA

Przetrwalem pustynię, źródło buchające
wieczorem nie jest złudzeniem, widzę
nieznane nagrzane rośliny, wokół
kwiatów jak błękitne róże latają
znużone chrabąszcze; moje wielbłądy
moje mleczne konie zatonęły
w parnej zieleni.

Siedzę na skórach
piję letnią wodę wspominam drogich

kompanów: Mieczysław kulą zbląkaną zniszczony,
Ramon Suarez ukąsany nagle we śnie,
Chris Morland zaginął bez wieści,
Pierre Limousin rozłączony z Niną
zawrócił sam z torbą sucharów.

Rozpalam ogień, czytam szeptem
XVII rozdział Księgi Rozumu:
nad skalistą nicością
przesłoniętą mirazem wegetatywnej ironii
rozbrzmiewa sino-czerwona łuna skłamanego świtu.

Adam CZERNIAWSKI

MITOLOGIA

Bogdanowi Czaykowskiemu

O szarej godzinie przedświt
zwierz dziki! W powietrzu grają strzały
smrodliwych Germanów; tu w tych
bagnistych lasach; dlaczego?
wczoraj w płomieniach pochodni
ujrzałem nagle Julię szlochającą.
Ciała nasze w trzęsawiskach zgniją.
Historia cóż powie?
Barbarzyńcy są niepiśmienni.
Nasza tu obecność pozostanie
domysłem ateńskich sofistów.

Niepokój morza obmywa falochron,
na moło stoi kilkanaście osób
skulonych z zimna, wśród nich
kobiety z dziećmi, wysłannicy chana,
poseł wenecki, brodaty
korespondent Journal des savants.
„W takim wichrze i słońce jest słone;
czmychnijmy na guajawy grzane w małmazji.”
Nawigator cyrkiem odmierza połacie
globu, sternik dostrzega oczy znajome
w metalicznej pianie; astrolabium,
luneta, Ultima Thule, zieleń
irlandzkich wybrzeży, słota i lęk.

Już w roku następnym cesarz Maksymilian
zamawia obraz Izabelli
wyptywającej na Morze Melancholii,
malował Battoni; w Delft
repliki ukazują się
na fajansach de Witta;
w Padwie Molinari neguje
wiarygodność wszystkich dokumentów,
Dacic w Bazylei kończy klasyfikację
europejskich mitów.

W Belsen Harlevi tworzy
Syntezę nową przestrzennego czasu:
każdy odkopany ułamek marmuru
strzęp papirusu
szept konającego boga
modyfikuje materię obłudnej przeszłości.

Nam zaskoczonym w wszechświecie przypadków
postulaty mędrca noc pozwolą przetrwać
aż do agonii ponownego świtu.

Adam CZERNIAWSKI

1 WRZEŚNIA 1965

Brunatna cegła odrodzonej katedry dźwiga już balast
pokoleń. Jeżeli Poznań leży na zachód od Kutna, a Kutno
na zachód od Warszawy, to przeszył nas terror rannych
drzew jesieni. Babilon niech będzie legendą: historii znać
nie chcemy. Jan Vermeer przebadał wnętrza narodu nie-
gdyś w niewoli. Ci, którzy widzieli pola elizejskie, póź-
niej malują martwe natury, egzekucje, zatrąę gatunku.

WERGILIUSZ

ZDOBYCIE TROI

(„ENEIDY” księga II)

Po zdobyciu Troi przez Greków Trojańczyk Eneasza na czele garści
rycerzy tułał się po morzach w drodze do Italii. W siódmym roku
tułaczki zawinął do wybrzeża północno-afrykańskiego i został gościnnie
przyjęty przez królową Kartaginy, Dydonę, która w czasie uczty zwró-
ciła się do niego, by opowiedział swe losy.

Cisza zaległa głęboka i wszyscy czekali w napięciu.
Wówczas praojciec Eneasza tak rzekł z wysokiego wezgłowia:
„Niewysłowiony ból rozkazujesz mi wskrzeszać, królowo,
Mówić, jak Troi potężne królestwo runęło żałością
Pod ciosami Danaów. Ja sam to nieszczęście widziałem,
Bo w nim sam brałem udział niemały. Któż na to wspomnienie
Płacz uśmierzyłby? Nikt, nawet żołnierz srogi Uliśsa,
Ni Myrmidończyk ni Dolop. Lecz oto znika już z niebios
Noc wilgotna i gwiazdy gasnące do snu nawołują.
Skoro wszelako tak pragniesz gorąco usłyszeć o naszych
Przejsiach, o mękach Troi ostatnich dowiedzieć się trochę,
To choć boleśnie się myśl przed tym wzdryga i cofa się z lękiem,
Zacznę opowieść.

Koń trojański

Wodzowie danajscy, znękani bojami,
Kiedy przez tyle lat zawodziły ich losy pod Troją,
Konia, wielkiego jak góra, budują z Pallady natchnienia
Boskiej, a w żebra wprawiają mu deski jodłowe wokoło.
Wieść rozpuszczają, że dar to wotywny przed drogą powrotną.
Za czym przednią drużynę rycerzy tegich dobrawszy,
Chyłkiem do wnętrza ich wiodą i oto w ciemnej czeluści
Brzucha końskiego zamknięty jest zbrojny huf wojowników.

Z brzegu Troi widoczna jest wyspa słynąca szeroko,
Tenedos, można, zasobna, jak długo Priam królował;
Dzisiaj to tylko zatoka, niepewna przystań dla łodzi.
Owóż tam zaczęły się wojska na pustym wybrzeżu;
Nam zaś się zdało, że oni już precz odpłynęli do Myken.
Tedy cała się Troja wyzwala z długiej udręki:
Bramy stają na ścieżaj, a przez nie tłumy radosne
Śpieszą oglądać już puste po Grekach wybrzeże i obóz.
Tu była flota, a tam wrzały boje, a ówdzie namioty
Stały srogiego Achilla, opodał zaś hufce Dolopów.
Inni w zdumieniu na dar patrzą zgubny dziewiczej Minerwy,
Podziw ich bierze dla konia ogromu. Od razu Tymetes
W mury wprowadzić go radzi i wieść do warowni na wzgórzu.
Któż odgadnie, czy była w tym zdrada czy losów wyroki?
Ale Kapys i ci, którzy więcej mieli rozumu,
Trojan wzywają, by w morze zepchnęli dar podejrzany,
Który jest chytrym podstępem Danaów, czy wręcz go spalili,
Albo też konia bok przewiercili i wnętrze zbadali.
Lud w niepewności się miota, a szarpią nim chęci rozbieżne.

Pośród tłumnej gromady Laokoon z zamku na wzgórzu
Zbiega zdyszany i wnet na czoło przedziera się ciżby,
Z dala już krzycząc: „Nieszczęśni! Toż postradaliście zmysły!
Jak to, wierzycie, że wrogów już nie ma? Ufacie, że w darze
Greckim nie kryje się zdrada? To tak wam jest znany Ulisses?
Albo w tym koniu drewnianym ukryci się czają Achaje
Albo maszyny tej celem jest mury nasze rozbijać,
Domy szpiegować i razić z wysoka grodu obrońców,
Lub też inny w tym podstęp jakowys: nie wierzcie koniowi!
Cokolwiek to jest, Danaów się lękam, choć dary przynoszą”.

Rzekłszy tak, cisnął z potężnym rozmachem włócznię ogromną
W bok drewnianego potwora, wbijając ją w deski krągłego
Brzucha. Utkwiła drżąc, a jego głębokie czeluście
Głuchym łoskotem odrzmięły ponuro. I gdyby wyroki
Bogów nie były nam wrogię, a nasza myśl zaślepiona,
Skłoniłby nas, by rozwalić żelazem achajską kryjówkę;
Stałabyś dzisiaj, Trojo i ty, Priamowa warownio.

Podstęp Sinona

Oto tymczasem z wrzawą rozgłosną pasterze trojańscy
Ciągną przed króla młodzieńca, co ręce miał z tyłu związane.
Nie był znany nikomu i dał dobrowolnie się pojmać,
Aby wykonać podstępny plan i Grekom otworzyć

Bramy trojańskie. Był ufny w swe szczęście i gotów na wszystko:
Albo fortel się uda mu albo śmierć go nie minie.
Zewsząd zbiega się młodzież trojańska i jeńca otacza
Żadna jego widoku i nuże zeń robić swawolę.
Dowiedz się teraz, królowo, o chytrej zdradzie Danaów
I ta jedna ich zbrodnia niech także o innych ci powie.
Owóż kiedy ów Sinon wśród spojrzeń pospólstwa, zlekniiony,
Stanął bezbronny i wzrokiem potoczył po ciżbie trojańskiej,
„Biada mi, — rzekł — jaka ziemia i jakie morza mnie zechcą
Przyjąć i jakież los oczekuje mnie nieszczęsnego,
Który ani u Greków nie znajdzie schronienia ni u was,
Co o krew mą wołacie, by na mnie pomścić swe krzywdy”.

Tak biadając poruszył ich serca: przestali go nękać.
„Mów! — rozległy się głosy — Z jakiego rodzaju pochodzisz?
Jakie zamiary masz? Powiedz! W czym, jeńcze, pokładasz na-
[dzieje?”

Wreszcie, zbywszy się strachu, przemówił Sinon w te słowa:

„Królu, wyznam ci wszystko prawdziwie, opowiem me dzieje.
Najpierw wiedz, że pochodzę — nie przeczę — ze szczepu gre-
[ckiego.

Ale jeśli natura zrobiła Sinona nieszczęsnym,
Tak już niecna nie będzie, by podłym go kłamcą uczynić.
Może kiedy przypadkiem dotarło do uszu twych imię
Palamedesa, potomka Belosa; o sławie szerokiej.
Był on przeciwny tej wojnie, więc Grecy na śmierć go skazali,
Kiedy jakiś nikczemny oszczerca zarzucił mu zdradę;
Teraz zaś, już poniewczasie, zgłodziwszy go, łzy po nim ronią.
Zem mu bliskim był krewnym, więc z nim mnie ojciec ubogi
Wysłał na tę wyprawę, choć byłem jeszcze chłopięciem.
Póki tamtego chroniła królewska godność — a znaczył
Wiele na radach wśród królów — i na mnie spływało coś z tego
Blasku. Skoro wszelako opuścił ziemskie padoły,
Jako — wiadoma to rzecz — przewrotnego ofiara Ulissa,
Życie pędzić mi przyszło w żałosci i smutku ponurym.
W duszy trawił mnie gniew o druha los niewinnego,
Wreszcie, szalony, nie mogłem już milczeć: zemstę przysiągłem,
Jeśli dane mi będzie powrócić kiedyś zwycięsko
Do ojczyzny. Tym srogą ściągnąłem na siebie nienawiść,
To był też pierwszy krok do mych nieszczęść: odtąd Ulisses
Coraz innymi mnie straszył zarzuty, rozsiewał dwuznaczne
O mnie pogłoski i świadom swej winy do zguby mej dążył.
I nie spoczął, dopóki z pomocą Kalchasa... Lecz po cóż
Mam się na nowo rozwodzić daremnie o owych podłościach?

Po cóż ta zwłoka? Toć wszyscy Achaje są dla was jednacy!
Dość, żem jest Grekiem: mścijcie się na mnie, na co czekacie?
Wolę spełnić króla Itaki, ucieszyć Atrydów!”

Teraz dopiero ciekawość nas pali, pytania się sypią,
Bo nieznanie nam greckie mistrzostwo w zbrodniczych podstępach.
Sinon zaś, drżąc, ciągnie dalej zmyśloną swoją opowieść:

„Nieraz chęć ogarniała Danaów ucieczki spod Troi,
Aby skończyć przewlekły ten bój, co tak ich utrudził.
Bodaj to byli zrobili! Lecz to wstrzymały ich srogie
Burze zimowe na morzu, to wiatr południowy przeraził.
Tak i teraz, gdy stał już ten koń, klonowymi obity
Deski, chmury burzę niosące ryknęły na niebie.
Więc w niepewności i trwodze do Feba ślemy wyroczni
Eurypila po radę. Ten wraca z wieszczbą złowrogą:
„Krwia Ifigenii dziewiczej już raz uśmierzyliście wichry,
O Danaowie, gdy ongi do brzegów zmierzaliście Troi;
Krwia też musicie powrót okupić, ofiarą z greckiego
Życia”. Gdy doszła ta wieść do uszu pospólstwa, naówczas
Ścierpliśmy, dreszcz lodowaty do szpiku kości nas przeszedł:
Kogo czeka ten los i kogo żąda Apollo?
Wtedy wśród wrzawy Ulisses Kalchasa wlecze wróżbitę
W środek pomiędzy nas, wypytując, jaka jest wola
Niebian. A we mnie już wielu widziało ofiarę okrutnej
Zbrodni chytrego Ulissa, w milczeniu przyszłość zgadując.
Kalchas przez dziesięć dni nie mówi nic i, zamknięty
W sobie, nie chce nikogo wydawać na śmierć swoim słowem.
Wreszcie, zmożony przez króla Itaki, co z krzykiem go naglił,
Według umowy przerywa milczenie i na mnie wskazuje.
Wszyscy przystali i to, czego każdy dla siebie się lękał,
Znieśli, widząc, jak jeden nieszczęśnik ma ulec zagładzie.
Nadszedł wreszcie straszliwy ów dzień. Już gotują ofiarę,
Ziarna zboża ze solą, na skroń mi wkładają przepaski.
Wtedy to — wyznam — pęta zerwałem i śmierć mi się wydarł,
W stawie bagnistym, w sitowiu, ukryłem się w nocy ciemnościach,
Bacząc, aż Grecy żagle rozwiną, jeżeli rozwiną.
Już mi nie żyć nadziei ujrzenia prastarej ojczyzny
Ani dzieci rozkosznych ni ojca, za którym tak tęsknię.
Pewnie zechcą ich Grecy ukarać za moją ucieczkę
I zgładzeniem niewinnych odpłacić za to, com zrobił.
Przeto błagam cię, królu, na bogów prawdę znających,
W imię szacunku i czci dla dobrej wiary, jeżeli
Jeszcze istnieje gdzieś nieskażona wśród ludzi śmiertelnych:
Litość mi okaż, co cierpię niewinnie tak straszne dopuścić!”

Darowujemy mu życie, współczując łzom jego szczerze.
Pierwszy Priam rozpętać go każe i zwolnić mu ręce
Z ciasnych więzów, a potem łagodnie rzecz do niego:

„Kimkolwiek jesteś, zapomnij o twych utraconych rodakach,
Odtąd będziesz już nasz. A mnie rzetelnie odpowiedz:
Po co i kto tego konia, ten kolos potworny, zbudował?
Jaki w tym zamysł? Ofiarny to dar czy machina wojenna?”

Tak powiedział, a tamten, bywały w greckich podstępach,
Wzniósł ku gwiazdom ramiona, już wolne od pęt, i przemówił:

„Klnę się na was, o światła wieczyste, na waszą potęgę
Niepokalaną, na greckie ołtarze i miecze niezbożne,
Którym uszedłem, przepaski ofiarne, com miał je na skroniach:
Już mi się godzi złamać przysięgę, złożoną Danaom,
Godzi się ich nienawidzić i wszystkie ich skryte zamiary
Jawnie rozgłosić; bo już nie krępują mnie prawa ojczyste.
Ty zaś dochowaj przyrzeczeń i słowa danego, o Trojo,
Dziś ocalona! A ja szczerą prawdą odpłacę ci hojnie.

„Wszelka nadzieja Danaów i ufność, gdy wojnę wszczynali,
Zawsze czerpała swą siłę z pomocy Pallady. Lecz odkąd
Ów Diomedes bezbożny i chytry zbrodzień Ulisses
Śmieli wtargnąć do bożych przybytków w warowni na wzgórzu
I wyciąwszy jej straż zrabować posąg Pallady
Święty, władający Troi losami, krwawymi rękami
Skalać dziewiczą przepaskę Minerwy, odtąd zaczęły
Chwiać się i cofać nadzieje Danaów, jak fala rozbita,
Szczęła ich moc, odwróciło się od nich serce bogini.
Wnet ona sama swój gniew wyraziła przez znak nieomylny:
Ledwie posąg Minerwy w obozie stanął, płomienie
Trysły z jej oczu wzniesionych i pot wystąpił na ciele
Słony, a ona trzykrotnie — powiedzieć to dziw — błyskawicą
W górę śmignęła, tarczę trzymając i włócznię drgającą.
Kalchas ogłasza natychmiast konieczność odwrotu przez morze,
Gdyż nie powalą Pergamu pociski i miecze Danaów,
Chyba że w Argos wróżby powtórzą i posąg odwiozą,
Który unieśli ze sobą na swych krzywodziobych okrętach.
Teraz tedy pomknęli z wiatrami do Myken ojczystych,
Gdzie odnowią swe wojska i bogów dla nich pozyszczą,
Po czym tu nagle powrócą przez morze. Tak Kalchas im wieszczył.
On to ich wezwał do konia budowy, by bóstwo przebłagać
Za świętokradztwo nieszczęsne, za grabież posągu Pallady.
Kazał wszelako tego olbrzyma z bierwion dębowych

Wznieść na taką wysokość, by łbem dosięgał niebiosów,
Iżby nie zmieścił się w bramach i nie mógł być w gród wprowa-
[dzony,

Gdzie by chronił wasz lud, otoczony kultem prastarym.
Jeśli by wasza dłoń zbyszczęściła ten dar dla Minerwy,
Strasza spadnie zagłada na państwo Priama i Trojan
(Oby prędzej spotkała wróżbitę, co wieszczbę tę głosił!).
Gdybyście jednak go sami do miasta wwiedli waszego,
Azja z kolei runęłaby zbrojno na grody Achajów:
Taki okrutny los oczekiwałby naszych potomków”.

Gadkom zdrażliwym i sztuczkom Sinona krzywoprzysięczy
Daliśmy wiarę i chytrym fortelom i łzom wymuszonym,
My, których nie zmógł ni Achill Tessalczyk ni ów Diomedes,
Dziesięć lat wojny nie zmogło ni tysiąc greckich okrętów.

Laokoon

Teraz inne groźniejsze zjawisko, o wiele straszliwsze,
Rzuca się w oczy znienacka i nas nieszczęsnych przeraża:
Oto Laokoon, kapłan Neptuna, losem wybrany,
U ołtarza zabijał wielkiego byka w ofierze.
Nagle dwa węże o zwojach olbrzymich (drzę, gdy to mówię)
W ciche rzucają się morskie odmęty u wyspy Tenedu,
Suną jeden przy drugim i mkną do naszego wybrzeża.
Sterczą wysoko ich szyje wśród wód, a grzywy skrwawione
Ponad fale się wznoszą; śmigają cielska przez nurty,
Wijąc się w skrętach potwornych i szum się szeroko rozlega
W słonych bezkresach spienionych. A one na ląd wypelzają,
Ślepią ich krwią nabiegłe miotają gniewne płomienie,
Z paszcz wysunięte zaś z sykiem je liżą drgające języki.
Błdzi z trwogi pierzchamy — a węże niepowstrzymanie
Prą na Laokoona. I najpierw oba potwory
Biorą w uścisk dwa ciała młodzieutkich synów kapłana
I oplótszy kásają żarłocznie członki nieszczęsne.
Potem jego samego, gdy biegł im z mieczem na pomoc,
W zwoje chwytają olbrzymie i w mig spowijają go nimi,
Cielska łuskami pokryte podwójnie mu brzuch okręcają
I podwójnie też szyje, a łby ich sterczą wysoko.
Próżno ów się wysila, by sploty rozerwać rękami,
Krew mu spływa wraz z czarnym węzowym jadem z przepaski,
On zaś bije w niebiosy jękami i wyciem straszliwym,
Niczym ofiarny byk, co ucieka precz od ołtarza
Z rykiem, gdy ranny niecelnym toporem strząsnął go z karku.
Węże tymczasem pierzchają i pełzną do zamku na wzgórze,

Archiwum polityczne

Niemcy — między Rosją a Ameryką

Siłą Polski bywała zawsze słabość jej sąsiadów. Cesarskie Niemcy pobite, carska Rosja w stanie rozkładu — oto sytuacja wyśniona przez wieszczów.

Na daleką metę jestem optymistą. W moim przekonaniu zarówno Niemcy jak i Rosja minęły swój „szczyt imperialny”.

W roku 1939 — w 20 lat po klęsce — Niemcy z entuzjazmem i zapałem podejmowały nową wojnę światową. Dziś pomimo, że również upłynęło już 20 lat od klęski — nie byłoby możliwe zmobilizować Niemców na wzór roku 1939. W znacznej mierze jest to kwestia biologii. Wydaje mi się, że zarówno Niemcy jak i Rosjanie pod koniec drugiej wojny światowej osiągnęli punkt biologicznego wyczerpania, do którego Francuzi dotarli już pod koniec pierwszej wojny światowej.

Przyrost naturalny wyrównuje straty w materiale ludzkim lecz zmiany w psychice i zbiorowej postawie narodu wywołane szokiem katastrofalnego upływu krwi — pozostają na długo a czasem na zawsze.

Dodatkowym czynnikiem są bronie atomowe. Rosjanie, Niemcy, Francuzi czy Belgowie zdają sobie sprawę, że w Europie nie ma miejsca na Wietnam. Wojna europejska byłaby wojną światową i nuklearną. Świat może by tę wojnę przeżył lecz nie Europa. W porównaniu z Azją czy z obu Amerykami stanowimy mały stosunkowo obszar o największym na świecie zagęszczeniu ludności i przemysłu. Europejczycy nie muszą studiować statystyk — fakty tej kategorii zapadają w zbiorową świadomość i kształtują postawy społeczno-polityczne.

Powyższy zespół faktów i przemian miałem na myśli wysuwając w jednym z dawniejszych moich artykułów tezę — że epoka wojen europejskich dobiegła kresu.

Nie oznacza to bynajmniej, że *status quo* w Europie uległ zamrożeniu. Gdyby za 5 czy za 10 lat doszło do porozumienia niemiecko-sowieckiego — Rosjanie i Niemcy byłiby władni ode-

brać nam ziemie zachodnie „środkami pokojowymi”. Opór Polski byłby zlikwidowany „konwencjonalnie” w przeciagu kilku tygodni.

Wybrałem ten przykład, by uświadomić Czytelnikowi fakt, że w Europie tylko Rosjanie poprzez lokalne porozumienia są w możności przeprowadzać terytorialne zmiany bez uciekania się do wojny. Amerykanie „metodami konwencjonalnymi” nie mogą w Europie zmienić niczego, a użycie siły groziłoby konfliktem z Sowietami. Natomiast Moskwa w porozumieniu z Niemcami może oderwać kawałek polskiego terytorium — w porozumieniu z Budapesztem Rosjanie mogą przeprowadzić korekturę granicy rumuńsko-węgierskiej na korzyść Węgier i t.d. Rumuni stawiliby opór — lecz ani Ameryka, ani żadne państwo zachodnio-europejskie nie zaoferowałyby im pomocy. Rosjanie mogą wreszcie zainscenizować zjednoczenie Niemiec na warunkach i w momencie przez siebie wybranym.

Powyższe przykłady nie wyczerpują listy sowieckich możliwości — ilustrują natomiast tezę, że Moskwa może podejmować inicjatywy „środkami pokojowymi”, które są poza zasięgiem możliwości Stanów Zjednoczonych.

W mojej opinii omylnego człowieka wojna nam nie zagraża. Lecz jak wspominałem powyżej — część ziem zachodnich czy kawałek wybrzeża morskiego możemy stracić bez wojny. Stałoby się to wówczas gdyby doszło do porozumienia rosyjsko-niemieckiego. W chwili obecnej zbliżenie pomiędzy Bonn i Moskwą — wydaje się jeszcze mniej prawdopodobne niż wojna. Należy jednak pamiętać, że kwestia niemiecka jest jeszcze ciągle nieuregulowana i wskutek tego wszystko jest możliwe.

Wielu Polaków hołduje pogładowi, że w ogóle nie ma „kwestii niemieckiej” — ponieważ w naszym interesie leży utrzymanie dotychczasowego podziału Niemiec. Utrzymanie podziału Niemiec leżałoby również w interesie Francji. Prez. de Gaulle zdaje sobie jednak sprawę, że na dalszą metę podziału Niemiec nie da się utrzymać. Francuzi sądzą, że w sprzyjającej chwili będzie można wymusić na rządzie niemieckim uznanie granicy na Odrze i Nysie w zamian za zjednoczenie. Żaden rząd zachodnio-niemiecki nie zgodzi się jednak nigdy z przepołowionym Berlinem i z utratą 108,000 kilometrów kwadratowych rdzennie niemieckiej ziemi zamieszkałej przez 17 milionów Niemców. Być może w polskim interesie leżałaby emigracja wszystkich Niemców na biegun północny lecz to jest równie nieprawdopodobne jak wieczyste utrwalenie podziału Niemiec.

Realnie myślący polski polityk musi się liczyć z faktem, że kiedyś dojdzie do zjednoczenia Niemiec. Podstawowe pytanie w tej sprawie nie brzmi: „czy?” — tylko „kiedy i jak?”

Nasza wroga postawa w stosunku do naszych obu potężnych sąsiadów przynosiła w rezultacie porozumienie niemiecko-rosyjskie. Sojusz z jednym z sąsiadów nie zabezpiecza nas automatycznie przed zaborczą koalicją. Gdyby Polska odzyskała swo-

bodę ruchu i związała się sojuszem z Niemcami — w Moskwie uznano by to za prowokację. Rosjanie byliby najgłębiej przekonani, że ostrze porozumienia polsko-niemieckiego jest wymierzone w Związek Sowiecki. Wówczas — chcąc rozbić sojusz polsko-niemiecki — Rosjanie idąc po tradycyjnych liniach zaoferowałiby Niemcom porozumienie kosztem Polski. Nawet przyjmując, że jesteśmy w pełni niepodlegli — trudno wyobrazić sobie sytuację w której Polska mogłaby bezpiecznie zawrzeć sojusz z Niemcami. Byłoby to tylko możliwe w rozszerzonym Pakcie Warszawskim, który obejmowałby komunistyczne zjednoczone Niemcy. Lecz nielicznym zwolennikom „orientacji niemieckiej” taki układ sytuacji zapewne by nie odpowiadał.

Jestem jak najdalej od zoologicznego anty-germanizmu. Patrząc z obrzydzeniem na kampanię pewnych pism emigracyjnych, które w stosunku do Niemiec zachowują się identycznie jak osławiony McCarthy w stosunku do komunistów. W ocenie tych panów udział w zjeździe naukowym na terenie NRF jest pro-niemieckim „fellowtraveller'stmem”, przyjęcie u siebie w domu dziennikarza niemieckiego — „zdradą stanu” itd, itd.

Nie musi się być nastrojonym anty-niemiecko czy pro-rosyjsko — by obiektywnie stwierdzić, że naczelnym wymogiem polskiej racji stanu jest unikanie posunięć czy inicjatyw, które w konsekwencji mogłyby spowodować czy ułatwić zbliżenie rosyjsko-niemieckie. Pod tym kątem widzenia musimy również oceniać rozwój sytuacji międzynarodowej.

Polacy zagraniczni — w znacznym procencie — każde pogorszenie w stosunkach rosyjsko-amerykańskich witają z niekłamanym entuzjazmem jako zwycięstwo „sprawy polskiej”. W tym wypadku — jak zwykle u nas — emocje biorą górę nad chłodną kalkulacją polityczną.

Co powinni zrobić Amerykanie by doprowadzić do całkowitego bankructwa polityki koegzystencji i pozyskać poklask znacznego odłamu Polaków zagranicznych?

W pierwszej linii należałoby „upełmoletnić” Niemców w dziedzinie atomowej. Wojna w Wietnamie nie doprowadziła ani nie doprowadzi do załamania się polityki koegzystencji. Natomiast wyposażenie Niemców w broń atomową z całą pewnością przyniosłoby zamierzony efekt. Amerykańsko-rosyjska *détente* dobiegłaby kresu.

Rosja nie może być w stanie „potencjalnej wojny” z Chinami, ze Stanami Zjednoczonymi i z atomowymi Niemcami. Nie może mieć trzech czołowych potęg świata przeciwko sobie. Oznaczałoby to bowiem klasyczne okrążenie, którego Rosjanie boją się panicznie. Najbardziej logicznym posunięciem w takiej sytuacji byłoby wyrównanie sporu pomiędzy Moskwą a Pekinem. Jednak w życiu i w polityce nie wszystko co logiczne bywa możliwe. Skłonny jestem przypuszczać, że Chińczycy wykorzystując izolację i upokorzenie Rosji — podnieśli by natychmiast cenę pojednania. Od Rosji, która poniosła klęskę na polu poli-

tyki międzynarodowej, Pekin domagałby się bezwarunkowej kapitulacji ideologiczno-politycznej.

Niemiecka technologia atomowa dla celów pokojowych jest wysoko zaawansowana. Niemieccy specjaliści dokonali w tej dziedzinie wielu odkryć i ulepszeń, którymi ostatnio zainteresowali się Brytyjczycy. Były szpieg sowiecki i wybitny fizyk atomowy Dr Fuchs — oskarżył Niemcy zachodnie o fabrykowanie w tajemnicy bomb atomowych. Oskarżenie jest bezpodstawne lecz charakterystyczne.

Niemcy stanowią "węzeł gordyjski" w stosunkach amerykańsko-sowieckich. W zagadnieniu niemieckim splatają się interesy trzech potężnych narodów: Amerykanów, Niemców i Rosjan.

Rozpatrzmy powyższy problem z owych trzech perspektyw.

I. *Waszyngton*: Jeżeli Amerykanie pragną utrzymać politykę koegzystencji i doprowadzić z czasem do układu zarówno ograniczającego zbrojenia atomowe jak i zapobiegającego rozszerzaniu się „zarazy atomowej” w innych państwach — nie mogą równocześnie ulegalizować niemieckiego palca na cynglu dyskusyjnych nuklearnych sił NATO.

Rosja nie jest już dziś dynamicznym eksporterem rewolucji. W mojej opinii Amerykanom opłacałoby się zrezygnować trwale z atomowego zbrojenia Niemiec w zamian za milczącą zgodę Rosji na całkowite zlikwidowanie eksportu ideologicznego. Tego rodzaju milczący układ pomiędzy Waszyngtonem a Rosją nie tylko pogłębiłby rozdźwięk sowiecko-chiński lecz z czasem doprowadził do całkowitego zerwania Pekinu z Moskwą. Co innego jest policentryzm — a co innego jeszcze są dwa zwalczające się obozy komunistyczne. W interesie Ameryki leży izolacja Chin i udaremnienie wyrównania stosunków między Chinami a Rosją — obojętne na czyich warunkach.

Ułożenie Europy włącznie z problemem Niemiec i Europy wschodniej — możliwe jest wyłącznie w ramach polityki odprężenia pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą. Rosja musi zerwać z Chinami tak na zewnątrz jak i na wewnątrz i zbliżyć się do Europy. Obumieranie stalinizmu w Związku Sowieckim będzie procesem powolnym i w znacznej mierze uzależnionym od sytuacji międzynarodowej. Wywianowanie Niemiec w bronie atomowe w jakiegokolwiek formie — przekreśliłoby wszystkie nadzieje związane z ewolucją w Związku Sowieckim. Bankructwo polityki koegzystencji wyraziłoby się renesansem stalinizmu i załamaniem się wiary w pokojowość celów polityki Stanów Zjednoczonych.

Polityka koegzystencji — w rozumieniu sowieckim nie oznacza ideologiczno-politycznej kapitulacji. Przywódcy sowieccy — w przeciwieństwie do Chińczyków — głoszą natomiast, że sprawie rewolucji należy służyć metodami pokojowego współzawodnictwa. Oczywiście przywódcy sowieccy zakładają, że Stany Zjednoczone — choć z definicji marksistowskiej kapitalistyczne

i imperialistyczne — nie dążą do konfliktu zbrojnego lecz podobnie jak Rosja podpisują się pod strategią pokojową.

Rosja ograniczyła swą aktywność w Wietnamie do „ratującego twarz” minimum i starała się wbrew Pekinowi doprowadzić do pokojowego zakończenia wojny ponieważ w Moskwie zdawano sobie sprawę, że eksport broni i rewolucji do Wietnamu na wielką skalę wzmocni niesłychanie pozycję tych kół w Waszyngtonie, które opowiadają się za ulegalizowaniem niemieckiego palca na cyglu projektowanych atomowych sił NATO.

Rosja miała rozmaite możliwości zwalczania amerykańskiej „imperialistycznej” inwazji w Wietnamie. Moskwa dysponuje jedną z najpotężniejszych flot podwodnych świata. Zatopienie kilku amerykańskich transportów dla sowieckich łodzi podwodnych nie przedstawiałoby wielkich trudności. W Waszyngtonie podejrzewano by oczywiście Sowiety lecz udowodnić im napaści nie byłoby łatwo. Amerykanie musieliby się zadowolić stwierdzeniem, że niezidentyfikowane statki podwodne zatopiły taki czy inny amerykański transport.

Podjęcie jednak tego typu strategii pomogłoby nie tylko rewolucji w Wietnamie lecz również dopomogłoby walcnie przeciwnieckim kołom w Waszyngtonie.

W sumie należy obiektywnie stwierdzić, że w perspektywie interesów Stanów Zjednoczonych koegzystująca Rosja jest czynnikiem istotniejszym niż nuklearne Niemcy. Jeżeli ceną polityki koegzystencji jest utrzymanie atomowego *status quo* w Europie — należy tę cenę zapłacić.

II. *Bonn*: Powierzchnia Niemiec zachodnich wynosi 248,000 km. kwadratowych — powierzchnia Związku Sowieckiego 22.404.000 km. kw. W wojnie atomowej przestrzeń jest czynnikiem decydującym. Niemcy zachodnie nie miałyby żadnej szansy przetrwania wojny nuklearnej z Związkiem Sowieckim nawet wówczas, gdyby same dysponowały potężnym potencjałem atomowym.

Niemcy nie myślą o wojnie atomowej lecz o przetargu. W rozmowach z dziennikarzami niemieckimi, którzy mnie odwiedzali, zadawałem zawsze pytanie: „po co wam bronie atomowe?”

W większości wypadków strona niemiecka wysuwa kwestię statusu i „sojuszniczego równo-uprawnienia”. Lecz jeden z moich rozmówców ujął sprawę jasno: „nie można sprzedawać tego, czego się nie ma”. Trudno odmówić logiki temu stwierdzeniu.

W Bonn zdają sobie sprawę, że w gruncie rzeczy nikt nie jest zainteresowany sprawą zjednoczenia Niemiec. Nawet Amerykanie — z wyłączeniem „lobby pro-niemieckiej” na dnie duszy sądzą, że Niemcy podzielone są mniej kłopotliwym sojusznikiem niż byłyby Niemcy zjednoczone.

Uznanie przez rząd w Bonn granicy na Odrze i Nysie przyczyniłoby się niewątpliwie do odprężenia sytuacji. Politycy niemieccy przeceniają jednak wartość przetargową tego typu aktu.

Dla Rosjan uznanie przez rząd w Bonn granicy nadodrzańskiej nie reprezentuje żadnego konkretnego zysku. Niemcy w tym wypadku chcą sprzedać to, czego od dawna nie mają. W kwestii zjednoczenia Niemcy mogą liczyć w pewnej mierze na Francję i na pewne koła w Ameryce — lecz w sprawie rewindykacji ziem nad Odrą i Nysą w obecnym układzie międzynarodowym nie znajdują sprzymierzeńca na całym świecie.

Uznanie granicy na Odrze i Nysie jest *warunkiem* a nie *atutem*. Niemcy nie zdali sobie jeszcze w pełni z tego sprawy. Podstawowym warunkiem zjednoczenia będzie uznanie przez rząd niemiecki obecnej zachodniej granicy Polski. Bez spełnienia tego warunku do zjednoczenia nigdy nie dojdzie. Jeżeli ktoś chce nabyć dom, to legalnych warunków, które musi zaspokoić — nie może prezentować jako przetargowego atutu. Jeżeli Niemcy nie zechcą uznać granicy na Odrze i Nysie — będą musieli zrezygnować ze zjednoczenia.

Z punktu widzenia Bonn za ideał koniunktury uznać by należało sytuację, w której zarówno Ameryka jak i Rosja konkurowałyby z sobą o względy Niemiec. Atomowy czy semi-atomowy status Federalnej Republiki otwierałby drogę do takiej sytuacji. Niemcy zachodnie miałyby wówczas coś konkretnego do sprzedania.

Obiektywnie należy jednak stwierdzić, że wzmacnianie przetargowej pozycji Niemiec nie leży w interesie ani Stanów Zjednoczonych ani Europy zachodniej. Gdyby bowiem doszło kiedyś do rozgrywki między Wschodem a Zachodem w sprawie Niemiec — oferty Rosji nikt nie przeliczytuje.

Na Zachodzie przyjmujemy za absolutny pewnik, że Niemcy pozostaną na wieki najlojalniejszym sojusznikiem Ameryki i europejską podporą Białego Domu. W mojej opinii Francuzi mogą reklamować politykę zbliżenia z Moskwą — wystrzelić w przestrzeń francusko-sowieckiego sputnika — organizować wymianę kulturalną i tp. — lecz nigdy nie odwrócą swych sojuszków. Jeżeli w obozie zachodnim istnieje jeden tylko potencjalny kandydat w tej dziedzinie — to tym kandydatem są wyłącznie Niemcy. W powyższej opinii nie ma niczego ubliżającego w stosunku do Niemiec. Dopóki hołdujemy pogładowi, że polityka państwowa ma za cel służyć interesom narodowym — uznać musimy, że sojusze nie są ślubami zakonnymi, tylko instrumentami polityki państwowej.

Amerykanie nie mogą dać Niemcom niczego poza bezpieczeństwem. Nie mogą nawet zwrócić im drugiej połowy Berlina. Rosja natomiast posiada wszystko o czym Niemcy marzą — od bramy Branderburskiej po Królewiec.

III. *Moskwa*: Wyobraźmy sobie dla przykładu, że w Białym Domu rezyduje nie prez. Johnson lecz polityk klasycznie prawicowy i zoologicznie antykomunistyczny. W konsekwencji NATO zostaje wyposażone w własny potężny „odstrasza” atomowy

a Niemcom Waszyngton wyznacza czołową pozycję w sztabie sił nuklearnych Europy.

Rosjanie pokojowości Ameryki nie mierzą kampanią w Wietnamie czy gdziekolwiek indziej — tylko stosunkiem Waszyngtonu do Niemiec. Dopuszczenie Niemców w takiej czy innej formie do broni atomowych — w Moskwie nie zostałoby odczytane jako manewr mający wzmocnić pozycję przetargową Bonn. W Moskwie uznano by, że polityka koegzystencji została jednostronnie wypowiedziana przez Amerykanów i że należy z tego wyciągnąć konsekwencje.

Rosja miałaby zapewnione solidarne poparcie wszystkich państw wschodnio-europejskich, które — podobnie jak Moskwa — intencje polityki Stanów Zjednoczonych mierzą stosunkiem Waszyngtonu do Bonn.

Rosjanie i wschodnio-Europejczycy myślą kategoriami „satelickimi”. W tej perspektywie hegemonem i kontrolerem Niemiec jest Ameryka — odpowiedzialna za każdy ich krok. „Bundeswehr” nie podejmie żadnej inicjatywy bez zgody Waszyngtonu — tak jak „marszałek” Spychalski nie podejmie żadnej inicjatywy bez zgody Moskwy. W tym sensie wschodnio-Europejczycy z Rosjanami włącznie za „gwaranta” bezpieczeństwa w Europie uważają Stany Zjednoczone. W ocenie Moskwy istotą polityki koegzystencji jest bezpieczeństwo. Z kolei podstawowym warunkiem bezpieczeństwa w opinii Rosji i wschodniej Europy — jest odcięcie Niemiec od broni atomowych.

Z powyższą analizą można się zgadzać lub nie — lecz na podstawie wieloletniej lektury i rozmów z ludźmi zza „żelaznej kurtyny” — stwierdzić mogę, że to jest pogląd powszechny.

Oficjalnie Niemcy nie wyrzekają się utraconych terytoriów i równocześnie coraz natarczywiej domagają się prawa współuczestniczenia w zachodniej strategii atomowej. Trudno wymagać w takiej sytuacji od Rosji, która straciła w najeździe hitlerowskim 20 milionów ludzi — by dawała wiarę zapewnieniom, że w realizacji swych planów Niemcy nie użyją siły.

Niemcy nie grzeszyli nigdy nadmiarem wyobraźni i dlatego trudno przychodzi im pojąć, że w sprawie atomowej nie chodzi o dyskryminację na wzór wersalski. Federalnej Republiki nie można porównać ani z Francją ani z Anglią, tzn. z państwami europejskimi, które osiągnęły status atomowy. Ani Francja ani Anglia nie zgłaszają pod niczym adresem terytorialnych pretensji. Przeciwnie, oba cytowane mocarstwa pogodziły się z olbrzymimi stratami terytorialnymi.

Atomowe aspiracje Niemiec nie budziłyby tak powszechnego sprzeciwu — gdyby rząd w Bonn uznał granicę na Odrze i Nysie i odciął się od polityki rewizjonizmu. Niemcy ponoszą odpowiedzialność za wybuch dwóch wojen światowych — odpowiadają za hitlerizm i obozy zagłady — i w oparciu o taką przeszłość wysuwają dziś ponownie żądania terytorialne domagając się równocześnie równouprawnienia atomowego. Na terenie Stanów Zjednoczonych nie było Oświęcimów i Amerykanie w wojnie

z Niemcami ponieśli minimalne straty. Toteż ich pamięć w tej sprawie jest krótsza od pamięci Rosjan i Polaków.

Według opinii rzeczoznawców zachodnich Niemcy przy obecnym stanie swojej technologii w obrębie trzech lat mogłyby podjąć produkcję broni atomowych na poważną skalę. Napór Niemiec w tej sprawie będzie niewątpliwie wzrastał. Najbliższe lata będą decydujące.

Założmy dla przykładu, że Niemcy — podobnie jak w przeszłości — powoli wyzwalają się z wszystkich ograniczeń i z drugiej potęgi gospodarczej Zachodu przekształcają się w mocarstwo atomowe i głównego sojusznika Stanów Zjednoczonych.

Pewni obserwatorzy sądzą, że bronie atomowe w rękach Niemców stanowiłyby *casus belli*. Dla ścisłości należy dodać, że Niemcy mają bronie atomowe w swoich rękach, tzn. na pokładach niemieckich samolotów. Samoloty niemieckie z pociskami o głowicach atomowych strzeżone są dzień i noc przez żołnierzy amerykańskich, nie niemieckich. Lecz gdyby nawet Niemcy obezwładnili strażników amerykańskich nie staliby się dysponentami broni atomowej. Wszystkie amerykańskie głowice atomowe na terenie Europy mogą być zdetonowane wyłącznie sygnałem elektronowym z naczelnego dowództwa amerykańskich sił zbrojnych („New York Times”, 21. 11. 65).

Powyższy przykład ilustruje rolę Amerykanów jako kontrolerów sojusznika niemieckiego. Suwerenność atomowa Federalnej Republiki musiałaby oznaczać niezależne bronie atomowe na wzór francuski.

Jeżeli nie dojdzie do międzynarodowego układu, który by zamrażał atomowy *status quo* — coraz trudniej będzie odmawiać Niemcom suwerenności atomowej. Tym bardziej, że jeżeli nie dojdzie do cytowanego układu — z każdym rokiem przybawać będzie państw atomowych.

Atomowa emancypacja Niemiec oznaczałaby — z punktu widzenia Moskwy — bankructwo polityki koegzystencji, której treścią jest bezpieczeństwo. Niemiecka niezależna broń atomowa czy też ulegalizowanie niemieckiego palca na cynglu nuklearnym sił NATO — uniemożliwiłoby Amerykanom — w opinii sowieckiej — pełnienie funkcji kontrolera Niemiec. W takiej sytuacji Niemcy byłyby władne wciągnąć Stany Zjednoczone do wojny nawet wbrew woli Waszyngtonu.

Zmianie uległby nie stosunek Moskwy do Bonn tylko stosunek Moskwy do Waszyngtonu. Przywódcy sowieccy uznaliby, że w sprawie bezpieczeństwa i pokoju nie można ufać Stanom Zjednoczonym, ponieważ polityka Waszyngtonu zależy od sojusznika nad którym Amerykanie nie sprawują już pełnej kontroli.

Powyższy punkt jest ważny ponieważ prawdopodobnie zdecydowałaby o re-orientacji polityki sowieckiej. Dążenie do poprawy stosunków z Ameryką — przywódcom sowieckim wydawałoby się bezcelowe, ponieważ nie zapewniałoby już dłużej bez-

pieczeństwa. Poza tym przekształcenie Niemiec w mocarstwo atomowe oceniono by w Moskwie jako jedną z manifestacji odwrotu Stanów Zjednoczonych z drogi pokojowej koegzystencji na skutek radykalnych przemian politycznych w Ameryce.

Rosja w takim układzie nie miałaby ani pola manewru ani wyboru. Chiny triumfowałyby, ponieważ piętnowana przez Pekin polityka koegzystencji leżałaby w gruzach. Stany Zjednoczone przestałyby być współpartnerem gwarantującym dotychczasowy system bezpieczeństwa w Europie. Związek Sowiecki nie miałby *de facto* innego wyjścia jak podjąć bezpośrednio rozmowy z Bonn.

Nikt nie może przewidzieć jaki byłby wynik zbliżenia sowiecko-niemieckiego i spekulacje na ten temat nie są przedmiotem niniejszych rozważań. Chciałem tylko uwypuklić tezę, że każda polityka prowokująca zbliżenie sowiecko-niemieckie jest złą polityką, zarówno w perspektywie polskiej jak amerykańskiej i europejskiej. To jest jeden z punktów w którym interesy polskie pokrywają się bez reszty z interesami amerykańskimi.

Z powyższych przyczyn w polskim interesie leży trwałe odprężenie pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą. Partnerem Związku Sowieckiego w Europie będą albo Niemcy albo Ameryka. Mając możliwość wyboru — Rosjanie zawsze wybiorą Amerykanów.



Anglosasi z małymi wyjątkami nie doceniają „historycznego kompleksu lęku” który jest wykorzystywany przez kierownictwa wschodnio-europejskich partii komunistycznych. Niemniej ów kompleks jest zjawiskiem realnym. Zneutralizować ów kompleks mogą tylko Amerykanie a nie Niemcy.

Uznanie granicy na Odrze i Nysie przez rząd w Bonn byłoby w Europie wschodniej z poczuciem głębokiego zadowolenia. Lecz gdyby w kilka miesięcy później doszło do ostrego kryzysu w stosunkach sowiecko-amerykańskich — wszystkie obawy odżyłyby na nowo.

Europa zachodnia musi pozostać w sferze wpływów amerykańskich — ponieważ Niemcy muszą pozostać w sferze wpływów amerykańskich. Problem niemiecki dojrzeje do rozwiązania wówczas gdy Rosjanie i narody wschodniej Europy umocnią się w przekonaniu, że Ameryce w każdej sytuacji bardziej zależy na dobrych stosunkach z Rosją i wschodnią Europą niż na zjednywaniu sobie Niemiec poprzez uleganie ich żądaniom. Innymi słowy, Rosja jeżeli zgodzi się kiedyś na zjednoczenie Niemiec to tylko wówczas gdy w Moskwie nikt nie będzie wątpił że zjednoczone Niemcy będą w równej mierze kontrolowane przez Amerykanów jak Niemcy zachodnie. W konsekwencji, każde pogorszenie w stosunkach sowiecko-amerykańskich oddala perspektywę zjednoczenia Niemiec i kwestię międzynarodowego uznania granicy na Odrze i Nysie.

Europeizacja Rosji, ewolucja w europejskim bloku państw

komunistycznych, wygaśnięcie antagonizmów narodowych i pretensji terytorialnych, stabilizacja gospodarcza a przede wszystkim budowa trwałego systemu bezpieczeństwa — wymagają zgodnej współpracy dwóch peryferyjnych super-mocarstw tzn. Rosji i Stanów Zjednoczonych. Alternatywą jest czysto europejska Europa, która musiałaby być dominowana przez dwa najpotężniejsze narody europejskie to znaczy Rosjan i Niemców.

Oczywiście owa współpraca nie zależy wyłącznie od Stanów Zjednoczonych. Jeżeli Rosja zamiast się europeizować — zacznie restaurować model stalinowski, jeżeli zamiast liberalizacji zacznie inscenizować pogromy pisarzy i powszechny ucisk — wówczas polityka koegzystencji na terenie Europy zawiśnie w próżni, a każdej zniżce papierów sowieckich w Waszyngtonie odpowie proporcjonalna zwyżka papierów niemieckich. Rosjanie muszą zrozumieć, że spacyfikowanie ambicji niemieckich i ostateczne pokojowe rozwiązanie kwestii niemieckiej — możliwe jest tylko na drodze współpracy Moskwy z Waszyngtonem. Rosja może zaoferować Niemcom „zjednoczenie” — Ameryka może przekształcić Niemcy w mocarstwo atomowe. Lecz tylko Stany Zjednoczone i Rosja łącznie mogą kiedyś osadzić zjednoczone Niemcy w orbicie systemu europejskiego w ten sposób, by nie zagrażały nikomu i nie zgłaszały pretensji terytorialnych pod niczym adresem.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

ROK PRZEMIAN?

Z rozmów, z listów, z różnych znaków na niebie i na ziemi wynika, że Polacy w kraju oczekują wielkich zmian w roku 1966.

Władysław Gomułka jest poważnie chory i przemęczony. Z miesiąca na miesiąc oczekuje się jego ustąpienia. Zmiana na stanowisku premiera w państwach zachodnio-europejskich jest wydarzeniem banalnym o ustalonej procedurze. W państwach komunistycznych odejście od władzy jest jeszcze ciągle operacją raczej bolesną. Cóż byłoby bardziej naturalnego gdyby Chruszczow pojawił się na honorowej trybunie w czasie obchodu rocznicy październikowej w Moskwie. Lecz i w tej dziedzinie zanotować można pewien postęp. Chruszczow żyje i pobiera emeryturę czyli „rentę” jak mówi się dziś w kraju. Na trybunę honorową nikt go jednak nie zaprosił — ponieważ przywódcy komunistyczni nie odchodzą, ale upadają. Pokonanego przeciwnika obwinia się o popełnione i niepopołnione błędy — nie przyznając mu pra-

wa do obrony. Chruszczow, gdy był przy władzy, postępował identycznie w stosunku do swoich przeciwników politycznych.

Gdyby następcą Gomułki został Kliszko prawdopodobnie nie by się nie zmieniło. W opinii pewnych rodaków krajowych — Kliszko posiada wszystkie wady Gomułki lecz ani jednej jego zalety. Nie jest wyłączone, że konkurujące ze sobą grupy utworzą taktyczny front przeciwko Kliszce. Choć — być może — Gierek byłby lepszy od Gomułki nie należy oczekiwać zmian przełomowych.

Ze sceny musi zniknąć typ przedwojennego, tradycyjnego komunisty, który organizował strajki, siedział w więzieniu, zajmował różne stanowiska w aparacie partyjnym lecz nie skończył żadnych studiów, pełen wiary, że marksizm „w wydaniu dla ubogich” zastępuje wszystkie dyplomy uniwersyteckie. Konspiratorzy przeniesieni w normalne warunki są zwykłe złymi organizatorami. System urzędowania w KC wydaje się w całości potwierdzać powyższą tezę.

Sztuka rządzenia przestała być sztuką. Dziś na Zachodzie rządzenie jest wiedzą i fachem. W Anglii zarówno premier jak i przywódca opozycji są zawodowymi ekonomistami. No, ale w Anglii mamy „neo-kapitalizm” — w Polsce natomiast do „neo-komunizmu” jeszcze daleko.

Komuniści w Polsce nie są partią państwową, i wskutek tego popadają w sprzeczność z konstytucją, którą sami zredagowali i uchwalili. Co innego jest państwo, a co innego jest partia. Minister kultury jako komunista winien być przekonany zwolennikiem marksistowskiego podejścia do zagadnień literackich. Jednak ten sam minister jako reprezentant władzy nie partyjnej lecz państwowej winien otaczać opieką pisarzy nie-marksistowskich, którzy w Polsce stanowią większość. Partia zgodnie ze swoją ideologią ma prawo propagować ateizm — lecz władze państwowe prześladować kościół popadają w sprzeczność z konstytucją. Partia ma prawo system kołchoźniczy uważać za ideał rozwiązania kwestii rolnej — władze państwowe nie mają jednak prawa narzucać tego systemu chłopom, którzy są mu zdecydowanie przeciwni.

Owo rozróżnienie pomiędzy państwem a partią jest konieczne jeżeli słowo „obywatel” ma mieć jakiś sens. Dziś w Polsce Ludowej nie ma obywateli są tylko poddani i partia rządząca. Z obywatelami w praworządnym państwie trzeba prowadzić „dialog” i zabiegać o czynne poparcie społeczeństwa. Z poddanymi dialog jest zbędny — wystarczy nacisk administracyjny i policja.

Przemiany w Polsce muszą się zacząć od podjęcia przez partię „dialogu” ze społeczeństwem na możliwie najszerszym froncie. Bilans „gomułkizmu” w porównaniu z sytuacją na Węgrzech czy w Rumunii — jest katastrofalny. Obecny system — jak mówią Anglicy — *does not work* — nie pracuje, i należy go zmienić.

Promyk optymizmu można wykrzesać z faktu, że w obecnej sytuacji w Polsce każda zmiana prawdopodobnie będzie zmianą na lepsze, gdyż trudno sobie wyobrazić by po-gomułkowski KC był jeszcze bardziej nieudolny niż obecny. To wydaje się po prostu nie możliwe.

„TEORIE KONFLIKTÓW”

Jeżeli można przewidzieć wielki kryzys gospodarczy, a tym samym go

uniknąć — dlaczego nie można by przewidzieć a tym samym uniknąć konfliktu politycznego prowadzącego do wojny?

Na uniwersytetach w Chicago, w Oslo i w Lancaster w Wielkiej Brytanii — specjaliści różnych dziedzin badają genezę konfliktów. Owe „Conflict Studies” mają na celu wyodrębnić przyczyny, które prowadziły do katastrofy. Jeżeli w przyszłości pragniemy uniknąć wojny — musimy znaleźć odpowiedź na pytanie: co powoduje wojnę? Do tej pory nie ma jednoznacznej odpowiedzi na to proste i podstawowe pytanie.

Oczywiście wszystko-wiedzący marksizm i w tej sprawie nie ma żadnej wątpliwości. Co spowodowało wybuch pierwszej wojny światowej? W „Encyklopedii P.W.N.” czytamy: „Nierównomierny rozwój różnych państw kapitalistycznych doprowadził na przełomie 19 i 20 wieku do zaostrzenia się sprzeczności właściwych kapitalizmowi i td. i td.”.

Arcyksiążę Ferdynand, gdy ginął w Sarajewie, na pewno nie przypuszczał, że był ofiarą „sprzeczności właściwych kapitalizmowi”.

Michael Nicholson, jeden z naukowców „studium konfliktów” na uniwersytecie w Lancaster, w pracy pt. „A Meteorology of War and Peace” podał garść interesujących informacji na temat badań „konfliktowych”.

Dlaczego pewne konflikty kończą się wojną a inne — niemniej groźne — kończą się przy stole obrad?

Nicholson sądzi, że konflikt Chruszczow-Kennedy w sprawie Kuby — zakończył się pokojowo ponieważ obaj przeciwnicy mieli w pamięci historię poprzednich konfliktów, które doprowadziły do wojen światowych. Kennedy działał wówczas zgodnie z jego własną „teorią konfliktu”, która zakładała, że nie należy nigdy osaczyć przeciwnika w sytuacji bez wyjścia. Przeciwnie, trzeba mu pozostawić swobodę manewru, by mógł wycofać się bez „utruty twarzy”.

W nawiasach należy dodać z obowiązku dziennikarskiego, że — jeżeli można wierzyć rzekomym pamiętnikom Penkowskiego — jego informacje ujawniające atomowe nieprzygotowanie Sowietów do wojny zadecydowały o linii postępowania Kennedy’ego w kryzysie kubańskim.

Interesował mnie zawsze problem człowieka jako czołowego reżysera procesu historycznego. Jest oczywiste, że bez Napoleona nie byłoby epoki napoleońskiej. Bez Hitlera — hitleryzmu, bez Stalina — stalinizmu i td. Walki klas, sprzeczności kapitalizmu prawdziwe i urojone, nacjonalizmy i imperializmy — są niczym w porównaniu z ideami, które rodziły się w mózgownicach ludzkich. Osobiście jestem pewien, że i dziś można by napisać książkę która wstrząsnęłaby światem — niemniej niż Biblia i niemniej niż „Kapitał”. Stety czy niestety nie ma między nami jednostek tej miary. Produjemy książki często wybitne lecz nie przełomowe. Jednak to nie epoka proroków się skończyła tylko prorocy się skończyli. Gdyby wśród nas powstał prorok — nowa epoka zrodziłaby się pod jego wpływem.

Nie tylko wielkość lecz i ułomność ludzka wywiera często bezpośredni wpływ na bieg wydarzeń historycznych. Grupa uczonych w Stanford University w Kalifornii wykazała eksperymentalnie, że ludzie żyjący przez pewien okres czasu w wielkim napięciu psychicznym stosunkowo szybko tracą poczucie realizmu. Pogłębiający się kryzys i towarzyszące mu napięcie powodują, że ci od których zależy decyzja, na skutek wypaczonego poczucia rzeczywistości — wykazują skłonność do posunięć krańcowych.

W procesie historio-twórczym poważną rolę odgrywają również cechy indywidualne głównych aktorów dramatu. W Stanford drogą badań psychologicznych wybrano dwie różne grupy ludzi. Grupę pierwszą skomponowano w ten sposób by wiekiem i dyspozycją psychologiczną była maksymalnie zbliżona do głównych postaci kryzysu z 1914 roku. Drugą grupę tworzyli ludzie o odmiennej charakterystyce psychologicznej. Członkowie obu grup nie byli świadomi celu doświadczenia. Tak pierwszej grupie jak i drugiej dano do rozegrania „test” historyczny, który założeniem zbliżony był do układu konfliktowej sytuacji w roku 1914. Cóż się okazało? Grupa pierwsza swą „grę dyplomatyczną” zakończyła wypowiedzeniem wojny — grupa druga natomiast znalazła bez trudności pokojowe rozwiązanie.

W konfliktach politycznych wchodzi w grę tak wiele elementów trudnych do uchwycenia i obliczenia, że wypracowanie naukowej ogólnej teorii konfliktowej wydaje się niemożliwością. Lecz w systemie ekonomicznym opartym o zasadę wolnej inicjatywy decyzje jednostkowe odgrywają również kapitalną rolę a przecież powiodło się ująć cykle życia gospodarczego w ramy pewnej teorii.

Na marginesie należy zaznaczyć, że tak pierwsza jak i druga wojna światowa były rezultatem konfliktów europejskich. Analizując przyczyny wojen światowych obracamy się w sferze pojęć cywilizacji europejskiej. Fałszywy byłaby zwyczajnikiem naszej kultury. Podobnie bolszewizm genetycznie wywodzi się z Zachodu.

Sprawa komplikuje się gdy konflikt dotyczy dwóch różnych kultur i dwóch różnych cywilizacji. W artykule pt. „Literackie status symbols i coś więcej” („Kultura”, grudzień 1965) — przytoczyłem opinię komunisty włoskiego Giuseppe Boffa o sowietologii na Zachodzie. W oparciu o swe wieloletnie doświadczenia w Związku Sowieckim — Boffa niezmiernie wysoko ocenia sowietologię zachodnią, a w szczególności amerykańską i brytyjską.

Nie sądzę by jakikolwiek chiński czy pro-chiński komunista mógł wystawić podobne świadectwo zachodniej sinologii. O Chinach wiemy mało i coraz mniej.

W amerykańskiej służbie zagranicznej 150 urzędników mówi biegle po rosyjsku. Natomiast tylko 70 posiada „użytkową” znajomość języka chińskiego. Jak stwierdza melancholijnie „Newsweek” — amerykańscy specjaliści chińskiej starszej daty, którzy jakimś cudem przetrwali erę MacCarthy’ego — wszyscy związani są z Czang Kai-szeikiem. Żaden z amerykańskich specjalistów nie towarzyszył Mao w okresie „długiego marszu”.

I wreszcie punkt najistotniejszy. Zarówno Amerykanie jak i Rosjanie są dziedzicami kultury europejskiej, mimo, że ów spadek zużytkowali zgola odmiennie. Natomiast Chińczycy nie są dziedzicami kultury Zachodu i ich filozofia, religia, tradycja i to co się płynnie określa „skalą wartości” — są różne od naszych.

Sinolodzy amerykańscy wygłaszają często całkowicie sprzeczne opinie i prognozy. Wielu reprezentuje pogląd, że z chwilą gdy w Pekinie „rządy starców” dobiegną kresu — młodzi technokraci zajmą ich miejsce. Wówczas w Chinach nastąpi ewolucja analogiczna do przemian jakie nastąpiły po śmierci Stalina w Związku Sowieckim.

Nie brak jednak rzeczoznawców, którzy powyższy pogląd zaliczają do

„pobożnych życzeń”. Reprezentanci tej szkoły argumentują, że następne pokolenie przywódców wywodzi się niemal w całości z najuboższej warstwy chłopskiej z południowych i z zachodnich prowincji Chin, wychowane jest w izolacji i w fanatyzmie i swą ignorancją przewyższa Mao i jego otoczenie. Byłoby więc szaleństwem liczyć, że przywódcy ci będą bardziej „liberalni” niż ich poprzednicy.

Gdybym jako *outsider* miał sformułować teorię konfliktu amerykańsko-chińskiego — wyszedłbym z założenia, że na ów konflikt składają się trzy elementy: interesy polityczne, wzajemna ignorancja i wzajemna obsesja.

Chiński anty-amerykanizm — wystarczy zacytować artykuł marszałka Lin Piao — jest klasycznie neurotyczny. Owa nienawiść w niepomiarnej większej mierze i w jeszcze bardziej obsesyjnej formie spełnia w Chinach podobną funkcję jak propaganda anty-niemiecka w Polsce Ludowej. To jest dokładnie codzienne „5 minut nienawiści” z Orwella „Rok 1984”.

Obsesja anty-chińska w wydaniu amerykańskim posiada inny charakter. Psychologicznie to jest zawiedziona miłość. Amerykanie zainwestowali w Chiny wiele energii, sentymentu i pieniędzy. Japończycy w przeciwieństwie do Chińczyków nie byli nigdy pupilami Amerykanów — i dzięki temu nie było przeszkód na drodze do pojednania.

Lecz najgroźniejszym elementem w konflikcie amerykańsko-chińskim jest niewątpliwie ignorancja. Gdy czyta się wypowiedzi — jak cytowane powyżej przemówienie Lin Piao — dochodzi się do wniosku, że to są nie tylko stalinowcy lecz ludzie nie z tego świata. Tu już nie chodzi o marksistowską walkę klas lecz o przeciwstawienie „wiejskiej” Azji, Afryki i Południowej Ameryki „miejskiej”, Ameryce i Europie Zachodniej. Marszałek Lin Piao zaślepiony obsesją nie zdaje sobie sprawy, że wyżywienie „wiejskiej” części świata w znacznej mierze zależy od „miejskich” ośrodków, które Pekin proponuje zniszczyć. Nawet w Rosji gospodarka komunistyczna polega na tym, że „sieje się na Syberii a zbiera w Kanadzie”. Problem polega na tym jak długo Ameryka będzie zdolna dożywiać „przodujące” narody świata. tzn. Rosjan, Chińczyków, Indusów i inne narody Azji.

Studium konfliktów jest niezmiernie wagi ponieważ w przeszłości brak rozeznania i zrozumienia przeciwnika prowadził często do katastrofy. Hitler uderzył na Polskę ponieważ był przekonany, że Anglia się nie ruszy. W Anglii do dziś nie brak historyków i specjalistów którzy głoszą, że gwarancja brytyjska dla Polski sprowokowała Hitlera i wskutek tego udzielenie jej było błędem. Czy można się dziwić, że wówczas fałszywie oceniano sytuację jeżeli dziś, w przeszło ćwierć wieku od wybuchu drugiej wojny światowej historycy wygłaszają sprzeczne opinie w podstawowych sprawach.

Jednak nie mamy innego wyjścia tylko pogłębiać i poszerzać studia historyczne. Dla polityka studium historii odgrywa podobną rolę jak nauka anatomii dla lekarza. W państwach komunistycznych fałszuje się historię choć nie fałszuje się podręczników anatomii. Lecz w konsekwencjach swych fałszowanie historii jest przedsięwzięciem niemniej groźnym i ryzykownym niż byłoby fałszowanie dzieł anatomicznych. Ponieważ w gruncie rzeczy o budowie ciała ludzkiego wiemy niepomiarnie więcej niż o procesie historycznym i jego prawach. I ignorancja w tej sprawie może nas kiedyś jednora-zowo kosztować więcej niż wszystkie epidemie razem wzięte.

KRYZYS PIĘCDZIESIĘCIOLETNI

Historia notuje klęski głodu. Klęska powodowana jest zazwyczaj katastrofą żywiołową. Suszą, szarańczą, powodziami.

Głód jaki zapanował w Związku Sowieckim na skutek przymusowej kolektywizacji narzuconej przez Stalina w początku lat trzydziestych — przeszedł do historii jako największa klęska głodowa, spowodowana nie przez naturę lecz przez człowieka.

Od owego kataklizmu utarła się niemal powszechnie opinia, że przyczyną permanentnego kryzysu rolniczego w Rosji są kołchozy. Napisano na ten temat setki książek i artykułów starając się udowodnić, że chłop pracuje wydawnie tylko na swoim. Choć nie jestem z zawodu rzeczoznawcą rolniczym powyższą teorię uważałem zawsze za niezupełnie ścisłą. Znałem przed wojną prywatne majątki ziemskie o znakomitej kulturze rolnej, które były w całości uprawiane przez służbę folwarczną i najemnych robotników. Ludzie ci pracowali doskonale i wydawnie choć nie pracowali na swoim.

Autorzy zbiorowej książki pt. „Soviet Agriculture: the Permanent Crisis”, F. A. Praeger, Nowy York — wyrażają pogląd, że kooperatywy rolnicze mimo oporu konserwatystów okazały się wielkim sukcesem w pewnych krajach Europy zachodniej. Autorzy cytowanej książki nie proponują obalenia systemu kołchoźniczego w Rosji i sądzą, że umniejszenie biurokratycznej kontroli, poważne inwestycje i zwiększenie bodźców ekonomicznych dla chłopów — uzdrowiłoby z czasem sowieckie rolnictwo.

Podobne opinie reprezentuje prof. Allen Ballard, który spędził rok w Związku Sowieckim studiując zagadnienia rolne i kołchoźnicze w różnych okęgach kraju.

Gdy się podsumuje opinie amerykańskich ekspertów to wypada stwierdzić, że przyczyną permanentnego kryzysu w rolnictwie sowieckim nie jest nadmiar socjalizmu tylko niedobór pieniędzy. W pewnej mierze ów niedobór wypływa z typowego dla marksizmu lekceważenia wsi. Prof. Ballard podkreśla, że marksizm w wydaniu sowieckim jest typowo miejską filozofią. Lenin kiedyś zauważył, że nie byłby w stanie mieszkać w kołchozie. W myśl tej miejsko-centrycznej filozofii zadaniem rolnictwa jest wytwarzać kapitał potrzebny do rozbudowy przemysłu. Jeżeli chłop przy tej operacji nie umiera z głodu — Moskwa ocenia sytuację jako zadowalającą.

Ogólny dochód narodowy (GNP) Związku Sowieckiego wynosi około 50% dochodu narodowego Stanów Zjednoczonych. Równocześnie jednak Rosjanie wydają na zbrojenia i „program kosmiczny” tyle samo co Amerykanie. Moskwa nie zgodzi się na poważniejsze oszczędności w budżecie zbrojeniowym i kosmicznym. Więc skąd wziąć pieniądze na rolnictwo? Prof. Ballard uważa, że należałoby odwrócić politykę którą stosuje się w Rosji od 1917 roku. Do tej pory rolnictwo finansowało przemysł i miasta. Obecnie byłby najwyższy czas by miasta i przemysł zaczęły finansować rolnictwo.

Amerykanie zwłaszcza po roku 1930 — zainwestowali w swoje rolnictwo poważne kapitały. W rezultacie w Stanach Zjednoczonych przypada jeden traktor na 66 akrów powierzchni uprawnej — podczas gdy w Związku Sowieckim jeden traktor przypada na 360 akrów. Nasylenie sprzętem mechanicznym umożliwia farmerowi amerykańskiemu całkowite wykorzystanie dobrej pogody — podczas gdy kołchoźnik sowiecki jest zawsze uzależniony

od pogody. Jeżeli w danym roku na zbiory przypada tylko kilka czy kilkanaście dni dobrej pogody — stopień mechanizacji decyduje o wszystkim.

Uprawna powierzchnia w Związku Sowieckim wynosi 540 milionów akrów — w Stanach Zjednoczonych uprawna powierzchnia wynosi zaledwie 309 milionów akrów. Sowiety mają więc niemal dwa razy większą powierzchnię pod uprawą niż Ameryka. Jednak Amerykanie zużywają 9,5 milionów ton nawozów sztucznych a Rosjanie tylko 3,6 milionów ton. W rezultacie farmer amerykański zbiera 25,3 buszli pszenicy z akra, a kołchoźnik sowiecki zaledwie 4,7 buszli.

Najbardziej uderzająca jest jednak nie proporcja powierzchni uprawnej do ilości maszyn lecz cyfra ludzi w stosunku do cyfry maszyn. Na 4,7 miliony traktorów w Ameryce przypada 6,5 milionów farmerów. W Sowietach natomiast na 1,5 milionów traktorów przypada 47 milionów kołchoźników.

Jeżeli przestrzeń uprawna w Związku Sowieckim jest mniej-więcej dwukrotnie większa od przestrzeni pod uprawą w Stanach Zjednoczonych — Sowiety winny mieć dwa razy więcej farmerów niż Ameryka tzn. dokładnie 13 milionów a nie 47 milionów. 13 milionom pracowników rolnych można by płacić stawki zbliżone do zarobków pracowników przemysłowych — przy 47 milionach kołchoźników i sowchoźników to są marzenia utopijne. Jeżeli przemysł sowiecki miałby kiedyś wchłonąć 20-25 milionów chłopów — tempo rozbudowy przemysłowej musiałoby ulec wydatnemu zwiększeniu. Od rozbudowującego się przemysłu trudno wymagać by finansował rolnictwo — ponieważ cały kapitał w dyspozycji byłby potrzebny na uruchomienie nowych fabryk.

Jeżeli przemysł nie da pieniędzy na rolnictwo — skąd je wziąć? Rolnictwo sowieckie w obecnej sytuacji znalazło się w zamkniętym błędnym kole. Jedno jest pewne. Nawet najbardziej daleko idące reformy bez pieniędzy — nie uzdrowią rolnictwa sowieckiego. Kołchoźnicy pracowaliby równie wydatnie na roli kołchozu jak pracują na swoich własnych półkach — gdyby pracując dla kołchozu zarabiali stawki porównywalne z zarobkami robotników przemysłowych. Kołchoźnicy pracują wydatnie na swoich zagrodach nie dla tego, że indywidualna gospodarka z założenia jest sprawniejsza od gospodarki zespołowej — tylko dlatego, że owe poletka (bardzo prymitywnie obrabiane) stanowią jedyne źródło ich dochodu. Sprawa jest prosta. Chłop choćby sobie na roli kołchozowej urobił ręce po łokcie — nie wydobędzie ze swej pracy więcej pieniędzy. Na to by kołchoz mógł płacić więcej i lepiej — musiałby dysponować wielokrotnie większym parkiem maszynowym, wielokrotnie większym tonażem nawozów sztucznych i t.d. i t.d. Inwestycjom w park maszynowy i nawozy chemiczne — musiałaby towarzyszyć możliwość proporcjonalnej redukcji siły roboczej dla której trzeba by znaleźć zatrudnienie w przemyśle.

Problem półwiekowego kryzysu w rolnictwie sowieckim sprowadza się do zagadnienia rozładowania 47-milionowego „narodu kołchoźników”. Unowocześnione rolnictwo sowieckie mogłoby zapewnić dobre warunki pracy i płacy 15 a może nawet 20 milionom pracowników — lecz w żadnym wypadku nie 47 milionom.

Kto ma na to wszystko dać pieniądze? Wydaje się, że trzeba by bardzo wydatnie zredukować budżet zbrojeniowy i niemniej kosztowny budżet „kosmiczny”. Dopóki Rosjanie nie rozwiążą kwestii rolnej — Związek So-

wiecki, by użyć określenia jednego z amerykańskich rzeczoznawców, będzie przemysłowym gigantem, którego nogi grzęzną w bagnie.

SĄD NAD CATEM-MACKIEWICZEM

W dniu 11 listopada ubiegłego roku sąd Stow. Dziennikarzy Polskich w Warszawie — postanowił skreślić Stanisława Mackiewicza z listy członków za artykuły ogłaszane na łamach paryskiej „Kultury”.

Od przyjezdnych z kraju wiem, że zmontowanie trzy-osobowego kolegium orzekającego trwało kilka miesięcy. Nikt, dosłownie nikt, nie chciał brać udziału w sądzie Stow. Dziennikarzy w sprawie Cata-Mackiewicza. Wreszcie władze partyjne złożyły kolegium z trzech absolutnie nikomu nieznanych panów, których nie nie znaczące nazwiska ku wiecznej hańbie przekazuje potomności: Stanisław Jung, Zbigniew Izaak i Bernard Kizer.

Żydzi polscy z których większość to wartościowi i zasłużeni dla polskości obywatele — nie powinni z rozkazu partii podejmować się obrzydliwych, antypolskich gestów. Szkodzą tym bowiem dobremu imieniu polskich Żydów i żywią do dziś niestety aktywny antysemityzm.

Zorientowani Polacy krajowi twierdzą, że Gomułka zgodnie z reklamowanym sloganem, że w PRL „nie ma więźniów politycznych” — jest zdecydowany zrezygnować z oficjalnego procesu i skazania. Wystarczy mu potępienie Cata przez „czynnik społeczny” tzn. przez sąd dziennikarski.

W gruncie rzeczy jest to jednak forma zemsty znacznie bardziej perfidna niż skazanie kogoś na 3 lata więzienia z zawieszeniem. Skreślenie z rejestru dziennikarzy uniemożliwia praktycznie zarobkowanie piórem.

Można się z Catem zgadzać lub nie zgadzać — niemniej faktem jest, że jest to świetny pisarz i dziennikarz zaszczytowany przez władze totalnego policyjnego państwa. Obowiązkiem tzw. „politycznej emigracji” jest nie tylko wziąć go w obronę lecz zorganizować dla niego konkretną pomoc.

„ZŁOTE WROTA”

Czytam jubileuszowy numer „Ku Wolnej Polsce”, Numer 482, rok wydawnictwa 25-ty. Numer liczy 267 stron i zdobią go liczne historyczne ilustracje.

Numer-książka jest dziełem redaktora płk. Dra Mieczysława Młotki — niestrudzonego „utrwalacza” tradycji Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich.

Bajeczne fotografie-unikaty. Obóz w Latrun w Palestynie — dziś w Transjordanii — gdzie redaktor „Kultury”, Jerzy Giedroyc i Londyńczyk przeszli swój okres rekrucki. A oto zdjęcie willi „Nana” w Sidi Bishr gdzie pod dowództwem niezrównanego redaktora por. Józefa Poniatowskiego wydaliśmy „Ku Wolnej Polsce”.

Na ten wspaniały numer-książkę padł wielki cień: śmierć Jana Bielatowicza. Bielatowicz był dosłownie bardem romantyki karpackiej.

Gdy poległ pod Ankoną Adolf Bocheński — Jan Ulatowski wydrukował wówczas artykuł pt. „Rycerstwo schodzi ze sceny”. Bocheński, Kawaler

Maltański — czego mu osobiście nigdy nie mogłem wybaczyć — reprezentował szlachecki rycerski snobizm w najlepszym historycznym wydaniu i z pełnym pokryciem w iście niezłomnym charakterze.

Gdy jeden z moich stryjów chciał mnie ubrać w Krzyż Maltański — mój Ojciec, który reprezentował nie-konformistyczną i radykalną tradycję Mieroszewskich napisał do mnie, że powinienem się ubiegać o tytuł „Mandaryna Zielonego Guzika” gdyż potrzeba do tego wyróżnienia ośmiokrotnie więcej herbów po stronie ojca i po stronie matki niż do Krzyża Maltańskiego. Nie dziwota — Chińczycy mają 386 określeń na stopnie pokrewieństwa.

Jan Bielatowicz nie był rycerzem z feudalnymi fasonami. To był wzór żołnierza-chrześcijanina, w polskim pochodzie historycznym może jeden z ostatnich.

Wyjmuję z jubileuszowego numeru „Ku Wolnej Polsce” fragment jego przepięknego opowiadania pt. „Złote Wrota”. Posłuchajcie:

- „Na zbiórkę kompanii niespodziewanie zjawił się strzelec Wdowiec.
— A skąd to, Wdowiec? — wyraził słuszne zaciekawienie szef.
— Panie szefie, melduję powrót z pielgrzymki na Kalwarię.
— Bez przepustki?
— Prosiłem, ale nie dostałem przez tę defiladę. A podobno już mamy wyjeżdżać z Ziemi Świętej.
— A czym to jechaliście?
— Pieszko tam i nazad.
— Dziewięćdziesiąt kilometrów za półtora doby?
— Tak jest, panie szefie. Mogłem tylko przez godzinę poleżeć krzyżem, żeby zdążyć na zbiórkę.
— No to, Wdowiec, w nagrodę pójście wypocząć do aresztu. Ze stu gardeł buchnęło rżenie.
Wtedy słońce spryskało złotem orzelka na furacze strzelca, jego wąsiska i krzyżyk na szyi. Wdowiec poruszył grdyką ale nie rzekł nic. Zrobiło się nagle cicho, tym bardziej, że nadszedł odebrać raport dowódcę kompanii. Szef przedstawił mu sprawę Wdowca. Dowódca wezwał go przed siebie.
— Wdowiec... — krzyknął z gniewem, i patrzył długo na rude wąsiska i jasną gębę, — ...pomódlcie się za mnie — dokończył całkiem nie wojskowym głosem.
— Rozkaz, panie poruczniku.”

Ten Wdowiec i jego autor to Longinus Podbięta — prototyp polskiego żołnierza chrześcijańskiego.

LONDYŃCZYK

P.S.

W grudniowym numerze „Kultury” ukazał się list Juliusza Słowackiego, który stwierdza, że on, a nie Tadeusz Nowakowski, jest autorem „Ojca Zadżumionych”. Tadeusz Nowakowski jest autorem „Syna Zadżumionych” — co się Londyńczykowi nieco pomyliło. (Co za szczęście, że do tej pory nikt nie napisał „Wnuka Zadżumionych”!) Wieszców Juliusza i Tadeusza za pomieszanie tytułów ich zadżumionych utworów kornie przeprasza — L.

Wielopoglądowość i człowiek

Na przestrzeni ubiegłego roku Juliusz Mieroszewski, w serii ciekawych jak zwykle artykułów, rozważał różne aspekty zagadnień związanych z demokracją ludową, „praworządnością socjalistyczną”, i tp. Z rozważań tych wynika, że formę demokracji pożądaną dla Polski określałoby prawo swobodnej dyskusji zagadnień ustrojowych i bieżącej polityki rządu. Mimo, że takie sformułowanie jest bardziej liberalne i bliższe naszym wzorom od pojęcia sowieckiego, które utożsamia władzę partii z demokracją, wydaje mi się ono nadal zbyt wąskie, bo pomija zasadniczy element „ludowładztwa”, tj. element sposobności obywatela do decyzji w zagadnieniach ustrojowych i ekonomicznych, a nadto możliwości do podejmowania decyzji.

W rozważaniach, które następują, pragnę zaczerpnąć z tradycji ustrojowych i społecznych Stanów, które ogólnie mówiąc, słabo są znane w Europie, mimo że amerykańskie myślenie i tradycja w tych sprawach oparte są na solidnej podstawie doświadczenia i zrozumienia psychiki ludzkiej.

W Stanach definicje prawa, demokracji, wolności gdy są formułowane otrzymują formę „operacyjną” (*operational*), tj. pojęcia te określone są przez swoje właściwości w działaniu, a nie przez abstrakcyjną konstrukcję myślową. Na pierwszy rzut oka może się to wydawać dowodem niewiary w siłę słowa i idei, lub ucieczką od abstrakcyjnego myślenia. Że tak nie jest wykażą argumenty przytoczone poniżej.

Zacznijmy od pojęcia demokracji. Czytając prasę zakurtynową widzę, że pojęcie demokracji przypisywane Amerykanom i zachodnim Europejczykom łączy kapitalizm i demokrację w jedno. Takie ujęcie jest zupełnie błędne, bo o istnieniu demokracji decyduje rozdzielenie ośrodków dyspozycji i unikanie centralizacji, a nie forma własności środków produkcji. Z tego wynika też, że tu w Stanach uważa się, iż demokracja to procedura wynikająca z szeroko akceptowanej umowy społecznej, ustalająca daty i sposób w jaki rząd, ciała ustawodawcze i sądownictwo mają podlegać przeglądowi przez obywateli, a w razie potrzeby, zmianie, z pominięciem politycznego zabójstwa, więzienia itp. Formalnie zatem, demokracja to mechanizm do regularnego przeglądu i zmiany rządu, gdy tego pragnie publiczność. Ten mechanizm nie określa ani strony ustroju społecznego, ani nic nie mówi o partiach politycznych. Tak przynajmniej jest w konstytucji amerykańskiej. Bardziej tradycyjna a mniej formalna konstytucja angielska przewiduje opozycję w parlamencie z płaconym przywódcą opozycji, a tradycja wymaga by opozycja miała w zanadru rząd gotowy do objęcia władzy (*shadow cabinet*).

Bardziej ciekawe od skodyfikowanej strony formalnej są po-

jęcia interakcji społecznej na jakich opiera się demokracja. U podłoża ich leży przekonanie, że długofalowy interes kraju jest jeden i że na przestrzeni dziesiątków lat społeczeństwo nim się kieruje, niezależnie od wyboru partii, czyli jak się tu mówi *there is no Democratic or Republican way to pave a street*. Po co zatem partie? Ich istnienie wynika z drugiego operacyjnego faktu, z którego dobrze sobie zdaje sprawę społeczeństwo, a mianowicie mimo, że długofalowe dobro kraju jest jedno, dokładnie nie zna go żadna grupa, w najlepszym razie mając do zaofiarowania swój domysł ekstrapolowany na najbliższe lata. Przeczy to zatem aspiracjom jakiegokolwiek grupy, że odkryła prawa rozwojowe historii stosujące się aż do skończenia czasu.

Ważniejsze zatem od strony formalnej są warunki w jakich powyższy system może pracować. Pod tą kategorią rozumie się w Stanach niezbędną przybliżoną równowagę wpływowych grup społecznych. Wymaga to, by np. wpływy zrzeszenia przemysłowców (NAM) były zrównoważone wpływami zjednoczonych związków zawodowych (AFL-CIO), wpływy partii republikańskiej zrównoważone wpływami partii demokratycznej, wpływy grup religijnych wpływami ateistów itp. Idealny balans, rzecz jasna, nigdy nie istnieje, lecz ustawy Kongresu i ich interpretacje przez sąd najwyższy mają to za cel. W sytuacji gdy brak takiego balansu, a władzę sprawuje lub na nią decydująco wpływa przez dłuższy czas jakaś grupa, interes szerokich rzesz społeczeństwa na tym cierpi. Takie sytuacje stale powstają i stale muszą być usuwane. Np. na przełomie stulecia nad polityką gospodarczą dominowały interesy wielkiego kapitału budującego transkontynentalne koleje oraz przemysł naftowy. Reakcja społeczeństwa na ten stan rzeczy przybrała formę ustawową przez wprowadzenie praw regulujących koleje, ich stawki przewozowe, warunki zatrudnienia personelu itd., a w bardziej szerokiej dziedzinie finansowej, przez uchwalenie ustawy *Sherman Anti-Trust Law*.

Obecnie obserwujemy jak wahadło stosunków społecznych osiąga przeciwne maksimum: wpływy związków zawodowych zrzeszających robotników w przemyśle wytwórczym przewyższają ich rolę w społeczeństwie, zwłaszcza wobec faktu, że przed paru laty Stany przekroczyły zmienną granicę społeczną, bo po raz pierwszy w historii dużego, uprzemysłowionego społeczeństwa ilość ludzi pracujących poza przemysłem wytwórczym, tj. w zawodach usługowych, jako niezależni przedsiębiorcy, urzędnicy, lekarze, prawnicy i tp. przewyższała ilość robotników wytwórczych. Z tym zjawiskiem łączy się upadek podstawowego założenia marksizmu: ponieważ większość to proletariat — proletariat winien rządzić. O ile proletariat jest w mniejszości, a przeważa klasa średnia (rolnicy są tu w zaniku), zamiast państwa robotników i chłopów wyłania się państwo urzędników, inkasentów elektrowni i obsługiwczy pralni i stacji benzynowych. W takiej sytuacji przewaga np. związku elektryków nad przemysłem budowlanym, od którego udało im się wymusić 3-dniowy tydzień pracy z zapłatą za 5 dni, lub ogólnokrajowe

strajki, które praktykuje związek kierowców ciężarówek, by wymusić najwyższe płace w przemyśle, paraliżując zarazem całe życie gospodarcze, prowadzą w prostej drodze do ustaw ograniczających ich uprawnienia, takich jak *Taft-Hartley Law*.

Jak widać z powyższych uwag, całkowita przewaga jakiegś myśli politycznej, grupy społecznej czy partii uważana jest tu za zło obiektywne, bo odbiera społeczeństwu nietyle prawo formalne, co sposobność faktyczną wyboru między alternatywami. Z takiego zrozumienia pojęcia demokracji wynika pojęcie wolności obywatela. A zatem wolność w sensie demokratycznym sięga dalej niż prawo do wolnej dyskusji i krytyki form ustrojowych i utożsamia tutaj prawo do decyzji z możliwością do decyzji w sprawach politycznych. Tak np. wybór postawy *pro-labour*, czy *pro-capital* wymaga by te pozycje były równorzędne w sensie wpływu na politykę państwa, w przeciwnym bowiem wypadku faktyczna możliwość wyboru nie istnieje.

Bardziej subtelny aspekt tego zagadnienia, choć niemniej ważny, to dziedzina psychiczna. Wolność, wyrażona w prawie wyboru alternatywnych form rządu, poglądów politycznych, przekonań religijnych, faktycznie nie istnieje, o ile wybór jakiegos poglądu pociąga za sobą dezaprobatę społeczeństwa równą ostracyzmowi w odniesieniu do osoby, która z niej korzysta. By użyć przykładu z dziedziny religii, prawnie wolno, lecz psychicznie trudno jest być protestantem w Hiszpanii czy katolikiem w Szwecji, bo te grupy religijne nie są w tych krajach zrównoważone i liczbowo i w znaczeniu społecznym, a przynależność do nich zbyt człowieka wyodrębnia. Podobnie wyobłądzeni i wyóbcowani są Murzyni na południu Stanów przez swój kolor skóry, a w przedwojennej Polsce wyodrębnieni byli Żydzi przez ortodoksję, wyrażającą się w wyborze ubrania, jedzenia, obrzezaniu męczyzn, itd. Formalnie zatem Żydem można było zostać z wyboru, lecz niewielu ludzi mogło i chciało przewyciężyć dezaprobatę społeczeństwa. W Stanach natomiast Żydzi są akceptowani jako jedna z trzech głównych grup społecznych, a różnice tak rażące w Polsce są tu zatarte przez popularność zreformowanego judaizmu wśród Żydów z jednej strony, a przez niemal powszechne stosowanie obecnie obrzezania wśród społeczeństwa amerykańskiego z drugiej (nb. lepsze słowo na określenie tej popularnej tu operacji kosmetycznej byłoby „okrojenie”). Niestety, na podobne zatarcie się wyodrębnienia Murzynów wcale się nie zanosi, bo koloru skóry tak łatwo jak zwyczajów zmienić nie można.

Jakie są wyniki działania powyższej filozofii życia społecznego i politycznego? Pierwszy wynik jest taki, że zmiany linii politycznej czy ekonomicznej mogą być tylko bardzo powolne i elektorat niechętnie widzi przysięgające zwycięstwa jednej z partii w wyborach. Temu podejściu należy przypisywać wielkie zaniepokojenie, jakie spowodowały wyniki ostatnich wyborów, w których Johnson otrzymał aż 64% głosów. Obawy o losy partii republikańskiej są bezpośrednio połączone z obawami, że prze-

waga partii demokratycznej może ją skusić do wprowadzenia w drodze ustawowej nieodwracalnych zmian, bo osłabienie czy upadek partii republikańskiej pozbawiłoby wyborców faktycznej możliwości pozbicia się rządów demokratów, gdy te przestaną odzwierciedlać poglądy publiczności.

Uważa się tu zatem, jak już wspomniałem, że interes kraju jest jeden, choć nikt nie ma monopolu na jego znajomość, a jedynie chwilowe wycucie sentymentu publiczności. Partie i ich slogany są przechodnimi instrumentami, których używa publiczność w realizacji swoich, zawsze słabo widocznych celów.

Zmiany ustroju gospodarczego i społecznego przebiegają ciągle, choć niemal niespostrzeżenie, przypominając posuwający się lodowiec. W formie ustawodawstwa od Kongresu w ciągu jego 2-letniej kadencji, nie spodziewa się uchwalenia więcej jak jednej podstawowej ustawy, poza ustawami w sprawach bieżących i budżetu. O ile uchwali więcej, jak obecny Kongres, który ma na swoim koncie już ustawy o zapewnieniu praw obywatelskich Murzynom, ustawę o pomocy lekarskiej dla starców itp., uchodzi on za wyjątkowo energiczny.

Reasumując, widzimy w demokracji ciągłą i nieprzerwaną zmianę i dostosowywanie form społecznych i gospodarczych do wymagań chwili, by przy jednoczesnym wysiłku by nie dopuścić do ugruntowania się jednej ideologii lub partii, co prowadziłoby do zastygnięcia form społecznych w formie ideologii. Jednocześnie mechanizm zmiany rządów i ich ciągłego przeglądu, tj. instytucyjna forma demokracji, pozostaje niezmienniona. A zatem mechanizm zapewniający ciągłą zmianę jest jedynym elementem struktury, który jest pieczętowiec strzeżony przed zmianą.

Przenieśmy całe powyższe rozumowanie na sytuację pod rządami komunistów. Pozycję komunistów można by sparafrazować jak następuje. Twierdzą oni, że ich rządy są demokratyczne ponieważ społeczeństwo rzekomo podjęło decyzję by przyjąć sowiecki model ekonomiczny i polityczny i przekształcić się w formę zgodną z ich wymaganiami. Forma ta jest najlepsza, zmiany, które zaszły są nieodwracalne itp. Aby utrwalić i zamrozić formy ekonomiczne i społeczne zniszczono podstawy działania mechanizmu zmiany rządów. Zostało to dokonane przez zniszczenie lub obezwładnienie przez komunistów przeciwważnych grup społecznych lub politycznych. W ten sposób formalna możliwość zmiany rządu czy formy ustrojowej została pozbawiona faktycznej treści. W wyborach nie ma wyboru, a pozostała jedynie forma. Funkcja wyborów jako wskaźnika aprobaty czy dezaprobaty polityki rządu przez społeczeństwo zanikła. Mówi to porównanie wyników wyborów tegorocznych i tych z okresu największego nasilenia ucisku stalinowskiego. Wynikałoby z porównania obu, że i teraz i wtedy Front Jedności Narodowej miał jednakowo entuzjastyczne poparcie społeczeństwa, co jest sprzeczne z powszechnie wyrażaną przez ludzi w kraju dezaprobatą i odcięciem się od metod stalinowskich czasów.

Ponieważ odebranie możliwości wyboru zniszczyło rolę wyborów jako wskaźnika opinii publicznej, powstaje pytanie jaką rolę odgrywają one obecnie. Ja jestem zdania, że pełnią one obecnie funkcję instytucji znanej z czasów feudalnych, a mianowicie są one współczesną formą aktu hołdu składanego przez poddanych każdorazowemu władcy, a udział w nich jest słusznie poczytywany jako dowód lojalności dla władzy i tak jest zdaje się rozumiany przez społeczeństwo.

Przy braku zwartych grup społecznych, poza Kościołem, który nie chce i nie powinien mieszać się do polityki, powstaje pytanie czy istnieje coś co stanowi przeciwwagę dla komunistów. Wypadki roku 1956 wskazują, że komuniści boją się jedynie zorganizowanych wystąpień na ulicę robotników, jak w Poznaniu, czy w Warszawie. Rolnicy, tytułem ich rozproszenia, manifestować mogą swoje niezadowolenie tylko przez zmniejszenie uprawy, co skutecznie stosowali przed zniesieniem kołchozów. Dla większości ludzi pracujących w fabrykach czy instytucjach rządowych, mieszkających w domach rządowych, posyłających dzieci do rządowej szkoły, zależność od władzy wzrosła tak niepomniernie, a skutki popierania grup społecznych czy politycznych proponujących zmianę rządu stały się tak ujemne, że wyborca stracił de facto prawa obywatelskie. Nie naprawi tu sytuacji przywrócenie prawa swobodnej dyskusji i zniesienie cenzury. Potrzebne jest zniesienie kompletnej władzy jednej grupy nad całością życia obywatela.

Sytuacja w systemie jednopoglądowym przypomina najbardziej ciemny okres z dziejów kapitalizmu. Lata 90-te ubiegłego stulecia, z których pozostały wspomnienia w postaci tzw. *Company Towns*, całych miasteczek wybudowanych przez jakąś firmę czy kopalnię, w których domy, szpital, bank, szkoła należały do tej samej firmy, a robotnicy byli całkowicie zdani na jej łaskę i niełaskę. Na wpół opuszczone szkielety takich miasteczek można do dziś dnia zobaczyć na terenach węglowych Pennsylvanii, gdzie stanowią tzw. „kieszenie biedy” (*poverty pockets*, by użyć określenia Johnson'a). Chęć ucieczki ludzi od nich jest instynktowna, choć psychicznie bardzo trudna, bo całkowitą zależność raz przyjętą trudno jest zrzucić. Patrząc na fotografie Nowej Huty widzę te same koszarowe domy i tę samą całkowitą zależność ludzi, z dodaniem milicjanta i sędziego do aparatury władzy, proklamowaną jednocześnie jako forma przyszłości.

Powstaje zatem pytanie jak obywatel w drugiej połowie XX-go wieku może się bronić przed pozbawieniem go prawa do decyzji w sprawach jego kraju. W krajach opartych na de facto wielopoglądowości, jak np. Stany czy Anglia, broni się on przez niedopuszczenie do przewagi nad życiem społeczeństwa, rządu, grupy interesów lub społecznej, przez kolejne przesuwanie swego poparcia od partii do partii, od stowarzyszenia do stowarzyszenia, od związku zawodowego do związku itd. Świadomość tego procesu jest uderzającym elementem życia politycznego tych krajów. Wynika ona z głęboko zakorzenionej zazdrości

ci o swoje prawa i niechęci do przekazania w ręce rządu decyzji o wszystkim. W krajach, gdzie ta świadomość jest rozwinięta, słabo, widzimy dyktatury, przewroty i tp.

Abdykacja na rzecz partii prawa do decyzji w sprawach politycznych, gospodarczych, domu, wychowania dzieci itd., która nastąpiła w krajach komunistycznych, nie pozbawiła ludzi świadomości, że dzieje się im krzywda. Świadczą o tym dyskusje w prasie zakurtynowej o „praworządności socjalistycznej”. Świadomość, że całkowita zależność od władzy jest podstawową cechą jednopoglądowego systemu, jest jednak słabo zrozumiana. Jeżeli władza ma w swoim ręku wszelkie sposoby do wywierania presji, a brak jest niezależnej przeciwwagi, trudno spodziewać się, że władza nie będzie użyta. Można by to wyrazić jako aksjomat: jeżeli ktoś ma w ręku absolutną władzę to jej prędzej czy później użyje. Prawa nie zapobiegają temu procesowi, a jedynie podział władzy między równie silne grupy. Zatem w jednopoglądowym społeczeństwie nie ma miejsca na wolność, a jedynie na korzystanie z dobrej woli rządzącej grupy.

Zastanawiając się zatem jak odpowiedzieć rzeczowo na podstawowe pytanie: jak w warunkach całkowitej zależności od rządu może się bronić obywatel, należy stwierdzić, że zasadniczo bronić się nie może. W szczególności w wypadku nawrotu do stalinizmu nie będzie mu mógł zapobiec. O ile uda się w międzyczasie przekształcić system totalny w system, w którym sądownictwo jest niezależne od rządu, poszczególne gałęzie przemysłu mają autonomię, domy mieszkalne należą do właścicieli przez spółdzielnie mieszkaniowe, szkoły nie podlegają dyrektywom partii, sejm służy do krytyki rządu, a nie do zgodnego przytakiwania — wtedy być może będzie można mówić o wolności i demokracji.

Wydaje mi się, że świadomość procesów i zależności, które opisałem powyżej, dociera do komunistów w Jugosławii. Tym przynajmniej tłumaczę sobie ich wysiłki wyciągnięcia dużych gałęzi gospodarki spod bezpośredniego wpływu partii. Możliwe, że duże korporacje przemysłowe z setkami tysięcy właścicieli, które stają się charakterystyczne dla Stanów, bądź upaństwowione bezpośrednio, lecz administrowane niezależnie od rządu korporacje jak w Anglii, są wyłaniającą się formą życia gospodarczego w przyszłości. Wydaje mi się jednak pewne, że scentralizowany, wszechwładny i wszechwiedzący rząd jako forma władzy nie utrzyma się, gdy świadomość, że wszechwładza i wolność są całkowicie sobie przeciwne dotrze do świadomości szerokich mas.

Kończąc pozwolę sobie powtórzyć: demokracja to zakrzepnięcie procedury zmiany i przeglądu władzy, a ciągła zmienność form społecznych i gospodarczych.

Komunizm to brak procedury przeglądu władzy i zmiany rządu, a zakrzepnięcie form gospodarczych i społecznych zgodnie z wymogami ideologii.

Otton BORSUK

Kraj

Historia Haraschina

W numerze „Kultury” z września 1965 r. ukazał się artykuł Gastona de Cerizay „Podziemie Gospodarcze”. Za punkt wyjścia posłużyła autorowi „Sprawa Haraschina”, o której swego czasu głośno było w Polsce. Jest symptomatyczne dla współczesnej rzeczywistości polskiej, że rozgłos tej sprawy, zakończonej ostatecznie procesem sądowym, nigdy nie wyszedł poza łamy plotki pantoflowej. Sąd bowiem — jak słusznie podaje G. de Cerizay — miał charakter kapturowy, a w prasie podano tylko same wyroki. Nic dziwnego więc, że wspomniany artykuł zawierał sporo błędów rzeczowych. Jest rzeczą ubolewania godną, że dysponując tylko powodzą niesprawdzonych, niekiedy naiwnych a przeważnie nieprawdziwych pogłosek i plotek, autor nie zawahał się przed wygłoszeniem sądów o osobach wymienionych z nazwiska. Już powierzchowne zaznajomienie się z meritem sprawy wykazuje, że sądy te są niesprawiedliwe i krzywdzące, a przede wszystkim bezpodstawowe w świetle posiadanych informacji.

Historia Haraschina to historia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w kieszonkowym wydaniu i jako taka przerasta znakomicie znaczeniem dziecinne plotki o paru profesorach. Warto poznać się z nią, warto pośmiać się, popłakać i podumać nad tą tragifarsą, w jakiej przedstawia się nam najświeższa depresja w historii Polski.

Mimo dość dobrej ogólnej znajomości tematu i niektórych dramatis personae, autor poniższego opowiadania pragnie zastrzec się przed nieomylnością w podawaniu szczegółów. Akcja opowieści toczy się bądź co bądź na przestrzeni około 30 lat, a badania źródłowe na miejscu spotykają się z pewnymi trudnościami¹. Tymi też trudnościami tłumaczy się fakt, że opis ten, pomysłany przede wszystkim jako rekompensata moralna dla osób

1. Za źródło oczywiście nie może być uważany artykuł Marii Osiańczak „Poletko pana Haraschina” w „Prawie i Życiu” z 24. XI. 1963 r. Poza państwowotwórczymi westchnieniami artykuł ten zawiera tylko dezinforma-

pokrzywdzonych przez artykuł G. de Cerizay, ukazuje się tak późno.

Dziwna sytuacja zaistniała w pewnej dobrze sytuowanej rodzinie mieszczańskiej w Krakowie w drugiej połowie lat trzydziestych dwudziestego stulecia. Mianowicie ojciec rodziny zgodził się, aby jego trzynastoletnia córka zamieszkała „jak mąż z żoną” z dorosłym już mężczyzną. Co więcej, tenże ojciec finansował studia owego mężczyzny, którego przywykł uważać za swego przyszłego zięcia. Przyszły zięć, którego nazwisko brzmiało Julian Haraschin, studiował prawo na rachunek swego przyszłego teścia tak długo, jak pozwalała sytuacja materialna tego ostatniego. Nastąpił kryzys i „teść” zmuszony był zawiesić stypendium, na co „zięć” odpowiedział zerwaniem z „żoną”. Z kolei ojciec dziewczyny zagroził wytoczeniem sprawy karnej o uwiędzenie nieletniej. Haraschin zdecydował zrezygnować z rodzinnych pieleszy i ruszył w Polskę.

Rozdział następny ma tło sielankowe. Haraschin osiada w małym miasteczku we wschodniej Małopolsce i udziela się jako urzędnik pocztowy. Udziela się zresztą bardzo oszczędnie. Zdarza mu się zająć raz na tydzień do swego urzędu w godzinach dowolnych i spojrzeć z góry na to co tam się dzieje. Pewnego dnia jeden z urzędników poskarżył się zastępcy naczelnika poczty na bezkarność, jaką cieszy się Haraschin. Zastępca poszedł do naczelnika, który zrobił minę tajemniczą i powiedział: „Pan Haraschin jest osobą bardzo wpływową i obecnie zajęty jest wyrabianiem dla mnie srebrnego krzyża za usługi; Niech pan będzie cierpliwy, a może i Panu dostanie się brązowy”. Medalowe starania Haraschina i nadzieje pana naczelnika skończyły się razem z wolną Polską.

Wojna na różnych ludzi różnie działa i różnie im życie kształtuje. Niektórych zamienia w lwy walczące, innych otępia i ogłusza obuchem biedy, terroru i bezprawia, jeszcze innych po prostu likwiduje. Haraschin należał do kategorii ludzi, których wojna tuczy. Natychmiast po ustabilizowaniu się okupacji niemieckiej

ję na temat sprawy. Warto jednak przytoczyć następującą charakterystykę grupy Haraschina podaną przez p. Osiadacz: „Kim bowiem są dyplomanci i ci, którzy zasiadają wspólnie z nim na ławie oskarżonych i ci, którzy składali zeznania w charakterze świadków? Niektórych z nich on sam nazywa łobuzami, a o innych trzeba powiedzieć, że swych zainteresowań życiowych i swojej działalności nie kierowali na pracę w instytucjach państwowych, administracji czy też ośrodkach w których dyplom prawa byłby potrzebny...” A więc z jednej strony łobuzy, a z drugiej ci, którzy nie są w administracji państwowej...

powrócił do Krakowa i zaczął kapitalizować swą niezawodną umiejętność porozumiewania się z władzą. Dostaje pracę w Państwowym Monopolu Spirytusowym, co w ówczesnych warunkach było kopalnią złota. Haraschin handluje spirytusem, wódką, naklejkami na butelki, stemplami. Przy tym wszystkim jest to praca w aparacie państwowym, dająca *ausweise* i *bescheinigung* pierwszej klasy, bezpieczna. Haraschin jest człowiekiem towarzyskim, uczynnym i z gestem, dlatego nieraz potrafi podzielić się z bliźnimi owocami swej działalności gospodarczej. Tak na przykład napotyka pewnego profesora UJ, żyjącego w skrajnej biedzie. Haraschin zaczyna pomagać profesorowi finansowo, a ten z wdzięczności pisze dlań pracę doktorską. Haraschin ma zrozumienie dla nauki i twierdzi że „doktorat zawsze może się przydać”.

W późniejszym okresie Haraschin starał się stworzyć niejaki mit wokół swej osoby, opowiadając o swej działalności w AK, o uzyskaniu Krzyża Walecznych, o przynależności do Sztabu Okręgu Krakowskiego, o zaopatrywaniu w broń oddziałów w okolicach Makowa Podhalańskiego. Mit ten musi jednak pozostać tylko mitem, bo obiektywnych dowodów na te twierdzenia brak. Dowódca oddziału AK, do którego Haraschin się przyznaje, w ogóle Haraschina nie zna. Rozkazu nadającego krzyż Walecznych Haraschinowi również nie ma w aktach. Znalezione wprawdzie ludzi, którzy potwierdzili, że Haraschin organizował skok do Makowa ciężarówką monopolu, ale nie mogli stwierdzić, co w tym transporcie wieziono. W świetle pozostałej działalności Haraschina wydaje się bardziej prawdopodobne, że wyprawa ta miała cele handlowe. Ogólnie wydaje się, że w czasie okupacji Haraschin nie działał orężnie, co w pewnym sensie potwierdzone zostało pośrednio jego późniejszą karierą i funkcją. Jest bowiem o wiele bardziej prawdopodobne, że na kolaboranta UB o wiele bardziej nadawałby się, i o wiele łatwiej zostałby przyjęty, drobny pionek okupacyjnej administracji Generalnej Gubernii, niż żołnierz AK.

O ile okupacja niemiecka była dla Haraschina okresem względnej *prosperity*, to dopiero zmiana Generalnej Gubernii na Polską Rzeczypospolitą Ludową pozwala mu na prawdziwe rozwinięcie skrzydeł i wysunięcie się na czoło w wyścigu o złote runo. Wkrótce po zakończeniu działań wojennych zapisuje się do Partii i zaczyna robić karierę jako sędzia Rejonowego Sądu Wojskowego w Krakowie. W okresie tym, a nawet jeszcze dłużej bo do maja 1955 r., sądy wojskowe robiły gros brudnej roboty (drobną jej część odrabiano bez sądów oraz z pomocą zaprzyjaźnionych oddziałów radzieckich). A roboty tej było sporo: trzeba było rozładować i zlikwidować podziemie wojskowe, rozpracować i również częściowo zlikwidować dawną AK, unieszkodliwić prawdziwych i wyimaginowanych „wrogów ludu”. Ogólnie

biorąc, do kompetencji sądów wojskowych należały wtedy wszystkie sprawy polityczne, przy czym politykę interpretowano bardzo szeroko. Mimo tak dużego nawału pracy Haraśchin dobrze spełnia swe obowiązki, bo szybko awansuje do stopnia pułkownika. Jednocześnie stara się stworzyć wokół siebie aureolę nowoczesnego, pozytywnego i postępowego Konrada Wallenroda. Chętnie przedstawia się jako były Akowiec, usłużny i koleżeński wobec dawnych towarzyszy broni, surowy wprawdzie dla dowódców, ale chętnie idący z pomocą zbłąkanym owcom-szeregowcom. Jego stosunek do pracy, w instytucji przez niektórych uważanej za katowską, nacechowany jest zdrowym pragmatyzmem i realistyczną oceną sytuacji. „Jeśli ja zrezygnuję z funkcji sędziego, to przecież nie znaczy to że sądy przestaną działać; po prostu przyjdzie kto inny i będzie jeszcze gorzej”. Haraśchin jest bowiem przekonany i chętnie o tym opowiada, że w miarę możliwości pomaga komu tylko się da. Jego popisowym numerem, dowodem nie tyle jego uczynności co przede wszystkim ogromnych możliwości, jest wypadek prof. Konstantego Grzybowskiego.

W 1950 r. UB odkryło w jednym z gimnazjów krakowskich tajną organizację polityczną. Chłopaki mieli nawet pistolet i w czasie aresztowania członków organizacji doszło do strzelaniny. Jednym z aresztowanych był syn prof. Grzybowskiego. Otóż gdy doszło do sprawy przed sądem wojskowym syn profesora został z procesu wyłączony. Miał on potem osobny proces, ale nie jako członek organizacji, ale z art. 18 Małego Kodeksu Karnego (o to że wiedział, a nie doniósł) i dostał jakąś drobną karę. Natomiast chłopcy którzy stawali przed sądem jako członkowie organizacji zostali powieszani. Zasługę za uratowanie życia synowi prof. Grzybowskiego Haraśchin bierze na swoje konto i stara się, aby możliwie dużo ludzi w to uwierzyło. Prof. Grzybowski natomiast często zaprzeczał, aby Haraśchin był w jakimkolwiek sensie instrumentalny w zwolnieniu jego syna.

Tym niemniej na skutek tego rodzaju zdarzeń Haraśchin staje się sławą na skalę wojewódzką jako człowiek, który u władz wiele może. Nie potrzeba dodawać, że ewentualni kandydaci na pomoc Haraśchina są ludźmi urodzonymi wczoraj i rozumieją bez zbytecznych wyjaśnień, że za tak wysoką protekcję trzeba odpowiednio wysoko płacić.

Stosunkowo wcześniej znakomicie ustawiony sędzia Haraśchin przedstawia ową pracę napisaną dlań pod Niemcami przez zubożałego profesora i zostaje doktorem. Ponieważ profesor, który nawiasem mówiąc w międzyczasie zmarł, był cywilistą więc i Haraśchin doktoryzuje się z prawa handlowego, aczkolwiek jego bogate doświadczenie praktyczne leży w dziedzinie prawa karnego i wojskowego. Może właśnie dla uzupełnienia braków teoretycznych Haraśchin postanawia z początkiem lat pięćdziesiątych

przenieść się na Uniwersytet Jagielloński i zostaje przyjęty, jak twierdzą niektórzy, na skutek silnej presji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Pracuje w swojej specjalności, mianowicie przy katedrze prawa karnego u prof. Woltera. Ale poza pracą marzy mu się wielka i ważna misja: przekształcenie Uniwersytetu Jagiellońskiego, tej ostoji obskurantyzmu, w nowoczesną, socjalistyczną uczelnię. Haraśchin boleje widząc, jak obskurancka konserwa gnębi nowe twórcze siły narodu, jak starzy profesorowie niemal automatycznie oblewają zasłużonych milicjantów, wojskowych, członków aparatu bezpieczeństwa. Rodzi się w nim pragnienie przyjscia z pomocą tym prześladowanym, którzy po pełnej chwały walce z podziemiem i wrogami ludu teraz chcieliby przejść do pracy w aparacie wymiaru sprawiedliwości, w administracji, w adwokaturze. Nie opuszcza go przy tym wrodzony rozsądek: „Trzeba im pomóc w zdobyciu kwalifikacji, bo jeśli tych kwalifikacji nie otrzymają to tylko gorzej dla urzędu, przecież jest rzeczą jasną, że na funkcji i tak zostaną”. W tej walce o unowocześnienie UJ Haraśchin miał wiele trudności i przykrości. Często i głośno dawał wyraz opinii, że „życie ludzi postępowych jest ciężkie a awans na uniwersytecie można dostać tylko przez podawanie palta obskurantom”. Mimo to wysiłki jego zostają wreszcie dostrzeżone i docenione. W roku 1954 zostaje stworzone studium zaoczne wydziału prawa UJ, a na kierownika studium powołany zostaje tow. dr pułk. Haraśchin. Placówka ta daje mu nowe możliwości dla zabłyśnięcia uczynnością, chęcią służenia bliżnim, uprzejmością, a więc tymi cnotami, którymi dał się już poznać uprzednio. Kraków, który dotychczas znał Haraśchina jako człowieka, usuwającego trudności w kontaktach z władzą teraz zaczyna go również cenić jako szafarza tytułów akademickich. Studenci opowiadają o genialnej studentce, przeniesionej z Łodzi na drugi rok studium zaocznego w Krakowie („na drugi rok Haraśchina”, jak mówiono potocznie), która po dziesięciu miesiącach studiów jest już na czwartym roku i zasiada do egzaminu dyplomowego. Inny student zdaje 16 egzaminów w ciągu jednego miesiąca, a jeszcze inny — siedem w ciągu jednego dnia.

Aby utrzymać działalność na tak wysokich obrotach, Haraśchin wprowadził szereg uproszczeń administracyjnych. Pierwsza z nich było rozdzielenie studentów od indeksów. Indeksy miały być stale w dziekanacie i gdy dziekanat był zamknięty student przychodził do profesora na egzamin bez indeksu. Umożliwiło to ogromnej ilości ludzi zdawanie egzaminów „na murzyna”. Jest wysoce prawdopodobne, że nawet egzaminy magisterskie były zdawane na murzyna bo w warunkach typowych dla studium zaoczno-studenta rzadko chodzą na seminaria i profesorowie nie znają ich nawet po paru latach studiów. Haraśchin, uczynny i pomocny jak zawsze, osobiście doglądał porządkowania indeksów. Chodził regularnie z pliką indeksów po egzaminatorach i wymuszał podpisy. „Panie kolego, u pana wczoraj (albo jeszcze lepiej: tydzień temu) zdał X, Y i Z. Może pan będzie łaskaw

uzupełnić indeksiki". W wielu wypadkach Haraschin wyręcza egzaminatorów i własnoręcznie umieszcza ich podpisy w odpowiednich rubrykach.

Dalszym uproszczeniem było zupełne wyeliminowanie niektórych egzaminów. Tak np. Haraschin załatwił z wykładowcą marksizmu-leninizmu, że egzaminy z tego przedmiotu zaliczane będą za wysłuchanie kursu odczytów radiowych, znanych pod nazwą „wszechnicy radiowej”. Wystarczyło, że dwóch studentów wzajemnie sobie poświadczyło wysłuchanie kursu przez radio, a obaj mieli egzamin za sobą. Trzeba przyznać, że Haraschin przyjął tu metodę odpowiednią do wagi przedmiotu.

Mimo nawału zajęć dydaktycznych Haraschin znalazł jeszcze czas na kształcenie się i składa pracę habilitacyjną z historii prawa karnego wojskowego w Polsce. Na colloquium habilitacyjnym prof. Vetulani pracę wyśmiał i rozbił na atomy, tym niemniej w głosowaniu praca przyjęta została dwunastoma głosami przeciwko jedenastu. Kandydatura Haraschina została przedstawiona Senatowi uniwersytetu, który odmówił zatwierdzenia habilitacji. W tym momencie wmieszała się przyjazna dla Haraschina Władza: Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego znegliżowało decyzję Senatu i zatwierdziło docenturę Haraschina².



„Polski Październik” miał, w dziedzinie gospodarczej zapoczątk-

2. To stosunkowo nieważne wydarzenie jest ilustracją procesu odbywającego się w skali ogólnopaństwowej i zagrażającego fundamentom państwa. Jest to proces stosunkowo nowy, bo zrodzony już po polskim październiku. W okresie poprzednim obowiązywały nominalnie stare, dobre zasady niezależności szeregu instytucji, których autonomia była ogólnie uznanym korzystnym składnikiem porządku społecznego. W tym układzie władza wykonawcza mogła demonstrować swą nadrzędność tylko przez fizyczny nacisk na pojedyncze osoby. A więc dla przykładu, aby wprowadzić „swoją” osobę do władz niezależnej organizacji adwokackiej trzeba było wywierać presję na odpowiednią ilość członków uprawnionych do głosowania, aby mieć swojego człowieka na uniwersytecie trzeba było maglować wszystkich członków Senatu i t.d. Brutalne stosowanie presji w stosunku do jednostki uznane zostało później jako „błędy i wypaczenia” i posłużyło za etykietę dla całego okresu. W okresie następnym wprowadzono prostą ale zasadniczą reformę. Zamiast zmieniać ludzi zmieniono prawo. Zniknęły instytucje autonomiczne i ich jasno określone kompetencje. Na istniejącej mapie stosunków prawnych pojawiły się wielkie szare plamy symbolizujące teren bezpański. W tym kierunku idzie cały szereg ustaw ostatnich lat, które z jednej strony zachowują tradycyjną funkcję instytucji takich jak rady adwokackie, uniwersytety i t.d., a z drugiej dają biurokracji wolną rękę do ingerowania w sprawy tych instytucji i do arbitralnego manipulowania nimi. W ten sposób utrwała się zasada nadrzędności władzy wykonawczej nieskrepowanej żadnymi hamulcami prawnymi. System popaździernikowy stara się zalegalizować *de iure* sytuację stosowaną *de facto* w okresie poprzednim. W tym nadawaniu nieograniczonych prerogatyw władzy wykonawczej widać nawrót do teorii o boskim pochodzeniu władzy, widać odwrót od podstawowych zdobyczy prawa konstytucyjnego ostatnich 700 lat.

kować okres polskiego NEP-u. Kolektywizacja, leżąca ciężarem nad wsią, została wstrzymana, a równolegle zrodziła się nadzieja na wzrost możliwości dla inicjatywy prywatnej w zawodach nierolniczych. Nadzieje te oparte były na obietnicach, wytycznych, planach i uchwałach. Ale w tej dziedzinie, jak zresztą i w wielu innych, polski październik okazał się niewypałem. Zwiększone możliwości nie przeszły poza ramy pewnej ilości licencji dla prywatnych przedsiębiorców, gdy jednocześnie nie zmieniło się nic w arbitralnym systemie podatkowania takich przedsiębiorstw, wyceniania ich produktów, gdy nie unormowano zasad przydziału dla nich surowców czy lokali. Przedsiębiorstwa te pozostały do dziś na nieokreślonym terenie między legalnością a podziemiem, żyjące z łaski oficjalnych dygnitarzy i zmuszone do opłacania się im w różne sposoby. Jedną z osób, która zapragnęła, a może po prostu zmuszona była, zakosztować uroków życia prywatnego przedsiębiorcy był Jan Świerczek z Krakowa. Celem jego chałupniczej „manufaktury” było produkowanie watoliny „dla ludności”. Od Państwa otrzymał Świerczek licencję, która upoważniała go do płacenia podatków, ale już nie do otrzymywania surowców ze źródeł oficjalnych. Od początku musiał więc organizować swą produkcję na nielegalnej bazie surowcowej. Od początku też miał kłopoty z milicją, która regularnie nachodziła go, wywołując przestoje i kosztowne przerwy w cyklu produkcyjnym. Przy końcu lat pięćdziesiątych jego sytuacja prawna pogarsza się bardzo i grozi mu aresztowanie. Wtedy spotyka Tadeusza Frasika, studenta studium zaocznego, który za cenę 100.000 zł obiecuje interwencję osoby wysoko postawionej. Osobą tą jest Haraschin, który rzeczywiście interweniuje skutecznie, bo władze zostawiają Świerczka w spokoju. W rok potem jednak, w związku z wykryciem kradzieży wełny w Spółdzielni Tkaczy i Dziewiarzy, Świerczek znów znajduje się w tarapatach. Wali więc jak w dym do Frasika, ale tu niespodziewana przeszkoda: w międzyczasie Frasika zdjęli, mianowicie zamieszany w sprawę Toeplitza (wielkoskalowy przemysł do Rosji) poszedł siedzieć. Świerczek gorączkowo biega po Krakowie szukając pośredników którzy otwarliby mu drogę do wpływowej osoby. W poszukiwaniach swych trafia na autentycznego przedwojennego rotmistrza nazwiskiem Ungeheuer, który inkasuje 50.000 zł i rzekomo zaczyna działać. Milicja jednak nadal nachodzi Świerczka. W międzyczasie wychodzi Frasik i kontaktuje się ze Świerczkiem. Dochodzi do burzliwych starć między zainteresowanymi stronami. Wreszcie płk. Haraschin zwołuje odprawę, aby ostatecznie sprawę wyjaśnić. Rotmistrz Ungeheuer staje na baczność i melduje stan faktyczny. Po długich i głośnych obradach Świerczkowi udaje się wydusić 30.000 zł od Ungeheuera, ale sprawa jest już poza zasięgiem krakowskich władz, dostępnych Haraschinowi. W wyniku działania sił wyższych w 1961 aresztowany zostaje Świerczek, a w rok później płk. Haraschin, rtm. Ungeheuer i szeregowiec Frasik.

Jako wojskowy wysokiej rangi Haraschin podpadał pod kompetencje sądu wojskowego, tego samego, w którym sam jako sędzia przez szereg lat tępił elementy wsteczne. Ale czynniki wojskowe w ogóle nie chciały mieć z tą sprawą nic do czynienia. Dla wielu zresztą dobrze poinformowanych ludzi zdjęcie Haraschina było aktem ryzykownym. Haraschin powszechnie uważany był za „ześwinionego”, czyli za oddanego i wiernego poplecznika partii. Na UJ traktowano go jako wtyczkę UB, a wśród jego „studentów” aż roiło się od gwiazd z awansu społecznego. A przy tym wszystkim żywa była w narodzie pamięć jego sukcesów w dziedzinie wpływania na wymiar lokalnej sprawiedliwości. Nic dziwnego, że niejeden ostrożny wołał umyć ręce od takiej sprawy.

Decyzja wszczęcia postępowania przeciwko Haraschinowi zapadła w Łodzi(?), po czym postępowanie prowadzone było przez Warszawę (Prokuratura Generalna). Do oskarżonych zdecydowano zaliczyć, poza Haraschinem, Ungeheuerem i Frasikiem, jeszcze trzech ludzi (Świerczek oczywiście nie należał do tego procesu). Nie byli to ludzie byle jacy. Jest wśród nich taki np. Tadeusz Cynkin, pułkownik i poseł na sejm PRL, kierownik studium wojskowego UJ. Swego czasu w sferach partyjnych cieszył się on przydomkiem „bohatera Października”; gdy zrewoltowana młodzież Warszawy szła na jakieś czołgi, żeby wreszcie „odegrać się na Mochach”, nieustraszony pułkownik tak gorąco przemówił do tej młodzieży, że ta z miejsca rozeszła się do domu. W związku z tym wdzięczny lud Warszawy spontanicznie wybrał Cynkina do Sejmu. A teraz, w 1963, siedzi na ławie oskarżonych. I za cóż on tak siedzi? A no za to, że mąż jego kochanki miał niepowodzenie życiowe i został przymknięty, i ta żona dała Cynkinowi 40.000 zł i Cynkin zaniósł te pieniądze do Haraschina, u którego już uprzednio załatwiał dla siebie sprawę odpowiedniego tytułu naukowego. Dla uzyskania bardziej zbalansowanego obrazu należy również przytoczyć opinię Haraschina o Cynkinie. Według Haraschina, Cynkin to nie bohater tylko zwykły gówniarz, który żadnych pieniędzy nie dostarczył, a pośtem został tylko dzięki uprzejmości Haraschina, bo gdy w okresie wyłaniania kandydatów pewien wysoko postawiony towarzysz z Warszawy przyjechał do Krakowa to na przyjęciu towarzyskim u Haraschina wszystko załatwiono.

Jest wśród oskarżonych pułkownik Jaworski, komendant Wojskowej Komendy Rejonowej Kraków. Jest to funkcja wielka, w wielu wypadkach dająca niemal prawo dysponowania życiem i śmiercią zwykłych obywateli. Doświadczył tego na sobie m.in. docent Iwanejko, który miał nieszczęście poważnie traktować studium Haraschina i obciął „studenta” Jaworskiego na egzaminie. Od tej chwili zaczął regularnie dostawać powołania do wojska i kosztowało go wiele wysiłków i nerwów, zanim wreszcie udało mu się zwolnić przy pomocy zaświadczenia lekarskiego. Przemawiając z ławy oskarżonych Jaworski dał taki komentarz

do tego wydarzenia: „Gdyby mi naprawdę zależało, to by panu docentowi Iwanejko żadne lekarskie świstki nie pomogły i tak by siedział w wojsku jak ta lala”.

Kronikarze nie zdołali utrwalić personalitów ostatniego z oskarżonych. Jedno jest pewne płótką nie był: jakieżby przeciętny obywatel

*„wiążący koniec z końcem
za te polskie dwa tysiące”*

mógł pozwolić sobie na zapłacenie lekką rączką 50.000 zł za dyplom magisterski? A tak właśnie było, jeśli wierzyć jego własnym zeznaniom. Wśród kilkuset osób przebadanych w związku ze sprawą Haraschina jest on jedynym, który jawnie i oficjalnie twierdził, że zapłacił. Wyróżnia się on również szczególnie rozwiniętym sensem moralności socjalistycznej. Uważa że „klient płaci i klient wymaga” i wielokrotnie protestuje przeciwko niedopuszczalnym praktykom Haraschina, który pieniądze pobrał, a mimo to jeszcze żądał chodzenia na ćwiczenia i egzaminy.

Imponująco przedstawiają się również byli studenci Haraschina, których z niewiadomych powodów powołano jako świadków a nie oskarżonych. Jest tu pułkownik Chojecki, były współpracownik Tatara, z którym do spółki przywiózł z emigracji wiano w wysokości dziesięciu milionów dolarów, ale potem swoje parę lat i tak odsiedziało.

Jest szara eminencja Ministerstwa Zdrowia, radca Wolf, ubek i hochsztapler, który montował transporty środków leczniczych do bratniej ludowej republiki Koreańskiej. Twierdzi on, że za dyplom nie płacił i żadnego dyplomu w ogóle nie chciał, a Haraschin po prostu na siłę wdusił w niego dyplom. Tym niemniej wysłał na Koreę szwagra Haraschina, Wolańskiego a jednocześnie przyznaje, że nastąpiła między nimi jakaś wymiana obrazów Kossaka.

Jako świadków powołano też sporo wykładowców z UJ, wśród nich dwóch niewątpliwych współników Haraschina: dziekana wydziału prawnego Opałka i docenta Antoniego Walasa. Od Opałka bierze początek wątek uniwersytecki procesu. Haraschin odpowiadał bowiem początkowo wyłącznie na zarzuty pobierania łapówek za umarzanie spraw karnych. W czasie rewizji znaleziono u niego plik oficjalnych formularzy dziekanatu UJ, podpisanych *in blanco* przez Opałka. „A, te papiery firmowe — to zupełnie normalna procedura” — miał się wtedy lekceważąco wyrazić Opałek. Mniej normalne były sposoby, w jaki traktował studentów Haraschina. Tak np. bywały wypadki, że studenci, którzy zarwali egzamin magisterski przed komisją egzaminacyjną, mieli potem egzamin uznany „decyzją dziekanatu”.

Wina Antoniego Walasa, docenta od prawa jest również bezsporna. M.in. dla wspomnianego już płk. Chojeckiego dostarczył on Haraschinowi tekst pracy, którą dwa lata wcześniej napisał na wydziale prawa pracy inny student.

Na procesie Haraschina miało miejsce kilka interesujących incydentów. Oto sąd wzywa świadka Ludwika Ehrlicha, profesora UJ, aby wyjaśnić dziwny system „uznawania” przez dziekanat oblatanych egzaminów:

Sędzia: Jaka jest opinia świadka o studium zaocznym?

prof. Ehrlich: Tak jak ja rozumiem proces karny, to powinien się on zajmować faktami a nie opiniami. Ale jeśli teraz ważne są opinie, to mogę dać i swoją, a mianowicie a) ogólnie b) w odniesieniu do studium zaocznego prawa na UJ. Otóż ogólnie biorąc może to być idea bardzo pożyteczna jeśli się ją właściwie realizuje, natomiast w określonym wypadku o którym tu mowa, to wartość studium jest bardzo wątpliwa.

Sędzia: Czy dziekan może uznać oblatany egzamin?

prof. Ehrlich: Przed wojną, gdy ja byłem na uniwersytecie we Lwowie, to nie mógł. A jak jest teraz to ja już naprawdę nie wiem.

W czasie śledztwa wyszło na jaw, że Haraschin dostał od sekretarki pewnego wice-ministra jednego z licznych resortów gospodarczych roczny bilet 1-ej klasy na okaziciela na wszystkie linie PKP. W czasie procesu gorliwy prokurator starał się wykazać ten fakt dla pognębienia Haraschina:

Prokurator: Za co oskarżony dostał ten bilet?

Haraschin: Za nic. Był to prezent bez znaczenia, ja się o niego w ogóle nie starałem, nie był mi potrzebny bo jako wojskowy mam duże ulgi na kolejach.

Prokurator: Więc kto z niego korzystał?

Haraschin: Wiele osób, np. p. dziekan Opałek na wyjazdy do Łodzi.

Prokurator: Skoro bilet był prezentem dla oskarżonego, to czy oskarżony nie uważa, że popełnił przestępstwo odstępując go innym?

Haraschin: Nie uważam. Jeśli są w ogóle bilety na okaziciela, to chyba po to, żeby były używane przez dowolne osoby, w przeciwnym razie wystawiano by je na określone nazwisko.

Na tym sprawa biletu upadła i nigdy już nie została podjęta, przez co sąd stracił okazję przestudiowania bardzo charakterystycznego aspektu życia wyższych klas PRL-u, jakim są tzw. pożyczki.

Na użytek ludu istnieje stereotypowa gadka o relatywnej równości zarobków w Polsce, o skromnych stosunkowo poborach sterników nawy i inżynierów dusz. Taki np. minister zarabia zasadniczo 7.000 zł, do tego dochodzi 2000 zł dodatku funkcyjnego, jeszcze jakieś 35% za dodatkową posadę i to właściwie koniec. Maksimum 12.000 zł, żeby nie wiem jak się starał, więcej nie wyrobi. Tak się właśnie mówi do ludu. A na użytek własny zorganizowało się system pożyczek. Pierwsze miejsce ma tu fundusz dyspozycyjny. Każda osoba, która liczy się w Polsce, ma przy-

dzielony fundusz dyspozycyjny, którym dysponuje dla siebie i swojej najbliższej grupy. Nie są to sumy bagatelne. Tak np. dla półtuzina osób stojących w zasięgu premiera Cyrankiewicza fundusz dyspozycyjny wynosi milion złotych rocznie. Gospodarka funduszem jest kontrolowana, obowiązuje ścisła sprawozdawczość, są kwity na każdą sumę wydatkowaną, jest komisja do badania kwitów. I tak na liście wydatków wspomnianej grupy Prezydium Rady Ministrów figurują m.in. kalesony i koce. Powstaje pytanie: jeśli powiedzmy taki minister kupuje z funduszu bieliznę osobistą i pościelową, to po co mu pensja? Drugi i ważniejszy sposób to ten, na który tak jaskrawe światło rzucił proces Haraschina. Przecież gdy przekroczymy pewien poziom, to pieniądze przestają grać rolę, a ich miejsce zajmuje uprzejmość, uczynność, rewanżowość. Przecież jesteśmy towarzyszami, do licha! A więc tu bilecik, a tam dyplomik, tu paszporcik tam kossaczek, tu talonik a tam nominacyjka na posła. Wszystko płynie, jak mówili starożytni Grecy, i to płynie bezgotówkowo. Realizuje się stary sen idealistów, w imię którego pół wieku temu tylu ludziom poderżnięto gardło, sen o zgubnej szkodliwości pieniądza. Wtedy było na to za wcześnie, ale dziś, gdy socjalizm wyhodował już pewną ilość nowych ludzi, sen ten częściowo staje się rzeczywistością.

Haraschin został skazany na 9 lat więzienia, a jego towarzysze na 2 do 4 lat. W związku z procesem trzeba zwrócić uwagę na dwa podstawowe fakty:

— Głównym elementem procesu były łapówki za umarzanie spraw karnych. Zaczęło się od Świerczka, ale interwencyjna działalność Haraschina była dość szeroko znana w Krakowie. Co najmniej dwie z załatwionych przez niego spraw wyszły na jaw w czasie śledztwa i stały się potem przedmiotem procesu oraz ogólnikowych i mętnych wzmianek w prasie. Element drugi, mianowicie prowadzenie sklepiu z dyplomami uniwersyteckimi, wyłonił się później i jakby na marginesie. Z czasem element ten nabrał większego rozgłosu niż element zasadniczy. Przypuszczałoby to zgodne z intencjami osób kierujących śledztwem i procesem. Ale mimo całego zainteresowania, jakim w społeczeństwie polskim cieszy się wszystko, co związane jest z życiem akademickim, należy pamiętać o należytej proporcji rzeczy. O wiele większą wagę ma sprawa handlu sprawiedliwością, niż dyplomami.

— Proces Haraschina był co najmniej niekompletny. Przed sądem stanęły osoby, które dawały łapówki oraz łańcuch pośredników aż do Haraschina włącznie. A co dalej? Co z osobami pobierającymi pieniądze od Haraschina? Nawet skromne i dezinformujące źródła oficjalne przyznają, że Haraschin miał pewne sukcesy w swej działalności. Musiały więc istnieć osobistości wyżej postawione, poprzez które Haraschin mógł manipulować wy-

miarem sprawiedliwości. Ale o tych najistotniejszych dla sprawy osobach, jak i o samym mechanizmie interwencji ani proces, ani źródła pisane, ani nawet plotka krakowska nic nie mówią. Obserwator staje tu przed murem milczenia, tak charakterystycznym dla dzisiejszej rzeczywistości w Polsce. Mur ten wznosi się na żelaznej zasadzie nierozdzielności interesów klasy rządzącej. Jest to coś znacznie większego niż dawne „ręka rękę myje”. Dziś każdy pojedynczy członek elity komunistycznej ma rolę tak odpowiedzialną, jak zwornik w łuku romańskim. Wyjmij zwornik, a zawali się cały łuk. Usuń jednego członka nowej klasy a roztrzęsie się misterna równowaga klik, frakcji i koterii, przepadnie na zawsze sen o żłobie. Stąd te ciągłe wołania o jedność, o konstruktywną krytykę, o nieantagonistyczne przeciwstawianie się. I stąd absolutorium, automatycznie udzielane wszystkim osobom należącym do klasy rządzącej. Człowiek raz przyjęty na członka tej klasy już do końca życia cieszyć się będzie nietykalnością prawną. Dlatego gdy w 1964 zaczęła ujawniać się afera mięsna, ostatnim skokiem aferzystów była próba ulokowania jednego z nich na stanowisku wice-ministra. Taka nominacja od razu położyłaby oskarżenie. Pod tym względem model polski stoi niżej od klasycznego modelu Stalina, bo tam mechanizm czystek wprowadzał jakiś moment ruchu w skostniałą strukturę biurokracji.



Wśród głównych postaci opisaną tu historii tylko jedna jest *sui generis* bohaterem pozytywnym, wzbudzającym współczucie czy sympatię czytelnika. Postacią tą jest Świerczek, człowiek prosty, pochodzący z ludu pracującego i jedyny pracujący w całym tym towarzystwie. Cel jego działalności jest skromny: produkować watolinę dla ludności. Dla osiągnięcia tego celu pcha swój kamień Syzyfa walcząc z oporem milicji, sądów, partii... Cały „aparatus” współczesnej władzy zaprzysiągł się, żeby Świerczka zgnać, żeby watoliny nie było. I na cóż to oni tę watolinę tak oszczędzają? Na akcję pomocy dla Korei prowadzoną przez radcę Wolfa? Na radzieckie łuniki? Panowie, przecież wy od tych łuników nie zagorzejecie! Jest to smutne, ale psychologicznie zrozumiałe, że Rosjanie godzą się zamieniać „masło na armaty”. Wprawdzie bieda, smród i poniewierka, ale na pociechę można zawsze przywołać myśl, od której prężą się członki i ciało przenika dreszcz, myśl, że my Rosjanie jesteśmy najwięksi, że możemy dać w mordę Uzbekom, Litwinom czy Polakom, a jak jeszcze się postaramy, to i wszystkim innym narodom na świecie. Coś w tym musi być, bo 30 lat temu Niemcy chętnie rezygnowali z masła i swobód obywatelskich byle tylko zaznać tej przyjemności, a 100 lat temu podobne siły musiały grać i w Anglii. Wszystko to jednak nie może mieć absolutnie żadnego zastosowania w odniesieniu do kraju takiego jak Polska. Tu nawet najbardziej rozkieznana wyobraźnia nie może wywołać obrazu obywateli doznających orgazmu na widok radzieckiego sputnika czy

też radzieckich rakiet na defiladzie 22 lipca, za które zapłacono (watoliną!) miliardowe sumy. Polak pozbawiony watoliny nie ma żadnej moralnej kompensaty. Jego jedyne uczucie w tej sytuacji to żal, gorycz, wściekłość. Tu trzeba szukać wytłumaczenia cynizmu, tumiwizmu, znieczulicy i innych plag społecznych współczesnej Polski. Tu jest też grunt, na którym spotykają się zwykli obywatele z członkami partyjnego bloku współpracy z rządem. Proces Haraschina niezbicie dowodzi, że polska góra jest równie przeżarta cynizmem w stosunku do rosyjskich celów państwowych co polskie doły. Tyle tylko, że — jak to również bogato demonstrował proces Haraschina — góra ta ma znacznie więcej watoliny.

Sowieckie trudności gospodarcze a Polska

Wiosną 1965 redaktor „Kultury” zainicjował rodzaj ankiety w sprawie sytuacji gospodarczej w Polsce. W majowym numerze „Kultury” ukazały się artykuły pp. Bohdana Brodzińskiego i Mieczysława Korczyńskiego, którzy obydwa piszą o znacznym pogorszeniu się położenia gospodarczego w kraju. P. Brodziński uważa, że gospodarka Polski znajduje się na przełomie i widzi znaczną analogię do sytuacji przed 10 laty, tzn. w przededniu wypadków październikowych. P. Korczyński uważa słowo „przełom” za nieodpowiedni i sądzi że trzeba raczej mówić o „stojącej wodzie”, tzn. o stagnacji gospodarczej. Sądzę że to drugie określenie jest raczej bliższe prawdy w tym sensie, że w Polsce, tak samo zresztą jak we wszystkich innych europejskich krajach komunistycznych (z wyjątkiem Rumunii), w początku obecnej dekady nastąpiło znaczne obniżenie się tempa wzrostu gospodarczego.

Myślę, że najwłaściwszym terminem będzie pół-stagnacja (*semi-stagnation*). Jest to określenie użyte przez niektórych ekonomistów dla scharakteryzowania sytuacji gospodarczej w Stanach Zjednoczonych w okresie 1957-1962. Pasuje ono również do Bloku Sowieckiego w tym samym okresie. W Stanach Zjednoczonych ten okres depresyjnych tendencji już się skończył — i od 1963 jest tam wyjątkowo dobra koniunktura. Natomiast nie ma, jak dotychczas, wskazówek na to, żeby odpowiedni przełom zarysował się w Związku Sowieckim — i należy bardzo wątpić czy przełom taki jest w ogóle możliwy bez pewnych zasadni-

czych przesunięć w sowieckiej polityce gospodarczej w jednym czy też w drugim kierunku.

Polska weszła do tego okresu półstagnacji później niż Związek Sowiecki: osłabienie procesów rozwojowych przyszło w Kraju w 1962 i 1963 r. Pytanie, które w związku z tym redaktor „Kultury” mnie postawił, da się sformułować w ten sposób: *„Jakie mogą być drogi wyprowadzenia Polski z tego marazmu gospodarczego, zakładając że sytuacja międzynarodowa i warunki polityczne pozostają niezmiennie. Uważam, że aby odpowiedzieć na to pytanie, muszą być rozważone cztery kwestie w ich wzajemnym powiązaniu:*

1. sytuacja gospodarcza w Polsce w ciągu ostatnich kilku lat;
 2. istota zahamowań gospodarczych w Sowietach;
 3. alternatywy przed sowiecką polityką gospodarczą;
 3. kluczowe problemy gospodarcze Polski.
- Rozważenie tych kwestii jest właśnie tematem niniejszego artykułu.

I. POLSKA SYTUACJA GOSPODARCZA NA POCZĄTKU BIEŻĄCEJ DEKADY¹

1

Rolnictwo. Skargi na pogorszenie sytuacji gospodarczej powtarzane przez większość turystów i odbijające się w prasie emigracyjnej, dotyczą przede wszystkim zaopatrzenia ludności, tzn. w przeważnej mierze wyników pracy rolnictwa. To załamanie się rozwoju produkcji rolnej przyszło w 1962 r. Po wypadkach październikowych w ciągu sześciu lat sytuacja w rolnictwie była na ogół pomyślna. Od połowy lat pięćdziesiątych krzywa wzrostu produkcji rolniczej przyjęła bardziej strome nachylenie i, z wyjątkiem lekkiego załamania się w 1959 r., rosła do r. 1961, stanowiąc pod tym względem jaskrawy kontrast w stosunku do innych krajów komunistycznych. Według indeksu ONZ (Komisji Ekonomicznej dla Europy w Genewie) roślinna produkcja w Polsce wzrosła w 1960 r. o 8,8 procent w stosunku do roku poprzedniego, wówczas gdy w Związku Sowieckim o 3%, a w Rumunii tylko o 1,1%, na Węgrzech zaś spadła o 7,5%. W tym samym okresie hodowlany indeks wykazał w Polsce wzrost 0,7%, wówczas gdy w Związku Sowieckim spadek o 1%, w Rumunii spadek o 2,6%, na Węgrzech spadek o 3,8%. Byliśmy skłonni widzieć w tym kontraście przede wszystkim skutek

1. W tym artykule wszystkie cyfry dotyczące gospodarki polskiej pochodzą, jeżeli nie zaznaczono inaczej, z *Rocznika Statystycznego*, 1964. Autor, niestety, nie był w chwili pisania artykułu w posiadaniu *Małego Rocznika Statystycznego*, 1965, który już został w kraju opublikowany.

polityki rządów po-październikowych, które zdobyły się na odwagę odrzucenia sowieckiego wzoru gwałtownej kolektywizacji.

Tymczasem wyniki roku 1962 były w rolnictwie polskim w najwyższym stopniu ujemne; a rok 1963 przyniósł tylko nieznaczną poprawę. Według *Rocznika Statystycznego* (1964) wskaźnik globalnej produkcji rolnictwa w 1961 r. wynosił 150 (1949 = 100), w 1962 spadł do 137, a w 1963 podniósł się do 143. Według wykresów podanych w *Ekonomiście*² spadek ten wyglądał jak następuje: indeks w 1961 roku wynosił około 139 (1950 = 100), w 1962 spadł mniej więcej do 115 podnosząc się w 1963 do 124. Wskaźniki produkcji roślinnej i zwierzęcej na głowę ludności podane przez Główny Urząd Statystyczny wyglądały jak następuje:

Rok	produkcja roślinna	produkcja zwierzęca
1949	100	100
1961	111,5	142,8
1962	94,4	142,4
1963	104,4	131,7

Pogłowie trzody chlewnej w czerwcu 1962 wynosiło 13,6 milionów sztuk, a w czerwcu 1963 — 11,7 milionów.

Ten stan rzeczy odbija się oczywiście na zaopatrzeniu ludności, powodując pogorszenie się ilości i struktury spożycia, na co całkiem słusznie zwraca uwagę p. Brodziński. Przeciętny Polak prawdopodobnie spożywa dziś więcej produktów wysokowartościowych niż spożywał przed wojną, a przede wszystkim je więcej mięsa i tłuszczów zwierzęcych. Lecz w 1963 r. był on zaopatrzony gorzej niż w 1961 i 1962; nie tylko spożywał mniej mięsa i tłuszczów niż w latach poprzednich, lecz również musiał zmniejszyć konsumpcję mąki pszennej i kaszy, a natomiast jeść więcej ziemniaków. To jest prawdopodobnie główne podłoże tych skarg na sytuację zaopatrzeniową, o których była mowa powyżej.

Problem, który te skargi nasuwają, wyraża się przede wszystkim w pytaniu w jakim stopniu te ujemne zjawiska należy uważać za czasowe załamanie się na ogół pomyślnego trendu, a w jakim stopniu ich źródła tkwią w wadach strukturalnych systemu gospodarczego oraz w polityce rządu? Pogorszenie sytuacji żywnościowej należy tłumaczyć przede wszystkim złym urodzajem w latach 1962 i 1963, co w swoich dalszych skutkach odbiło się na stanie pogłowia hodowlanego. Lecz pamiętać należy że są również przeszkody natury strukturalnej, szczególnie jeśli idzie o rozwój gospodarki hodowlanej. Rozwój ten napotyka na barierę w postaci bilansu płatniczego, bo wymaga dodatkowego importu paszy i zbóż. Podniesienie wydajności produkcji

2. J. Pajestka: *Analiza niektórych elementów polityki ekonomicznej Polski*, Nr 2, 1965.

roślinnej, aby uniezależnić się od tej przeszkody, jest warunkiem pomyślnego rozwoju hodowli. Plony na jednostkę powierzchni, chociaż na ogół wzrastają, są jednak znacznie poniżej poziomu szeregu krajów europejskich. Polska zużywa nawozów sztucznych na jednostkę użytków rolnych pięciokrotnie mniej niż Holandia, Belgia i Japonia, czterokrotnie mniej niż Zachodnie Niemcy oraz trzykrotnie mniej niż Dania. Toteż wielkim problemem strategii gospodarczej Polski musi być przyspieszenie dalszej rozbudowy przemysłu chemicznego.

2

Przemysł. Pytanie dotyczące źródeł obecnych trudności polskiej gospodarki staje się tym bardziej intrygujące jeżeli weźmiemy pod uwagę, że pogorszenie nastąpiło nie tylko w rolnictwie lecz również w zakresie szeregu nierolniczych gałęzi produkcji. W 1963 Polacy otrzymali mniej materiałów bawełnianych, mniej mydła i mniej niektórych innych wyrobów przemysłowych (np. pralek domowych) niż w 1962. Prócz tego w całym szeregu przemysłów wytwarzających dobra produkcyjne, oraz w budownictwie, nastąpiło w ostatnich latach obniżenie tempa wzrostu; i to pomimo utrzymania wysokiego poziomu nakładów inwestycyjnych.

Nikt oczywiście nie może zaprzeczyć, że w ciągu dwudziestolecia rządów komunistycznych dokonana została w Polsce znaczna rozbudowa przemysłu; chociaż można przypuszczać, że ogólny rozwój gospodarczy oraz wzrost stopy życiowej byłby znacznie większy gdyby państwo polskie nie zostało brutalną siłą odcięte od tego życiodajnego zastrzyku, którym dla Zachodniej Europy był plan Marshalla. Jest jednak trudno ująć ten wzrost w niewątpliwych wskaźnikach cyfrowych ze względu na to, że Polska przyjęła sowiecką metodę obliczania indeksów przemysłowych, która sztucznie podnosi wskaźniki rozwoju produkcji. Według tych wskaźników produkcja przemysłowa pomiędzy 1937 a 1962 rokiem wzrosła niemal dziewięciokrotnie. A. Zauberman, w książce, wydanej w zeszłym roku przez Królewski Instytut Spraw Międzynarodowych w Londynie, obliczył, po skorygowaniu inflacyjnych tendencji oficjalnego indeksu, że prawdziwy poziom produkcji przemysłowej w 1962 r. na obecnym terytorium Polski należy określić pomiędzy 255 a 316 przy przyjęciu poziomu 1937 jako 100%. Oznacza to, że produkcja przemysłowa w ciągu 25-letnia (1937-62) wzrosła 2½ — 3 razy, co również należy uznać za duże osiągnięcie, szczególnie jeżeli się weźmie pod uwagę, że w niektórych działach wzrost był znacznie większy niż ta przeciętna norma. Produkcja stali oraz surówki żelaza, na przykład wyrażona w jednostkach wagi, wzrosła w tym okresie niemal

3. Alfred Zauberman, *Industrial Progress in Poland, Czechoslovakia and East Germany, 1937-1962*, Oxford University Press, 1964, rozdział III.

sześciokrotnie, maszyn i narzędzi rolniczych blisko siedmiokrotnie, energii elektrycznej (w mld kwt) dziewięciokrotnie, nawozów azotowych siedmiokrotnie; podczas gdy w szeregu innych gałęzi, przeważnie wytwarzających dobra przeznaczone do bezpośredniego spożycia, wzrost był znacznie poniżej przeciętnej, obliczonej przez prof. Zaubermana.

Otóż w ciągu ostatnich lat ta krzywa wzrostu produkcji przemysłowej zaczęła opadać zbliżając się do pozycji poziomej. Są to nie tylko obserwacje zagranicznych specjalistów, lecz ten wniosek wynika również z oficjalnych, sztucznie rozdętych, wskaźników. Według oficjalnych wskaźników przeciętna stopa przyrostu produkcji przemysłowej w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych wynosiła 12,9% rocznie, w drugiej połowie 9,4%⁴ a w r. 1961 — 10%, w 1962 — 8%, w 1963 — 5%. W zakresie budownictwa wskaźnik wzrostu w stosunku do roku poprzedniego wynosił w 1962 — 10%, a w 1963 — 2%.

3.

Inwestycje. Zjawiskami które muszą być przede wszystkim zbadane, gdy rozważa się zmiany w dynamice produkcji, są procesy inwestycyjne, szczególnie inwestycje w trwałych urządzeniach produkcyjnych. Oczywiście musi tu chodzić o inwestycje w latach bezpośrednio poprzedzających badany okres, gdyż trudno spodziewać się zdecydowanych wyników inwestycji w roku ich dokonania. Otóż jest rzeczą godną uwagi, że w okresie poprzedzającym dyskusowany spadek wzrostu produkcji inwestycje były utrzymywane nie tylko na wysokim lecz stale wzrastającym poziomie. Nakłady inwestycyjne w gospodarce narodowej w cenach 1961 r. przedstawiają się jak następuje (w miliardach złotych)

1955 — 65,7	1959 — 94,4
1956 — 68,6	1960 — 100
1957 — 73,5	1961 — 107,4
1958 — 80,7	1962 — 119,1
	1963 — 122,7

W przeliczeniu na głowę ludności daje to następujący wskaźnik ciężaru, który spadał co roku na barki statystycznego Polaka w związku z inwestycyjną polityką rządu.

1955 — 2408 zł.	1960 — 3366 zł.
1956 — 2466 zł.	1961 — 3583 zł.
1957 — 2597 zł.	1962 — 3927 zł.
1958 — 2086 zł.	1963 — 3996 zł.
1959 — 3227 zł.	

4. J. Pajestka, *Ekonomista*, 1965, N 2, str. 232.

Z zestawienia wskaźników produkcji z nakładem inwestycyjnym w poprzednim okresie wynika więc, że w ostatnich latach nastąpiło pewne obniżenie się efektywności inwestycji w gospodarce polskiej. Oznacza to, że nowe gmachy, maszyny i urządzenia przyczyniają się dziś mniej do podniesienia produkcji, niż to było dziesięć czy dwadzieścia lat temu. Stajemy więc wobec konieczności próby wytłumaczenia tego zjawiska.

Zbadanie przyczyn tego załamania się trendów gospodarki polskiej wymaga bardziej dokładnej analizy, niż ta która może być przeprowadzona w tym miejscu. Lecz pewne najbardziej ogólne hipotezy mogą być wysunięte. Sądzę że rozważenie obecnej sytuacji gospodarczej w Związku Sowieckim może rzucić nieco światła również i na te trudności, przez które obecnie przechodzi Polska.

II. ZAHAMOWANIA W SOWIECKIEJ GOSPODARCE

4.

Stopa wzrostu. W Związku Sowieckim zjawiska świadczące o pewnym zahamowaniu procesów wzrostu gospodarczego wystąpiły mniej lub więcej wyraźnie już w drugiej połowie poprzedniej dekady. Spowodowało to nawet konieczność rewizji planów gospodarczych. W 1958 r. przerwano wykonywanie szóstego planu pięcioletniego; ogłoszony natomiast został plan siedmioletni, którego cele produkcyjne były na ogół niższe niż te, które musiałyby wynikać z trendu planów dotychczasowych. Na początku 1964 r., po wielkim kryzysie rolniczym 1963 r., ogłoszono plany na lata 1964 i 1965, które faktycznie anulowały plan siedmioletni i zawierały obniżenie cyfr docelowych w szeregu głównych odcinków produkcji przemysłowej (z wyjątkiem budowy maszyn gdzie zadania zostały podniesione)⁵ w okresie 1959-1963 w większości działów nastąpiło obniżenie wzrostu inwestycji, co oczywiście w dalszych konsekwencjach musiało pociągnąć obniżenie stopy wzrostu produkcji.

Ogłoszone w ostatnich czasach sprawozdania wielkich zachodnich instytucji badawczych, studiujących systemy komunistyczne, przynoszą więcej wskaźników świadczących o poważnym zahamowaniu wzrostu gospodarczego w europejskich krajach komunistycznych; w pewnych wypadkach można nawet mówić o załamaniu się tego wzrostu. Według sprawozdania komisji Europejskiej ONZ w Genewie dochód narodowy Czechosłowacji spadł w 1963 o 4% (po wzroście w 1962 tylko o jeden procent). Sprawozdanie podkreśla, że w 1964 r., po raz pierwszy od dłuższego

5. Gdy chodzi o bardziej dokładną analizę tej rewizji planu siedmioletniego patrz Judith Thornton, *The Soviet Two-Year Plan*, *Slavic Review*, 1964, Nr 3.

czasu, Sowiety nie ogłosiły wskaźnika wzrostu ich dochodu narodowego za rok poprzedni. Na tym tle można by powiedzieć, że wyniki gospodarki polskiej w roku 1963 wyglądają nie najgorzej. Pomiędzy państwami komunistycznymi w ostatnich kilku latach najwięcej zdolności do przeciwstawienia się tendencjom do depresji wykazały jednak Rumunia i Węgry.

Ogłoszone pod koniec 1964 r. sprawozdanie Ekonomicznego Komitetu Kongresu Stanów Zjednoczonych podaje obliczenia amerykańskich ekonomistów z których wynika, że w okresie 1958-63 roczny przyrost produktu narodowego (GNP) w Sowietach wynosił przeciętnie 4,6%, wówczas gdy w okresie 1950-58 był on 6,8%. W okresie 1958-63 Związek Sowiecki zajmował piąte miejsce na świecie pod względem stopy wzrostu produktu narodowego. Wyprzedzały go Japonia, Niemcy Zachodnie, Włochy i Francja, tzn. że sowiecka dynamika gospodarcza była w ostatnich latach słabsza, niż głównych krajów Wspólnego Rynku w Europie.

Według pewnych obliczeń, które ostatnio zostały ogłoszone w prasie, a które wymagają jeszcze przekontrolowania, to tempo wzrostu spadło w 1964 do 2,6%, wówczas gdy w Stanach Zjednoczonych wzrosło do 3,4%, czyli roczny przyrost produktu narodowego stał tam nie tylko absolutnie lecz również stosunkowo wyżej niż w Związku Sowieckim.

5.

Bariery. Nie ulega wątpliwości, że procesy rozwojowe gospodarki sowieckiej natrafiły na pewne bariery, których przełamanie nasuwa ogromne trudności. Szczegółowa analiza tych barier musiałaby przekroczyć znacznie ramy tego artykułu. Biorąc jednak rzecz najbardziej ogólnikowo, można powiedzieć, że polegają one zarówno na braku siły roboczej, jak i na niedostatecznym tempie formowania kapitałów realnych, a także na pewnych trudnościach bilansu płatniczego. Możliwe jest również, że pewną rolę odgrywają tu wahania cykliczne, których istnienie w gospodarce typu sowieckiego jest zresztą kwestią sporu pomiędzy ekonomistami.

Jest rzeczą prawdopodobną, że w zaostrzeniu się braku siły roboczej pewną rolę odgrywało przejście z 46 na 41 godzinny tydzień pracy. Planiści widocznie liczyli na to, że wzrost produktywności zrównoważy to zredukowanie czasu pracy, co jednak nie nastąpiło. Najważniejsza bariera polega jednak prawdopodobnie na tym, że każda gwałtownie rozwijająca się gospodarka w pewnej chwili dochodzi do punktu, od którego utrzymanie stałej stopy wzrostu produktu narodowego zaczyna wymagać wzrastającej stopy inwestycyjnej. Wynika to z dwóch względów. Po pierwsze, w miarę tego jak urządzenia produkcyjne starzeją się coraz większa część akumulacji bieżącej musi odchodzić na realne (a nie tylko buchalteryjne) odtworzenie zużytego kapitału

stałego, a coraz mniejsza na czyste inwestycje. Po wtóre, w miarę tego jak aparat produkcyjny staje się coraz bardziej kapitałowo nasycony, rośnie relacja pomiędzy kosztem nowych inwestycji rzeczowych a wartością uzyskanego przy pomocy tych inwestycji dodatkowego produktu (*incremental capital-output ratio*)⁶.

Oczywiście utrzymanie stałej stopy wzrostu produktu narodowego jest zawsze możliwe jeżeli jest odpowiedni przyrost rąk roboczych, lub jeżeli przychodzą ulepszenia techniczne odpowiednio powiększające produktywność kapitału i pracy. Lecz jeżeli te dwa czynniki — dodatkowe ręce robocze oraz nowa technika — nie występują w odpowiednim stopniu, konieczne staje się zwiększenie stopy inwestycyjnej. W systemie sowieckim oznacza to zwiększenie stopy oszczędzania przymusowego, tzn. zmniejszenie tego odsetka produktu narodowego, który jest przeznaczony na konsumpcję. Z natury rzeczy musi to wywołać pewien opór konsumentów. Stalin był dostatecznie silny aby ten opór łamać. Rządy po-stalinowskie tej siły nie mają i muszą bardziej liczyć się z interesami szerokich warstw ludności oraz nastrojami dołów partyjnych. Stąd przychodzi załamywanie się planów inwestycyjnych oraz tendencja do obniżenia się tempa wzrostu.

6.

Równoległość dwóch depresji. Interesującą cechą światowej sytuacji gospodarczej na przełomie szóstej i siódmej dekady obecnego stulecia była, zaznaczona już powyżej, równoległość fal pchających w kierunku obniżenia procesów rozwojowych w obydwóch kluczowych mocarstwach: w Związku Sowieckim oraz w Stanach Zjednoczonych. W Stanach w okresie 1948-56 przeciętna roczna stopa wzrostu produktu narodowego (GNP) była 4,7%, w zakresie zaś gałęzi objętych indeksem produkcji przemysłowej 5,7%; w okresie zaś 1956-62 poziom tych samych wskaźników wynosił — 3% oraz 1%⁷. W Ameryce ta fala tendencji depresyj-

6. Nie jest wykluczone, że to obniżenie się stopy wzrostu jest przejawem pewnego bardziej ogólnego prawa rozwoju gospodarczego, które, według niektórych badaczy, polega na tym że ekspansja sekularna wielkich przemysłów idzie wzdłuż tzw. krzywej logistycznej, tzn. krzywej podnoszącej się początkowo wolno, potem bardziej stromo i znów opadającej w kierunku pozycji poziomej. Bucharin sformułował tę koncepcję jako teorię gasnącej krzywej (*potuchajuszczej kriwoj*), która została bardzo ostro potępiona przez Stalina. Polscy ekonomiści wykazują jednak dość duże zainteresowanie zastosowaniem krzywej logicznej do interpretacji rozwoju gospodarczego. Patrz np., Lange, *Wstęp do ekonometrii* (Rozdz. I), Warszawa, 1961; Stefan Kurowski, *Historyczny proces wzrostu gospodarczego*, Warszawa, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1963.

7. Alvin H. Hansen, *The Postwar American Economy*, New York, 1964, str. 9.

nych przełamała się około 1963 r. (czy też raczej została przełamana jako skutek posunięć gospodarczo-politycznych administracji Kennedy'ego); i jest poważna podstawa do nadziei, że ta pomyślna koniunktura będzie trwała jeszcze kilka dobrych lat, a może nawet do końca obecnej dekady⁸. Tymczasem, jeżeli chodzi o Związek Sowiecki, perspektywy przedstawiają się wyjątkowo mętnie.

To, że tendencje depresyjne w Ameryce i Związku Sowieckim w ciągu ubiegłych kilku lat wykazywały pewną równoległość, nie oznacza oczywiście, że miały one wspólne źródło. Amerykańskie osłabienie wzrostu miało podłoże cyklicznych wahań koniunkturalnych, wówczas gdy sowieckie, jak to wynika z krótkiej analizy w poprzednim rozdziale, były raczej skutkiem przemian strukturalnych spowodowanych przez politykę gwałtownego uprzedmiotowienia.

Powstaje jednak pytanie, czy obecny *boom* zachodni jest możliwy do przerwania na Wschód, aby ułatwić Sowietom przełamanie ich trudności. Wiele na świecie może zależeć od odpowiedzi na to pytanie, a może jeszcze więcej od tego jak w Ameryce i Rosji widziane są przemiany zachodzące po przeciwnej stronie, a również jak są formułowane własne cele.

Wydaje się, że władcy Rosji stają wobec sytuacji, która pcha ich na rozdroże i w ciągu kilku najbliższych lat może narzucić konieczność przełomowych decyzji.

III. DYLEMAT SOWIECKIEJ POLITYKI GOSPODARCZEJ

7.

Prestige modelu Sowieckiego. Spadek dynamizmu gospodarki Sowieckiej poniżej wskaźników w głównych krajach kontynentu Europejskiego jest bolesnym uderzeniem w *prestige* modelu Sowieckiego w Azji i Afryce. Sowiety ogromnie imponowały nacjonalistom różnych krajów Azjatyckich przez to, że w tak szybkim tempie potrafiły zbudować potęgę przemysłową oraz na niej opartą potęgę militarną. Jeżeli jednak okazuje się, że ten model jest mniej gospodarczo efektywny, niż np. model Europejskiego Wspólnego Rynku, powstać może tendencja ponownego zwrócenia się do wzorów Europejskich.

Nowy program Partii Komunistycznej, uchwalony na XXII Zjeździe w 1962 r., głosi że jaskrawą cechą naszych czasów jest rosnąca niezdolność kapitalizmu do pełnego wykorzystania możliwości produkcyjnych gospodarki narodowej. Stąd niższa sto-

8. Przypuszczając że obecnie modna teoria trendu cyklicznego jest słuszna.

pa wzrostu produkcji na Zachodzie w porównaniu z tą, która charakteryzuje kraje pod rządami komunistów. Tymczasem w chwili gdy ten program był uchwalany, Związek Sowiecki i jego europejscy satelici byli pod tym względem poniżej głównych krajów Wspólnego Rynku oraz poniżej Japonii, która jeszcze u schyłku zeszłego stulecia wybrała drogę rozwoju opartego o pewne kombinacje prywatnej i publicznej inicjatywy.

Stawia to komunistów w bardzo niepomysłnej sytuacji pod względem propagandowym nie tylko dlatego że świeżo uchwalony program mija się z faktami życia, lecz również dlatego że u wielu ludzi we Wschodniej Europie i Azji zrodzić się może myśl, iż najlepszym ustrojem gospodarczym jest nie socjalizm i nie czysty kapitalizm, lecz raczej system mieszany stanowiący pewną kombinację zarówno jednego jak i drugiego. Większość państw europejskich stanowi dziś właśnie taką mieszaninę. Nacjonalizacja niektórych odcinków życia gospodarczego jest tam kombinowana z prywatną inicjatywą na innych; swoboda działalności gospodarczej jest kombinowana z usiłowaniami pewnego ramowego planu centralnego. Samo tworzenie Wspólnego Rynku stanowi wielki wysiłek planowania koordynującego na dłuższą metę politykę rządów, wielkich karteli, centralnych organizacji farmerskich oraz potężnych związków zawodowych.

Europa — tak długo jak te wysiłki dają wzrost trendów rozwojowych — jest w pozycji gospodarczej, która pozwala na podjęcie wielkiej ofensywy ideologicznej w stosunku do Wschodu. Ofensywa taka niekoniecznie miałaby prowadzić do pogłębienia rowu pomiędzy Zachodem a Wschodem: odwrotnie może nawet prowadzić do częściowego jego zasypania. Pragmatycznie usposobieni politycy i ekonomiści anglo-sascy mają awersję do sporów ideologicznych. Lecz niektórzy politycy niemieccy widzą wyraźnie okazję, którą dają obecne różnice w dynamice gospodarczej pomiędzy Zachodnią Europą a Sowieckim systemem⁹. Słabością Europy jest brak jasno sprecyzowanej doktryny, która by wskazywała nowe horyzonty masom ludności tęskniącej do jakiejś przemiany w Europie Wschodniej.

8.

Alternatywy. Ta niepomysłna, w porównaniu z Zachodnią Europą, pozycja gospodarcza i propagandowa narzuca sowieckiej elicie rządzącej konieczność jakiegoś reagowania. Reakcja ta może iść zasadniczo w dwóch kierunkach: albo może przyjąć formę nawrotu do stalinizmu, albo również może pójść w odwrotnym kierunku, prowadzącym do przemian strukturalnych, zmniejszających różnice pomiędzy systemem sowieckim a europejskim, żeby wykorzystać obiektywne zalety tego ostatniego.

9. Patrz Wenzel Jaksch, w symposium *Western Integration and the Future of Eastern Europe*, Chicago, 1964, str. 60 ff.

W Związku Sowieckim są siły pchające i w jednym i w drugim kierunku.

Stalinizm był systemem, który rozbudowywał aparat gospodarczy w drodze ogromnego nacisku na konsumpcję własnej ludności, częściowo nawet w drodze faktycznego odrodzenia niewolnictwa; a również, w okresie powojennym, w drodze eksploatacji gospodarczej satelitów. Metody stalinowskie zawierały wiele elementów, które obniżały produktywność sowieckiego systemu gospodarczego. Godny uwagi jest jednak fakt, że przerwanie posługiwania się takimi metodami zbieгло się z obniżeniem dynamizmu tego systemu. Może to w ramach sowieckiej elity stworzyć argument za powrotem do czasów stalinowskich.

Lecz powrót do stalinizmu wydaje się mało prawdopodobny ze względu na wielką niepopularność tego systemu wśród ludności i możliwości gwałtownego oporu ze strony dołów partyjnych. Jeżeli jest prawdą, jak podaje jugosłowiański historyk literatury Mihajlov, skazany ostatnio za obrazę Związku Sowieckiego, że około 10 tysięcy manuskryptów na temat łagrów przedłożono różnym wydawnictwom sowieckim, wskazuje to na ogromną ilość dynamitu psychicznego nagromadzonego wśród różnych warstw ludności sowieckiej.

Atmosfera psychologiczna odpowiednia do powrotu do stalinizmu mogłaby się jednak wytworzyć gdyby Rząd Sowiecki mógł posłużyć się argumentem bezpośredniego zagrożenia wojennego. Wojna w Azji południowo-wschodniej angażująca Stany Zjednoczone jest pożądana dla spadkobierców Stalina, bo może im dać tytuł do drastycznych posunięć wewnętrznych oraz do zwiększenia nacisku na satelitów europejskich. Związek Sowiecki jest dziś zainteresowany w tym, aby Stany Zjednoczone coraz bardziej angażowały się czynnie w Azji; tak samo jak swego czasu był zainteresowany w awanturze Sueskiej, bo to ułatwiło mu stłumienie powstania węgierskiego oraz rozegranie polskiego Października.

Jeżeli jednak powrót do stalinowskich metod okaże się całkiem nieaktualny, pozostają do rozważenia trzy zasadnicze linie polityki, które mogą przyczynić się, choć w bardzo nierównym stopniu, do podniesienia stopy wzrostu gospodarczego: po pierwsze, usprawnienie metod administracji gospodarczej, po drugie, obniżenie kolosalnych wydatków na siły zbrojne i atomowe, oraz po trzecie, dopuszczenie inwestycji zagranicznych tzn. oparcie dalszej rozbudowy aparatu gospodarczego nie tylko o wewnętrzne oszczędzanie przymusowe, lecz również o akumulację zagraniczną.

W ostatnich latach zainteresowanie pierwszą drogą znalazło swój wyraz w tzw. libermanizmie, to znaczy dyskusji na temat roli zysku jako kryterium decyzji gospodarczych, rozpoczętej przez emerytowanego profesora uniwersytetu Charkowskiego Libermanna. Prasa Zachodnia poświęca dużo miejsca tej dyskusji. Sądzę, że w ocenie znaczenia tego ruchu przez zachodnie periodyki jest dużo przesady. Kwestia jest bardziej techniczno-ad-

ministracyjna niż zasadnicza, i dotyczy zakresu swobody decyzji dyrektorów przedsiębiorstw sowieckich i ustalenia kryteriów, na których te decyzje muszą być oparte. Dyskusje na ten temat toczyły się również za czasów Stalina, gdy rozważono problem tzw. *chozrazczot'u* tzn. rachunku gospodarczego. Jest prawdopodobne, że zastosowanie się do zaleceń Libermanna może znacznie podnieść sprawność niektórych gałęzi przemysłu przetwórczego wytwarzających dobra bezpośredniego spożycia. Jest mniej prawdopodobne, aby to mogło w znacznym stopniu zaważyć na pracy podstawowych gałęzi przemysłu ciężkiego; oraz jeszcze mniej prawdopodobne, aby mogło to spowodować jakieś poważniejsze bezpośrednie podniesienie się stopy wzrostu produkcji, chociaż na dalszą metę może to istotnie przyczynić się do podniesienia efektywności pracy przemysłu sowieckiego. Nie wydaje się również prawdopodobne aby przyjęcie libermanowskiej recepty miało poważnie wpłynąć na zasadnicze proporcje w dystrybucji zasobów inwestycyjnych. Ta dystrybucja pozostanie kwestią decyzji czynników politycznych, nawet gdyby nastąpiło jakieś poważniejsze przesunięcie się w kierunku metod NEP'u. Nie jest jednak wykluczone, że libermanizm może odegrać dużą rolę w przygotowaniu warunków psychicznych dla bardziej zasadniczych przemian.

Jeżeli chodzi o drugi szlak możliwej polityki, tzn. obcięcie wydatków wojennych, to zdaje się nie ulegać wątpliwości, że radykalne rozbrowienie, oparte o traktaty międzynarodowe, musiałoby zwolnić ogromne zasoby produkcyjne i spowodować ich przesunięcie do najbardziej zacofanych odcinków życia gospodarczego, tzn., do inwestycji rolniczych, przemysłu nawozów sztucznych, przemysłów wytwarzających dobra bezpośredniego spożycia, budownictwa mieszkaniowego i t.d. Spowodowałoby to podnoszenie się stopy życiowej. Jest całkiem prawdopodobne, że wysunęłoby to Związek Sowiecki znowu na pierwsze miejsce na świecie pod względem stopy wzrostu produkcji globalnej, wówczas gdy Stany Zjednoczone miałyby duże, chociaż przejściowe, trudności z dopasowaniem swego rynku do nowej sytuacji. Lecz możliwość powszechnego rozbrowienia należy w chwili obecnej do dziedziny czysto akademickich rozważań.

W tej sytuacji najbardziej realną drogą podniecenia słabnących procesów wzrostu gospodarczego byłoby uczynienie pierwszej od czasu Lenina próby przyciągnięcia na większą skalę inwestorów zagranicznych.

9.

Stosunek do kapitału zagranicznego. Uprzemysłowienie Rosji w końcu XIX oraz początkach bieżącego stulecia było w bardzo dużym stopniu oparte o przyływ kapitału zagranicznego, chociaż oszczędzanie przymusowe poprzez nacisk na chłopów odegrywało również dużą rolę za czasów Wyszniegradzkiego i Wittego.

Lenin, gdy go nadzieje na rewolucję niemiecką zawiodły, szukał również sposobów przyciągnięcia inwestycji zagranicznych. Lenin dążył przede wszystkim do ustabilizowania władzy partii bolszewickiej i utrzymania w jej rękach pewnych ośrodków dyspozycji gospodarczej, które nazywał „wzgórzami strategicznymi” (*komandnyje wysoty*), tzn. przede wszystkim banków i wielkiego przemysłu. Poza tym jednak był przygotowany na dłuższy okres współpracy z kapitałem zagranicznym i powtarzał często, że socjalistyczni kierownicy gospodarki narodowej muszą uczyć się u kapitalistów i za tę naukę trzeba czasami płacić.

Ten program, jak wiadomo, nie udał się, bo kapitał zagraniczny nie miał zaufania do terenu rosyjskiego w początku lat dwudziestych. Kapitał międzynarodowy idzie przeważnie tam gdzie jest duży dynamizm, a więc również widoki dużych zysków. Gdy te widoki istnieją dba on mniej o bezpieczeństwo, płynie, na przykład, dziś do Hong-Kongu, który geograficznie stanowi małą narośl na wargach paszczy smoka chińskiego. Państwa komunistyczne wykazały od początku lat trzydziestych duży dynamizm gospodarczy. Jest więc rzeczą prawdopodobną, że będą stanowiły magnes dla inwestycji międzynarodowych, jeżeli tylko ku temu otworzą się jakieś możliwości.

W Związku Sowieckim przeszkodą do tego rodzaju rozwiązania obecnych trudności mogą być pewne argumenty doktrynalne. Gdy Lenin otwierał bramę dla inwestycji zagranicznych, Rosja, według jego definicji, była w okresie przejściowym od kapitalizmu do socjalizmu. Inwestycje zagraniczne miały przyczynić się do stworzenia niezbędnych przesłanek dla gospodarki socjalistycznej — i w ten sposób ułatwić to przejście. Obecnie nowy program Partii, uchwalony w 1962 r., ogłasza na cały świat, że ten okres przejściowy już się skończył, pełny socjalizm został w Związku Sowieckim osiągnięty, oraz rozpoczął się marsz ku komunizmowi, który ma stanowić szczytową formę społeczno gospodarczego ustroju. Niektórzy komuniści mogą uważać, że wywieszenie tego rodzaju szyldu musi wykluczyć nawroty do metod z okresu NEP'u.

Z drugiej jednak strony fakt, że dziś w Związku Sow. ośrodki dyspozycji zdają się coraz bardziej przesunąć z rąk scholastyków marksistowskich do rąk pragmatycznie myślących organizatorów przemysłu, stwarza prawdopodobieństwo, że argumenty zdrowego sensu oraz realnych korzyści gospodarczych będą tam miały przewagę nad mentalnością prymitywów intelektualnych wyhodowanych w cieplarnianej atmosferze mitu komunistycznego.

Z powyższych rozważań nie wynika wcale twierdzenie, że Związek Sowiecki istotnie zacznie wkrótce szukać współpracy na większą skalę z kapitałem zagranicznym. Nie czynię tu żadnej przepowiedni. Twierdzę jedynie, na zasadzie analizy światowej sytuacji gospodarczej, że istnieją dość poważne przesłanki dla wyboru tej drogi przez kierowników polityki Sowieckiej. Przesłanki te dają się zsumować jak następuje: 1) zatamowania w rozwoju gospodarczym Związku Sowieckiego i większości sa-

telitów; 2) dobra koniunktura na Zachodzie; 3) przodująca rola Wspólnego Rynku, dokąd płyną inicjatywa i kapitały oraz ucieka złoto ze skarbców amerykańskich; 4) tendencje do odprężenia politycznego pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Sowieckim; 5) tendencje w Związku Sowieckim do przesuwania się ośrodków dyspozycji do rąk managerów przemysłowych; 6) „libermanizm” który implikuje leninowską tezę, że Sowieccy administratorzy gospodarczy mogą się wielu rzeczy nauczyć od menagerów kapitalistycznych. Wszystkie te elementy sprawiają, że pewien zwrot w sowieckiej polityce gospodarczej w kierunku bliższej współpracy z kapitałem zagranicznym staje się bardzo prawdopodobny.

Stwierdzenie to stanowi również element sytuacji, na której tle problem wyprowadzenia Polski z obecnego impasu gospodarczego musi być rozważany. Najważniejszą jednak cechą tej sytuacji jest to, że *sowiecka polityka gospodarcza jest na rozdrożu* i że może przyjąć kilka różnych kierunków. W tych warunkach żaden rząd satelicki, chociażby najbardziej posłuszny i lojalny wobec Rosji, nie może czekać aż ustali się nowy model sowieckiej polityki, lecz musi na własną rękę podjąć niezbędne kroki aby własną gospodarkę wyprowadzić z marazmu.

Do tego dochodzi inny element. Jeżeli twierdzenie, że rosyjska polityka gospodarcza jest na rozdrożu jest słuszne, postawa zajęta przez satelitów może stać się czynnikiem decydującym o przechyleniu się szali. Jesteśmy więc świadkami sytuacji, która nieraz zdarza się w historii. Rządy które przyszły do władzy jako mandatarjusze obcych ośrodków dyspozycji i były przezeń przeznaczone do roli wyłącznie wykonawczej, stają wobec warunków, które dają im możliwość samodzielnego zaważenia na dalszych szlakach historii.

IV. KLUCZOWE PROBLEMY GOSPODARKI POLSKIEJ

Poprzednie rozdziały były poświęcone fluktuacjom tego środowiska, w którym polska polityka gospodarcza musi operować. Dlatego jednak aby sformułować program działania wśród tych zmieniających się tendencji, trzeba jasno uświadomić sobie na czym polegają te główne problemy, do których rozwiązania ta polityka musi zmierzać.

Kluczowe problemy Polski dotyczą przede wszystkim podstawowych czynników produkcji. Po pierwsze, jest to problem ukrytego bezrobocia, które rośnie nadal w Polsce dzisiejszej, chociaż na mniejszą skalę niż to było przed wojną. P. Brodziński podaje, że w samym województwie Rzeszowskim nadmiernie siły roboczej na wsi jest obliczany na 100.000 osób. Po drugie jest to groźba otwartego bezrobocia z powodu szybszego wzrostu podaży rąk

roboczych niż rozbudowy warsztatów dla ich zatrudnienia. Jest to problem, który z punktu widzenia rynku pracy, omawiała ostatnio na łamach „Kultury” p. Miedzińska. Po trzecie jest to kwestia surowców dla przemysłu i gospodarstw hodowlanych, i w związku z tym problem bariery, którą dla polityki rozbudowy gospodarczej stanowi bilans płatniczy.

10.

Kapitał i zatrudnienie. Najważniejszą trudnością Polski dzisiejszej, tak samo jak i przedwojennej, jest to, że Polska dla zatrudnienia swojej wzrastającej ciągle ludności potrzebuje ciągłej rozbudowy różnego rodzaju urządzeń i ciągłego powiększenia ilości narzędzi produkcyjnych, tzn. potrzebuje kapitałów. Kapitalizacja wymaga czyichkolwiek oszczędności. W gospodarce prywatno-kapitalistycznej przeważna część tych oszczędności pochodzi z dochodów ludzi bogatych, lub też (np. w Anglii) z zysków wielkich spółek przemysłowych i handlowych. Cechą krajów rządzonych przez komunistów jest to, że kapitalizacja jest dokonywana przez państwo w drodze bardziej bezpośredniego nacisku na konsumpcję ludności. Rodzi to ogromne braki i cierpienia w życiu ludności robotniczej a szczególnie chłopskiej. Za czasów Stalina główną funkcją kołchozów polegała nietylko na organizowaniu produkcji rolniczej, ile na przepompowywaniu tej produkcji do dyspozycji państwa.

Od czasów stalinowskich jedną z podstawowych cech systemów komunistycznych jest, że zabierają one zwykle ponad jedną czwartą dochodu narodowego na odtworzenie kapitałów zużytych jak również na tworzenie nowych. Jeżeli dodamy do tego ogromne wydatki zbrojeniowe tych systemów, to dojdziemy do przekonania, że w państwach komunistycznych blisko połowa dochodu narodowego jest zabierana na te dwa cele: akumulację oraz zbrojenia. Tłumaczy to ogromną różnicę w tempie wzrostu stopy życiowej pomiędzy krajami komunistycznymi a krajami zachodnimi. W Harvardzie obliczono, że wskaźnik zarobków realnych robotnika rosyjskiego w r. 1958 był wciąż poniżej poziomu 1928 r., tzn. ostatniego roku przed rozpoczęciem przez Stalina forsownego uprzemysłowienia¹⁰.

Polska powojenna, przyjmując model sowiecki, z natury rzeczy musiała również zastosować wysoką stopę akumulacji. W środku lat pięćdziesiątych dochodziła ona według niektórych obliczeń do 30% dochodu narodowego. W 1954 r. A. Zauberman obliczył że inwestycje, razem z wydatkami na wojsko i administrację państwową, pochłaniały 55% dochodu narodowego, pozos-

10. A. Bergson, *The Economics of Soviet Planning*, 1964, Yale University Press, str. 314. Wskaźniki konsumpcji na głowę ludności wypadają nieco wyżej ze względu na to, że w stosunku do 1928 r. wzrosła ilość zatrudnionych członków rodzin w wielu rodzinach robotniczych.

tawiając jedynie 45% na konsumpcję tych co nie należeli ani do sił zbrojnych ani administracji państwowej¹¹. Według tych samych obliczeń indeks realnych płac wyrażonych w jednostkach żywienia przedstawiał się w Polsce jak następuje:

	1939	1950	1953
indeks miesięcznych wynagrodzeń	100	83	41
indeks wynagrodzeń za godzinę pracy	100	56	30

Wynika stąd, że w okresie stalinowskim robotnik polski nie tylko otrzymywał mniej niż przed wojną, lecz na ten obniżony w stosunku do czasu przedwojennego zarobek musiał pracować większą ilość godzin. Dlatego, aby utrzymać przedwojenną stopę życiową swojej rodziny robotnik musiał albo posyłać do pracy żonę, albo szukać dodatkowego zajęcia. Pownym jednak ułatwieniem było to, że o to dodatkowe zajęcie było o wiele łatwiej niż przed wojną.

Sytuacja ta uległa zmianie po październiku 1956, który przyniósł nie tylko podniesienie płac realnych, lecz przede wszystkim usunięcie tego znienawidzonego aparatu eksploatacji wsi, który stanowiły gospodarstwa przymusowo skolektywizowane. Tej poprawie pozycji konsumenta towarzyszyło jednak pewne obniżenie się stopy wzrostu produktu narodowego, która w 1950-1955 wynosiła 8,8% rocznie, a w 1955-60 — 6,6%, chociaż wskaźnik stopy akumulacji był przez cały czas utrzymywany na dość wysokim poziomie¹². Trzeba pamiętać, jak to już było wskazane powyżej, że utrzymanie stałej stopy wzrostu produkcji wymaga często wzrastającej stopy oszczędzania. „Rocznik Statystyczny” (1964) podaje jako wskaźnik akumulacji w 1962 r. 23,7%, czyli o pięć punktów wyżej niż wskaźnik sowiecki (28,2%).

To obniżenie dynamiki wzrostu oraz pewne obniżenie stopy akumulacji stanowi argument na rzecz różnych skrajnych elementów w ramach rządzącej partii, które reprezentują koncepcję polityki silnej ręki i, w związku z tym, wyższej stopy akumulacji, jako drogi do przyspieszenia uprzemysłowienia. Jest całkiem prawdopodobne, że właśnie ten argument wpływa w pewnym stopniu na politykę gomułkowskiego *régime'u*, który coraz częściej wysuwa różnego rodzaju „stalinistów” (czy też „natolińczyków”) na kierownicze stanowisko. Jest w tym pewna logika, bo stalinizm jest w zasadzie systemem konsekwentnym, jakkolwiek nieludzkim i prowadzącym do wskrzeszenia niewolnictwa na świecie.

Lecz rozbudowa gospodarcza, niezawsze jest oparta wyłącznie o akumulację wewnętrzną. W dziejach rozwoju gospodarki współczesnej bardzo dużą rolę odegrał międzynarodowy obrót kapitałów. Potęgą gospodarczą Stanów Zjednoczonych wyrosła

11. The Dilemma of Polish Economy, *The World Today*, April, 1954 pp. 173-4.

12. J. Pajestka, *Życie Gospodarcze* Nr 40/524, 1962.

w oparciu o ogromne inwestycje europejskie dokonywane tam przed pierwszą wojną światową. To samo można powiedzieć o Kanadzie, Australii oraz Afryce Południowej. Szybka odbudowa przemysłu niemieckiego po pierwszej i po drugiej wojnach światowych była oparta o przyływ kapitałów amerykańskich. W ostatnich latach coraz większą rolę zaczyna w świecie odegrywać kapitał japoński. Lenin w początkach lat dwudziestych spodziewał się również, że oszczędności dokonywane za granicą będą mogły być wykorzystane dla budowania przemysłu w Rosji po rewolucyjnej.

Polska od czasu I wojny światowej była w szczególnie niefortunnej pozycji jeżeli chodzi o inwestycje kapitału zagranicznego. Gdy w latach dwudziestych, przed początkiem wielkiej depresji kapitały amerykańskie płynęły do Europy, o ich przenikaniu do naszej części świata decydowały w dużym stopniu banki niemieckie. Mieliśmy w tamtym okresie tzw. wojnę celną z Niemcami. Nie jestem pewny czy ta wojna była do uniknięcia, lecz różne jej okoliczności zaciążyły fatalnie na dalszym rozwoju gospodarczym Polski. Pożyczka stabilizacyjna w 1927 r. (w której realizacji dużą rolę odegrał między innymi John Foster Dulles) miała przyczynić się do stworzenia bezpośredniego kontaktu pomiędzy bankami amerykańskimi a polskim rynkiem inwestycyjnym. Lecz przyszła ona zbyt późno, aby nowa atmosfera mogła być wykorzystana przed wybuchem wielkiego kryzysu, który niemal na dziesięciolecie zatrzymał międzynarodowy obrót kapitałów.

Po II-giej wojnie na całym dalszym rozwoju Polski fatalnie odbiło się to, że została ona odcięta od planu Marshalla, który stworzył podstawy do dzisiejszego żywiołowego rozkwitu Europy Zachodniej. Kiedy w oparciu o pomoc amerykańską Niemcom pozwolono lizać rany, Polska została poddana bolesnemu procesowi przymusowego oszczędzania i, oprócz tego, musiała płacić haracz Związkowi Sowieckiemu, który w owym czasie odbudowywał się po wojnie, a jednocześnie przeprowadzał dalsze zbrojenia na kolosalną skalę. Haracz ten był pobierany przeważnie w formie dostaw, za które płacono śmiesznie małe ceny. Ygael Gluckstein w swojej książce o satelickich państwach w Europie obliczył, na zasadzie porównania ceny węgla na rynku międzynarodowym z tą którą Polska otrzymywała za dostawy do Rosji, że pomiędzy 1946 a 1952 Związek Sowiecki zarabiał na tych transakcjach około 100 milionów dolarów rocznie, sumę większą niż w jakimkolwiek roku panowania kolonialnego kapitaliści brytyjscy byli w stanie wyciągnąć ze swoich inwestycji w Indiach¹³. Bardzo ważnym wynikiem „Polskiego Października” w 1956 r. było to, że ta typowo kolonialna eksploatacja została przerwana; w każdym razie w jej najbardziej jaskrawych formach.

Wynika z tych rozważań, że wielką przeszkodą dla podnie-

13. Ygael Gluckstein, *Stalin's Satellites in Europe*, London 1952, p. 67.

sienia dynamiczności polskiej gospodarki jest to, że Polska dziś nie jest włączona do międzynarodowego obrotu kapitałów oraz usług produkcyjnych. Z tego też punktu widzenia należy powitać jako zjawisko dodatnie wiadomość podaną przez prasę o gotowości warszawskich czynników decydujących do udzielenia koncesji niektórym firmom zagranicznym na budowanie ich zakładów w Polsce; a również o zakładaniu przedsiębiorstw mieszanych opartych częściowo na państwowym a częściowo na prywatnym kapitale zagranicznym. Idea nowego planu Marshalla specjalnie dla Europy Wschodniej, która kilkakrotnie była wysuwana w ciągu ostatnich kilku lat, została ostatnio na nowo podjęta w szeroko dyskutowanej książce prof. Brzezińskiego o drodze do nowej Europy. Sądzę również, że p. Brodziński ma stuprocentową rację gdy twierdzi, że należy wykorzystać pomyślną koniunkturę, która dla tego rodzaju planów istnieje w Niemczech. Jeżeli chcemy aby Polska zbliżyła się do Europy i aby włączyła się w jakiejś formie do spontanicznych procesów rozwojowych, które się tam odbywają, musimy oczywiście dążyć do odprężenia psychicznego w stosunkach polsko-niemieckich.

Pisząc o koncepcji włączenia Polski i całej środkowo-wschodniej Europy do międzynarodowego obrotu kapitałów wspomnieć również należy o wysuniętym w okresie wojny projekcie wielkich spółek inwestycyjnych, które by podjęły się uprzemysłowienia niektórych zacofanych gospodarczo rejonów środkowo-wschodniej Europy. Autorem tego projektu był prof. P. Rosensztejn-Rodan, który podczas wojny kierował działem studiów środkowo-europejskich w Królewskim Instytucie Spraw Międzynarodowych w Londynie. Artykuł jego, omawiający te sprawy, zamieszczony w 1943 r. w *Economic Journal*, zyskał szeroki rozgłos na świecie z powodu analizy, która odegrała pionierską rolę w zakresie studiów nad krajami gospodarczo opóźnionymi. Sam jednak projekt uległ zapomnieniu, bo bezpośrednio po wojnie warunki polityczne nie sprzyjały jego realizacji.

Dziś, gdy przedstawiciele rządu warszawskiego mówią o możliwości spółek opartych o kapitał mieszany, koncepcje Rosensztejn-Rodana należy na nowo przemyśleć. Spółki takie mogłyby stanowić kanały, poprzez które oszczędności Polonii zagranicznej mogłyby być zmobilizowane dla rozbudowy aparatu gospodarczego Polski. Polonia jest dostatecznie dojrzała aby odróżnić pomiędzy politycznym stosunkiem do rządu narzuconego Polsce przez Związek Sowiecki a stosunkiem do aktywności tegoż rządu tam, gdzie on zmierza do rozbudowy sił wytwórczych kraju. Oczywiście że papiery emitowane przez tego rodzaju spółki musiałyby posiadać odpowiednie gwarancje, aby wejść na rynek. Poza tym jest również rzeczą zrozumiałą, że ten projekt mógłby odegrać większą rolę w rozbudowie polskiego aparatu produkcyjnego tylko wówczas, gdyby aktywność tych spółek udało się rozwinąć na dostatecznie szeroką skalę. Wysiłki Lenina podjęte w początku lat dwudziestych, aby przyciągnąć kapitał zagranicz-

ny do Rosji upadły, bo akcji nie udało się rozwinąć na odpowiednią skalę. Dziś koniunktura jest jednak inna. Gdyby podobne projekty zostały podjęte na większą skalę, mogłoby to stanowić nie tylko zdynamizowanie gospodarki polskiej, lecz może nawet otworzenie nowej epoki w stosunkach pomiędzy Zachodem a Wschodnim Blokiem.

Może być wysunięta obiekcja, że zapraszanie kapitału zagranicznego nie da się pogodzić z centralnym planowaniem. Nie sądzę aby ta obiekcja była słuszna. Cokolwiek by twierdzili doktrynerzy prywatnej inicjatywy (którzy często są jeszcze bardziej zaślepieni niż doktrynerzy zrodzeni z degeneracji marksizmu) inicjatywa ta jest raczej przyciągana niż odpychana przez podjęcie przez państwo wielkich planowych inwestycji. Widzimy to w naszych czasach na przykładzie Indii. Widzieliśmy to również w Polsce gdy pierwsze prawdziwe ożywienie pomiędzy wojnami nastąpiło dopiero wtedy gdy zaczęliśmy budować COP.

Przedstawione tutaj projekty nie muszą być rozumiane w tym sensie, że kapitał zagraniczny ma zastąpić własny wysiłek Polski w zakresie rozbudowy gospodarczej. Gros tej rozbudowy musi być oparte o akumulację wewnętrzną oraz o inicjatywę publiczną. Kapitał zagraniczny może jednak ułatwić sytuację przez stworzenie dodatkowego zatrudnienia oraz przez pogłębienie modernizacji aparatu wytwórczego.

Lenin, gdy podejmował swoje projekty przyciągnięcia kapitału zagranicznego do odbudowy Rosji, musiał być bardzo ostrożny bo nie miał własnego aparatu planowania. Dziś rząd warszawski ma do swojej dyspozycji nie tylko wielkie doświadczenie planowania sowieckiego, które jest planowaniem czysto urzędniczym w kraju gdzie wszystkie siły społeczne zostały stłumione; lecz również doświadczenie prób zachodnio-europejskiego planowania powojennego, które polega na koordynowaniu publicznej i prywatnej inicjatywy i koordynowaniu żywych sił społecznych. Polska jest dzisiaj w stanie naprawdę stworzyć swój własny postępowy model zarządzania gospodarką narodową, który może nabrać historycznego znaczenia. Lecz dlatego potrzeba, aby ludzie, którzy dziś rządzą w Warszawie, mieli pewną wizję własnej roli na obecnym zakręcie dziejowym, oraz mniej strachu przed żywymi siłami narodu polskiego.

11.

Dylemat pracochłonnych przemysłów. W związku ze sprawą zatrudnienia p. Brodziński uważa, że źródła zła trzeba szukać w polityce inwestycyjnej lat ubiegłych, która hołdowała zasadzie pierwszeństwa przemysłu ciężkiego, a lekceważyła przemysły pracochłonne. Sądzi, że zasada pierwszeństwa przemysłu ciężkiego musi być zrewidowana, bo „Polski nie stać na gigantyczne inwestycje produkujące półfabrykaty o minimalnej zawartości

czynnika pracy". Wysuwa więc tezę rewizji istniejących planów perspektywicznych w tym sensie.

Pani Miedzińska, która we wrześniowym numerze „Kultury” bardziej szczegółowo omawia sprawę zatrudnienia, jest jednak bardziej ostrożna w wysuwaniu postulatów rewizji zasad polityki inwestycyjnej. Sądzę, że ta ostrożność jest godna zalecenia. Ci co ponoszą odpowiedzialność za polską politykę gospodarczą muszą dbać nie tylko o zabezpieczenie zatrudnienia dla wzrastającej ludności, lecz również o to, aby polska praca stawała się coraz bardziej wydajna. A to wymaga polityki inwestycyjnej na wielką skalę.

Rewizja planów w kierunku pierwszeństwa dla pracochłonnych przemysłów oznaczałaby koncepcje Polski jako agrarnego przedpola imperium Sowieckiego, skąd do tego imperium płynęłaby siła robocza oraz niektóre dobra bezpośredniego spożycia. Taki pogląd na rolę europejskich satelitów zdaje się istnieć wśród niektórych kierowników dzisiejszej Rosji. To są właśnie te tendencje przeciwko którym zbuntowali się ostatnio komuniści rumuńscy.

My, emigranci polityczni, uważamy wepchnięcie Polski w tryb bloku Sowieckiego za zbrodnię i gwałt dokonany nad naszym narodem przez mocarstwa w okresie likwidacji ostatniej wojny. Jeżeli jednak Polska ma w tym bloku pozostać, to nasz interes narodowy wymaga, aby była ona tam nie przedpołem agrarnym, lecz przemysłowo uzbrojonym współczynnikiem i pierwszą siłą po Rosji. Jakiegokolwiek bądź nieprawości i błędy obciążają rządy komunistyczne w Polsce nie należy do nich fakt, że starają się one rozbudować aparat przemysłowy. Słowa te dotyczą, oczywiście, podstawowych zasad polityki gospodarczej, a nie możliwych błędów w rozdziale zasobów pomiędzy poszczególne gałęzie produkcji.

P. Brodziński uważa, że w szczególności stal jest terenem przerostów inwestycyjnych. Należy jednak wziąć pod uwagę, że, pomimo osiągnięcia 8 mil. ton w r. 1963, produkcja stali w Polsce w przeliczeniu na głowę ludności jest wciąż niższa niż w Związku Sowieckim; jest mniej więcej na poziomie Włoch (pomimo, że dla tej produkcji są one w gorszych warunkach naturalnych niż Polska, bo nie mają węgla) i jest na pewno poważnie poniżej poziomu czeskiego oraz poniżej poziomu Wschodnich Niemiec. Produkcja stali pomiędzy 1955 a 1963 rokiem wzrosła o 4,4, milionów do 8 mil. ton; wówczas gdy eksport produktów hutniczych w tym samym okresie wzrósł z 248 tysięcy do 927 tysięcy ton, czyli lwią część tego przyrostu została wchłonięta przez rynek wewnętrzny, co jest świadectwem rozwoju przemysłowego. (i prawdopodobnie również rosnących zbrojeń). Wydaje się więc jasne, że dalszy rozwój będzie wymagał dalszej rozbudowy zarówno przemysłu hutniczego jak i przemysłu chemicznego.

P. Miedzińska wskazuje na ogromną rozpiętość kosztów two-

żenia zatrudnienia w lekkich i ciężkich przemysłach. W przemyśle odzieżowym stworzenie warsztatu dla jednego robotnika wymaga zainwestowania 20.000 złotych, wówczas gdy w przemyśle nawozów sztucznych 1,250,000 złotych. A jednak Polska musi rozbudowywać przemysł nawozów sztucznych, bo od tego zależy przyszłość naszego rolnictwa.

12

Rola rzemieślnika. Przykłady te ilustrują ogromne trudności pogodzenia dwóch rzeczy: tworzenia zatrudnienia z jednej strony i wprowadzanie nowoczesnej techniki ze strony drugiej. Nie myślę aby ten problem był możliwy do rozwiązania przez jakieś przesunięcie zasobów inwestycyjnych do przemysłów pracochłonnych przy jednoczesnej redukcji rozbudowy technicznie zaawansowanego odcinka gospodarki narodowej. Sądzę że, raczej odwrotnie, sytuacja wymaga wycofania przedsiębiorczości państwowej z niektórych działów przemysłu lekkiego i pozostawienie zaopatrzenia pewnych potrzeb rynku inicjatywie niezależnych drobnych wytwórców. Byłoby to przyjęcie rozwiązania hinduskiego, gdzie obydwie dyskutowane tutaj problemy — wprowadzania nowoczesnej techniki i tworzenia pracochłonnych działów produkcji — przedstawiają się jeszcze bardziej ostro niż w Polsce, lecz gdzie panuje wolna myśl ludzka, nie ujęta w obcęg martwych formułek, tak jak to jest w krajach komunistycznych.

Sztuka prowadzenia narodu po szlaku wzrostu gospodarczego wymaga umiejętności zmobilizowania wszystkich czynników produkcji i wszystkich sił żywiołowych istniejących w społeczeństwie. Absurdalna wojna, którą administracja polska prowadzi przeciwko rzemieślnikom i drobnym kupcom, jest marnowaniem potencjału produkcyjnego narodu i prowadzi do obniżania standardu życia. Wojna ta wynika częściowo z symplicystycznej interpretacji niektórych tez marksowskich, częściowo z nieudolności administracji w kontrolowaniu dystrybucji surowców. Spycha ona bezrobotnego w „podziemie gospodarcze” i zmusza go kraść. Marks przywiązywał ogromne znaczenie do budowania technicznych oraz psychologicznych przesłanek socjalizmu. W praktyce polskiej (tak samo zresztą jak i sowieckiej), kształtowanie tych przesłanek przetworzyło się w swoistą szkołę złodziejstwa, która nie przybliżyła lecz oddala ludzką od tego, co w XIX wieku było uważane za społeczeństwo socjalistyczne.

W 1955 było w Polsce 77 tysięcy zakładów rzemieślniczych zaliczonych do działu „Przemysł” w *Roczniku Statystycznym*. Po październiku ta cyfra zaczęła się podnosić i osiągnęła prawie 113 tysięcy. Po 1958 r. nowa fala nacisku na samodzielnego drobnego wytwórcę zepchnęła tę liczbę w dół do 98 tysięcy w 1963 r. Niektóre osoby przybywające z kraju twierdzą, że na szczytach administracji gospodarczej nie brak dobrej woli w zakresie po-

prawienia pozycji rzemieślnika i drobnego przedsiębiorcy. Jeżeli tak jest naprawdę — to wola ta jest niedostatecznie uparta. Należy przypuszczać że jednym z najtrudniejszych problemów jest tu przeorganizowanie systemu dystrybucji surowców tak, aby samodzielni wytwórcy mogli je zdobywać bez popełniania nadużyć.

Wszystko co żyje i myśli w kraju i poza krajem, w Partii i poza Partią, musi przeciwstawiać się absurdom, wynikającym z polityki administracji wobec krawców, szewców, stolarzy, ślusarzy i drobnych wytwórców.

13

Sprawa surowców. P. Korczyński zwraca uwagę na pewne specyficzne okoliczności, które powodują że sowieckie gospodarcze trudności niemal automatycznie pociągają za sobą bolesne refleksy w Polsce. Chodzi mianowicie o to, że w okresach gdy Sowiety szczególnie ostro odczuwają brak dewiz, zaczynają one zawodzić satelitów, a przede wszystkim Polskę, z dostawą surowców. Wielkie zakupy zboża na przełomie 1963 r. i 1964 r. kosztowały Związek Sowiecki około miliarda dolarów i spowodowały poważny odpływ złota. Obecnie przychodzą wiadomości o nowych zakupach w Kanadzie na dużą skalę. Powoduje to, jak twierdzi p. Korczyński, że Sowiety w pogoni za dewizami usiłują coraz bardziej lokować swoje surowce eksportowe poza blokiem komunistycznym.

Tymczasem zależność polskiej gospodarki od sowieckich surowców jest istotnie wyjątkowo duża. Przed wojną jedynym ważniejszym surowcem sprowadzanym ze Związku Sowieckiego były rudy żelazne (blisko 20% całego importu); bawełna była zakupowana przeważnie w Stanach Zjednoczonych, Egipcie i Indiach, miedź w Chili i Belgii, wełna w Australii i Anglii, złom w Stanach Zjednoczonych i Anglii. Ropa naftowa w polskim handlu zagranicznym nie odgrywała żadnej większej roli, gdyż byliśmy pod tym względem samowystarczalni. Dziś, przy znacznym rozbudowaniu aparatu produkcyjnego, Polska otrzymuje ze Związku Sowieckiego 80% całości importu rudy żelaznej; 81% rudy manganowej; 45 % bawełny; 100% ropy naftowej; 80% przetworów naftowych; 75% węgla koksującego; 23% miedzi; 20% ołowiu itd. Prócz tego w r. 1963 ZSSR dostarczyło Polsce 85% importu żyta, 36% jęczmienia oraz 85% kukurydzy. Doświadczenie od czasów październikowych przemian wykazało że obecna Polska musi rocznie importować mniej więcej 1.7 miliona ton pszenicy. W okresie 1956-61 gros tego importu było również dostarczane przez Związek Sowiecki. Nawet w 1963 r., gdy Związek Sowiecki sam na wielką skalę importował pszenicę, sowiecki eksport do Polski wynosił 153 tys. ton. Obecnie przeważna część tego importu pochodzi ze Stanów Zjednoczonych (na specjalnych ul-

gowych warunkach) oraz z Francji. W 1963 r. Francja dostarczyła Polsce 517 tys. ton pszenicy.

Związek Sowiecki jest dziś w stanie przez przerwanie swoich dostaw sparaliżować całe życie gospodarcze w Polsce. Nie znaczy to jednak żeby ta sytuacja leżała w interesie Związku Sowieckiego. Jeżeli bowiem pod naciskiem niepomyślnych okoliczności Sowiety zaczynają zalegać z dostawami surowców powoduje to, że w krajach satelickich powstają tzw. wąskie gardła, które w rezultacie pogarszają pozycje bloku komunistycznego w gospodarczym współzawodnictwie z Zachodem, gdzie dziś panuje dobra koniunktura i przeważa dynamiczna postawa.

W tych więc warunkach każdy rząd polski, komunistyczny czy niekomunistyczny, musi dążyć do tego aby zabezpieczyć krajowi jakieś alternatywne źródła surowców na wypadek kryzysu. Sprawa ta łączy się ściśle z kwestią źródeł kapitałów. Dlatego też na czelnym problemem polskiej polityki gospodarczej musi być wprowadzenie Polski do międzynarodowego obrotu kapitałów i innych czynników produkcji. Sądzę, że w tym właśnie kierunku musi iść przede wszystkim nacisk społeczeństwa na rządy w kraju.

14

Lipcowe uchwały KC PZPR. W ostatnich miesiącach prasa, zarówno krajowa jak i zagraniczna, poświęca dużo miejsca lipcowym uchwałom Centralnego Komitetu Partii w sprawie reorganizacji zarządzania przemysłem. Uchwały te, o ile można zorientować się z tych wiadomości prasowych, podnoszą rolę motywu zysku w administracji gospodarczej, oraz w pewnym zakresie przesuwają decyzje z wyższych na niższe szczeble tej administracji. Jakkolwiek rozsądne i potrzebne, uchwały te nie stanowią zajęcia się kluczowymi problemami gospodarki polskiej. Są one w dużym stopniu dopasowaniem się do prądów istniejących dziś w Związku Sowieckim: toteż wszystko co było powiedziane powyżej o libermanizmie, może być do nich zastosowane. Poza tym mają one charakter eksperymentu. Jest to niewątpliwie eksperyment zdrowy, lecz wykształcenie nowego typu administratora, dopasowanego do nowych zasad decyzji i wyboru, będzie wymagało czasu.

Pewna decentralizacja jest niewątpliwie pożądana, lecz decentralizacja nie może być uniwersalnym środkiem na bolączki gospodarcze: w pewnych sytuacjach może ona podnieść wydajność przedsiębiorstw, w innych stać się dodatkowym źródłem chaosu. W każdym razie dodatnie skutki tej reformy, biorąc rzecz na krótką metę, nie mogą być duże. W zakresie zaopatrzenia ludności skutki byłyby na pewno większe gdyby rząd wreszcie zdecydował się na radykalne przerwanie nonsensownej walki z samodzielnym drobnym wytwórcą.

Hierarchia celów. Reasumując powyższe rozważania na temat dróg, które mogą Polskę wyprowadzić na szlak bardziej stanowczego, a w pewnym stopniu nawet spontanicznego, wzrostu gospodarczego, ustalić możemy pewną hierarchię celów.

Na pierwszym miejscu stawiam problem wprowadzenia Polski do międzynarodowego obrotu kapitałów, usług produkcyjnych, oraz inicjatywy, która w każdym dynamicznym ustroju — prywatno-kapitalistycznym czy socjalistycznym — jest ważnym motorem produkcji.

Na drugim miejscu należy postawić sprawę zakończenia tej bezsensownej wojny przeciwko rzemieślnikowi i drobnemu handlarzowi, którą prowadzi w Polsce lokalna administracja.

Na trzecim — kwestię zabezpieczenia alternatywnych źródeł surowców, jeżeliby obecne zaczęły zawodzić. Bez tego zabezpieczenia rozwijający się przemysł może być narażony na ciągłe marnotrawstwo ludzkiej siły roboczej oraz zainstalowanych urządzeń wytwórczych.

Dopiero na czwartym miejscu stawiam kwestię usprawnienia obecnej administracji przemysłowej. Sądzę że przy rozważaniu problemów podniesienia produkcji kwestia zmobilizowania niezbędnych czynników produkcji musi mieć logiczne pierwszeństwo przed kwestią racjonalizacji ich użycia, co oczywiście nie zmienia zasady, że odpowiednie przedstawienia i reformy muszą odbywać się we wszystkich działach życia gospodarczego jednocześnie.

Stanisław SWIANIEWICZ

Wrzesień 1965.
St. Mary's University,
Halifax, Canada.

Przemiany sowieckiego systemu politycznego

Sowiecki system polityczny będzie obchodzić wkrótce pięćdziesiątą rocznicę istnienia. W burzliwym i odmieniającym się gwałtownie świecie obecnym sam fakt utrzymania się przez pół wieku jest już swego rodzaju osiągnięciem. Nieliczne tylko spośród ważniejszych systemów politycznych dzisiejszego świata chęć się mogą podobną długowiecznością. Zbliżająca się rocznica nastrocza przy tym sposobność krytycznego przeglądu zmian, które zaszły w systemie sowieckim, a w szczególności zmian dotyczących spraw tak zasadniczych jak charakter władz naczelných, metody zdobywania władzy przez przywódców i stosunek Partii do społeczeństwa. A nadto do zastanowienia się nad szerszymi oddźwiękami tych zmian zwłaszcza w odniesieniu do zagadnień stabilizacji i żywotności systemu.

I. Przywódcy.

Oficjalni rzecznicy sowieccy starają się przekonać nas dzisiaj, że jakość czołowych przywódców sowieckich była dotąd przeobrażająco niska. W ciągu 45 lat od śmierci Lenina, zgodnie z oficjalną historią Sowietów, w kolejnych okresach zbliżonych długością trwania do pięcioleci, władza wykonawcza była udziałem przywódców oskarżanych następnie o zdradę (choć zarzut ten sprowadzano zazwyczaj potem do rozmiarów tzw. „odchylenia”); przez całe niemal dwudziestolecie dzierżył ją paranoiczny sprawca masowych morderstw bezrozumnie zgładzający najlepszych swych towarzyszy i po prostaku kierujący strategią wojenną Sowietów przy pomocy wodzenia palcem po globusie, czy też — jak działo się w ostatnim dziesięcioleciu — władza najwyższa była udziałem kombinatora o zajęczym mózdzku wyżywającego się w napadach złego humoru i dzikich eksperymentach organizacyjnych. W świetle takiego rejestru obecne kierownictwo Sowietów chciałoby przedstawić siebie jako przykład odcinający się jaskrawo od owej przeszłości historycznej, osobliwie bogatej w nieprawości.

O ile jednak przy każdej sposobności krytykuje się w Sowietach byłych władców Kremla, o tyle zadziwiająco mało wysiłku intelektualnego wkłada się w analizę następstw związanych ze zmianami na szczycie. A jest to przecież bez wątpienia zagadnienie niezmiernie ważne w odniesieniu do całości systemu politycznego.

Lenin był rzadko spotykanym typem przywódcy politycznego łączącego w jednej osobie rozliczne funkcje o kluczowym znaczeniu dla systemu: był więc naczelnym jego ideologiem, głównym organizatorem Partii (i co więcej jej założycielem) a jednocześnie głównym administratorem państwa. Można tu wtrącić, że taka fuzja personalna jest zjawiskiem typowym dla rewolucyjnych władz naczelnych z wczesnych okresów a dziś uosabia ją np. Mao Tse-tung. Dla zwolenników swych Lenin był najwidoczniej przywódcą zesłanym z nieba a władza jego, podobnie jak Hitlera czy Mao Tse-tunga, opierała się nie tyle na ustalonych normach prawnych ile na potęgze jego osobowości i intelektu. Nawet po Rewolucji olbrzymia władza Lenina opierała się na osobistym jego autorytecie podczas gdy rozwijająca się stopniowo organizacja leninowskiego aparatu rządzenia (Czeka, wyłonienie się aparatu, i tp.) odzwierciedlało raczej przejście od partii rewolucyjnej do rządzącej i nie przyniosło żadnej miennej różnicy do charakteru kierownictwa.

Biografowie Lenina przyznają zgodnie, że był on człowiekiem oddanym bez reszty celom politycznym, działającym z głębokiego przekonania o słuszności swego postępowania, obdarzonym upartą wolą i wybitnymi zdolnościami formułowania zasad działania politycznego znajdujących żywy oddźwięk u intelektualistów oraz tworzenia sloganów trafiających do mas. Był on typowym rewolucjonistą, człowiekiem którego geniusz może znaleźć zastosowanie tylko na krytycznych zakrętach historii, gdy nowy układ stosunków nie wyłania się drogą ewolucji ale w sposób gwałtowny odrywa od starego. Gdyby żył o pokolenie wcześniej, zmarłby prawdopodobnie w tajdze syberyjskiej — o pokolenie później byłby zapewne zastrzelony przez Stalina.

Za Stalina utrzymała się praktyka łączenia funkcji kierowniczych w jednej osobie. Było to jednak w mniejszym stopniu związane z osobistymi jego cechami a w stopniu wyższym wynikało z faktu, że w miarę upływu czasu i narastania liczby ofiar władza Stalina stała się niemal totalna, co z czasem tłumaczyć zaczęto jako wyraz osobistego jego autorytetu. Ideolog był z niego bardzo mierny — z całą pewnością ustępujący w tym względzie głównym swym rywalom w walce o władzę — stał się raczej ideologiem z urzędu. Nudny jako mówca, nabył po pewnym czasie niejako z urzędu charyzmat władzy¹ uznany zasadniczo po zgonie Lenina za przywilej Partii Komunistycznej jako

1. Problem „charyzmatu zrutynizowanego” omawia Amitai Etzioni, *A Comparative Analysis of Complex Organizations*, Glencoe Free Press, 1961, s. 26 i nast.

takiej (podobnie jak papież w pewnym momencie nabyli przywilej nieomyślności będący przedtem udziałem zbiorowości Kościoła). Władza Stalina nabierała coraz bardziej cech zorganizowanej biurokracji z ośrodkiem pobierania decyzji na szczycie, w obrębie własnego jego sekretariatu. Wprowadzanie w czyn tych decyzji wymagało subtelnej balansowania zasadniczymi podporami systemu politycznego a więc: tajną policją, partią, państwem i armią (z grubsza biorąc w tej hierarchii znaczenia). Nawet rzekomo zasadniczy organ władzy — Politbiuro — rozszczepiał się na mniejsze grupy: „sektety”, „kwartety” i tp. Stalin decydował osobiście o składzie owych podgrup a także osobiście wykonywał (i monopolizował) funkcje integracyjne².

Jeśli dopatrzyć się można historycznych podobieństw Lenina do trybunów rewolucyjnych, szukać ich należy dla Stalina u despotów Wschodu. Jego potężna władza rozkwitała na podłożu intryg, otaczać się zwykłą tajemniczością, działała w oderwaniu od społeczeństwa, znajdując odbicie w ogromie zadań, które narzucić potrafił swym zwolennikom i poddanym. Kapitalizując efekt rewolucji i odziedziczony po leninizmie rozpad ideologiczny złączył je z systematyczną organizacją rządów biurokratycznych i puścił w ruch rewolucję polityczną i społeczną, osłabiając przy tym wszystkie istniejące już organy władzy z wyjątkiem swego własnego sekretariatu i głównego ramienia władzy wykonawczej — tajnej policji. Władza jego rosła wprost proporcjonalnie do osłabienia żywotności i jednolitości wszelkich innych instytucji³.

Wojna jednak — a także okres rekonstrukcji powojennej — wytworzyły sytuację paradoksalną. Aczkolwiek prestiż osobisty i autorytet Stalina wzrastały nadal, w górującej jego pozycji na odcinku organizacyjnym zarysowały się objawy pewnej zniżki. Wzrastało znaczenie armii; olbrzymi wysiłek wkładany w przenosiny, instalowanie na nowo a następnie rekonstruowanie gospodarki przemysłowej stał się ożywczym zastrzykiem dla całej maszyny państwowej; aparat partyjny zaczął na nowo zajmować kluczową pozycję w zakresie mobilizacji sił społecznych i jednoci politycznej. Nie wydaje się, by starzejący się coraz bardziej tyran nie zdawał sobie sprawy z tych zjawisk czy też pozornie im się poddawał, rezygnując z otwartej akcji. Bizantyjskie intrygi, których rezultatem była likwidacja przywódców leningradzkich i Wozniesińskiego oraz spisku lekarzy ze złowrogimi implikacjami części szczytów partyjnych, w tym przywódców wojskowych i policyjnych, wyraźnie zapowiadały zabiegi zmierzające do osłabienia wszelkich ograniczeń organizacyjnych zagrażających osobistej supremacji Stalina.

Chruszczow doszedł do władzy z wyraźną intencją ratowa-

2. Nikita Chruszczow, mowa na XX Zjeździe Partii.

3. Wydaje się, iż względy te są równie ważne dla zrozumienia systemu stalinowskiego jak psychopatologiczne cechy Stalina, jak słusznie podkreśla Robert C. Tucker w „The Dictator and Totalitarianism”, *World Politics*, Lipiec 1965.

nia stalinizmu określanego przezeń jako straż bezpieczeństwa tradycyjnego prymatu ciężkiego przemysłu i przywracania Partii jej przodującego stanowiska. W rzeczywistości przewodniczył rozkładowi stalinizmu. Torował sobie drogę do władzy przywracając aparatowi partyjnemu jego dawną kluczową rolę. A właśnie złożoność działania władzy wykonawczej (w przeciwieństwie do hierarchii ważności posunięć w walce o władzę) zmusiła go do osłabienia przewagi Partii. W okresie początkowym udało mu się zmniejszyć znaczenie polityczne policji tajnej i osłabić mechanizm państwowy. W miarę upływu lat i trwania „zimnej wojny” wzrosło jednak niepomiernie znaczenie armii. Gdy odsunięto go od władzy naciski w zakresie potrzeb rolnictwa i żądania konsumentów zakłóciły ogólną hierarchię potrzeb ekonomicznych — a równocześnie inspirowany przez niego samego w listopadzie 1962 r. podział Partii na sektory przemysłowy i rolniczy przyczynił się w wysokim stopniu do podważenia jednolitości poglądów Partii i podzielił ją organizacyjnie na dwa odłamy. W następstwie tych posunięć biurokracja państwowa, niemal przypadkiem odzyskała część dawnych funkcji w zakresie centralizacji władzy i czynności administracyjnych. Chruszczow, może nieświadomie, wrócił do równowagi organizacyjnej z czasów Stalina, nie uzyskując jednak dawnej pełni władzy związanej z dzierżeniem jej berła.

Chruszczowowi brakło autorytetu Lenina i osobistego jego oddziaływania. Brakło mu też potęgi władzy Stalina stwarzającej mit jego osobistego autorytetu. Rządzenie Sowietami ulegało za jego czasów stałemu różniczkowaniu. Wódz na szczycie nie był już czołowym ideologiem pomimo kilkakrotnie ponawianych prób prezentowania elaboratów Chruszczowa pod nalepką „twórczego wkładu do marksizmu-leninizmu”. W skład ekipy sprawującej władzę wchodził już teraz co najmniej jeden znawca zagadnień ideologicznych i było publiczną tajemnicą, że obecność jego była niezbędna, gdyż ktoś musiał przecież służyć fachową radą ideologiczną przywódcy szczytów partyjnych. W sposób analogiczny różniczkować wypadło przywódców partyjnych w zależności od wymagań techniczno-administracyjnych. Funkcje pełnione przez Chruszczowa — i prawdopodobnie główne źródło jego nadal poważnej władzy — kryło się na odcinku integracji działań politycznych i podsycania nowych inicjatyw w kraju i zagranicą. System polityczny stał się nazbyt złożony na to, by mogła nim przywodzić i administrować ta sama osoba.

Różniczkowanie funkcji utrudniało także Chruszczowowi jako przywódcy przejście bodaj „zbiurokratyzowanego charyzmatu władzy” który Stalin przeniósł po długich staraniach na siebie z Partii jako całości. Pozyskanie charyzmatu przychodziło ze szczególnym trudem przywódcy który (niezależnie od sposobu bycia i wulgarnego wyglądu wybitnie nie sprzyjającego stwarzaniu atrakcyjnego obrazu) nie odznaczał się ani tak cenniejszymi przez Partię talentami teoretyzowania, ułatwiającymi uzurpowanie roli wykładni ideologii mesjanicznej, czy roli eksperta tech-

nicznego cenionej wysoko w państwie stawiającym znak równania między postępem technologicznym a postępem ludzkim w ogóle. Co więcej, zajmowanie stanowisk Pierwszego Sekretarza i Prezesa Rady Ministrów nie wystarczało do stworzenia aureoli charyzmatycznej, gdyż żadne z nich nie było w Sowietach dostatecznie zinstytucjonalizowane, by obdarzyć ich piastuna tym szczególnym prestiżem i aurą, które np. automatycznie okrywają Prezydenta Stanów Zjednoczonych, gdy obejmuje urząd.

Borykając się z brakiem charyzmatycznej atrakcyjności, Chruszczow zastępował nowymi ludźmi dawnych współpracowników Stalina. W toku tej akcji doszedł stopniowo do tego, że zmuszony był polegać na przedstawicielach młodszej generacji przywódców biurokratycznych, którzy instynktownie przekładali prawomocność nad posługiwanie się gwałtem. Z czysto administracyjnego punktu widzenia Chruszczow był jednak prawdziwym produktem szkoły stalinowskiej z wyraźnie rysującą się tendencją do załatwiania spraw masowymi aktami gwałtu za cenę wszelkich innych względów. Dążąc do wypracowania własnego stylu kierownictwa Chruszczow usiłował rywalizować z Leninem przez wzbudzanie na nowo zapału — i ze Stalinem, mobilizując zapasy energii. Brakło mu jednak zarówno osobistych jak organizacyjnych atutów, które tamci mieli do dyspozycji. W chwili odsuwania od władzy Chruszczow stał się postacią anachroniczną w nowym układzie sił politycznych, który sam pomógł stworzyć.

Breżniew i Kosygin oznaczają dojście do władzy nowego pokolenia przywódców, niezależnie od tego jak długo utrzymają oni zajmowane obecnie stanowiska. Umysły Lenina, Stalina i Chruszczowa kształtowały się w niespokojnym okresie działalności konspiracyjnej, rewolucji, a w wypadku Chruszczowa także i wojny domowej we wczesnej fazie komunizmu. Nowi przywódcy korzystając z owoców rewolucji ale sami nie będący rewolucjonistami, dojrzeli w ustabilizowanym środowisku politycznym w którym zapadły już decyzje dotyczące zasadniczych wytycznych polityki i kierownictwa. Ambitni młodzi biurokraci, którzy wypłynęli w okresie czystek, mogli dostrzegać, nie cierpiąc na tym osobiście, niezdrowe konsekwencje skrajności działania politycznego i nieobliczalności rządów jednostki. Dla tej nowej generacji urzędniczej stałość układu biurokratycznego a nawet biurokratyczna dyktatura wydawać się mogą jedynym pewnym fundamentem skutecznych rządów.

Różniczkowanie funkcji jest dla tych biurokratów zjawiskiem normalnym podczas gdy charyzmat jednostki stwarza grunt do podejrzeń. Nowe kierownictwo sowieckie jest zatem biurokratyczne w stylu działania i zasadniczo bezosobowe w formie. Ciekawy nacisk na *kollektiwnost rukowodstwa* (kolektywność władzy) zamiast tradycyjnego *kollektiwnogo rukowodstva* (kolektywnej władzy) wystąpił znacząco w formułce użytej natychmiast po upadku Chruszczowa. Sugeruje to świadomy wysiłek w kierunku doprowadzenia do nie tylko osobowo ale i organiza-

cyjnie zbiorowego kierownictwa pomyślanego tak by powstrzymywało dowolnego władzę od posłużenia się daną instytucją jako narzędziem zdobycia supremacji politycznej.

Można jednak zadać sobie pytanie czy ten rodzaj kierownictwa ma szanse powodzenia w wypadku kierowania losami wielkiego mocarstwa. System rządów w Sowietach polega obecnie na organizacji biurokratyzowanej od góry do dołu. Jest, jako taki, czymś wyjątkowym. Nawet systemy rządzenia z wysoko rozwiniętą i fachową biurokracją polityczną takie jak brytyjski, francuski albo Kościoła Katolickiego przewidują margines swobody w zakresie pobierania zasadniczych decyzji dla zawodowych polityków nie będących urzędnikami. Czyniąc to, wychodzą zapewne z założenia, że swobodna, uogólniająca i nie pozbawiona elementu rywalizacji praktyka polityczna może mieć zasadnicze znaczenie w kształtowaniu skutecznie działającego kierownictwa narodowego.

Oczywiście niektórzy wyżej usytuowani członkowie kierownictwa sowieckiego zdobywają takie doświadczenia np. w toku wspinania się po biurokratycznej drabinie partyjnej, zwłaszcza w wypadku przydziałów na prowincję lub na odpowiedzialne stanowiska wykonawcze w poszczególnych republikach. Zdobywają tam sprawność w zakresie działania wymagającego inicjatywy, kierowania, scalania — a także dostosowywania się do okoliczności, kompromisu i delegowania władzy. Wszystko to określić można jako zasadnicze warunki działania w zakresie sprawowania władzy w bardziej skomplikowanej organizacji.

Tym niemniej nawet zajmując odpowiedzialne stanowiska na prowincji aparaczczycy są nadal częścią bardzo scentralizowanej i biurokratycznej organizacji o sztywnej hierarchii i tendencji do zastygania w sposobach działania, skorumpowanej politycznie przez długie lata niekwestionowanej władzy i bardziej nawet ograniczonej w poglądach niż to się dzieje normalnie w dowolnym ciele na skutek nawykowego zwlekania i coraz bardziej przechodzącej w rytuał tradycji doktrynalnej. Warto zanotować tu (na podstawie obserwacji z uniwersytetów sowieckich), że młodzi ludzie znani z aktywności komsomolskiej, predestynowani do zawodowej kariery politycznej, są zazwyczaj tępymi konformistami. W wysoce biurokratyzowanym środowisku politycznym układowość, ostrożność i schlebienie przełożonym popłaca najwidoczniej bardziej niż osobista odwaga i inicjatywa jednostki.

Na dłuższy dystans taki układ stosunków zagraża żywotności dowolnego systemu politycznego. Zauważono już, że przemiany społeczne zależą nie tylko od znajdujących się w polu zasięgu jednostek twórczych ale nadto od istnienia ugrupowań twórczych które kolektywnie wytyczają drogi postępu społecznego. „Zdolność wywierania wpływu na społeczeństwo przez utalentowane jednostki... jest w pewnym stopniu funkcją właściwego składu ugrupowania, z którym dana jednostka współdziała w życiu codziennym i od którego zależy wprowadzenie w życie jej

planów⁴. Środowisko rewolucyjne lat dwudziestych a nawet fanatyzm ślepych wyznawców stalinizmu sprzyjały istnieniu takich rozsianych gromadek zdolnych intelektualistów i polityków. Można wątpić czy szkoły partyjne KPZR i wydział personalny Komitetu Centralnego stwarzają podatny grunt — by użyć terminologii stosowanej przez Margaret Mead — do rozkwitu takich ugrupowań twórczych i z tej właśnie przyczyny przejście od Lenina do Stalina — a następnie do Chruszczowa i dalej do Breżniewa — nie da się wyrazić w formie wznoszącej się krywej.

Zjawisko to ma poważne implikacje w systemie sowieckim pojętym jako całość. Wątpić można o trwałej żywotności organizacji skonstruowanej w ten sposób, że personalna jej polityka ustosunkowuje się, niemal bezwiednie, w sposób nieprzyjazny do jednostek utalentowanych i wrogo w stosunku do nowych planów politycznych. Grozi jej rozkład wewnętrzny a stałość systemu politycznego narażona będzie na niebezpieczeństwo, jeśli inne organizacje społeczne zdołają przyciągnąć bardziej uzdolnione jednostki i zaczną jątrzyć, irytując się obostrzeniami narzucanymi im przez znajdujących się u steru władzy a coraz przeciętniejszych aparaczczyków.

II. Walka o władzę.

Walka o władzę w sowieckim systemie politycznym stała się z pewnością mniej gwałtowna. Można jednak zadać pytanie, czy oznacza to że stała się mniej groźna dla systemu politycznego?

Zarówno Stalin jak i Chruszczow doszli do władzy przy pomocy zręcznych rozgrywek a także w pełni eksploatując korzyści organizacyjne związane z zajmowaniem stanowiska Pierwszego Sekretarza. Trzeba jednak podkreślić z naciskiem, że zręczność w rozgrywkach przyczyniła się do ich sukcesów w stopniu nie mniejszym od czynnika organizacyjnego (względ którego historycy zachodni zdają się przypisywać większe znaczenie). W czasach Stalina Partia stawiała wobec problemów na wielką skalę — takich jak światowa rewolucja albo socjalizm w poszczególnych krajach; stopniowe przemiany wewnątrz kraju czy rewolucja społeczna; partia podzielona na ołdamy — czy monolit. Stalin odniósł sukces ponieważ instynktownie przewidział, że nowi aparaczczycy nie są skłonni do osobistych poświęceń w próżnych zabiegach o wywołanie rewolucji zagranicą, z drugiej zaś strony, że — jako wierni ideałom rewolucyjnym — skwapliwie służyć będą sprawie budowania społeczeństwa socjalistycznego. (Co więcej — czy Sowiety byłyby dziś krajem dyktatury komunistycznej, gdyby NEP przetrwał dalszych dziesięć lat?)

4. Margaret Mead, *Continuities in Cultural Evolution*, New Haven 1964, s. 181. Zob. także przedmowę, w szczególności s. XX.

Socjalizm w obrębie jednego kraju był rozwiązaniem olśniewającym; porywał za sobą znaczny odłam rewolucjonistów; zadawała, częściowo przynajmniej, przystosowujący się do okoliczności. Skłócił opozycję, spolaryzował ją i przygotował grunt pod wzajemne wyniszczanie się. Gwałt, terror a wreszcie czystki następowały po sobie w logicznej kolejności. Partia przepojona leninowską tradycją nietolerancji w stosunku do dysydentów, pochłonięta olbrzymim zadaniem realizowania rewolucji społecznej wyczerpującej zarówno zasoby jak i nerwy jej członków, kierowana przez pozbawionego skrupułów i paranoicznego ale przy tym działającego z zimnym spokojem przywódcę, władającego krajem otoczonym przez sąsiadów o przerażająco wrogim nastawieniu do eksperymentu sowieckiego, w stopniu coraz wyższym rekrutująca członków spośród proletariatusz pierwszej generacji niezmiernie drażliwych na punkcie jasnego stawiania sprawy i prawd dogmatycznych, — ta właśnie partia stojąca u steru staczała się w dół po linii stale rosnącej brutalności. Przywódca wspinał się równocześnie na fali gwałtu — i kierował nią. Terror nie przerodził się nigdy w prymitywne formy anarchii a władza Stalina wzrastała niepomierne — gdyż wprowadzał w sposób bardzo skuteczny zasady sztuki rządzenia według własnej formuły: „Sztuka rządzenia jest sprawą bardzo poważną. Nie można pozostawać w tyle poza ruchem, gdyż oznacza to izolację od mas. Nie należy wyrywać się wprzód, gdyż równa się to utracie łączności z masami. Kto chce dowodzić ruchem utrzymując równocześnie kontakt z szerokimi rzeszami musi walczyć naraz na dwu frontach: z tymi co pozostają w tyle i tymi co wyrwywają się do przodu⁵⁹”.

Chruszczowowi udało się wysunąć na czoło kierownictwa, gdyż i on dostrzegł dominujące zainteresowania elity. Przywrócił przeto partii jej dominujące stanowisko, położył koniec tajnej policji, ograniczył przywileje biurokracji państwowej, podtrzymując równocześnie tradycyjny nacisk na znaczenie rozwoju ciężkiego przemysłu (co przypadało do smaku zarówno elicie przemysłowej jak i armii). Przy pomocy tych zabiegów potrafił zmobilizować dla siebie około r. 1955 poparcie ze strony kluczowych dostojników, co pozwoliło mu na stopniowe izolowanie a wreszcie pokonanie Malenkowa.

Tu jednak urywa się gwałtownie analogia. Chruszczow doszedł do władzy we względnie ustabilizowanym systemie społecznym a nawet politycznym. Weszły one w stan niemal stagnacji i kluczowym problemem wobec którego stanął Chruszczow po dojściu do szczytu władzy (ale przed umocnieniem się na tym stanowisku) było: jak poruszyć kraj na nowo? Wysiłki zmierzające do zastrzyknięcia nowego społecznego i politycznego dynamizmu, nawet w okresie konsolidowania władzy, doprowadziły go do publicznego odrzucenia stalinizmu, co niewątpliwie oburzyło część sfer urzędowych; do radykalnych reform gospodarczych,

które nie przypadły do smaku wielu urzędnikom administracyjnym; do dramatycznej reorganizacji partii co zgorszyło aparatczyków; a nawet do prób obejścia urzędującego Prezydium Partii w zakresie pobierania decyzji na drodze bezpośredniego zwracania się do zainteresowanych grup, co równocześnie wściekało i przerażało jego kolegów. Chruszczow, w przeciwieństwie do Stalina, nie potrafił ustabilizować swej władzy i panować nad nastrojami społeczeństwa. Stalin rósł w siłę gdy usiłował zmienić społeczeństwo; Chruszczow, zmierzając ku temu samemu celowi, narażał swą władzę na ryzyko.

Zakres nieporozumień wewnętrznych w roku zmagania postalinowskich zwięził się także w miarę dojrzewania zobowiązań społecznych z wcześniejszych okresów. W tej chwili Sowiety mają poza sobą epokę wielkich alternatyw. Jeśli się nawet wydarzy sposobność do zaostrzenia różnic w jakiejś walce, stanowiska dzielące Chruszczowa od jego przeciwników, choć niewątpliwie ważne, wydają się przyziemne w stosunku do tych, o które krzyżowali szpady Stalin i jego wrogowie. W pierwszym wypadku dotycząc one głównie rozwiązań alternatywnych; w drugim — w grę wchodziły zasadnicze koncepcje rozwoju historycznego. Spróbujmy porównać np. postalinowskie debaty na temat wskazań dotyczących dystrybucji zasobów między różne działy gospodarki z analogicznymi debatami w latach 1920-ych na temat charakteru i tempa rozwoju uprzemysłowienia Sowietów; — albo Chruszczowowskie pochwały kukurydzy a nawet jego niezaprzeczenie śmiała i kontrowersyjną kampanię w sprawie nieużytków z dylematem czy kolektywizować 100 milionów opornych chłopów, w jakim tempie i z jakim natężeniem gwałtu.

I tylko na odcinku spraw zagranicznych można się spotkać z argumentem, że wielkie problemy dominują nadal na sowieckiej scenie politycznej. Wojna nuklearna czy pokojowe debaty z lat 1950-ych i wczesnych 1960-ych nasuwają wiele analogii z konfliktem między koncepcją rewolucji permanentnej czy też alternatywy socjalizmu w jednym kraju. Usunięcie Mołotowa i polityczna eliminacja Kozłowa związane były w wysokim stopniu z nieporozumieniami w zakresie spraw zagranicznych. Tym niemniej wydaje się, że w sprawach pokoju czy wojny nuklearnej, wśród elity sowieckiej panuje dziś powszechniejsza zgoda niż w okresie sporów na temat stanu permanentnej rewolucji w latach dwudziestych. W międzynarodowym ruchu komunistycznym dopatrzyć się dziś można szerokiego wachlarza opinii na temat wojny i pokoju — ale, o ile można sądzić — sprawy te absorbują mniej uwagi w samym Związku Sowieckim. Bucharin *versus* Trocki zestawiany być może z Togliattim *versus* Mao Tse-tung. Trudno wyobrazić sobie jednak starcie w tej skali między Chruszczowem a Kozłowem.

Zwężenie terytorium sporów znajduje odbicie w charakterze obsady personalnej. W rozważaniach wcześniejszych (w cz. I) znalazły się próby porównania Stalina, Chruszczowa i Breżniewa. Bardziej odkrywcze będzie przyjrzenie się ich głównym ry-

5. J. W. Stalin, *Problems of Leninism*, Moscow, 1940, s. 338.

walom. Trocki, Zinowiew a wreszcie Bucharin: co za zakres twórczych talentów politycznych, historycznych, ekonomicznych i intelektualnych, jakie zdolności inspirowania innych, jaka rozmaitość charakterów i pochodzenia! Proszę zestawić je z uderzającą jednolitością ciasnoty perspektyw, wychowania i ubóstwa intelektualnego Malenkowa, Kozłowa czy Susłowa⁶. W reżymie opartym na urzędniczkich spory obracać się muszą wokół problemów urzędniczych.

Ze zwężeniem terytoriów spornych i ochłodzeniem pasji ideowych wiąże się także osłabienie gwałtowności jednostek. Spory tracą charakter walki na śmierć i życie i stają się zmaganiem o władzę i prestiż *versus* emerytura z domieszką niełaski. W miarę rutynizacji konfliktów system polityczny wytwarza nawet z kolei zasób precedensów dotyczących traktowania upadłych władców. Zdołano już zapewne wypracować jakiś tryb postępowania, a może nawet stworzyć urząd, załatwiający sprawy poborów i mieszkań dla b. członków Prezydium a nadto ustalić normy etykiety towarzyskiej, pouczające jak odnosić się do nich na terenie publicznym i prywatnym.

Jeszcze bardziej znamienne jest wyraźne wyłonienie się w systemie sowieckim czegoś dającego się porównać z rezerwową ekipą „kontr-elity”. Po upadku Chruszczowa następcy jego przywrócili natychmiast na wiele ważnych stanowisk ludzi usuniętych w toku czystek Chruszczowa. Niektórzy ze zwolenników tego ostatniego byli natomiast z miejsca zdegradowani i przeniesieni. Już wcześniej stosowano w praktyce zasadę wysyłania na placówki dyplomatyczne zdegradowanych wyższych dostojników partyjnych. W wyniku tej procedury powstała pokaźna grupa synekurzystów zadowolonych ze swego losu i tworzących niejako rezerwę „odstawionych” łudzących się zapewne, że pewnego dnia znajdą się znów wśród graczy na boisku. Co więcej nie są to złudne marzenia. Ekipa odtrąconych, osiągnąwszy dostateczne rozmiary a przy tym złożona z ludzi młodych i energicznych, może stopniowo upodobnić się do czegoś w rodzaju alternatywy politycznej wobec zespołu u władzy — a z czasem może nawet myśleć i działać w tym kierunku. Może to oznaczać początki nieoficjalnej działalności wewnątrz partii a następnie intryg i spisków, gdy sprawy wezmą obrót nieprzychylny dla znajdujących się u steru władzy, — albo zorganizowanych wysiłków idących w kierunku pozyskania części elity rządzącej w celu zainscenizowania wewnętrznej zmiany warty⁷. Osiągalność takiej coraz bardziej bezpiecznej kontr-elity ma nadto i tę właściwość, że

6. Trudno wyobrazić sobie historyka, który zdobyłby się na entuzjazm w stosunku do np. opracowania życiorysu Malenkowa: *Aparatczyk awansuje*, *Aparatczyk tryumfujący*, *Aparatczyk spensjonowany!*

7. List Mołotowa do Komitetu Centralnego, wystosowany w przededniu XXII Kongresu Partii w październiku 1961, śmiało i bez ogródek oskarżający Chruszczowa o rewizjonizm miał prawdopodobnie na celu podburzenie aparatczyków przeciw Pierwszemu Sekretarzowi. Może to być omen na przyszłość.

może utrudnić przywódcy konsolidację władzy. Taki stan rzeczy może wydatnie sprzyjać częstszym zmianom kierownictwa, a niepowodzenia polityczne odbijać się mogą na znajdujących się właśnie u władzy.

Łączny efekt tego rozwoju wydarzeń ma wielorakie reperkusje: zniżkę znaczenia zarówno problemów ideologicznych jak i poszczególnych osobistości — a nadto wzrost wpływów organizacji politycznych w ponawiających się okresowo walkach o władzę. Fakt, że struktura życia w Sowietach uległa zmianie od czasów Stalina, wywiera wpływ na depersonalizację konfliktów politycznych i przekształcanie ich w przewlekłe walki biurokratyczne. Wyeliminowanie gwałtu stwarza możliwość rozwiązywania konfliktów przy pomocy łatanych kompromisów, zamiast drastycznych przesunięć w rozdziale władzy wykonawczej czy stosowania aktów gwałtu przez jednostki. Biurokratyczny charakter przebiegu walki ogranicza konflikt do grona wyższych urzędników, co nie sprzyja przyciąganiu na wyższe stanowiska jednostek twórczych i pełnych inicjatywy.

Upadek Chruszczowa jest dobrą ilustracją poczynionych wyżej spostrzeżeń i ważnym precedensem na przyszłość. Po raz pierwszy w historii Sowietów Pierwszy Sekretarz pozbawiony został władzy przez towarzyszy. Nie uczyniono tego w celu zastąpienia go innym przywódcą albo z myślą o zmianie linii politycznej ale w intencji nie zastępowania go nikim innym i bardziej skutecznego wprowadzania w życie wielu dawnych wytycznych działalności politycznej. Słowem: bezosobowe kierownictwo i wyższa sprawność biurokracji. Usunięcie Chruszczowa oznacza jednak, że osobiste intrygi i kabały mogą działać skutecznie i że przywódca a pewnego dnia może i byli przywódcy mogą spiskować z powodzeniem przeciw stojącemu na czele, i że każdy przyszły Pierwszy Sekretarz czuć się będzie mniej pewnie niż czuć się musiał Chruszczow w początku października 1964 r.

Brak wyraźnie określonego urzędu wykonawczego w obecnym systemie politycznym Sowietów, traktowany łącznie ze wzrostem trudności na drodze dojścia do dyktatury jednostki a nadto zniżka ryzyka osobistego w razie porażki politycznej, stwarzają wygodne pole do nacisków grupowych i sporów na tle organizacyjnym. W rzeczywistości, aczkolwiek zakres nieporozumień mógł ulec zwężeniu, zakres wpływów elity na przebieg konfliktów uległ znacznemu poszerzeniu.

W chwili obecnej tego rodzaju naciski i starcia rozgrywają się w niemal bezkształtnym kontekście, pozbawione jasnych wskazań konstytucyjnych i ustalonego z góry trybu postępowania. Pewne zwiększenie roli Komitetu Centralnego, dające się wyczuć w ostatnich latach, nie wystarcza do tego, by nadać konfliktowi biurokratycznemu trwałe formy organizacyjne. W granicach naszych wiadomości podczas kryzysów w 1957 i 1964 r. Komitet Centralny wykonywał raczej funkcje ratyfikacyjne, firmując decyzje wywalczone w korytarzach władzy na Kremlu.

Nie działa natomiast ani jako arbiter ani najwyższe ciało ustawodawcze.

Zgodnie z tym stanem rzeczy współzawodnictwo o władzę uległo przemianie ze śmiertelnej walki między nieliczną garstką, w grę w znacznie liczniejszym gronie. Ale odejście od gwałtu nie jest, choć często tak się uważa, automatycznie korzystne dla sowieckiego systemu politycznego — o ile systemu tego nie zastąpi coś bardziej sprawnego i stałego.

III. Rola Partii i zagrożenie dopływu nowych ugrupowań.

Autor interesującej rozprawy o zjawiskach rozwoju i rozkładu w dziedzinach politycznych Samuel Huntington dowodzi, że stały wzrost polityczny wymaga równowagi między polityczną „instytucjonalizacją” a „uczestnictwem” w polityce; — że samo zjawisko powszechnej mobilizacji i udziału w polityce bez równoległego postępującej „instytucjonalizacji organizacji politycznej i trybu postępowania” daje w wyniku ostatecznym nie rozwój ale upadek form politycznych⁸. W uwagach na temat systemu sowieckiego zauważył on przeto, że „dobro publiczne Sowietów wymaga istnienia silnej partii” jako stałych ram organizacyjnych.

Sowiecki system polityczny osiągnął niewątpliwie wysoki stopień instytucjonalizacji. W ciągu niemal pięciu dziesięcioleci swych rządów partia utrzymywała niekwestionowaną przez nikogo przewagę nad społeczeństwem i narzucała mu swoją ideologię. W systemie komunistycznym weszło w tradycję łączenie wysokiego stopnia instytucjonalizacji z wysokim pseudo-uczestnictwem jednostek⁹. Mogą się jednak wyłonić trudności jeśli rozłam na szczycie kierownictwa systemu politycznego wpłynie na osłabienie politycznej „instytucjonalizacji” przy stałym działaniu podniet w kierunku zwiększenia rzeczywistego współuczestnictwa publicznego ze strony grup i instytucji. Czy ten nowy układ stosunków może stworzyć skuteczne i trwałe ramy organizacyjne — a jeśli tak — z jakimi następstwami dla „silnej” partii?

Dzisiejszy system polityczny Sowietów jest znowu oligarchią. Tło socjo-ekonomiczne jest jednak zgoła odmienne. Społeczeństwo sowieckie jest bardziej rozwinięte i ustabilizowane, mniej ulegające wpływom i bardziej zróżniczkowane. Kluczowe zespoły zasługujące na rozpatrzenie pod kątem ich potencjalnego uczestnictwa w życiu politycznym były w przeszłości stosunkowo nieliczne. Dziś, poza znacznie silniej obwarowanymi interesami instytucji takich jak policja, armia i urzędnicy państwowi, źród-

łem fermentu może stać się młodzież, konsumenci mogą zacząć zachować się niespokojnie, skolektyzowani rolnicy mogą zdobyć się na opór, naukowcy mogą starać się wypowiadać bez ogródek, przedstawiciele narodowości nie-rosyjskich mogą zwiększyć żądania. Przedłużanie się współzawodnictwa między oligarchami może przyspieszyć proces aktywizacji takiego uczestnictwa pewnych grup.

Już obecnie grupy te wykazują pewną spistość organizacyjną i od czasu do czasu mogą sprzymierzać się do wspólnych celów¹⁰. Z całą pewnością mogą wywierać wpływ i z kolei być przedmiotem zabiegów ambitnych i oportunistycznie nastrojonych oligarchów. Pewne grupy w związku z powiązaniami organizacyjnymi, korzystnym umiejscowieniem, łatwym dostępem do kierownictwa na szczycie i zdolnością formułowania celów i interesów, mogą wywierać całkiem poważny wpływ¹¹. Traktowane łącznie reprezentują szeroki wachlarz opinii i w układzie sił w rządzie oligarchicznym nie da się uniknąć powiązań między nimi a niektórymi z przywódców.

Nie tylko zachodni ale także komunistyczni (dotąd jednak jeszcze nie sowieccy) myśliciele polityczni coraz częściej odczuwają konieczność liczenia się z istnieniem konfliktów grupowych nawet w społeczeństwie pozostającym pod władzą komunistów. Pewien prawnik słowacki zauważył niedawno: „Interesy społeczne naszego społeczeństwa mogą kształtować się demokratycznie tylko w ramach integracji interesów grupowych; w toku takiej integracji interesy grupowe dochodzą do głosu, broniąc własnych potrzeb gospodarczych i innych; nie zmienia tego fakt, że na

10. Schematyczny podział tych grup da się ująć w przybliżeniu j.n.: a) beksztatne siły społeczne wyrażające zasadniczo biernie szerokie aspiracje społeczne: robotnicy i chłopci — około 88 milionów, inteligencja urzędnicza i techniczna — ok. 21 milionów, b) grupy skupiające specjalistów o odrębnych dążeniach: pisarze i artyści — ok. 75.000, naukowcy — ok. 150.000, lekarze — ok. 380.000; c) sfery rządzące, których zainteresowania skupiają się na zasadniczych problemach polityki narodowej: dyrektorzy placówek przemysłowych — ok. 200.000, kierownicy farm państwowych i kołchozów — ok. 45.000, wyżsi wojskowi (dowódcy) — ok. 80.000, urzędnicy wyższych kategorii — ok. 250.000. Integracja tych grup leży w rękach zawodowych aparaczyków (150.000-200.000). Grupy te mogą być z kolei rozbite na podgrupy: tak np. społeczność pisarska związana formalnie z różnymi czasopismami może być podzielona na trzymających się ściśle linii politycznej, centrum i progresistów i tp. W podobny sposób podzielić można wojskowych. W pewnych sytuacjach podgrupy mogą się krzyżować i zębiać. Mogą się także wyłaniać mniej lub więcej tymczasowe koalicje grup. Zob. Z. Brzeziński and S. Huntington, *Political Power: USA/USSR*, New York, 1964, rozdz. 4 temat powyższy omówiony jest tam bardziej szczegółowo.

11. Np. dowództwo wojskowe, biurokratycznie zwarte i wykazujące specyficzny *esprit de corps*, ulokowane w Moskwie i z konieczności kontaktujące się często z przywódcami na szczycie; dysponujące własnymi czasopismami kształtującymi poglądy (w których to pismach omawiane są zagadnienia strategiczne a pośrednio wynikające z nich sprawy budżetowe, zagraniczne i tp.). Są one oczywistym przykładem takiego ugrupowania.

8. Samuel P. Huntington, „Political Development and Political Decay”, *World Politics*, kwiecień, 1965.

9. Masowe kampanie pociągające za sobą „dyskusje publiczne” z milionami uczestników albo odbywające się okresowo „wybory”, nie decydujące o niczym, miały za zadanie zachęcanie do uczestnictwa, nie zagrażając przy tym zinstytucjonalizowanej organizacji politycznej i przyjętemu przez nią trybowi postępowania.

powierzchni wszystkie one zdają się stanowić jedność¹². W dalszych rozważaniach na ten temat autor słowacki podkreśla, że kluczowym problemem politycznym w systemie komunistycznym jest dbałość o integrację interesów grupowych.

Zgodnie z tradycją, partia miała monopol na integrację, realizując ją, po okresie terroru, głównie przy pomocy *arbitrażu biurokratycznego*. Ujmując to słowami cytowanego wyżej uczonego komunistycznego: „Partia jako przodująca i kierująca siła polityczna spełnia swe funkcje występując jako rzecznik interesów wewnątrzklasowych i międzyklasowych”. Czyniąc to, woli na ogół mieć do czynienia z każdą z grup bilateralnie, zapobiegając w ten sposób tworzeniu się koalicji i nieoficjalnych porozumień grupowych. Jedność kierownictwa politycznego a także supremacja polityczna partii są w ten sposób zachowane. Partia jest tradycyjnie zazdrosna o tę „integracyjną” prerogatywę i reaguje ostro na wdarcie się innej jakiegś grupy na scenę polityczną. Instytucjonalny prymat partii polega zatem na ograniczaniu rzeczywistego uczestnictwa innych grup.

Jeśli, z tej czy innej przyczyny, osłabi się działalność partii w tej dziedzinie, jedyną alternatywą wobec perspektywy anarchii będzie *zinstytucjonalizowany proces mediacyjny*, zastępujący biurokratyczny arbitraż partyjny.

Stosowana przez Chruszczowa praktyka odbywania poszerzonych posiedzeń Komitetu Centralnego w obecności przedstawicieli innych grup, oceniana być może jako krok w kierunku sformalizowania i uregulowania procedury doradczej. (Miała ona nadto pewne korzystne aspekty polityczne, gdyż Chruszczow obchodził w ten sposób przeciwników z kierownictwa centralnego). Takie poszerzone plenum stanowiło forum doradcze, na którym można było omawiać wytyczne polityki, formułować poglądy a nawet rozstrzygać pewne zagadnienia sporne. Aczkolwiek chwyt ten nie miał zasadniczo charakteru zinstytucjonalizowanego ale *ad hoc*, doradczy i pozbawiony władzy ustawodawczej, poddany nadal dominacji aparatu partyjnego, była to jednak odpowiedź na budzące się w Sowietach żądania uczestnictwa którego system polityczny gwałtownie się domaga. Było to rozwiązanie kompromisowe usiłujące połączyć prymat partii z trybem postępowania umożliwiającym wypowiedzenie się poszczególnych grup.

Problem ten stał się ostatnio bardziej złożony i zasadniczy w wyniku organizacyjnego i ideologicznego kryzysu partii i obecnie zawisł poważnie nad całością sowieckiego systemu politycznego. Przez wiele lat mówiło się, że partyjny monopol władzy a zatem także i aktywna interwencja partii we wszystkie dziedziny życia państwowego leżała „w publicznym interesie Sowietów”. Partia mobilizowała społeczeństwo, kierowała nim i pod-

12. M. Lakatos, „On Some Problems of our Political System”, *Prawny Obzor*, Nr 1, 1965, według cytaty przytoczonej przez Gordon'a Skilling'a w interesującym jego referacie pt. „Interest Groups and Communist Politics” czytany na czerwcowym zebraniu Canadian Political Science Association w r. 1965.

suwała mu poglądy odpowiadające raptownie zmieniającym się warunkom egzystencji. Ale w chwili obecnej społeczeństwo jest już zasadniczo ukształtowane. I nie jest już nadal tak podatne do urabiania, uległe wobec prostych form mobilizacji i czułe na doktrynalne zabiegi ideologiczne.

W wyniku tej sytuacji historia Sowietów stoi w ostatnich latach pod znakiem osobliwego widowiska dostarczanego przez partię szukającą właściwej roli w społeczeństwie. Jakie są właściwie funkcje ideokratycznej partii we względnie złożonym i zindustrializowanym społeczeństwie, w którym układ stosunków społecznych jest zasadniczo odbiciem ideologicznych upodobań tejże partii? Oczywiście, podobnie jak w każdym wielkim systemie społeczno-politycznym, system sowiecki odczuwa potrzebę organu integracyjnego. Powstaje jednak pytanie, która z dróg wiodących do takiej integracji jest społecznie najbardziej wskazana? Czy „silna” partia — to partia która dominuje nad wszystkim i wtrąca się do wszystkiego, — i czy tego rodzaju interwencja sprzyja dalszemu wzrostowi Sowietów na odcinkach gospodarczym, politycznym i intelektualnym?

W r. 1962 Chruszczow starał się rozwiązać ten problem. Podział partii na dwa równoległe pionowe organy funkcjonalne był próbą zmierzającą do bezpośredniego związania partii z gospodarką i złączenia jej działalności z procesami produkcyjnymi. Była to inowacja śmiała, dramatyczna i radykalna, odzwierciedlająca zrozumienie potrzeby adaptacji roli odgrywanej przez partię z nowym stadium społecznego rozwoju Sowietów. Była to jednak równocześnie inicjatywa bardzo niebezpieczna; kryła w sobie potencjał niezgody politycznej a nadto możliwość tak daleko idącego zaangażowania się partii na odcinku gospodarczym, że mogłoby to doprowadzić do utraty charakteru politycznego i ideologicznego. Fakt, że następcy Chruszczowa odznegli się od niej tak żywiołowo jest świadectwem odrzuty jaką ta próba reorganizacji wywołać musiała u zawodowych biurokratów partyjnych.

Po odrzuceniu próby reorganizacji partii podjętej przez Chruszczowa następcy jego usiłowali wprowadzić w życie rozwiązanie kompromisowe, będące w rzeczywistości metodą „brnięcia naprzód”. Uznawali oni z jednej strony, że partia nie może już dłużej kierować z Kremla całą gospodarką sowiecką i że konieczne są zasadnicze jej reformy organizacyjne zmierzające w kierunku zwiększenia autonomii władz lokalnych i umożliwienia im pobierania decyzji na większą skalę¹³. Analogiczne tendencje

13. Zob., raport przedstawiony na Plenum Komitetu Centralnego przez A. Kosygina w dn. 27. IX. 1965 a zawierający propozycje reorganizacji gospodarki sowieckiej. A nadto mowę tegoż Kosygina na posiedzeniu Sowietkiego Państwowego Komitetu Planowania *Planowoje chozjajstwo*, w kwietniu 1965; a także śmiałą wypowiedź A. E. Łuniewa na temat demokratycznej centralizacji w sowieckiej administracji państwowej, *Sowieckoje Gosudarstwo i Prawo*, Nr 4, 1965.

zarysowują się i na innych odcinkach. Potwierdza to częściowo i pośrednio przypuszczenie że na pewnych odcinkach totalna kontrola partii nie godzi się z publicznym dobrem Sowietów.

Z drugiej strony w tendencjach decentralizacyjnych tkwi element niebezpieczeństwa, iż partia przekształcać się będzie stopniowo z organu kierowniczego i wytyczającego linię ideologiczną w ciało wykonawcze i dogmatyczne, specjalizujące się w przystosowywaniu i uzgadnianiu dążeń poszczególnych grup. Funkcjonariusze partyjni, działając z myślą o zabezpieczeniu własnych interesów, starają się przeto równocześnie ożywić ideologiczną działalność Partii. Stąd właśnie wywodzi się wzmożenie nacisku na znaczenie ideologii i kształcenia ideologicznego. Stąd także przywiązywanie na nowo znaczenia do pracy wydziałów ideologicznych. Stąd także categorycznie brzmiące przypomnienia, iż „w umysłach tkwić winno zawsze przekonanie, że wychowanie marksistowskie, wyszkolenie w zakresie Marksizmu-Leninizmu i ideologiczne ukształtowanie członków K.P.Z.R. i kandydatów na członków jest sprawą najwyższej wagi w każdej organizacji partyjnej i komitecie”.

Dalecy jesteśmy jednak od pewności czy decentralizacja ekonomiczna i przeszkolenie ideologiczne iść mogą ręką w rękę. Obecne kierownictwo zdaje się zapominać o tym, że uświęcone czasem ideologie utrzymują żywotność wtedy tylko, gdy umotywowana ideologicznie władza zmierza do osiągnięcia celów ideologicznych. Postępujące stale obniżanie się kierowniczej roli partii nie da się skompensować przy pomocy kładzenia coraz większego nacisku na semantykę ideologiczną. Decentralizacja gospodarcza zwęży nieuchronnie zakres oddziaływania polityczno-ideologicznego i zwiększa sferę oddziaływania dogmatyczno-wykonawczego. Umacnia ona tendencję do odsuwania się od polityki wyczuwaną u elity sowieckiej i publicznie opłakiwaną przez ideologów sowieckich¹⁴. Podjęta na wielką skalę kampania indoktrynacyjna skierowana pod adresem tej elity nie może oddziaływać w wyprutym z czynnika ideologicznego kontekście społeczno-ekonomicznym. Wydatniejsze wysiłki w tej dziedzinie mogą zaiste przyspieszyć społeczną izolację partii, sprawiając że głoszone przez nią dogmaty staną się jeszcze bardziej pozbawione praktycznego znaczenia w życiu codziennym w oczach sowieckiego naukowca, dyrektora fabryki czy generała. To znów może przyczynić się z kolei do osłabienia możliwości partii na odcinku skutecznej integracji społeczeństwa sowieckiego i sprawić, że aparatczycy partyjni staną się czynnikiem bez znaczenia w ogólnej działalności na polu administracji i technologii sowieckiej.

14. Stiepakow, j.w., oświadcza bez ogródek, iż w latach ostatnich wielu towarzyszy zajmujących wybitne stanowiska w „kierowniczych aktywach” Partii miało niedostateczne przygotowanie ideologiczne przy doskonałym wykształceniu technicznym. Wzywa przeto do podjęcia kroków zapobiegających „zastępowaniu przygotowania partyjnego przez wykształcenie zawodowo-techniczne”.

Jeśli jednak partia odrzuci politykę nawrotu do dogmatyki ideologicznej i zrezygnuje z ponawiania kampanii indoktrynacji — stoi przez nią nieuchronnie perspektywa dalszych przemian wewnętrznych. Przekształcać się niewątpliwie zacznie w luźną organizację, skupiającą szeroki wachlarz specjalistów, inżynierów, naukowców, administratorów, zawodowych urzędników, agronomów i tp. Co skupiać ich będzie i utrzymywać razem, jeśli zabraknie im wspólnego dogmatu i programu działania? Partia stanie na tym etapie wobec tego samego dylematu, który wystąpił ongiś u faszystów i falangistów a który obecnie zarysował się w polskich i jugosłowiańskich środowiskach komunistycznych: brak pomyślanego na wielką skalę programu zmian wewnątrz kraju w toku wykonywania którego wszelkie inne ugrupowania i instytucje podporządkowywać się muszą partii — sprawia, że przodujące jej stanowisko na odcinku domowym ulega osłabieniu a jej zdolności do przeprowadzenia integracji społeczno-politycznej są poddawane w wątpliwość.

Co więcej sowieccy kierownicy partyjni popełniliby błąd, zakładając oportunistycznie, iż zwężenie możliwości nieporozumień na odcinku polityki wewnętrznej nie ulegnie z czasem ponownemu rozszerzeniu. Trwające nieustannie trudności rolnicze mogą pewnego dnia skłonić jakiegoś kandydata na polityka do kwestionowania wartości kolektywizacji, — a nastroje niezadowolienia przejawiające się u pewnych grup narodowościowych mogą dać się silnie we znaki sowieckiej strukturze konstytucyjnej, — sprawy międzynarodowe mogą także stać się na nowo źródłem gorzkich wewnętrznych starć. Zdolność przetrzymywania zbiorowego nacisku takich zagadnień spornych na całość systemu zależeć będzie w wysokim stopniu od adaptacji poczynionych w zakresie organizacji kierownictwa i procedury pobierania przez nie decyzji. O ile nie powstanie jakiś inny mechanizm integracyjny, wytworzyć się może sytuacja, w której zgłoszą się po władzę członkowie ugrupowań spoza aparatu na szczycie, reprezentujący ludzi zdolnych i nie osłabionych konfliktami biurokratycznymi żrącymi kierownictwo. Mogą oni zwrócić na siebie uwagę apelując w imię ustalonych ideałów komunistycznych i wysuwając siebie (prawdopodobnie w koalicji z jakimś odłamek kierownictwa partyjnego) jako jedyne wyjście z chaosu. Wystąpienie ich byłoby usiłowaniem przywrócenia równowagi między instytucjonalizacją a uczestnictwem.

IV. Groźba degeneracji.

O degeneracji systemu politycznego mówić można gdy na widowni pojawia się wyraźnie zjawisko obniżania się jakości działaczy społecznych, których kierownictwo polityczne potrafi przyciągnąć w toku rywalizacji z innymi ugrupowaniami: Innym objawem będą stale ponawiające się rozłamy w łonie elity rządzącej, zwłaszcza gdy towarzyszy im obniżka wiary w wartość

poświęcania się głoszonym przez tę elitę ideałom. Jeszcze innym przedłużający się stan niepewności w składzie kierownictwa, — a także osłabienie możliwości elity w zakresie jasnego przedstawienia celów systemu politycznego w stosunku do społeczeństwa i nadawania im skutecznych form wykonawczych. A wreszcie — zamącenie organizacyjnych i hierarchicznych szeregów dowództwa i będące jego wynikiem niekontrolowane i nie ujęte w karby wtargnięcie na odcinek polityczny nowych ugrupowań bez uprzednich powiązań politycznych. Wszystkie te objawy dadzą się wysledzić w historii systemów politycznych Rosji carskiej, Trzeciej Republiki Francuskiej, Czang Kai-szeka i Węgier Rakosi'ego. Dziś, jak wspomniano już wyżej, co najmniej niektóre z nich dadzą się wyczuć w politycznym systemie Sowietów.

Nie da się jednak powiedzieć już teraz, że sowieckiemu systemowi politycznemu grozi nieuchronna degeneracja. Wiele zależy od sposobów reakcji sowieckiej elity rządzącej. Polityka trwania w okopach, wzrost dogmatyzmu a nawet powrót do gwałtu, po niemal dziesięcioleciu odprężenia, stworzyć może atmosferę napięcia, z której możliwość jakiegoś rewolucyjnego wybuchu nie da się w stu procentach wyeliminować.

Groźba degeneracji tego systemu może ulec zelżeniu przy pomocy różnych adaptacji mających na celu dostosowanie systemu politycznego do zmian zachodzących w coraz dojrzalszym społeczeństwie sowieckim. Przede wszystkim więc naczelne kierownictwo polityczne systemu sowieckiego było zgodne z tradycją wyłączną domeną zawodowych polityków i, pod wieloma względami, dostarczało sowieckiemu systemowi politycznemu zdolnych i doświadczonych przywódców. Jeżeli jednak biurokracja zawodowa nie jest w stanie wyprodukować grona utalentowanych „syntetyków” i odkąd wzrasta w niej tendencja do różniczkowania funkcji czego wynikiem może być wyłanianie się przywódców będących specjalistami na znacznie węższych odcinkach niż działało się to dotychczas — coraz ostrzej może zarysowywać się potrzeba nieco szerszej pojętego przedstawicielstwa działaczy społecznych w obrębie kierownictwa naczelnego a nie tylko na stanowiskach drugorzędnych, jak to się działo dotychczas. Gdyby np. jakimś bocznym wejściem dokooptowano do rządzącego Prezydium kilku wybitnych naukowców, fachowych ekonomistów, dyrektorów zakładów przemysłowych i t.p. można by przypuszczalnie odwrócić proces stopniowego przekształcania się kierownictwa w reżym urzędniczy. Można by nadto zahamować postępy alienacji w stosunku do systemu politycznego u innych grup.

Po drugie przywódcy sowieccy musieliby zinstytucjonalizować naczelne władze wykonawcze i dążyć do wyposażenia ich w znamiona prawowitości i stałości. To wymagałoby z kolei stworzenia formalnych i jawnych ram selekcji przywódców a także, prawdopodobnie, ograniczenia w czasie okresu zajmowania kierowniczych stanowisk wykonawczych. Ograniczenie takie, w ra-

zie rzeczywistego honorowania go, przyczyniłoby się do depersonalizacji władzy, a zinstytucjonalizowany tryb selekcji, uzależniony od określonych dat a przez to także ujęty w ramy czasowe, mogłyby razem wzięte osłabić zgubne efekty niekontrolowanych i przewlekłych konfliktów w górnych sferach partyjnych.

K.P.Z.R. jest nadal partią ideokratyczną z silną tradycją nietolerancji dogmatycznej i dyscypliny organizacyjnej. Mniej bojowa i bardziej biurokratyzowana w poglądach domaga się wciąż, — jeśli ma działać skutecznie — katalizatora na szczycie (ale już nie tyrana). Przykład Papiestwa a może nawet Meksyku, gdzie partia u steru władzy stworzyła względnie skuteczny system następstwa na stanowisku kierowniczym, służyć może systemowi sowieckiemu jako przykład użyteczny. Uczy on jak łączyć rządy skupione w rękę jednostki z kierownictwem władzami wykonawczymi, z zachowaniem form prawnych, okresu zajmowania władzy i prawnie określonej metody selekcji następców.

Wszelkie posunięcia w kierunku rzeczywistego zinstytucjonalizowania władzy odbiłyby się w sposób znamieny na partii. Gdyby Centralny jej Komitet stał się *de facto* kolegium elektorskim, dokonującym wyboru władcy, któremu nikt nie zagrażałby w okresie sprawowania rządów, proces selekcji pozyskałby z czasem szacunek społeczeństwa. Musiałby jednak być czymś więcej od formalnej ratyfikacji postanowień powziętych *a priori* w ramach jakiejś biurokratycznej kabały. Tryb postępowania musiałby zawierać czynnik tolerancji dla wyrazów różnych poglądów, w atmosferze wolnej od dogmatyzmu, z pewną domieszką otwartej rywalizacji między ubiegającymi się o władzę, nawet w wypadku kształtowania się nieoficjalnych i co najmniej chwilowych koalicji. Słowem, zerwanie z przeszłością lenińską, z konsekwencjami, które nieuchronnie przerzuciłyby się z partii na cały system i społeczeństwo.

Po trzecie: niezbędna jest zinstytucjonalizowana aparatura podejmująca negocjacje w sprawach interesów poszczególnych grup. Potrzeba takiego forum jest nieuchronną konsekwencją zwiększonego udziału społeczeństwa w życiu politycznym, jeśli ma się uniknąć tarć, konfliktów — a efekcie końcowym nawet anarchii. Poszerzenie plenum Komitetu Centralnego było właściwym posunięciem w tym kierunku. Jeśli jednak Komitet ma pośredniczyć skutecznie w dziedzinie bardzo zróżnicowanych interesów poszczególnych instytucji i grup licznie reprezentowanych w społeczeństwie sowieckim, członkostwo Komitetu musi mieć charakter bardziej reprezentatywny a przewaga liczebna urzędników partyjnych musi ulec osłabieniu. Inną alternatywą, która może być rozważana przez przywódców sowieckich jest to, co uczynili już Jugosłowianie a mianowicie stworzenie specjalnej nowej instytucji, mającej jako wyłączne zadanie reprezentowanie poszczególnych grup i godzenia ich interesów. W przyjęciu dowolnej z tych dwu alternatyw, skuteczny organ mediacyjny musi być czymś więcej niż fasadą przesłaniającą ciągnący się nadal proces arbitrażu biurokratycznego w spra-

wach społecznych, gdyż oznaczałoby to ciąg dalszy występującego obecnie dylematu.

Wprowadzenie w życie tak daleko idących zmian organizacyjnych wywołałoby, rzecz prosta, głębokie przemiany sowieckiego systemu politycznego. Ale właśnie brak zasadniczych posunięć organizacyjnych w sowieckim systemie politycznym sprawił, że zarysowało się niebezpieczeństwo jego degeneracji.

Zbigniew BRZEZIŃSKI

(Przekład z angielskiego M. Danilewiczowej)

Przegląd niemiecki

WIELKA DEBATA

3 grudnia zakończono czterodniową debatę nad deklaracją programową Kanclerza Erharda.

W deklaracji Kanclerza sprawy gospodarcze przytłaczająco górowały nad innymi. W czterodniowej dyskusji również większość czasu zużyto na omawianie deficytu budżetowego i projektu Erharda zmierzającego do przedłużenia tygodnia pracy o jedną godzinę (obecnie 41 godzin rozłożonych na 5 dni pracy). Zagadnienia polityki zagranicznej, zostały potraktowane i w deklaracji i w debacie dość ogólnikowo, z tradycyjnymi niedomówieniami i unikami.

Przewodniczący frakcji parlamentarnej CDU, Rainer Barzel, cele polityczne swej partii określił następująco: utrzymanie pokoju; wzmacnianie stabilizacji państwa; osiągnięcie scalenia Niemiec; popieranie Zjednoczenia Europy; dalsza rozbudowa socjalno-prawnej państwowości. Kanclerz w deklaracji wymienił konieczność dopasowania polityki zagranicznej do nowych sytuacji politycznych i militarnych.

Z debaty trudno wywnioskować jak nowy rząd będzie to „dopasowywanie” urzeczywistniał; czy i w jakim stopniu będzie nadal stosowane mrożenie paktu francusko-niemieckiego? Czy zostanie skorygowana mało fortunna teza o nieuleczalnych sprzecznościach amerykańsko-francuskich i wynikające stąd marzenia o zmontowaniu trójkąta Bonn-Londyn-Waszyngton, mającego izolować Francję? Czy polityka wschodnia będzie ruszona z martwego punktu?

Pesymiści twierdzą, że obecna „Koalicja Sprzeczności” nie zdoła rozwiązać tych problemów. Ale błyskawicznie zmieniające się okoliczności mogą spowo-

dować niespodziewane decyzje. Takimi okolicznościami mogą się okazać: Memoriał Kościoła Ewangelickiego i wymiana listów między Episkopatem Katolickim Polski i Niemiec Zachodnich.

Po wrześniowych wyborach, kiedy Kanclerz Erhard tonął w chytrściach targów o teki ministerialne z Wolnymi Demokratami i z grupą F. J. Straussa, Rada Kościoła Ewangelickiego w Niemczech, pod przewodnictwem profesora L. Reisera z Tybingi, redagowała ostateczny tekst memoriału, opracowywanego przez różne gremia powołane przez Radę. Tytuł: „Sytuacja wysiedleńców i stosunek niemieckiego narodu do jego wschodnich sąsiadów”.

Memoriał ten, opublikowany pod koniec października w formie broszury o 44 stronach druku, wywołał niezwykle poruszenie w Niemczech i głośnie echa zagranicą, przede wszystkim w Polsce. Nie będzie przesady w stwierdzeniu, że listopad upłynął w Niemczech pod znakiem polemiki na temat memoriału i że zainteresowanie nim jest bez porównania szersze i trwalsze niż debata parlamentarna nad deklaracją rządu.

Miarą aktualności i zasięgu wpływów memoriału są duże ilości listów, napływających pod adresem autorów i wydawców. Znaczna większość tych listów wyraża uznanie, pewna część dezaprobatę, ale także listy z ordynarnymi wyzwiskami, a nawet z gangsterskimi pogrozkami, nie stanowią sporadycznych wyjątków.

W treści broszury nie ma właściwie niczego nowego. Są to tylko udośćniane myśli zawarte w powojennych pismach Karla Jaspersa¹, Karla Bartha²; oraz rozszerzone i spopularyzowane tezy „Ośmiu z Tybingi”³.

Ale filozof Jaspers i teolog Barth, mimo światowego zasięgu ich nazwisk, są autorami elitarnymi, a „Memorandum Ośmiu z Tybingi”, po początkowym rozgłosie, uległo później znowie milczeniu. Natomiast broszura Ewangelików napisana jest przystępnie, rozeszła się w setkach tysięcy egzemplarzy i spowodowała tysiące spotkań dyskusyjnych, oraz setki artykułów i polemik w prasie nie tylko niemieckiej.

Memoriał nie zaleca jakichkolwiek rozwiązań. „Kościoł nie może i nie chce wchodzić w rolę powołanych do działań politycznych, ale może i powinien przyczyniać się do rzeczowej dyskusji przez usuwanie istniejących napięć i przez wyrównywanie terenu dla politycznych działań” — czytamy we wstępie.

Główna teza pierwszego rozdziału mówi: „Bezprawia jakich doznali Niemcy (na wschodzie) nie mogą być wydzielone z moralnych i politycznych bezdroży, w które naród niemiecki dał się wprowadzić...”

Współżycie narodu niemieckiego z jego wschodnimi sąsiadami zostało tak głęboko zrujnowane, że dawne obfite ludzkie, duchowe i kulturalne wzajemne wymiany znikły całkowicie. „...niemieckiej stronie grozi znalezienie się obok światowej rzeczywistości”.

Drugi rozdział zajmuje się rolą i losem uchodźców w społeczeństwie zachodnio-niemieckim.

1. Niedawno ukazał się zbiór pism wybranych Jaspersa o polityce niemieckiej w latach 1945-65. *Hoffnung und Sorge*. Piper Verlag — Monachium 1965. Książce tej należy się specjalne studium.

2. Przegląd Niemiecki, *Kultura*, nr 156 — październik 1960.

3. Przegląd Niemiecki *Kultura*, nr 174 — kwiecień 1962.

Trzeci rozdział przypomina, że w 1945 roku państwo polskie na przedwojennych i na poniemieckich terenach było spustoszone, splondrowane i zrujnowane, że wskutek mordów, głodu, nędzy i wysiedłań straciło sześć i pół miliona obywateli, że wskutek planowej niemieckiej eksterminacji wyępiono większość inteligencji, że genezą powojennego przesunięcia Polski na zachód był niemiecko-sowiecki pakt z 23 sierpnia 1939 roku.

W czwartym rozdziale, o zagadnieniach prawnomiędzynarodowych czytamy, że tak zwany „Heimatrecht” — prawo do nieprzetłumaczalnego na polski „Heimatu”, do miejsc pochodzenia — w ogóle nie jest dostatecznie wyjaśnione; że zasada „samostanowienia” nie upoważnia do jednostronnego egzekwowania żądań: że Niemcy mają do przemyślenia jak wyrównać pogwałcone przez nich samych prawa innych. „Dlatego warto jest szukać dobrowolnej ugody, która by jednocześnie ustanawiała nowy ład między Niemcami i Polakami”.

Rozdział piąty — „Teologiczne i etyczne rozważania” — ostrzega, by nie nadawać pseudo-religijnego znaczenia pojęciu „Heimat”. Poza tym stwierdza, że nie można z Ewangelii wyprowadzać ani obowiązku, ani zakazu wyrzekania się.

Ostatni rozdział (szósty) — „Niemiecka granica wschodnia jako polityczne zadanie” — nawołuje do pojednania. „Memoriał nie może omawiać poszczególnych działań, jakie by najskuteczniej zbliżyły pojednanie i ustalenie nowego ładu. Pewne jest tylko, że z niemieckiej strony nie wystarcza sztywne i jednostronne głoszenie prawnego punktu widzenia i że nie można wymagać by rząd niemiecki z góry i bezwarunkowo poświęcał swój prawny punkt widzenia.

Tu idzie przede wszystkim o stworzenie wśród samych Niemców i na zewnątrz atmosfery, która by umożliwiała pojednanie ze wschodnimi sąsiadami. Oczywiście zakładając, że u tych sąsiadów istnieje, lub powstanie odpowiednio dobra wola pojednania”.

Zadania swe Kościół widzi w wyraźniejszym zaznajamianiu społeczeństwa niemieckiego z omawianymi celami i w perswadowaniu sprzeciwów często obecnie występujących. „Jeżeli przez to pole działania polityków rozszerzy się — ich zadaniem będzie zrobić z tego sprawiedliwy użytek” — brzmi końcowe zdanie memoriału.

Apel do pojednania i ułożenia nowego sąsiedzkiego współżycia stanowi sedno memoriału. Znaczenie inicjatywy Kościoła Ewangelickiego polega na próbie unieszkodliwienia utrwalających się tutaj różnych tabu politycznych, oraz na próbie zerwania z praktyką niedomówień i odkładania ważnych decyzji do traktatu pokojowego, czyli ad calendas graecas. Skutki wystąpienia Ewangelików będzie można należycie ocenić dopiero po odpływie wezbranej obecnie fali polemik. Niczego nie przesądzając, można jednak już dziś powiedzieć że Kościół Ewangelicki zdecydował się na wielki krok w kierunku zbliżenia zainteresowanych narodów.



Wymiana orędzi między Katolickim Episkopatem Polski i Niemiec, dokonana w Rzymie w ostatnich dniach Soboru, i przyjęcie przez Episkopat Niemiec zaproszenia do wzięcia udziału w uroczystościach tysiąclecia chrztu Polski, poprzedzone ukazaniem się przed sześcioma tygodniami memoriału

Rady Kościoła Ewangelickiego Niemiec, staną się zapewne punktem zwrotnym w historii powojennych stosunków niemiecko-polskich.

Wydarzenia te zaskoczyły polityków przyjmujących marzenia za rzeczywistość, a u wytrawnych zawodowców spowodowały przezorną powściągliwość. Na konferencji prasowej (3 grudnia) Szef Urzędu Prasowego Rządu oświadczył, że nie może określić stosunku do memoriału Kościoła Ewangelickiego, gdyż memoriał nie jest skierowany do Rządu. Z takiej samej przyczyny nie komentował zaproszenia Biskupów Polskich, choć nazwał je ważnym dokumentem.

Monachium, 8 grudnia 1965.

S. W. KOZŁOWSKI

TRAF W SEDNO!

**SZYBKIM PRZEKAZEM
PIENIĘŻNYM DO POLSKI**

TAZAB 22, ROLAND GARDENS • LONDON S.W.7

TEL. FRE - 3175

Sprawy i troski

Szyld

(REFLEKSJE)

Była to ostatecznie kwestia szyldu, liter w ramce. (Ojciec powiedział kiedyś: „Moje nazwisko, w ramce, grubą czcionką!... Czy wiesz, co znaczy gruba czcionka?”) Ale i dla mnie, wstyd powiedzieć, gruba czcionka nie była bez znaczenia. I nie tylko w gazecie. (Z ramki gotów byłem zrezygnować).

A więc na szyldzie napis kiedyś głosił: „Polak. Urodzony w Polsce. Z rodziców Polaków”. Nieco potem był już: „Kosmopolita. Obywatel świata. W przejeździe”. Potem kosmopolityzm trochę mi się przeżył i uwierzyłem w nową przynależność, tak jak w nowy nos na niezmiennionej twarzy. Szyld głosił wtedy: „Kanadyjczyk. Imigrant. Pochodzenia polskiego”.

Myślałem, że na zawsze. Ale nie na zawsze. Szyld jest przecież tylko szyldem, litery zawsze można zmienić, nawet te pisane grubą czcionką (z nosem jest już gorzej). Więc miewałem okresy, kiedy mówiłem o sobie, że jestem uchodźcą, po prostu „D.P.”, z obozów przejściowych, między jednym, a drugim postojem. I przestałem już wierzyć, że się urodziłem w jakimś domu, a nie w pociągu, bo tylko w pociągu czułem się, jak w domu, swojsko, pewnie i na miejscu.

Tłumaczyłem sobie i innym, że tamten, kraj pochodzenia, jest zupełnie nieważny, jak czerstwy chleb, lub zeszlóroczny kalendarz. Wiedziałem ponadto, że i to, miejsce zamieszkania, jest nieważne, jest wprost kwestią przypadku. Tu właśnie pociąg stanął. Tutaj na razie stoi. Te drzewa widzę za oknem. Jutro mogą być inne. Wiedziałem już wtedy, że szyld nie ma znaczenia, że można go zmieniać z dnia na dzień, że można to robić bezkarnie. Dzisiaj jestem Anglikiem, wczoraj byłem Polakiem. Czemu zresztą Polakiem, czy tylko dlatego, że moja matka miała szerokie biodra i kwadratową twarz? A właściwie najchętniej nie byłbym nikim. Byłbym człowiekiem „stamtąd”, który

kiedyś przyszedł i który odejdzie. Któż z nas nie jest tym człowiekiem?

Ale kiedy przyszedł ten list, krew mi uderzyła do głowy. Chciałem odpisać krótko, w dwóch zdaniach:

„Nie odpiszę ci na twój list, bo po pierwsze to nie był list, a po drugie z zasady nie odpisuję na listy”.

Lub:

„Czemu pytasz o rzeczy, których nie rozumiesz? Czemu mnie w ogóle o cokolwiek pytasz? Ja cię przecież o nic nie pytam od wielu lat”.

Albo zgoła inaczej:

„Za kogo się uważam? A za kogo uważasz się ty? Czyżby wciąż jeszcze za tego, „co na sztandarach, jak pies się położył”?

Ostatecznie nie napisałem nic, ale sprawa tkwi mi dotąd w gardle, ani jej wydłubać, ani wypluć. Tyle w życiu widziałem zniszczonych szyldów! Czy warto je wskrzeszać, by je znowu grzebać? W dewaluację wartości, lub rewaluację wartości można tylko wierzyć, jeśli się wierzy w wartość. To takie proste, ale nie oczywiste. Więc jeśli tamte szyldy, pogrzebane szyldy, zmarłych wstaną, to znaczy, że było w nich życie, może nie w nich samych, ale we mnie. One świecą, jak księżyc, a słońcem jestem ja. Wprawdzie kiepskim słońcem, ale takim, które świeci.... (trzeba było wybrać inny tytuł: „Słońce w walizce, czyli światło na szlaku emigranta”). Jak ja tego słowa nie znoszę! Powiedziałem dwa razy, z przyciskiem „emigranta”, „e-mi-gran-ta”. A ostatecznie słowo, jak słowo, nawet dźwięczne. I emigrant to tylko człowiek z walizką, częściej jeszcze z tłumokiem, taki dobrowolny „D.P.”, który jedzie, bo chce.

Przypominały mi się tłumoki na Okęciu, takie niezgrabne, wielkie, pościągane sznurami i tyle płaczu! Jak ci ludzie płakali, łzy kapały, jak groch! Machali przybrudzonymi chustkami, liczyli dzieci i bagaż. Jakiś człowiek z niemowlęciem na ręku dwa razy zgubił teczkę. Powiedziałem mu wtedy: „Jak pan tę teczkę zgubi w Nowym Yorku, to jej pan tak łatwo nie znajdzie”. To był właśnie emigrant, z teczką, z dziećmi, zalany łzami, pełen lęku i jakichś mglistych nadziei na przyszłość. A ja?

Byłem kiedyś więźniem, chodziłem po torach, szukałem niedopałków, które potem sprzedawałem za chleb. Bałem się wtedy zawsze o dzień następny, że nie będzie niedopałków, że nie będzie chleba... Potem, byłem „D.P.”. Chleb był zapewniony, zupa też. Nie bałem się o dzień następny, a dalsza przyszłość topiła mi się w wielkiej zmienności teraz, które zaskakiwało z dnia na dzień. Nie było wtedy granicy między nadzieją, a marzeniem. Marzenia były nadzieją.

Na wolności wrócił lęk, ale już inny lęk, o to czy plany dadzą się wykonać. Budowałem swój świat. Zasadziłem go, jak ogród, ludźmi. Nie wszystkie drzewa wyrosły. Wtedy nadzieje

miały kształty konkretne, pachniały jak jabłka, były ciepłe jak ziemia w czerwcu, świeciły czerwono jak maki. Lęk — to była posucha, brak wody, brak pieniędzy.

Potem nadzieje się spełniły. Ogród wyrósł. I nie było już na co czekać. Szukałem wtedy drogowskazu do swego życia, chciałem je wytyczyć na mapie, etap po etapie, krok po kroku. Ale to nie było łatwe, za mało znałem słów, za mało rozumiałem z tego, co przeżyłem. Wydawało mi się, że to tylko kwestia szyldu, grubej, czy cienkiej czcionki, w ramce, czy bez ramki. — Kim pan jest?

— Nie wiem. Ale nazywam się Stasio, Stanisław Niesiołowski. Tak przynajmniej powiedziała mi matka. Teraz mówią do mnie „Stan”, „Stan Ness”. Tak jest prościej. Niektórzy mówią „Nestle”. Tak jak kakao Nestle'a.

Ja sam oczywiście nie mówię o sobie Stasio, ani nawet Stan. Nie mówię nawet „ja”. Najczęściej mówię „on”. Może to schizofrenia? W każdym razie tak mówię, gdy ze sobą rozmawiam. Mówię:

— Kim on właściwie jest? Mówicie o nim „Polak”. Ale czy należy do Związku? Czy płaci składki? Czy w jego pokoju wisi orzeł, czy chociażby prezydent? (Obojętnie który). Kiedyś był harcerzem, nosił krzyż ze złotą lilijką, tak, ze złotą. Zawsze to podkreślał. Ale gdzie jest teraz jego krzyż? Kiedyś był żołnierzem, zebrał parę medali. Gdzie są jego medale? Gdzie książeczka służbowa? Gdzie wyblakły mundur? Więc może człowiek „świata”? Ale jaki duży jest ten świat?

Stan Ness, ergo Niesiołowski, ongiś Polak, teraz kawaler, posiadacz domu na kółkach, oraz dwóch walizek, pan na swoich włościach, a poza tym autor kilku listów (nielicznych, ale długich) i autor tego szkicu, który zawsze marzył i zawsze stawiał szyldy, a potem szyldy niszczył, — ten właśnie człowiek w przejeździe (inaczej mówiąc — ja) — już się bardzo zmęczył i prosi, żeby go o nic nie pytać. A jeśli ktokolwiek go lubi, niech mu przyśle wrzosa, bo w tym kraju wrzosów nie ma, a on za nimi tęskni. Poza tym nie tęskni za niczym, sam jest sobie słońcem (nie wiecznym, ale zawsze) i jak słońce wschodzi i jak słońce zachodzi i tylko nocą ma czasem wątpliwości. Wtedy ze sobą mówi i pisze szyldy. We dnie siedzi w biurze. Tam szyldów nie potrzeba.

Danuta Irena BIEŃKOWSKA

Kronika kulturalna

Wystawy londyńskie

Wystawy plastyczne z reguły angażują w najwyższym stopniu zarówno wysiłek twórczy artysty, jak i jego finanse.

Przygotowanie ekspozycji na wystawę wymaga przeciętnie dwuletniej bardzo wyłożonej pracy twórczej. Zdobycie galerii oraz kapitału na opłacenie kosztów związanych z ekspozycją jest dla artysty bez ustalonej jeszcze reputacji naprawdę bohaterskim. Wystawy z reguły nie opłacają się finansowo ich autorom, a jednak chyba nie ma takiego, który nie robi starań aby za-demonstrować swój dorobek publicznie. Jest to układ rzeczy, który wszyscy akceptują. Przez wystawy i krytykę artysta najlepiej może skonfrontować swój dorobek z powszechnym stanem potencjału twórczego.

Współczesne państwo przejęło obowiązki dawnego mecenasa i czyni wielkie wysiłki zmierzające do zapewnienia pozycji w świecie swoim artystom.

Kto się troszczy o los polskich artystów emigracyjnych? Kto jest w stanie udostępnić im udział w międzynarodowych wystawach, które tyle mogą zrobić dla wylansowania jakiegoś prawdziwego talentu?

Pozostawieni samym sobie, plastycy emigracyjni wprawdzie tracą wiele z powodu utraty międzynarodowych aren, ale ich indywidualne wysiłki wytrzymują konkurencję najlepiej zorganizowanych imprez różnych instytucji od krzewienia sztuki.

Od ostatniego mojego omówienia minęło dziewięć miesięcy. W tym czasie odbyło się tutaj przeszło dwadzieścia wystaw polskiej plastyki.

Dla ilustracji warto przytoczyć daty najważniejszych z nich, bo omówienie wszystkich jest po prostu niemożliwością fizyczną.

Tak więc w marcu 1965 Leicester Gallery prezentowała dorobek malarski *Zdzisława Ruszkowskiego*.

W tym samym czasie Cassel Gallery zorganizowała wspaniałą wystawę rzeźby *Tadeusza Zielińskiego*. W kwietniu odbyła się

wystawa obrazów *Janiny Baranowskiej* u Grabowskiego. W maju *Halina Korn* wystawiała w New Artists Forum, a *Henri Hayden* znakomite swoje obrazy pokazał w Waddington Galleries. Drian Gallery urządziła w czerwcu wystawy *T. Ilnickiego* (malarstwo) i *J. Stockiego* (rzeźba), a w lipcu przypadła zbiorowa wystawa malarstwa *Haliny Sukiennickiej* w Barrett Gallery.

Na wystawie malarstwa *Józefa Hermana* w Rolland Browne and Delbanco Gallery wyprzedano wszystkie jego obrazy już w drugim tygodniu trwania wystawy.

W momencie, gdy piszę te słowa czyni się ostatnie przygotowania do uroczystego otwarcia wystawy rysunku i grafiki Stowarzyszenia Polskich Artystów Plastyków w Wielkiej Brytanii, w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym w Londynie. Udział w tej wystawie bierze dwudziestka wyborowych polskich plastyków.

Przechodząc z kolei do omówienia poszczególnych wystaw, z konieczności ograniczam się do kilku imprez.

Stanisław Frenkiel zaprezentował się na wystawie w Galerii Grabowskiego (17. 8.-14. 9. 1965) jako malarz dynamiczny i o zdecydowanym obliczu. Swoboda z jaką ten artysta posługuje się farbą i pędzlem oraz świeżość harmonii barwnych jak też gwałtownych kontrastów są właściwościami sztuki Frenkiela, które rzucają się nam natychmiast w oczy i najdłużej pozostają w pamięci.

Punktem wyjścia dla problemów estetycznych tego malarza stała się postawa ekspresjonistów a miejsce jej można by ustalić gdzieś w pół drogi pomiędzy obrazami Goya (z okresu kiedy głuchy już kompletnie i odcięty od świata i życia towarzyskiego zamieszkał na pustkowiu we własnym domku, zbudowanym nad Mancanares. Ściany tego domu Goya pokrył 14-oma obrazami malowanymi olejno na ścianach. Są to „Saturn zjadający dzieci”, oszałamiający „Sabat czarownic”, cudowna „Manola” i inne) — a modnym dzisiaj obsesyjnym malarstwem Francis Bacon’a.

Gwałtowność z jaką Frenkiel atakuje swoje płótna siłą rzeczy pozbawia jego prace tych wszystkich doznań, które wypływają z rozkoszy delektowania się malarstwem. Tak więc wyszukane niuanse gry barwnej ustępują miejsca silnym kontrastom, a rafinacje formalne kompozycji zastępuje wkład emocjonalny. W rezultacie Frenkiel obdarza nas kompleksem kompozycji energicznych, animujących siłę i ciężność fizyczną, wyrażoną nie tyle samą formą co gestem.

Lapidarne, celowo sprowadzone do szerokich, prawie abstrakcyjnych plam, kompozycyjne grupy figur ustawione w plastycznej przestrzeni spełniają tutaj rolę mas barwnych, rytmów i arabeski. W ten sposób fantastyczni bohaterowie malarskich dramatów Frenkiela zostali sprowadzeni do wspólnego mianownika. „Zapaśnicy”, „Walczące kobiety” czy „Śmierć Orfeusza” kłębią się zawiłymi rytmami i przeplatanką form nie dla ilustracji wydarzenia, które sugerują tytuły obrazów, ale z wewnętrznej

potrzeby samego artysty, który w ten sposób wyraża swoje napięcia emocjonalne.

W tym miejscu zaczyna się konflikt. Ta niesamowita dbałość Frenkiela o siłę wyrazu, owe akcentowanie gwałtowności, wybór tematyki energicznej, brutalnej, podkreślanie tężyzny i równoczesne wprowadzanie elementów superrealistycznych, tych zmagających się wirów — zaczyna niepokoić i wydaje mi się, że koliduje z osobowością malarza, którego znam wprawdzie bardzo powierzchownie, ale który objawia mi się jako gentleman o nie-nagannych manierach: miły, towarzyski, zadowolony z życia — słowem typ ludzki bez kompleksów i powikłań wewnętrznych.

Przynaję, że nie znajduję wytłumaczenia na to wewnętrzne rozdarcie artysty, które z taką mocą narzuca się w obliczu tych siedemnastu wystawionych obrazów.

W zestawieniu z ambitną wystawą Frenkiela, malarstwo *Haliny Korn*, które oglądaliśmy na wystawie w New Artists Forum (maj 1965) robi wrażenie nieskomplikowanej zabawy.

Sztuka *Haliny Korn* należy do tych rzadkich zdarzeń, które powstają w specyficznych warunkach. W tym wypadku brak formalnych studiów plastycznych malarki wychodzi jej na dobre. Trzymanie pędzli w czystości i unikanie naśladowań innych malarzy, oto dwie rady, których usłuchała.

Sztuka jej jest wynikiem wrażliwości na kolor i formy i nie-pohamowanej potrzeby wypowiedzi plastycznej, która wyraża się tutaj w poetyckiej syntezie. Jest wiele do obejrzenia na tej wystawie obrazów, spreparowanych wiernie i ostrożnie z wprost pedantyczną dbałością o treść literacką, o anegdotę, którą każdy z obrazów posiada niezależnie od swojej treści plastycznej.

Rodzaj malarstwa uprawiany przez *Halinę Korn* dzisiaj — to jest w dobie eksperymentów i uporczywych poszukiwań coraz to nowych wypowiedzi plastycznych — jest możliwy dla ludzi, którzy nie biorą udziału w tym wyścigu nowego argumentu w sztuce. Mogą być różne powody zajęcia takiego stanowiska. Tutaj mamy po prostu do czynienia z twórczością, którą teoretycy sztuki zakwalifikowali do działu „prymitywów”. Tak zwani „prymitywi” istnieją w każdej epoce, ale w czasach gdy napięcia z powodu tarć różnych nowych prądów osiągają najwyższy punkt nasilenia, sztuka prymitywów działa kojąco jak narkotyk. Wchłaniamy z ulgą „sztukę bez problemów” zmęczeni nadmiarem nowych teorii.

Wystawa *Haliny Korn* była właśnie takim narkotykiem w Londynie, wiosną 1965 r. Rzecz prosta, że nie znalazł w niej pokarmu dla siebie poszukiwacz nowych i nieznanych doznań — poławiacz sensacji i szoków. Ten rodzaj malarstwa, jaki uprawia *Halina Korn*, działa na tych, którzy potrafią oglądać jej dzieło

bez uprzedzeń intelektualnych. Słowem, kto wie mniej — skorzysta więcej.



Ktoś się kiedyś wyraził, że każdy z polskich artystów emigracyjnych prowadzi podwójne życie: pierwsze to normalne w biurze, fabryce czy w porcie i drugie to artystyczne — owe intymne kontakty z muzą. Ogromna część braci artystycznej musi zarabiać aby móc uprawiać niezależną sztukę.

Tadeusz Ilnicki jest chyba najbardziej tutaj klasycznym przykładem. Ten bardzo utalentowany i wrażliwy artysta-malarz pracuje w fabryce nocami, aby móc malować we dnie lub dla odmiany w dzień pracuje w antykwariacie i maluje nocami.

Każdy z nas doświadczył na własnej skórze skutków takiego podwójnego życia i z tym większym uznaniem śledzimy rozwój artystyczny naszych kolegów, którzy mają siłę woli i charakter aby borykać się z losem bez uszczerbku dla swoich poczyniń artystycznych.

20 obrazów i dwie rzeźby Tadeusza Ilnickiego złożyły się na jego wystawę w Drian Gallery (czerwiec 1965). Była to w Londynie trzecia z kolei wystawa Ilnickiego; odbywają się one rytmicznie, co pięć lat.

Problemy estetyczne w sztuce Ilnickiego są odwieczne i ta okoliczność sprawia, że w jego sztuce nie dopatrujemy się problematyki lecz wprost kontaktujemy się z istotą malarstwa, które promieniuje z obrazów tego artysty. Ilnicki kontuuje najlepsze tradycje polskiego malarstwa. W jego figurach można odnaleźć pewne powiązania ze sztuką Tadeusza Makowskiego, a świeży koloryt jego kompozycji przypomina mi ludowe malarstwo na szkle.

Ilnicki bardzo szczęśliwie łączy naiwne elementy sztuki prymitywu z rafinowaną wrażliwością rasowego artysty.



Równocześnie na pierwszym piętrze Drian Gallery odbywała się wystawa konstrukcji i reliefów Jerzego Stockiego. W sumie 24 pozycje (w drzewie i stali).

Proste, geometryzujące konstrukcje Stockiego są pracami najbardziej doprowadzonymi do końca. Montaż elementów metalowych organizowanych w rytmy i masy są również bardzo interesujące.

Ten polski rzeźbiarz jest świetnie zorientowany w sytuacji sztuki współczesnej i ma ambicje być jednym z licznych pionierów nowego stylu epoki.

Z. TURKIEWICZ

Komunikaty

NAGRODA FUNDACJI IM. KOŚCIELSKICH

Rada Fundacji im. Kościelskich zebrana w Genewie dnia 30-go października postanowiła przyznać za rok 1965 nagrodę w wysokości 3.000,— Fr. szwajc. ojcu Wacławowi T. Chabrowskiemu i Andrzejowi Kijowskiemu oraz kwotę 1.500,— Fr. szwajc. Marianowi Ośniatowskiemu jako zachętę do dalszej twórczości literackiej.

JÓZEF MACKIEWICZ NAGRODZONY ZA NOWELĘ

Jury nagrody literackiej, ufundowanej przez firmę Tazab w Londynie, na zebraniu odbytym w dniu 2 bm. postanowiło jednogłośnie przyznać tegoroczną nagrodę Józefowi Mackiewiczowi za opowiadanie pt. „Ballada o nowym sterniku” zamieszczone w książce „Pod każdym niebem” i wydanej nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej. Opowiadanie to Jury uznało za najlepszą nowelę roku.

W Jury uczestniczyli: Juliusz Sakowski, Wiesław Wohnout i Tadeusz Zabłocki.

Nagroda wynosi 100 funtów sterlingów.

Jury zapomniało, że rzeczywiście świetne opowiadanie J. Mackiewicza było drukowane w „Kulturze” nr 6/44 w... 1951 roku. Stusniej by było więc określić je za najlepszą nowelę dwudziestolecia.

SUBSKRYPCJA NA NOWĄ KSIĄŻKĘ AL. GROBICKIEGO

Aleksander Grobicki, który w styczniu br. wydał na zasadzie subskrypcji swoje wspomnienia wojenne pt. „Wojenne błyski” ogłasza obecnie subskrypcję na swoją nową książkę DIAMENTY I ALIGATORY. Opisuje w niej swe przygody w dżungli Brytyjskiej Gujany w pogoni za diamentami i przygodą. Cena subskrypcyjna za 1 egz. wynosi 3,75 dol. Lista subskrybentów będzie zamieszczona na końcu książki. Zamówienia i pieniądze należy kierować na adres: Aleksander Grobicki, 360, Quebec Ave., Toronto 9, Ont., Canada.

Książki

Srebrna kulka

Bogate i barwne życie Jana Potockiego — historyka, etnografa, niepospolitego erudyty, lingwisty, matematyka, podróżnika, żołnierza, pisarza, polityka, dyplomaty, kosmopolity, patriotę polskiego i tytularnego tajnego radcy carskiego z orderem Św. Włodzimierza na piersiach, katolika i zwolennika encyklopedystów, arystokraty i „obywatela-hrabiego” z nominacji jakobinów — zamknęło się w praktyce wkrótce po przekroczeniu pięćdziesiątki, w roku 1812. Ostatnie trzy lata, od tej daty aż po dzień śmierci w roku 1815, spędził w swojej Uładówce pod Berdyczowem, rzadko tylko odwiedzając bibliotekę Liceum Krzemienieckiego. Były to przypuszczalnie lata powolnej agonii duchowej, poprzedzającej definitywne odejście. Leszek Kukulski, kurator nowego polskiego wydania *Rękopisu znalezionego w Saragossie* z roku 1956, powiada w przedmowie: „Gwałtowne ataki nieznosnych bólów newralgicznych, których nabawił się podczas swych licznych podróży, doprowadziły go do stanu silnej depresji nerwowej; podczas jednego z ataków melancholii zakończył życie wystrzałem samobójczym, 20 listopada 1815 roku”. „Atak melancholii”, to co zwykło się określać w samobójczych aktach zejścia jako „nagłe zakłócenie równowagi psychicznej i jasności umysłu”, niezupełnie tłumaczy okoliczności śmierci w Uładówce. Hrabia od pewnego czasu szlifował pilnikiem gałkę odłupaną od pokrywki srebrnej cukiernicy rodzinnej; gdy udało mu się wreszcie dopasować kulkę do lufy pistoletu, kazał ją pobłogosławić przez kapelana zamkowego; i tą srebrną kulką, poświęconą ręką nieświadomego księdza, położył kres swemu życiu.

Sumienny i trzeźwy Kukulski nie wspomina wersji srebrnej kulki, uważając ją widocznie za ornament w stylu epoki zakwitły na żyznym gruncie legend jakie towarzyszyły *Rękopisowi* i jego twórcy. Wspomina ją natomiast z wyraźnym upodobaniem Roger Caillois, autor przedmowy do kadłubowego oryginału francuskie-

go powieści Potockiego. I istotnie: jeśli była prawdą, to hrabia dopisał tylko 20 listopada 1815 roku ostatni *Dzień* do swego „czarnego Dekameronu”; jeśli ją zmyślono, to pomysł był dobrym i zwięzłym komentarzem do całości ogromnego dzieła. Barokowy uścisk splótł religię i makabryczność, niebo i otchłań potępienia. Malarze mieli niegdyś zwyczaj portretować samych siebie w miniaturach umieszczanych w rogach wielkich fresków; Potocki ze swoją srebrną i poświęconą kulką samobójczą patrzy z rogu *Rękopisu* na bosko-ludzką komedię, która mogłaby się toczyć w nieskończoność.

Tyle już napisano o historii i losach *Rękopisu*, że wolno sobie darować szczegóły i ograniczyć rzecz do krótkiej rekapitulacji. Powstawał przypuszczalnie, z częstymi przerwami i nawrotami, w ciągu dwunastu lat, włączając w to trzy ostatnie lata „depresji nerwowej”. Pierwszy tom ukazał się w Petersburgu nakładem autora z datą 1804 i w ilości stu egzemplarzy, i obejmował *Dziesięć Dni* początkowych. Druk drugiego wstrzymano w rok później z powodu wyjazdu Potockiego do Chin w składzie poselstwa wyznaczonego przez księcia Adama; zawierał ledwie pięćdziesiąt stron, urywając się pod koniec *Dnia Trzynastego*. Fragmentaryczna edycja petersburska jest jedyną nadzorowaną osobiście przez autora. Kolejne wydania i przekłady rozszerzyły ilość *Dni*, zapewne w oparciu o odpisy z manuskryptu sporządzane za zgodą hrabiego przez coraz liczniejszych admiraatorów powieści. Pełny oryginał francuski nie wyszedł drukiem ani za życia Potockiego, ani po jego śmierci. Zdawało się też że zaginął, lub został zazdrośnie ukryty przez rodzinę autora, manuskrypt *Rękopisu znalezionego w Saragossie*. Fantasmagoryczność powieści stała się przyczyną dwóch plagiatów: Charles Nodier'a w roku 1822 i Maurice Cousin'a w roku 1835. Nie jest wykluczone że Potoccy, zaniepokojeni takim obrotem sprawy, postanowili złamać pieczęć na schowku. Niewiadomymi drogami manuskrypt dotarł do rąk Edmunda Chojeckiego, dość popularnego wówczas literata zamieszkałego w Paryżu i pisującego również po francusku pod pseudonimem Charles Edmond. Chojecki przetłumaczył *Rękopis* na język polski i wydał go w sześciu tomach w Lipsku, w roku 1847. Na tekście Chojeckiego, kilkakrotnie potem przedrukowywanym, jedynym tekście wszystkich sześćdziesięciu sześciu *Dni* jaki posiadamy, oparł Kukulski swoje poprawione i krytyczne wydanie z roku 1956. Z rąk Chojeckiego pełny oryginał francuski odpłynął znowu w nieznane, ale niemal równocześnie z wydaniem Kukulskiego odnaleziono w archiwum rodzinnym Potockich w Krzeszowicach spore fragmenty manuskryptu nie ogłoszone dotąd drukiem. Kukulski zabrał się do rekonstrukcji całości oryginału, tymczasem zaś Caillois wydał w roku 1958 w Paryżu to co przeniknęło na światło dzienne za życia autora, czyli czternaście pierwszych *Dni* oraz trzy opowiadania z dalszego ciągu romansu. Odtąd zaczęła się światowa kariera *Rękopisu*, a raczej jego czwartej w przybliżeniu części.

U progu swego burzliwego żywota, z górą półtora wieku temu, *Rękopis* podbił niebylejakich czytelników. Ślady jego lektury spotykamy u Mickiewicza, znał go Słowacki, a Puszkina — według świadectwa Wiaziemskiego — „bardzo cenił tę powieść, gdzie w jaskrawych i prawdziwych barwach występują swoiste fantastyczne motywy poezji arabskiej i niemniej swoiste zwyczaje i obyczaje hiszpańskie”. Autor *Jeźdźca miedzianego* próbował nawet parafrazować wierszem przygody Alfonsa van Worden: *Alfons saditsia na konia; jemu choziain dierżit striemia. „Senor, posłuszajties mienia: puskatsia w put tiepier nie wriemia; w gorach opasno, nocz blizka, drugaja wienta daleka...”*.

Jest to naturalnie recepcja romantyczna, która ma niewiele wspólnego z duchem i stylem powieści Potockiego. Można sobie wyobrazić że dalsze — w okresie plagiatów, przekładu Chojckiego i później — kładły coraz większy nacisk na „dreszcz niesamowitości”. Gdyby na trop *Rękopisu* wpadł był ekspresjonizm, uczyniłby zeń pewnie coś w rodzaju klasycznego *Totentanz*. Odkrycie z połowy naszego stulecia rozporządza, jak dotąd, dwiema interpretacjami. Jedna pochodzi od kuratora wydania polskiego, druga od kuratora wydania francuskiego.

Dla Kukulskiego Potocki „był w całej europejskiej literaturze jedynym pisarzem, który w beletrystycznej formie podjął dyskusję z ideologią *Geniuszu chrześcijaństwa* Chateaubrianda... Z systematycznością historyka, pedanterią erudyty, pasją racjonalisty wpisuje Potocki na karty *Rękopisu* solidny traktat polemiczny. Co ciekawsze, operuje bronią daleko bardziej celną i skuteczną niż ta, jaka znajdowała się w dyspozycji prądu ideologicznego, w którego imię podjął polemikę. Prąd ten — to filozofia Oświecenia francuskiego w jej postaci najbardziej konsekwentnej, radykalnie wolnomyślniej, reprezentowanej przez materializm La Mettriego i Holbacha. Najcenniejszy walor stanowiska światopoglądowego, jakie Potocki zajmuje w *Rękopisie*, polega na tym, że pod określonym względem potrafił wyłamać się poza ograniczoną osiemnastowieczną racjonalizm, dzięki czemu był w stanie trafniej ustawić problematykę dyskusji i sensownie wyzyskać obfity materiał erudycyjny”. Najogólniej dałoby się „traktat polemiczny” Potockiego, wpisany na karty *Rękopisu*, streścić tak: odrzucając fideizm Chateaubrianda, jego apoteozę Chrześcijaństwa jako religii objawionej i kult średniowiecznej glorii Kościoła, odrzucał on równocześnie a raczej rewidował zbyt ciasną i uproszczoną demistyfikację racjonalistów, aby zaproponować na jej miejsce szersze spojrzenie historyczne; „przypominał mianowicie, w oparciu o nader interesujący zestaw źródeł historycznych, że podstawowe dogmaty i obrzędy chrześcijaństwa dostały się doń niekoniecznie drogą ponadnaturalną, gdyż znajdujemy je już w wierzeniach dawniejszych, powstałych i kwitnących przed naszą erą”. Kukulski zdaje się przywiązywać szczególną wagę do następującej wypowiedzi Potockiego: „Mistrz boski zjawił się w Palestynie. Ludzie prości towarzyszyli mu podczas jego pobytu na ziemi. Po jego śmierci zesłi się wraz

z innymi oświeceniowymi ludźmi i wybrali z obrzędów pogańskich to, co najlepiej przystawało do nowej wiary. Takim sposobem, za pomocą środków na pozór ludzkich, chrześcijaństwo utworzyło się z tego, co było najczystsze w religiach pogańskich i żydowskiej”. W oczach krytyka polskiego *Rękopisu* jest zatem jakby fantazyjnym dywanem, w którym wśród powieściowych motywów arabskich, hiszpańskich i włoskich snuje się nieprzerwanie nic uczzonego wykładu o sprzężeniu religii objawionej z naturalną (deistyczną). Velasquez z powieści okazuje się wychowankiem filozofii osiemnastego stulecia, a jego „system” wywodzi się w prostej linii „z pozycji wolteriańskiej walki o monistyczną koncepcję człowieka, o uwolnienie się od koncepcji nadprzyrodzonej duszy ludzkiej”. Encyklopedysta Hervas, także *porte-parole* autora, wszechwiedzący bezbożnik zdolny do dysput *de omni scibili*, posuwa się jeszcze dalej, bo na stanowisko materialistycznej filozofii natury: źródło życia widzi w twórczych właściwościach „kwasu uniwersalnego”, a więc czynnika bynajmniej nie nadprzyrodzonego.

Inaczej przedstawia się interpretacja Caillois. Czy rzeczywiście jest do pomyślenia, by Potocki puścił w ruch równie skomplikowaną i tajemniczą maszynę wyobraźni dla celów jedynie dydaktycznych, dla zademonstrowania czytelnikowi swych rozważań z zakresu historii porównawczej religii? „Osobiście nie dopatruję się w Potockim ani tak zdecydowanego wroga Chateaubrianda, ani tak upartego obrońcy Diderota czy La Mettriego. Że w jego dziele czuje się inspirację libertyńską, nie podobna zaprzeczyć. Potocki nie wyparł się swych mistrzów. Był z pewnością encyklopedystą, ale był przede wszystkim pisarzem o wiedzy encyklopedycznej”. Istoty *Rękopisu* należy według krytyka francuskiego szukać gdzie indziej: „Dlaczego pierwsza część roi się od duchów i demonów, pozostaje tajemnicą. Być może, kluczem byłaby tu zgroma dobrowolnej śmierci Potockiego. Coś w nim domagało się za wszelką cenę, by kurtyna unosząca się nad jego *Comédie humaine* odsłoniła scenię niezwykłą, zaludnioną zjawami i przywidzeniami, upiorami i wisielcami; i by bohater uległ fascynacji tego pomieszania lubieżności i potępienia. Niezależnie od walorów reszty powieści, tą właśnie częścią Potocki wzbogacił literaturę fantastyczną o arcydzieło, o jeden z tych rzadkich utworów które odnawiają jej siłę i zapewniają jej godność. Mówię „godność”, lecz myślę o mrocznej celności jaką przypisywał on bez wątpienia tym okropnościom, tym przeczuciom, i przychodzi mi na myśl inne, bardziej tajemne usprawiedliwienie. Gdy po raz ostatni wspominam owe nawroty bez końca, które niby nieustanny wyrzut sumienia podważają uporczywie porządek racjonalny, z takim trudem osiągnięty i przez Potockiego uważany za zdobycz decydującą, powiadam sobie że ten odwet ciemności, złudny lecz groźny, może z powodzeniem powstrzymać *esprit de rigueur* od wejścia na drogę samozadowolenia i zadufania, może mu uprzytomnić że otchłań z której wydobyl się cudem jest dalej niezgłębiona i pełna mocy

nieposkromionych". Jak widać, Potocki w ujęciu Caillois robi wrażenie iluministy pośepnego, człowieka któremu wiedza encyklopedyczna i precyzja intelektualna nie przeszkadzały pamiętać na każdym kroku życia o wiecznej i ciemnej przepaści pod naszymi stopami. Warte uwagi jest tu też domniemanie o „kluczu tkwiącym w zgrozie jego dobrowolnej śmierci”.

Łatwo wykryć gdzie i jak naciągnięta jest interpretacja Kukulskiego. Poglądy Velasqueza, wyłożone najlepiej w *Dniu XXXVII*, oddalają się co prawda wyraźnie od „koncepcji nadprzyrodzonej duszy ludzkiej”, ale nie stają bynajmniej na gruncie „monistycznej koncepcji człowieka”. Przeciwnie — mamy do czynienia z czymś w rodzaju dyskursu o dualizmie sekretnym. Szalony matematyk zapewnia, że „nauka nigdy nie prowadzi do niewiary”; podkreśla, że „Newton i Leibniz byli prawowiernymi chrześcijanami, a nawet teologami, i obaj przyjęli tajemnicę liczb chociaż nie mogli jej pojąć, gdyby zaś urodzili się w naszym wyznaniu, byłiby przyjęli również i drugą tajemnicę, niemniej niepojętą, która polega na możliwości ścisłego połączenia się człowieka ze Stwórcą”; propaguje religię natury, ale ostrzega że „rozumowanie, na jakim religia natury się zasadza, jest często niebezpieczną bronią, raniącą tego kto jej używa, bo jakiejże cnoty nie chciano potępić za pomocą rozumowania, lub jakiej nie usprawiedliwiono zbrodni”. Wszystko to mieści się jeszcze w ramach schematu Kukulskiego, potwierdzając jego spostrzeżenie o sprzęgu łączącym w filozofii *Rękopisu* religię naturalną z objawioną, ale wkrótce potem usłyszymy z ust Velasqueza coś więcej: „Zdania filozofa i teologa mogą, na kształt linii znanych pod nazwą asymptot, nigdy nie spotykając się, coraz bardziej się zbliżać, aż do odległości mniejszej od wszelkiej jaką możemy sobie wyobrazić, czyli że różnica między nimi będzie mniejsza od wszelkiej różnicy uchwytnej i od wszelkiej ilości wymiernej. Skoro zatem nie jestem w stanie ocenić różnicy, jakim prawem odważę się występować z moim zdaniem przeciw przekonaniom moich braci i Kościoła? Czyż mogę krzewić moje powątpiewania pośród wiary, którą wyznają przyjąwszy ją za podstawę swej moralności? Bez wątpienia nie; nie mam do tego prawa, poddaję się więc sercem i duszą. Newton i Leibniz, jak powiedziałem, byli chrześcijanami a nawet teologami. Co do mnie, nie powinienem wymieniać się po tych wielkich mężach; badam teologię w dziełach stworzenia, ażeby wynaleźć nowe powody wielbienia Stwórcy”. W tej nieuchwytniej i niewymiernej różnicy między zdaniem filozofa i teologa, w tym stałym rozwarciu między dwiema liniami które wciąż się do siebie zbliżają nie mogą się nigdy spotkać, operuje Potocki jako autor *Rękopisu*. Jego dualizm nie jest jednak tradycyjnym przeciwstawieniem materii duchowi, lecz zdumiewającą na owe czasy intuicją rozdzielenia w pozornej jedności, skazy przebiegającej skrycie i niezmiennie przez sam środek świata i człowieka. Nic u Potockiego nie brzmi jednoznacznie, nic nie jest pewne, ostateczne, trwałe i jasne. Zgłębia do dna wiedza ukazuje swą twarz w

najpiękniejszej w powieści historii Diego Hervasa, wszechwiedzącego bezbożnika, którego Kukulski uważa (i słusznie, sam Potocki dawał to do zrozumienia w jednym z listów) za life-rackiego sobowtóra autora. Napisawszy „sto tomów zawierających w sobie cały obszar wiedzy ludzkiej”, Hervas któregoś dnia „pozzucał suknie i owinał się prześcieradłem na kształt całunu. Siedział wpatrując się w zachodzące słońce. Po chwili podniósł głos i rzekł: — Gwiazdo, której gasnące promienie po raz ostatni obity się o moje oczy, dlaczegoś oświeciłaś dzień mego urodzenia? Czyliż chciałem przyjść na świat? I po co nań przyszedłem? Ludzie wmówili we mnie że mam duszę, zająłem się więc jej kształceniem kosztem mego ciała. Pracowałem nad moim umysłem, ale szczury pożarły moje dzieło, a księgarze nim wzgardzili. Nic ze mnie nie pozostanie, umieram cały bez śladu, tak jak gdybym nie był się narodził. Nicości, pochłoń swą zdobycz!”. Po czym sięgnął po kubek z trucizną i przed jej wypiciem wykrzyknął: „Boże, jeżeli gdzieś jesteś, zlituj się nad moją duszą, jeżeli ją posiadam!”. Tak, z podwójnym „jeżeli” poprzedzającym ostatnie tchnienie, umarł rzecznik „monistycznej koncepcji człowieka” i odkrywca „kwasu uniwersalnego”.

Bliższy więc prawdy wydaje się Caillois, ale i on ostrożnie zatrzymuje myśl w połowie drogi, jak gdyby materiał czwartej zaledwie części *Rękopisu* nie upoważniał jeszcze do zbyt daleko idących wniosków. „Kiedy po raz ostatni wspominam owe nawroty bez końca...”. Nie trzeba ich wspominać, mówi o nich wprost Velasquez w *Dniu XXIX* po wysłuchaniu kilku opowiadań Cygana: „Obawiam się tej historii. Wszystkie przygody Cygana zaczynają się zwyczajnie i słuchacz sądzi, że wkrótce dopatrzy się końca; tymczasem nic z tego: jedna historia rodzi drugą, z której wywija się trzecia, coś na kształt tych reszt ilorazów, które w pewnych przypadkach można dzielić aż do nieskończoności”. Sama konstrukcja powieści Potockiego otwiera perspektywę permanentnej dwuznaczności: ta szkatułka chińska, w przeciwieństwie do tradycyjnych i mechanicznych dekameronów „wywijającą” organicznie jedną opowieść z drugiej, każe czytelnikowi ustawicznie pamiętać że wszystko jest zamazane, o chwiejnych konturach, pogrążone w nocy lub we mgle, ścigane i dręczone przez ciągłe „jeżeli” w tysiącnych odbiciach i echach. Głównym tematem poetyckim *Rękopisu* jest dwuznaczność, która brzmi jak wyzwanie rzucone dotykanej, sprawdzalnej i rozumnej realności świata.

Rzecz charakterystyczna, ma ona w powieści swoją linię rozwojową. Kto zna tylko pierwszą część, może istotnie zadawać sobie pytanie dlaczego panują nad nią niepodzielnie zjawy i przywidzenia, zmuszając biednego bohatera u schyłku *Dnia XIII* do pójścia na spoczynek bez wieczery i do „śnienia przez całą noc o widmach, upiorach, duchach, zmorach i wisielcach”. W miarę posuwania się w głąb *Rękopisu* dostrzegamy jednak stopniowo, że była to świadomie jaskrawa i przesadna dekora-

cja, nadająca jak gwałtowna uwertura ton całości po to by go później przyciszyć i zmodulować w odcieniach, by siłą kontrastu uprawomocnić wątki dalszych *Dni*. Uczestniczymy w powolnym redukowaniu fantastyczności na rzecz większego prawdopodobieństwa. Motyw podwójności zewnętrznej (dwie siostry, dwie kochanki, dwóch wisielców) ustępuje miejsca motywowi rozdwojenia wewnętrznego. Historia Leonory i księżnej d'Avila nie jest już powtórzeniem wzoru bliźniaczej i mniej lub więcej diabolicznej pary, lecz opowieścią o dwóch duszach kobiecych w jednym ciele, maskaradą rozszczepienia jaźni. Nic dziwnego, że pod koniec *Dnia LVI* słuchający jej bohater „zwrócił Rebecę uwagę iż audytorium zostało uraczone opowiadaniem nadzwyczajnych przygód, które jednak wytłumaczono zwykłym sposobem”. „Masz słuszność — odrzekła na to mądra Żydówka, — być może że i twoje tak samo dadzą się wytłumaczyć”. Przemawia tu nie pisarz fantastyczny, lubujący się w „czarnych arabeskach” wyobraźni, sabatach kościotrupów, magicznych zaklęciach i lustrach, ale prekursor nowoczesnej powieści psychologicznej.

Mimo osiemnastowiecznej, suchej i celnej, elegancji stylu, *Rękopis* pozostaje w pamięci jako ogromna budowla barokowa. Historie płaczą się, przecinają wzajemnie, wiją spiralami, uciekają w nieskończoność by nagle zakręcić i dać początek innym, jak w orgii chaosu który swej formy szuka w wymykaniu się formom definitywnym. Pomiedzy światem umarłych i światem żywych, pomiędzy jawą i snem, pomiędzy rzeczywistością i halucynacją, rozciąga się wielki obszar głosów niewiadomo skąd pochodzących, majaków, tajemnych powiazań, znaków nieznanego szyfru, fal które zalewają i zmywają porządek czasu historycznego. Dzisiejsza rehabilitacja baroku odwołuje się głównie do jego walorów aluzyjnych, do podświadomej wiary w sens i znaczenie wieloznacznego. Powodzenie *Rękopisu* w przeszło półtora wieku po jego powstaniu zdaje się dowodzić, że i tu Potocki był swego rodzaju prekursorem.

Wolno chyba widzieć go u progu śmierci takim, jakim on widział *Hervasa* w dniu ostatnim. We wgłębieniu dłoni spoczywa oszlifowana już srebrna kulka, fragment pamiątki rodzinnej, okruch przeszłości, drobny i martwy symbol minionego życia, poświęcony przez księdza jak wiatyk na ostatnią drogę. Któż mógł kiedykolwiek odgadnąć utajony w niej sekret losu, któż mógł kiedykolwiek przypuszczać że właśnie w niej zaczęła się i czekała cierpliwie śmierć? Mrużąc oczy, autor *Rękopisu* patrzy to na nią, to na gasnące słońce: ta srebrna nicość pochłonie niebawem swą zdobycz. Może, jak kula czarnoksiężnika, odbije jeszcze przedtem dwa światy pogmatwane w bosko-ludzkiej komedii? Nie zapominajmy, że została pobłogosławiona! „Boże, jeżeli gdzieś jesteś, zlituj się nad moją duszą, jeżeli ją posiadamy!”...

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Z lektury

O POETYCE J. M. RYMKIEWICZA

Jarosław Marek Rymkiewicz zdobył sobie rozgłos wierszem o zagadkowym tytule „Spinoza był pszczołą”. Wiersz był swego czasu przedmiotem małej rozprawki w *Nowej Kulturze*, zatytułowanej znamienne „Uczeń filozofów”. Jej autor Janusz Wilhelm dowodził tam, że tematem wiersza jest konflikt między ideą społeczeństwa zamkniętego, totalitarnego, którego najsłynniejszym teoretykiem był autor *Republiki*, krytyk otwartego demokratycznego ustroju klasycznych Aten. W wierszu Rymkiewicza Platon przybiera postać skrytego, czyhającego pająka, Spinoza zaś jest pszczołą, z którą kojarzymy swobodny lot w otwartej przestrzeni. W konkluzji swej analizy wiersza Wilhelmi wyciąga wnioski, że poeta powątpiewa w istnienie społeczeństw otwartych, wolnych, i że jest to pogląd niesłuszny, gdyż społeczeństwo otwarte jest w trakcie powstawania w obozie socjalistycznym (!).

Odczytując wiersz w świetle uwag krytyka, znajdujemy co prawda poszlaki naszkicowanego przez niego wątku, ale nie jest on bynajmniej tak klarownie oczywisty. Zapewne wiersz postuluje przeciwstawienie Platon-pająk i Spinoza-pszczoła, ale autor nie daje nam dostatecznych podstaw, by uważać go za miniaturowy traktat ideologiczno-filozoficzny. Nawet identyfikacja Spinozy z pszczołą, na której analiza Wilhelmi się opiera, nie jest wcale pewna. Przeciwnie, poeta tendencyjnie zamazuje stopień pokrewieństwa między Spinozą a pszczołą: raz jest on „pszczoły upiorem”, następnie „pszczoły aktem czystym”, następnie „Spinoza był pszczołą”, wreszcie „Spinozy nie było” gdyż „Tu wystarcza pszczoła”. Ale z ostatniego dystychu dowiadujemy się, że pszczoła jest „cyfrą tylko” we śnie widocznym istniejącego jednak Spinozy. Podczas gdy był Spinozy-pszczoły przechodzi te niepokojące metamorfozy, Platon pozostaje cały czas pająkiem. Ale na czym w tym wierszu polega kontrast między dwoma myślicielami? Czy rzeczywiście na sprzecznym stosunku do ustrojów politycznych? Może tak, może nie: wydaje mi się, że osiemnaście kryptycznych linijek, z których składa się wiersz, nie daje nam wyczerpującej odpowiedzi. Wielość znaczeń w poezji jest naturalnie cechą cenną, ale pod warunkiem, że wynika z bogactwa wątków, a nie jak w wierszu Rymkiewicza, z nadmiernej powściągliwości.

Wiersz o Spinozie charakteryzuje zasadniczą słabość poetyki Rymkiewicza. Ekscentryczna erudycja „ucznia filozofów” i znawcy wielu poetyk paraliżuje jego twórczość. Rymkiewicz nie potrafi oprzeć się pokusie ciągłego przypominania czytelnikowi

o swojej lekturze. Oczywiście nie krytykuję go za to, że czyta, że stara się w poezji myśleć, wydaje mi się jednak, że często stwarza tylko pozory myślenia: jeżeli, jak próbowałem pokazać, wiersz o Spinozie nie jest przejrzystym poetyckim ekwiwalentem ścierania się dwóch światopoglądów, dlaczego autor obciąża utwór aluzjami do filozofów? Jeżeli zaś rzeczywiście miał do zakomunikowania ważną myśl, czemu ograniczył się do kilku enigmatycznych zdań?

„Spinoza był pszczołą” pochodzi z tomiku *Człowiek z głową jastrzębia* z roku 1960. Trzy lata później Rymkiewicz opublikował *Metafizykę*: tytuł mający nam przypomnieć filozoficzne zadanie autora. W zbiorze tym znalazłem trzy utwory, w których Rymkiewicz poetycko wykorzystał na trzy różne sposoby swoje zainteresowanie metafizyką.

Jedną z tych metafizycznych kwestii, do której Rymkiewicz obsesyjnie powraca jest czas i przemijanie. Zważywszy na temperament autora, było można się obawiać, że nada temu zagadnieniu charakter bardziej filozoficzny niż poetycki. Tak się zresztą dzieje w wielu jego wierszach, ale nie w utworze pod tytułem „Kurort”, gdzie poeta kontemplację czasu wysnuwa z opisu specyficznej, konkretnej sytuacji:

*Bo potem tę Lottę widziano
Z mężczyzną w szelkach, na skoszonej trawie,
A falcgraf umarł młodo. Wieczorem przed lustrem
Syczą znów włosy Lotty, spienione i rude,
Tak czas przeszedł nas zwodzi, bo on się powtórzy
W innym czasie, zaprzestym...
Co dziś zwiesz przyszłością,
Wczoraj przeszłością było...
O mężczyźnie w szelkach,
O próchno w meloniku, dokąd to odchodzisz?*

Drugi taki udany wiersz, o budzącym zresztą nieufność tytule „W obronie metafizyki”, rozpoczyna się od pozornie poetycko mało obiecującego zdania: „Opiszmy nic, bo nic jest dane bezpośrednio / Nic, tylko nic”. Ten filozoficzny paradoks służy Rymkiewiczowi za pretekst, by poetycko, nie naukowo, dowieść, że świat zmysłów nie jest iluzją:

*Tak księżyc jest dany
W żrenicach dziecka lub w splątanych włosach
Kochanków, śpiących w ciepłych trawach sierpnia;
Przeto opiszmy księżyc...
Obraca się zwolna
Wschodzący we śnie żółwia i we śnie jaszczurki...
Przebite jego blaskiem pasą się delfiny.*

Trzecim, dość nieoczekiwanym przykładem wykorzystania tematyki filozoficznej, jest wiersz „Bias z Priene”. Starogrecki filozof Heraklit zawsze fascynował poetów. Fragmenty jego pism,

zachowane w postaci zagadkowych spostrzeżeń, operują świeżymi, pobudzającymi wyobraźnię obrazami: *Słońce jest nowe każdego dnia, Piorun kieruje wszechświatem, W obwodzie koła wspólne są początek i koniec, Ogień postępując osądzi i ogarnie wszystko*. Rymkiewicz wybiera jednak za tekst fragment zupełnie prozaiczny i banalny: „W Priene żył Bias, syn Teutamasa, o którym więcej się mówi niż o innych”. Ten wyrwany z kontekstu strzęp informacji, zachowany dla nas przez wieki, ma posmak groteski i tę groteskowość poeta dowcipnie wykorzystuje w swym wierszu:

*Ktoś miał czkawkę o świecie. W porządku natury
Był Bias, o czym, gdzie trzeba, donosi Heraklit.*

*To ja, Bias, mówię. Chodziłem po ziemi,
Którą dźwigały żółwie. Gdzieniedzie, jak słyszę.*

*Mówiono o mnie więcej niż o innych,
Nie wiem, dlaczego. Piłem z rzeki czasu...*

W zasadzie więc nie chodzi o filozofię lecz o wykorzystanie groteskowego fabularnego elementu.

Niektóre wiersze w *Metafizyce* dowodzą więc, że Rymkiewicz potrafi znaleźć odpowiedni wyraz dla swojego zainteresowania filozofią. Tym bardziej więc rozczarowuje jego najnowsza książka złożona z trzech poematów zatytułowana *Animula* (Łódź, 1964). Tu, w niewiarygodnym wprost stopniu, występuje niewolnicze naśladownictwo Eliota i Pounda. Sądziłem, że wpływ ten rzucający się w oczy we wcześniejszych utworach uda się Rymkiewiczowi zasymilować. Tymczasem *Animula* jest pretensjonalnym i żenującym pastiszem „Ziemi jałowej”, „Środy popielcowej” i „Kwartetów” Eliota oraz „Pieśni” Pounda. Znajdujemy tu wszystkie rekwizyty symboliki Eliota: kości śpiewające, trupy zakopane w ogrodzie, topielce i wieloosobowego Wygnańca, który odpowiada identycznej postaci Terejasza z „Ziemi jałowej”. Są inkantacyjne inwokacje czasu „przyszłego” i „czasu zaprzestłego”, które znamy z „Kwartetów”, jest atmosfera grozy i makabry znana z „Ziemi jałowej”. Jest wreszcie cały aparat pompacyjnych not, przypisków i odsyłaczy do dzieł z dziedziny psychologii i antropologii, które też stanowiły osobliwość „Ziemi jałowej”, z tą jednak różnicą, że obdarzony złośliwym humorem Eliot zamierzał przypiski jako mistyfikację mającą wyprowadzić w pole uczonych i erudyty.

Poemat Eliota, podobnie jak *Komedia* Dantego, *Treny* Kochanowskiego, *Dziady III* czy *Uliszes* Joyce’a, należy do typu utworów, których nie można imitować bez popadania w śmieszność. W kompozycji *Animuli* instynkt artystyczny zawiodł Rymkiewicza zupełnie: zamiast dzieła, które by w sposób twórczy wykorzystywało przełomowe odkrycia formalne poetów anglo-

saskich, autor ograniczył się do sporządzenia wątpliwej kopii. *Ani-mula* nie jest poezją wyrosłą z autentycznego, dogłębnego przeżycia.

SKICE FILOZOFICZNE TADEUSZA CZEŻOWSKIEGO

Siedem lat temu Tadeusz Czeżowski, profesor logiki na Uniwersytecie w Toruniu, wydał zbiór szkiców pod tytułem *Odczyty filozoficzne* (por. Kultura nr 10/132 z r. 1958). Obecnie Państwowe Wydawnictwo Naukowe w Warszawie opublikowało nowy zbiór szkiców profesora Czeżowskiego, który miał się nazywać *Odczyty filozoficzne — seria druga*, lecz ostatecznie otrzymał tytuł *Filozofia na rozdrożu*, zapożyczony ze szkicu, który otwiera książkę. Kryzys filozofii, który Czeżowski opisuje w tym tytułowym szkicu, był już niejednokrotnie dyskutowany na przestrzeni ostatnich dziesiętków lat. Tradycyjny sposób budowania czysto spekulatywnych systemów filozoficznych został bowiem zdyskredytowany przez fenomenalny rozwój nauk przyrodniczych. Ono to przecież informują nas o tym, co się dzieje w wszechświecie. Tylko badanie naukowe i eksperymenty mogą poszerzyć naszą wiedzę, natomiast medytacje metafizyków, ponieważ z natury rzeczy nie są sprawdzalne drogą obserwacji i nie podlegają żadnym powszechnie przyjętym prawom dowodzenia, są pozbawione wszelkiego znaczenia. Filozofom nie pozostaje nic innego, jak przekształcić się w przyrodników lub matematyków.

W swej obronie filozofii profesor Czeżowski przypomina, że te tak dziś pogardzane systemy metafizyczne „widocznie są potrzebne, jeżeli ciągle wyrastają, często w łonie samych nauk empirycznych”. Bo czymże są hipotezy fizyków o strukturze wszechświata, jeżeli nie wzorem metafizycznym, którego podstawowych założeń nikt nie jest w stanie uzasadnić?

Po drugie, jak zauważa Czeżowski, „nie można wątpić, że istnienie sięga dalej aniżeli ludzkie doświadczenie; nikt rozsądny nie rości sobie pretensji, że zna wszystko”. Istnieją chociażby problemy moralne i estetyczne, czyli kwestie wartości, o których nauki przyrodnicze mało nam mogą powiedzieć. Właśnie w latach międzywojennych szkoła pozytywistów wiedeńskich, zafascynowana postępami nauk matematyczno-przyrodniczych, orzekła, że wszelkie sądy wartościujące są bezsensowne, ponieważ rzekomo nie mówią nam nic o otaczającym nas świecie. Twierdzenie „Obraz Rembrandta malowany jest na płótnie farbami olejnymi o różnych odcieniach zieleni i brązu” jest dorzeczne, ponieważ każdy, kto chce, może te szczegóły naocznie sprawdzić. Natomiast niedorzeczne, gdyż zupełnie niesprawdzalne, jest twierdzenie „Obraz Rembrandta jest piękny”. Oczywiście niesprawiedliwe było to założenie pozytywistów, że dzieło sztuki można badać tak jakby to był przedmiot laboratoryjnej analizy,

a nie przedmiot estetycznej kontemplacji. Ale przecież nawet, jeśli pojęcie „piękno” jest mniej uchwytne od pojęcia „farby olejne”, nie znaczy to, wbrew tym którzy uznają wyłącznie kryteria nauk przyrodniczych że odczucie piękna jest czystą fikcją. Jeżeli ludzie zachwycają się obrazem Rembrandta, a przechodzą obojętnie obok kupy śmiecia, to przecież mamy tu dowód naoczny, że dzieło malarza działa jak kwas w laboratorium.

Obok szkicu wstępnego i szkiców poświęconych technicznym zagadnieniom z dziedziny logiki i metodologii, są w książce Czeżowskiego eseje na tematy, którymi właśnie filozofia a nie nauki przyrodnicze może i powinna się zajmować. Te właśnie eseje, ze względu na swój ogólny charakter, winny zainteresować każdego myślącego człowieka.

Same tytuły informują już o zakresie zagadnień, a więc „Paradoks wolności”, „Czym są wartości”, „Konflikty w etyce”, „Sens i wartość życia”.

Życie mające swój cel przypomina, zdaniem Czeżowskiego, jakąś całość, która posiada „właściwą formę, jest zwarta, przejrzysta, harmonijna...” A wartościowe staje się życie w wypadku człowieka „który ustalił sobie rozsądny wzór lub ideał życiowy i realizuje go wytrwale”. Innymi słowy, należy sobie obrać stosowny cel i świadomie, stale, konsekwentnie do niego dążyć. Autor zastrzega się jednak, że wytrwałość w dążeniu do celu nie wystarcza, gdyż i sam cel musi mieć swoją wartość. „Nie przyznajemy, mówi Czeżowski, wartości dodatniej życiu dziwaka lub maniaka, poświęconemu celom nieważnym, choćby było bardzo uporządkowane i konsekwentne.”

Ale jak określić cel godny realizacji? „Nauka poglądu na świat nie narzuca” odpowiada Czeżowski i konkluduje: „Aby nadać sens i wartość swojemu życiu... trzeba wypracować sobie pogląd na świat — a to znaczy: uwierzyć, że są ideały, którym warto swoje życie poświęcić”. Zapewne nie jest to konkluzja zadawająca dla kogoś, kto by szukał w szkicu profesora wskazówek jakimi ideałami winien się w życiu kierować. Takich wskazówek dostarcza częściowo szkic pod znamienym tytułem „Konflikty w etyce”. Jak takich konfliktów uniknąć? Jeżeli w danej sytuacji wystąpi konflikt między nakazem „prawdomówność jest dobra” a nakazem „zadawanie cierpienia jest złe”, należy po prostu w świetle tego doświadczenia, zmodyfikować nakaz na „prawdomówność, jeżeli nie zadaje cierpienia, jest dobra”. Podobnie, Czeżowski trafnie zauważa, w badaniach przyrodniczych modyfikujemy nasze założenia w świetle dalszych obserwacji.

Czeżowski nie łudzi się bynajmniej, że taka symbioza dwóch sprzecznych nakazów dokonana w świetle doświadczenia życiowego rozwiązuje kwestię konfliktów etycznych. To jest dopiero pierwszy, łatwiejszy krok: nakaz „prawdomówność, jeżeli nie zadaje cierpienia, jest dobra” mało nam może pomóc w sytuacji, w której i prawdomówność i kłamstwo mogą spowodować cierpienie. Tu trzeba się odwołać do wyższej instancji, do norm drugiego stopnia, jak je określa Czeżowski, które nie powstały

w wyniku doświadczenia, lecz są czymś w rodzaju apriorycznych aksjomatów typu „zab za zab”, „kochaj bliźniego”, „bij Murzyna”, „śmierć kapitalistom”.

W wyborze takiego zasadniczego aksjomatu Czeżowski opowiada się po stronie klasycznej zasady równej miary, cytując słowa Kazimierza Ajdukiewicza „przykładaj tę samą miarę dobra do innych istot, co do siebie samego”. Wojny i obozy koncentracyjne byłyby nie do pomyślenia, gdyby ta klasyczna zasada etyczna była powszechnie uznawana.

Zasada równej miary, którą Czeżowski nazywa również zasadą życzliwości powszechnej, powraca w szkicu o wolności. Czeżowski przypomina na wstępie paradoksalną prawdę, że absolutna swoboda postępowania jest sprzeczna z pojęciem wolności. Absolutna wolność oznacza anarchię. Za pojęciem wolności musi więc stać jakaś ogólna zasada etyczna, na przykład, w słowach Czeżowskiego, zasada „sprawiedliwości opartej o życzliwość wzajemną”. Jeżeli w danym społeczeństwie brak takiej zasady, „rzekoma wolność dla wszystkich — stwierdza Czeżowski — okaże się wkrótce wolnością dla niektórych, a niewolą dla innych. Nie każda więc społeczność jest dojrzała do takiej wolności. Nie ma wolności bez sprawiedliwości i życzliwości powszechnej” konkluduje Czeżowski.

Szkice profesora Czeżowskiego nie powstały z chęci zadziwienia i olśnienia. Są natomiast modelami rzeczowej argumentacji i uczciwości intelektualnej. Czeżowski unika frazeologii, pisze jasno i oszczędnie: analiza wolności czy opis dowodu naukowego mieści się na kilku małych stroniczkach. Ten typ trzeźwej, logicznej analizy być może nie objawia nowych prawd; ma raczej za zadanie pokazać nam kolejne ogniwa rozumowania, na których intuicyjnie przez nas odczute prawdy są oparte. To zadanie szkice profesora Czeżowskiego spełniają.

POETA WIDZI PRZESTRZEŃ I CZAS

W przedmowie do *Światła dziennego* Miłosz powiedział, że dla niego „poezja jest raczej sprawą dnia niż nocy”. I rzeczywiście, w wierszach i poematach tamtego okresu, podobnie jak w późniejszym nieco *Traktacie poetyckim*, dostrzec można było przede wszystkim umiar, klarowność, rozumność i zdrowy śmiech klasycznej satyry. Dominował je racjonalizm Oświecenia, raczej niż sny i marzenia romantyków. Ale bardzo różnorodne wiersze zebrane w *Królu Popiele* świadczyły o zbliżającej się zmianie. Z jednej strony „Ballada” i piosenka satyryczna „Pokój”, przypominające tematyką współczesną wiersze w *Ocaleniu* i *Świetle dziennym*, a z drugiej, kunsztowne stylizacje na poezję renesansu i baroku oraz poematy o szerokich horyzontach geograficznych i historycznych.

Natomiast niedawno wydany nowy tomik pod dość osobliwym tytułem

Gucio zaczarowany (Instytut Literacki, 1965) jest jednolity w swej tematyce i formie ekspresji. W okresie wojny i latach zaraz po wojnie poezja Miłosza obracała się wokół realiów życia pod okupacją, konfliktów ideologicznych zimnej wojny oraz satyry społecznej i politycznej. W najnowszym zaś zbiorze brak prawie zupełnie takiego partykularza: nie ma problemów polityczno-społecznych, opisywanym krajobrazom i sytuacjom brak specyfiki miejsca i czasu. Wiersz, który otwiera tomik, jest charakterystycznie pozbawiony nawet tytułu; opisuje jakąś niesprecyzowaną wędrówkę ludów. Dowiadujemy się tylko, że wędrowcy opuścili bliżej nieokreślony kraj cywilizowany w poszukiwaniu matki-ziemi w jej pierwotnym, nie zniszczonym przez cywilizację stanie:

*Nie jest to miejsce gdzie na taflach piazza
Pod markizą kawiarni patrzy się na tłum,
Ani gdzie gra się na flecie w oknie nad wąską ulicą
Kiedy sandałki dzieci stukają w sklepionej sieni.*

Są to, powiada poeta, ludzie, którzy koczowali pod „różnymi gwiazdami”, którzy śpią na płaszczu, „kiedy koń szczypie trawę/A orzeł zdejmuje po-miary przepaści”.

W swojej bardzo wczesnej przedwojennej poezji Miłosz opiewał takie symboliczne, mityczne krajobrazy. Podobnie obecnie malowane sceny mają charakter topografii umysłu raczej niż konkretnej rzeczywistości, przypominają krajobrazy w poematach Saint-John Perse’a, których tematem też jest nieustająca wędrówka plemienia przez najrozmaitsze krainy. W swej *Anabazie* Perse celebrował tych, którzy „każdego dnia przenoszą obozowisko dalej od miejsca urodzenia... i z każdym dniem lepiej poznają bieg rzeczy nieczytelnych”.

To pokrewieństwo z wizją poetycką Perse’a nie jest przypadkowe. W notatce pisanej piętnaście lat temu Miłosz chwalił twórczość Perse’a za to, że nie jest „grzeczna ani oswojona, okoliczność nie bez znaczenia dla tych, którzy stąpali po palących się książkach i widzieli ruiny miast”.

Dla tych najnowszych wierszy Miłosza, bardziej może charakterystyczne od wędrówki w przestrzeni są podróże w czasie. Tytułowy poemat „Gucio zaczarowany” przedstawia Gucia-poetę przybierającego różne postacie w różnych epokach:

*Z zamkniętymi oczami byłem wielki i mały
Nosilem pióra, jedwab, zaboty i zbroje,
Suknie kobiece...*

I w innym miejscu:

*Ale mnie, kiedy szedłem na czworakach, wyrosła broda
I mój tuk indiański spróchniał od deszczów i śniegów.*

Wierszowi patronuje Miranda, córka czarodzieja w *Burzy* Szekspira, a w zakończeniu utworu Miłosz odwołuje się do starogreckiego filozofa Zenona, który dowodził, że ruch i zmiana nie istnieją.

Czas jako z jednej strony coś rzeczywistego, a z drugiej jako iluzja, to

temat który Miłosz analizuje z różnych punktów widzenia w kilku innych wierszach.

W wierszu „Zmieniał się język” poeta przedstawia różnicę między tym, co się w świecie stale zmienia, a tym, co pozostaje niezmiennie. A więc, pisze poeta,

*Zmieniał się język a my z nim razem. Przypomnij.
Kiedy miałeś lat dziesięć jak wśpaci rozprawiali klepiąc konie
Albo ładując rusznice, jak śpiewała gitara
Na ganku za olszyną...
Wszyscy oni
Są już zrównani...*

Tym stale zmieniającym się, przypadkowym scenom, Miłosz przeciwstawia rzeczy, które choć ukazują się pod różnymi postaciami, pozostają trwałe i niezmiennie. Do rzeczy trwałych należą zasadnicze elementy kosmosu: „obłoki jak płynęły tak płyną”, mówi poeta, mimo, że te obłoki bywały porównywane do różnych przedmiotów, do zasłon jedwabnych, do draperii z aksamitu, do piór. Drugim takim trwałym elementem jest wedle poety „siła która spaja mężczyzn i kobiety”.

Zapewne poezja Perse’a przemawia do Miłosza także i dlatego, że jest odzwierciedleniem ciągłego poszukiwania, błędzenia, wędrówki. Miłosz oczywiście kontynuuje dziś specyficznie polską tradycję poety-wędrowca, poety-wygnańca. Charakterystyczne dla tej tradycji jest nie tyle może opiewanie coraz to nowych napotkanych podczas wędrówek* krajobrazów, ile częste nawroty pamięcią do kraju lat dziecinnych. Dla poety, który zwiedził pół świata, czas paradoksalnie zatrzymał się w miejscu bardzo, bardzo dawno temu. Poeta pisze o Wilnie:

*Nigdy od ciebie, miasto, nie mogłem odjechać
Długa była mila ale cofało mnie jak figurę w szachach.
Uciekałem po ziemi obracającej się coraz prędzej
A zawsze byłem tam: z książkami w płóciennym torbie...*

Ale choć to miasto lat młodości wryło się tak silnie w pamięć, poeta jest świadom, że choć co prawda w pewnym sensie czas dla niego stanął w miejscu, jednakże zaszła przecież poważna zmiana: gdyby rzeczywiście udało mu się cofnąć w przeszłość, świat, który teraz widzi tylko w pamięci, wydałby mu się obecnie trochę inny. Rzeczy widziane oczami dziecka zdają się ogromne, a pamięć je jeszcze bardziej wyolbrzymia. Tymczasem

*Rzeki maleją. Maleją miasta...
Kiedy pierwszy raz przepłynąłem jezioro, wydało mi się ogromne,
Gdybym tam stanął dzisiaj, byłoby miską do golenia.*

I wreszcie w innym wierszu Miłosz przedstawia jeszcze jedną wariację na temat czasu. Tym razem poeta wybiega myślą w przyszłość: czas zniweczy jego osobowość, ale ludzkość w swym zbiorowym stanie trwać będzie niezmienną; podobnie jak poeta dziś, przyszłe pokolenia będą podziwiać zmysłowe piękno świata:

*I odkryta będzie na nowo każda radość poranka,
Każdy smak jabłka zerwanego w wysokim sadzie.*

„Więc mogę być spokojny o to co kochałem” konkluduje Miłosz. Fakt, że mimo stałych przemian, świat pozostaje w swej esencji niezmienny, dodaje otuchy. Człowiek więc być może nie jest przypadkowo powstałym pyłkiem w nie nie znaczącym wszechświecie, lecz raczej niezbędnym ogniwem w pochodzie ludzkich pokoleń.

Adam CZERNIAWSKI

O Orzeszkowej raz jeszcze

W później już starości, wspominając klęskę powstania 1863 r., pisała autorka *Nad Niemnem* :

*„Moment ten wywarł na całą przyszłość moją wpływ decydujący,
żaden ból nie dorównał nigdy bólowi nieszczęść Ojczyzny, żaden zamysł pisarski nie miał innego źródła jak służba Ojczyźnie...
„To wszystko uczynił ze mną i we mnie rok 1863. Gdyby nie jego młot i dłuto losy moje byłyby najpewniej inne i prawdopodobnie nie byłabym autorką”.*

Książka Jana Detko *Orzeszkowa wobec tradycji narodowo-wyzwoleńczych* napisana w 1962 r. (wydał Czytelnik w 1965 r.¹⁾, dobrze pomyślana, źródłowo i gruntownie opracowana wprowadza nas w tamte, odległe czasy i podaje naszej rozwadze (na podstawie twórczości Orzeszkowej) zagadnienia nurtujące kraj nasz przed wiekiem, a w szczególności ziemie, które Orzeszkowa nazywa podobnie jak Mickiewicz Litwą, mimo że to była Białoruś. Badawcza praca Jana Detki jest pisana bez uprzedzeń, właściwych dzisiejszym krajowym dziejopisom i pozbawiona obowiązującego tam dogmatyzmu. Detko usiłuje doszukać się prawdziwego obrazu ówczesnych stosunków społeczno-narodowych i politycznych jak również motywów ideowych twórczości Elizy Orzeszkowej. Czytając tę książkę trudno się oprzeć wrażeniu analogii tamtych czasów z naszymi, tj. z dramatem naszego pokolenia: ofiar poniesionych w latach drugiej Wojny Światowej, klęską Powstania Warszawskiego i nową niewolą. Czasy Murawiewowskie na Litwie po 1863 można przyrównać do epoki Stalinowskiej w Polsce po 1945, mimo zasadniczych różnic taktyki ucisku.

„Stałam się — pisze Orzeszkowa — dwudziestoletnim świadkiem jednej z katastrof społecznych najokropniejszych... Widziałam domy ludne i gwarne wymiecione z ludzi jak w średniowieczne mory, mogiły wśród lasów kryjące tych, z którymi niedawno tańczyłam, orszaki więźniów dzwoniących łańcuchami w drodze na Sybir, rodziny osierocone w nędzy, najazd zwycięzców, ustawy odsądzające nas od posiadania ziemi, prawa do pracy, mówienia własnym językiem...”

Trzy generacje naszego pokolenia były świadkami podobnej klęski, podobnej grozy.

I oto nasuwa się bardzo dawne wspomnienie. Miałem siedem lat kiedy ciotka Weronika Platerowa, córka Edwarda Czapskiego, Sybiraka, opowiadała nam o roku 1863. Jako kilkoletnie dziecko, uzbierawszy woreczek cukru wdrapała się na drzewo aby wyjść na ulicę po której właśnie szli zesłańcy „dzwoniąc łańcuchami”, było to w Wilnie, i w chwili kiedy rzuciła swój woreczek pod nogi jednego z więźniów dojrzał ją kozak konwojujący i podskoczył z piką nastawioną; spadała wtedy z drzewa obezwładniona strachem. Ten epizod opowiedziany mi w 1901 r. pozostał mi jak żywy obraz w pamięci i myślę sobie jak też w r. 2000-ym będą dzieci polskie słuchały opowieści kogoś kto przeżył powstanie Warszawskie, miał ojca na zesłaniu, a matkę w Oświęcimiu? Czy dla nas rok 1863 zachował swój blask i swoją wymowę bo urodzeni byliśmy w niewoli?

Inna jeszcze analogia to sprawa cenzury. Orzeszkowa, która po klęsce powstania rzuciła się do pisania jako do jedynej dostępnej dla niej drogi służby Ojczyźnie, wprawiała się przez całe życie w konspiracji pisarskiej, nigdy nie wymieniła złowrogiej daty, nigdy nie sprecyzowała wypadków stanowiących podtekst wszystkich jej pism. Cała jej twórczość była zaszyfrowana, dla polskiego czytelnika przejrzysta, dla rosyjskiego cenzora, może mniej domyślnego niż cenzorzy współczesnej Polski — ciemna. Tak np. *Nad Niemnem* zwróciło uwagę cenzury tylko przez swoją poczytność i dopiero trzeci nakład powieści został skonfiskowany. Ileż razy w listach do przyjaciół pani Eliza wdycha: „gdybyż można pisać! Gdybyż tylko było można wszystko powiedzieć!” I niepokoiła się jak wyjdzie w tłumaczeniu obcojęzycznym jej „styl więzienny”, czego będzie w stanie domyśleć się cudzoziemiec? (1887 r.).

Z książki Detki dowiadujemy się na podstawie materiałów rękopiśmiennych z Archiwum Orzeszkowej, że autorka *Meira Ezołowicza* spędziła w Warszawie kilka tygodni w 1862, roku pamiętnych manifestacji ulicznych, mając wtedy lat 19 i będąc zamężną już od trzech lat. Bywała wtedy w synagogach i słyszała parę razy kaznodzieję, rabina Mejselsa, przemawiającego po polsku.

„Mnóstwo osób — pisała w 1887 do M. Blumberg, tłumaczki na język niemiecki — mówiło mi wtedy o nim, jako o człowieku niepospolitym, jednym z przywódców wszystkich ówczesnych ruchów

społecznych... Były to piękne czasy dążenia do powszechnej równości i zgody, w których młodzieńcze moje serce namiętny brało udział²...”

Nowość książki Jana Detki to obraz Litwy ówczesnej: licebność i żywotność elementu polskiego, niezliczonych dworów i dworów, zaścianków i chutorów drobnej szlachty, bitność tych co się z ruchem połączyli, ogrom poniesionych ofiar tak w ludziach jak i w majątnościach, okrutne potem represje. Podkreślenie patriotyzmu szlachty, tak powszechnie dzisiaj w Polsce oczernianej, walki z caratem na ziemiach już wtedy gwałtownie rusyfikowanych, a w Kraju dziś omal przemilczanych, w obawie odsłonięcia więzów wspólnoty z dawną Rzeczpospolitą — to świadectwo prawdy, zjawisko rzadkie.

Detko daje nam aspekt pozytywizmu Orzeszkowej, jej programu pracy organicznej, tych *mostów ratunkowych*, jak to nazywała, które miały przeprowadzić naród nad otchłanią: ratowanie ziemi, utrzymanie jej trudem ofiarnym, zbratanie wszystkich jej synów, oświata ludu, asymilacja Żydów, zwalczanie kosmopolityzmu pod każdą formą, piętnowanie emigracji czy to zarobkowej, dla kariery, czy też emigracji talentów i zdolności. Walce z emigracją poświęciła Orzeszkowa dwie swoje powieści pt. *Argonauci* i *Australczyk*. W tym punkcie przeciwstawił się jej kategorycznie Wincenty Lutosławski, młody wówczas uczony, twierdząc, że przyjmowanie udziału w postępie ludzkości na szerszym polu i poza granicami kraju, w którym nie ma ku temu warunków, nie jest zdradą ani chciwością ale również służbą Ojczyźnie. (*Emigracja a Wolność*, „Kraj” 1899). Za przykład podawał Lutosławski Conrada, tegoż Conrada, którego Orzeszkowa najsurowiej osądziła za porzucenie kraju i pisarstwo w obcym języku.

I znów nasuwa się analogia z naszą epoką o tyle mniej romantyczną i bogoojczyźnianą aniżeli tamta! Marek Hłasko opuścił Polskę w 1958 r., bo w Kraju nie chcieli mu wydać *Cmentarzy*. Odtąd jadł chleb z niejednego pieca; nieraz gorzki chleb.

„Często myślałem — pisze dziś swoim twardym słowem — czy ludzi próbujący pisać powinni uciekać czy nie i przez długie lata sądziłem, że nie. Dzisiaj myślę, że powinni uciekać. Jeśli uciekną czeka ich straszne życie. Ale przegrają te życie po swojemu, a to jest jedyne co się w tej zabawie liczy”.

Orzeszkowa pojmowała tę „zabawę” inaczej: ją obowiązywała wierność ziemi, trwanie w zapadłym kącie Polesia wśród mogił, zagrożona aresztem, zdana na rewizje i kwaterunki, potem w dworcu grodzieńskim przy zgiekliwej ulicy w kocie łby, niejednokrotnie pod nadzorem policji, komunikująca się ze światem tylko listownie. „W klatce”, całymi latami w *klatce*, byle pozostać świadkiem i pisać, pisać „stylem więziennym” — ratować, prosić; uczyć, krzepić.

2. Kupfer: Ber Mejsels i jego udział w walkach wyzwoleniczych narodu polskiego (1846, 1848, 1863-1864). Żyd. Inst. Histor. W-wa 1953 r.

W *Nad Niemnem* rozwijała demokratyczną treść powstania, w *Gloria victis*, ostatniej swojej pracy, podkreślała świadomość narodową przebudzoną 63 r. U schyłku swego życia i dzięki wolnościom uzyskanym po 1905 r. złożyła hołd poległym bohaterom, ona jedna mogła o tym pisać — pamiętać!

„Jak pierwsi chrześcijanie w Chrystusie, kochaliśmy się w Polsce” — pisała.

Przeżyta katastrofa zaszczepiła Orzeszkowej na całe życie lęk przed każdym gwałtownym przewrotem, każdy ruch zbrojnego oporu mógł tylko w jej mniemaniu pogłębić niewolę.

„Tylko na drodze ulepszenia człowieka — pisała do Aurelego Drogoszewskiego, zapalczego wtedy lewicowca — można skutecznie pracować na ten pewien stopień odmiany... Są ludzie dobrzy i źli w bogactwie i w ubóstwie.. Jeżeli kwestia dobrego podziału bogactw rozwiąże się rękoma ludzi złych, natychmiast zwiąże się znowu, może w węzeł innej formy, ale zwiąże się... W najmniejszym stopniu nie bronię dzisiejszego systemu kapitalistycznego... urosł w potworność i stał się klęską świata, ale jeżeli system obecny zamieni się na inny, choćby teoretycznie najlepszy... człowiek szybko potrafi z niego zrobić nową potworność i klęskę. — Co on, ten dotychczasowy człowiek zrobił z ideami religii, patriotyzmu i mnóstwem innych pomniejszych? Umie wymyślać a nie umie urzeczywistniać... (Grodno, 30. III. 1904 r.)³.

Rok 1905 wzbudził w niej na chwilę nadzieję, ale trwoga przemogła: ani Rosji ani Polski nie zbawi żadna rewolucja!

W całym swoim systemie społeczno-narodowym, w całym programie *mostu ratunkowego* poświęca Orzeszkowa bardzo mało miejsca ludowi białoruskiemu, który ją otaczał, nieuświadomionemu jeszcze i zaledwie wyzwolonemu z poddaństwa. Chłopi białoruscy mieli się za carskich, car ich przecież uwłaszczył i wyzwolił z przemocy pańszczyźnianych panów, szlachty polskiej, a Lachy to *matieżniki*, z bronią szli na ich cara! Niech przepadną!.. Taki stan rzeczy maluje nam Czarnyszewicz w *Nadbereżyńcach*, nastroje z pierwszych lat XX wieku. W *Gloria Victis* Orzeszkowa dotyka jednak tej sprawy, a Detko uwydatnia jej wyznaczenie. Do starczając żywność oddziałom leśnym, zabezpieczając rannych, ukrywając Traugutta, Orzeszkowa stale wędrowała po kraju, a była to południowa część Polesia — powiat Kobryński.

„Tylko niestety — pisze — wozy i wózki nasze nie zatrzymywały się nigdy przed chatami chłopskimi. Chaty te były przed nami zamknięte... zamykały je różnice wiary i mowy, błędy przodków naszych — niestety!... I była to skała o którą rozbiła się nawa nasza na straszne morze wypuszczona... na której piękny żagiel nasz rozdarł się... Zamknięta chłopska chata była tą skałą...”

I ostatnia jeszcze refleksja po przeczytaniu książki o Orzeszkowej, to zapytanie, które sobie stawiał Józef Piłsudski rozpamiętując rok 1863: *Wielkości, gdzie Twoje imię?* I znalazł tę

3. E. Orzeszkowa, *Listy* T. II cz. II, Warszawa 1938.

wielkość w pieczętce Rządu Narodowego, odbitej na bibułce, Rządu bezimiennego i bezbronno, któremu się cały kraj poddał, niepomny w tej chwili zażartych sporów stronnicych. *Treuga Dei ludzi* — mówił Piłsudski — *którzy w wielkiej godzinie, gdy palec Boży ziemi dotknął rosną w olbrzymy...*

To pojednanie w chwili pożaru to była wielkość powstania 1863.

A jednak dotychczas i nieskończenie będą pamiętnikarze i dziejopisarze rozważać na ile było szaleństwa w naszych powstaniach, spiskach i konspiracjach, na ile głupoty, bezmyślności, dzieciństwa, a nawet zbrodni — a na ile konieczności dziejowej narodu, jego woli życia, trwania i przetrwania *poprzez śmierć*, poprzez to co Orzeszkowa nazywała „próbą grobu”.

Maria CZAPSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

SOLSKI (Wacław). *Bajki na co dzień*. Rysunki i opr. graficzne Danuty Laskowskiej. Str. 68 i 4 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1965, cena 12 sh.).

MACKIEWICZ (Józef). *Lewa wolna*. Powieść. Str. 458 i 2 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1965).

OKOŃSKI (Włodzimierz, Ks. dr). *Największa tajemnica*. Wydanie drugie przejrane. Str. 299 i 1 nlb. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn, sierpień 1965, cena 21 sh.).

BOHDANOWICZOWA (Zofia). *Przeciwając się świerszczom*. Poezje. Str. 135 i 1 nlb. (Nakł. Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas”, Londyn, lipiec 1965 (tom 66 Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej”).

BEŁCH (Stanisław, ks.). *Prace historyczne*, Tom I. Str. 159 i 1 nlb. (Nakł. Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas”, Londyn, wrzesień 1965, cena 21 sh.).

REMUS (Franciszek). *Niewidzialne ścieżki*. (Zdarzenia prawdziwe) Str. 165 i 3 nlb. (Nakładem Autora. Druk: Veritas Foundation Publication Centre, Londyn, 1965, cena 18 sh.).

Sonetów hiszpańskich. Spolszczył Jan WINCZAKIEWICZ. Str. 33 i 3 nlb. Okładkę projektował Marek Rudnicki. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1965).

ZURKOWSKA (Helena). *Nowe życie*. Str. 215 i 1 nlb. Okładka i rysunki Ireny Ludwigoj. (Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1965).

JEŻEWSKI (Bohdan O.). *Polski Londyn* (Polish Guide to London). Str. 64. (Wyd. Taurus, Londyn, 1965).

CIOŁKOSZOWA (Lidia). *Publicystyka polska na emigracji 1940-1960*. Str. 169-296. (Odbitka z pracy zbiorowej „Literatura polska na obczyźnie”, tom II, wyd. staraniem Zw. Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Londyn, 1965, cena 15 sh.).

GROBICKI (Aleksander). *Wojenne błyski*. Str. 315 i 1 nlb. Okładkę projektował Eugeniusz Chruściński. (Nakładem Czytelników, Toronto, Kanada, 1964).

PASTERNAK (Jarosław). *Archeologia Ukrainy*. Str. 788. (Wydaw. Diłowij Komitet, Toronto, 1961).

KOWAŁEWSKYJ (Mykoła). *Pry dżerelach borot'by*. Spomyny, wrażeń, refleksji. Str. 717. (Nakładem Mariji Kowalewskiej. Innsbruck 1960).

PASTERNAKOWA (Marija). *Ukraińska żinka w choreografii*. Druhe dopownene wydannja. Str. 238. (Nakładem Sojuzu Ukrajinko Kanady. Z fundacji im. Nataliji Kobryńskoji. Winnipeg - Toronto 1964).

KERCZ (Oksana). *Nareczyenyj*. Str. 278. (Nakładem Wyd. „Homin Ukrainy”, Toronto, 1965).

LAZORDKYJ (Mykoła). *Stepowa kwitka*. Istorycznyj roman pro sułtanszu Roksolanu. Str. 364. (Wyd. „Dniprowa Chwyla”. München 1965. Cena 1,50 dol.).

MECZNYK (S. M.). *Neskoreni*. Dokumentalna powist' pro herojsku borot'bu czleniw rewolucijnoji OUN. Str. 288. (Ukraińska Wydawnicza Spółka. Łondon, 1964).

MROŻEK (Sławomir). *Les Portes-plume*. Przekład z polskiego Anny Posner. Ilustracje Daniela Mroza. Str. 202 i 6 nlb. (Editions Albin Michel, Paris, 1965, cena F. 13,50).

MÉSZOLY (Miklós). *Mort d'un athlète*. Str. 186 i 6 nlb. Przekład z węgierskiego G. Kassai i M. Courault. (Editions du Seuil, Paris, 1965).

WYRWA (Tadeusz). *La nouvelle codification civile en Pologne populaire et le problème du „droit économique”*. Str. 417-429. (Odbitka z „Revue Internationale de droit comparé”, No 2, 1965).

ZÓLKIEWSKI (Stefan). *Culture et Littérature Polonaises Contemporaines*. Quatre essais. Str. 110 i 2 nlb. Zeszyt 26 „Conferenze”. (Accademia Polacca di Scienze e Lettere, Biblioteca di Roma. Wyd. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, PAN, Wrocław-Warszawa-Kraków, 1965).

TERTZ (Abram). *The Trial Begins* (tłum. Max Hayward) and *On Socialist Realism* (tłum. George Dennis). Wprowadzenie Czesława Miłosza. Str. 219 i 1 nlb. (Vintage Russian Library, New York, 1965, cena dol. 1,65).

Poland's Homage to Shakespeare. Commemorating The Fourth Centenary of His Birth 1564-1964. Str. 246 i 2 nlb. Pod redakcją Stanisława Helsztyńskiego. (Wyd. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa, 1965, cena zł. 65).

WILSON (George W.), GORDON Scott, JUDEK (Stanisław) avec un commentaire par Albert BRETON. *Canada: an Appraisal of Its Needs and Resources*. Str. LXX plus 453. (Wyd. The Twentieth Century Fund, New York, University of Toronto Press, 1965, cena dol. 7,50).

The Crime of Katyn. Facts and Documents. Z przedmową generała Władysława ANDERSA. Str. 303 i 1 nlb. z załącznikami i Indekssem nazwisk. (Wyd. Polish Cultural Foundation, Londyn, 1965, cena 37/6).

GOMORI (George). *Pilinszky, the Lonely Poet*. Str. 43-48. (Odbitka z „The Hungarian Quarterly”, Vol. 5, No 1-2, April-June, 1965).

POPIEL (Gerald). *Ilya Ehrenburg: The Absurd Man as a Soviet Man of Letter*. Str. 321-332. (Odbitka z „The Dalhousie Review”, Vol. 44, No 3).

BROMKE (Adam). *Eastern Europe and the West*. Str. 15-22. (Odbitka z „The Central European Federalist”, June, 1965).

HORAK (Stephan M.). *Ukrainian Historiography 1953-1963*. Str. 258-272. (Odbitka z „Slavic Review”, Vol. XXIV, No 2, June, 1965).

DASZEWSKI (Zygmunt). *Simple Facts about so called lunched „Earth Satellites Orbital Flights”, „Walks” in Space, „Flights” to the Moon and other Planets*. Powielacz (Wyd. autora, 1965).

Books in Polish or Relating to Poland do The Polish Library w Londynie. Str. 66-115. (książki włączony między 1 kwietnia a 30 czerwca 1965). (Powielacz. Wyd. The Polish Library, 1965, Nos 4-6).

WANDYCZ (Damian S.). *A Forgotten Letter of Piłsudski to Masaryk*. Str. 17. (Odbitka z „The Polish Review”, Vol. IX, No 4, 1964, New York, N.Y.).

Books in Polish or Relating to Poland Nos 7-9 (1st July - 30th September). Str. 116-165. (Powielacz. Wyd. The Polish Library, Londyn, 1965).

Poland. An exhibition mainly of printed books. Str. 11 i 1 nlb. (National Library of Scotland, 1965, cena 3 sh.).

MIHAJLOV (Mihajlo). *Moskauer Sommer*, 1964. Str. 111 i 5 nlb. (Wyd. Schweizerischen Ost-Institut, Bern, 1965).

DAVIDSON (Hugh M.). *Audience, Words, and Art*. Studies in Seventeenth Century French Rhetoric. Str. 189 i 7 nlb. (Wyd. Ohio State University Press, 1965, cena 5 dol.).

KOSINSKI (Jerzy). *The painted Bird*. Notes of the Author. Str. 29 i 3 nlb. (Houghton Mifflin Company, Boston, 1965).

BROMKE (Adam). *Poland's Role on the Loosening of the Communist Bloc*. Str. 484-509. (Odbitka z „International Journal” Vol. XX, No 4, Autumn, 1965 — Canadian Institut of International Affairs).

LEWYTZYKJ (Borys). *Warten auf einen neuen Lenin*. Str. 23. (Odbitka z dodatku do „Das Parlament”, November 1965).

WYHOWSKA DE ANDREIS (Wanda, dr). *Elementa ad fontium editiones*. XIV. Collectanea e rebus polonicis archivi Orsini in archivo Capitolino Romae, I pars. Str. 214. (Wyd. Institutum Historicum Polonicum Romae, 1965).

DZIEDUSZYCKI (Thadée). *Regnum Sapientiae*. Europa Locuta in Magnis. Au seuil de l'expansion cosmique — 3^e. Paix: Pax Humana. Str. 14, (Londyn, 1965).

DMOWSKI (Roman). *La Iglesia, La Nación y El Estado*. Str. 38 i 2 nlb. (Wyd. Instituto de Roman Dmowski, Buenos Aires, 1964).

RUSZKOWSKI (Andrés). *El Comunismo*. Str. 237 i 3 nlb. Wydanie 2-gie. (Wyd. Editorial Herder, Barcelona, 1963).

ŚMIEJA (Florian). *Ledesma y su poesia a lo divino*. Str. 30. (Wyd. Instituto Diego de Colmenares, Segovia).

BIRZIŠKA (Václavas). *Aleksandrynas*. (Biografie, bibliografie i bibliografie dawnych autorów litewskich do r. 1865). W języku litewskim z przedmową w jęz. angielskim. Tom I.: 16-17 wiek, str. 431; Tom II.: 18-19 wiek, str. 497; Tom III.: 19 wiek, str. 454. (Wyd. Lithuanian-American Cultural Fund, Inc., Chicago 1965).

Neue Polnische Lyrik. (Wybrał i przełożył Karl DEDECIUS. Str. 139 i 5 nlb. (Wyd. Moderner Buch-Club, Darmstadt, 1965).

PRZYBYSZEWSKI (Stanisław). *Erinnerungen an das literarische Berlin*. Z wprowadzeniem Willy Haasa. Str. 313 i 5 nlb. z Indekssem nazwisk. (Wyd. Winkler-Verlag, Monachium, 1965).

DROSS (Armin). *Polnische Literatur in neuen deutschen Uebersetzungen*. (Powielacz, Vlotho / Weser, marzec 1965, cena 0,70 DM.).

Wykaz wydawnictw « Biblioteki Kultury »

(z wyjątkiem pozycji wyczerpanych)

1. Witold GOMBROWICZ .. *Transatlantyk i Słub*
4. James BURNHAM *Bierny opór czy wyzwolenie?*
8. Józef ŁOBODOWSKI .. *Złota hramota (Poezje)*
11. Marian PANKOWSKI .. *Smagła swoboda*
12. Teodor PARNICKI *Koniec „Zgody narodów”, 2 tomy*
15. Graham GREENE *Moc i chwała*
18. Jeanne HERSCH *Polityka i rzeczywistość*
20. Józef MACKIEWICZ .. *Kontra*
22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkami (Francja 1940-1944), 2 tomy*
25. Daniel BELL *Praca i jej gorycze (Kult wydajności w Ameryce)*
26. Jan WINCZAKIEWICZ *Izrael w poezji polskiej (Antologia)*
30. Jan KOWALIK *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*
31. Stanisław REMBEK *W polu*
33. Simone WEIL *Wybór pism*
34. Albert CAMUS *Człowiek zbuntowany*
35. James BURNHAM *Rewolucja manadierska*
36. Tadeusz KATELBACH .. *Rok złych wróżb (1943)*
37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriljane widrodiennja (Antologia)*
40. — *Program Związku Komunistów Jugosławii (Seria „Dokumenty”. Zesz. 5)*
41. (Opr. Czesław MIŁOŚZ) *Kultura Masowa (Seria „Dokumenty”. Zesz. 6)*
43. Jan KOWALIK *„Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”.*
45. Wacław LEDNICKI *Glossy Krasińskiego do apologetyki rosyjskiej*
46. Abram TERC *Sąd idzie*
- ANONIM *Co to jest realizm socjalistyczny?*
47. Tibor DERY *Niki*
48. Wiktor SUKIENNICKI . *Kolumbowy błąd (Seria „Dokumenty”. Zesz. 7)*

50. Czesław MIŁOŚZ *Rodzinna Europa*
51. Gustaw HERLING GRUDZIŃSKI *Skrzydła ołtarza*
52. Halszka GUILLEY-CHMIEŁOWSKA *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI *Oko*
54. Witold GOMBROWICZ . *Pornografia*
55. Leo LIPSKI *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY *Nowy wspaniały świat poprawiony*
57. Kazimierz WIERZYŃSKI *Tkanka ziemi*
58. Stanisław KOT *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Ha-dziackiej*
59. (Opr. Czesław MIŁOŚZ) *Węgry (Seria „Dokumenty”. Zesz. 8)*
60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCIUK *Rejs do Smithton — Stary ocean.*
62. Adam CIOLKOSZ *Róża Luksemburg a rewolucja rosyjska*
- Róża LUKSEMBURG .. *Rewolucja rosyjska (Seria „Dokumenty”. Zesz. 9)*
63. Bogdan CZAYKOWSKI i Bolesław SULIK *Polacy w W. Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN *Ameryko! Ameryko!*
65. Paweł HOSTOWIEC *Eseje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ *Żydzi w kulturze polskiej*
68. Abram TERC *Opowieści fantastyczne*
69. I. IWANOW *Czy istnieje życie na Marsie?*
70. Abram TERC *Fantastyczne powieści*
71. I. IWANOW *Jest' li ziźń na Marsie?*
72. Paweł ZAREMBA *Historia Polski. Cz. I*
73. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 1-szy)*
76. Józef CZAPSKI *Na nieludzkiej ziemi*
77. Czesław MIŁOŚZ *Człowiek wśród skorpionów*
78. Bernard SINGER *Od Witosa do Sławka*
79. Czesław MIŁOŚZ *Król Popiel i inne wiersze*
80. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 2-gi)*
81. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik. Tom II (1957-1961)*
82. Milovan ĐILAS *Rozmowy ze Stalinem*
83. (Jerzy MOND) *6 lat temu... (Kulisy polskiego Października) (Seria „Dokumenty”. Zesz. 11)*
84. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 3-ci)*
85. Józef WITTLIN *Orfeusz w piekle XX wieku*
86. Zygmunt HAUPT *Pierścień z papieru*
87. Marek HŁASKO *Opowiadania*
88. Maria CZAPSKA *Polacy w ZSSR (1939-1942) Antologia*

89. Witold JEDLICKI *Klub Krzywego Koła* (Seria „Dokumenty” Zesz. 12)
90. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 4-ty)
91. Abram TERC *Lubimow*
92. — *We własnych oczach. Antologia współczesnej literatury sowieckiej.*
93. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI *Drugie przyjście oraz inne opowiadania i szkice*
94. Jan KOWALIK *Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962.*
95. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 5-ty)
96. Marek HŁASKO *Wszyscy byli odwrócen. — Brudne czyny*
97. Kazimierz WIERZYŃSKI *Kufer na plecach* (Poezje)
98. Bogdan CZAYKOWSKI *Spór z granicami* (Poezje)
99. Wincenty WITOS *Moje Wspomnienia. Tom I/III*
100. Walter G. KRYWICKI . *Byłem agentem Stalina* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
102. Stanisław MACKIEWICZ *Polityka Becka*
103. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 6-ty)
104. Ignazio SILONE *Wybór towarzyszy* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
105. Wiktor SUKIENNICI . *Biała Księga* (Seria „Dokumenty” Zesz. 13)
106. Juliusz MIEROSZEWSKI *Ewolucjonizm*
107. Abram TERC *Myśli niespodziewane*
108. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 7-y)
109. Wacław IWANIUK *Wybór wierszy*
110. Michał K. PAWLIKOWSKI *Wojna i sezon*
111. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI *Inny świat*
112. Witold GOMBROWICZ *Kosmos*
113. Borys LEWICKYJ *Terror i rewolucja* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
114. Stanisław VINCENZ *Po stronie pamięci.*
115. Danuta MOSTWIN *Olivia*
116. Czesław MIŁOSZ *Gucio zaczarowany* (Poezje)
117. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 8-my)
118. Jerzy PIETRKIEWICZ .. *Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne*
119. January GRZĘDZIŃSKI *Maj 1926* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 14)
120. Mikołaj ARŻAK *Odkupienie i inne opowiadania*
121. Arthur KOESTLER *Fragmenty wspomnień* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
122. Michel GARDER *Agonia reżymu w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”).

Humor krajowy

W warszawskiej kawiarni mówią, że:

... w 1965 roku matura była bardzo łatwa, bo zdawał ją również towarzysz Wiesław, ale że w roku 1966 będzie jeszcze łatwiejsza bo towarzysz Wiesław oblał z czterech przedmiotów...

... że P.R.L. jest jak bajka... im dłużej tym straszniej...

... że Melchior Wańkowicz na znak protestu przeciwko cenzurze podszedł pod dom Partii, oblał się benzyną i spalił...

... że Sowiety przysłały do Polski 400.000 par butów... do podzelowania...



Pytanie: — Jaka jest różnica między Chruszczowem a Kosyginem?

Odpowiedź: — Żadna — ale Kosygin o tym nie wie.



Reklama samochodu „warszawa”

Kupujcie samochód „warszawa”. Samochód „warszawa” odmłodzi was o 30 lat postępu technicznego!

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

New York, grudzień 1965.

Drogi i Szanowny Panie Redaktorze,

Bardzo mnie ubawiło zdanie w szkicu biograficznym Marka Hłaski pt. „Piękni, dwudziestoletni”, które brzmi: „Pojechałem do Izraela na zaproszenie pisma *Maariv*, po czym oszukano mnie przy rozrachunku i nie miałem pieniędzy, aby wrócić...” Dobry żart — tyńfa wart. Bieda tylko z tym, że wydawcy *Maariv*’u największego dziennika w Izraelu, wzięli tę całą sprawę na serio. A więc nie mam rady, muszę opowiedzieć jak to wszystko było naprawdę. A wiem to najlepiej, ponieważ to ja „zaprosiłem” Marka do Izraela.

Było to tak: chyba na początku r. 1958 przyszedł do mnie do redakcji w Tel Avivie (jestem współpracownikiem *Maariv*’u od założenia tego pisma, to jest od lat 18) niejaki p. Rojewski. Powiedział, że jest przyjacielem Hłaski, który nie może dłużej wytrzymać w Niemczech i marzy o tym by przyjechać do Izraela. Kupił już nawet bilet lotniczy w jedną stronę i chce się tylko przedtem upewnić, czy znajdzie się pismo, które będzie drukować jego felietony. Z miejsca zaakceptowałem. To samo zrobił mój naczelny redaktor.

Po kilku dniach witałem na lotnisku Marka. Ledwo wysiadł z samolotu, a już wszystkim opowiadał naokoło jakim jest namiętnym czytelnikiem Pisma Świętego i jaki jest dumny, że go *Maariv* zaprosił.

Następnego dnia skoro świt zjawił się w redakcji. Zaczęliśmy od tego, że zaprosiłem go do bufetu gdzie ku wielkiemu zachwytowi bufetowego zamówił jajecznicę z 5 jaj z kiełbasą i litr mleka. Potem zabrałem go do kasy, gdzie mu wypłacono przyzwoitą zaliczkę, równą mniej więcej sumie za jaką średnia rodzina izraelska żyła wówczas cały tydzień. Umówiliśmy się, że Marek będzie pisał raz na tydzień felieton.

W ciągu pierwszych kilku dni nasz gość często przychodził do redakcji. Zawsze przy tej okazji rozgrywała się ta sama scena: przez pierwsze pół godziny uskarżał się na wszelkiego rodzaju choroby: poczynając od dziecięcej, nieuleczalnej i rzekomo niezwykle niebezpiecznej wady serca i kończąc na nabytych reumatyzmach, chorobach stawów, gruźlicy... Kiedy już się dobrze wyżył, następował akt drugi: „Panie Ben, od 48 godzin niczego nie miałem w ustach”. Był to sygnał, abym zadzwonił na bufetowego i dał mu zawsze to samo zlecenie — nakarmienia Marka. Trzeba przyznać, że bufetowy tę misję bardzo sobie cenił. Któregoś dnia, po wizycie Marka, przyszedł do mnie z oczami błyszczącymi z zachwyty: „Ten pański 'goj' to jakiś niezwykle Ben Adam (po hebrajsku człowiek). Dzisiaj zjadł jajecznicę z 12 jaj”.

Po jajecznicy następował akt trzeci. Marek mówił: „Panie Ben, nie mogę pisać kiedy jestem bez pieniędzy”. Więc znów szedłem z nim do kasy. Powtarzało się to kilka razy. Tragedia zaczęła się dopiero wtedy, kiedy

Marek miał dać pierwszy rękopis. Wtedy nie on do mnie, do redakcji, ale ja powódrowałem do jego hotelu, gdzie przesiedziałem wiele godzin, nim wydostałem od niego jakiś rękopis.

Pisanie w Izraelu Markowi nie wychodziło. Raz napisał jakąś krytykę niemieckich filmów, które oglądał w Berlinie. Nie miała ona dla czytelników *Maariv*’u żadnego sensu, bo filmów niemieckich w Izraelu nie wyświetlano. Innym razem napisał jakiś felietonik, który nawet po polsku mało miał sensu. A co dopiero w hebrajskim tłumaczeniu. Jasne — pisarz to nie marny dziennikarz-wyrobnik, który zawsze coś „wystuka”. Pisarz musi mieć natchnienie. A Marek widocznie wtedy go akurat nie miał. Ale ja nie miałem nigdy najmniejszej żylki filantropa czy też mecenasu artystów i pisarzy. Całe życie obracałem się w sferze gdzie płacono za pisanie, ale raczej nie płacono za nie pisanie. Powiedziałem o tym Markowi po którejś tam jajecznicy. Skończyło się obietnicą nowego felietonu i wypłatą jeszcze jednej zaliczki.

Potem Marek przychodził do redakcji już bardzo rzadko. Nie mówił już więcej o felietonach. Nie prosił już o zaliczki. Jest dobrym psychologiem i rozumiał, że to byłoby bezowocne. Mówił o chorobach. Każda wizyta kończyła się oczywiście jajecznicą.

Musiało to być koło Wielkiejnocy, kiedy Marek zjawił się z tajemniczą miną: „Panie Ben, postanowiłem napisać izraelską powieść”. Trzeba przyznać, że projekt bardzo mi się spodobał, tym bardziej, że Marek bardzo pięknie streścił jej temat. Mówił o Elacie, porcie izraelskim nad Morzem Czerwonym, o różnych typach, które się tam zebrały, o ich marzeniach, namiętnościach, miłościach i zbrodniach. Odnalazłem w tym opisie wielkiego pisarza, innego człowieka, niż autor tych dwóch czy trzech felietonów, które dla mnie dotychczas pisywał.

Zredagowałem kontrakt. Ustaliliśmy wysokość zaliczki i poszliśmy do kasy. W ostatniej chwili wpadło mi do głowy: „Panie Marku, muszę mieć streszczenie powieści. Siadaj pan i pisz”. Marek napisał. Wziął pieniądze. Pierwszy rozdział miał dostarczyć do Wielkanocnego numeru.

Od tego czasu nigdy go już więcej nie widziałem. Dzień przed zamknięciem świątecznego numeru wpada do mego pokoju redaktor: „A gdzie początek tej powieści, dla której zamówiłeś trzy szpalty?”. Struchlałem. W gazecie nie ma większego przestępstwa jak „nawalić” z materiałem do świątecznego numeru. Posłałem chłopca do hoteliku gdzie zamieszkiwał Marek. Po godzinie chłopiec wrócił: „Portier powiedział, że Hłasko nikogo nie chce widzieć i że nie przyjmuje żadnych listów”. Próbowałem telefonować. Na próżno. Wreszcie „genialna” myśl wpadła mi do głowy: mam przecie plan powieści Hłaski. Napisałem do niej krótki wstęp, który się kończył słowami: „bez względu czy powieść ta będzie kiedykolwiek napisana czy też nie, pomysł jest doskonały”, i posłałem redaktorowi świątecznego numeru. „Dziura” była zapelniona.

Hłasko jeszcze czas jakiś przebywał w Izraelu, ale *Maariv*’u nigdy już nie odwiedził. Jak z powyższego wynika, prawdę pisał Marek w swej biografii, że nigdy się nie nauczył arytmetyki. Jemu się zdawało, że go oszukano przy rozrachunku, a w rzeczywistości to on wziął pieniądze, a „towaru” nie dostarczył.

Drogi Marku! Nie mam za to do Ciebie żalu. Pisziesz pięknie, więc pisz, co ci się żywnie podoba. A kiedy się spotkamy, zjemy jajecznicę z wielu, wielu jaj.

Filip BEN

P.S. Dobrze zrobią wydawcy przyszłej książki Hłaski jeżeli wezmą treść powyższego listu pod uwagę i namówią autora aby zmodyfikował inkrymi-

nowane zdanie. Bo w stosunku do nich *Maariv* już nie będzie mógł być tak pobłażliwy jak wobec Marka.

Londyn, 22 listopada 1965.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pani Lidia Ciołkoszowa tak znakomicie rozprawiła się z pretensjami p. Tymona Terleckiego, że nie ma zasadniczo potrzeby dodawania czegokolwiek do tej dyskusji; można się jedynie dziwić że p. Terlecki podjął próbę obrony niezwyklej zaiste praktyk, polegających na wprowadzeniu obcego tekstu do opracowania p. Ciołkoszowej.

Jeśli zabieram głos, to tylko dlatego że w ferworze polemicznym p. Ciołkoszowa użyła argumentu, który może czytelników wprowadzić w błąd. Oto wymienia tam nazwiska siedmiu publicystów, których działalnością zajęła się w swojej pracy i określa ich jako „publicystów NiDu”. Figuruje jako jeden z nich. W innym miejscu pisze: „Bregman z NiDu”.

To określenie uważam za nieściśle i to zupełnie niezależnie od faktu że wystąpiłem z NiD'u przed wielu miesiącami. Nawet w czasach gdy należałem do tej organizacji, nie byłem jej publicystą, gdyż w moich artykułach wyrażałem poglądy własne, które równie dobrze mogły się okrywać z poglądami kierownictwa organizacji, co diametralnie różnić się z nimi. Przy pierwszej próbie władz NiDu wymuszenia na mnie bym uzgadniał z nimi tezy moich wystąpień publicystycznych, wystąpiłem z organizacji.

Określenie „publicysta NiDu” wydaje mi się więc równie nieściśle, co użyte w stosunku do mnie przed paru miesiącami na łamach „Kultury” przez Londyńczyka określenie „publicysta oficjalny”.

Łączę wyrazy poważania

Aleksander BREGMAN

Paryż, listopad 1965.

Panie Redaktorze,

Chciałabym dopełnić recenzję o książce Marii Kosko pt. „Best-seller 1900 we Francji” („Kultura” Nr 217) ustępem z „Dzienników” S. Żeromskiego:

„Józef opowiadał mi rzecz następującą — czytamy pod datą 9. X. 1888 roku: Był raz w zimie t.r. w Staszowie, miał interes na poczie, czekał tam więc. Razem z nim czekało na przyjeździe poczty ze dwudziestu szewców, czeladników, sklepikarzy — czekali na *Słowo*. Gdy poczta przyszła urzędniczek pocztowy zaczął czytać *Potop* na głos... Ci ludzie czekali tam parę godzin, oderwawszy się od pracy, aby usłyszeć dalszy ciąg powieści. Nie darmo mówią że naród zdaje przed Sienkiewiczem rachunek z uczuć polskich. Jest to objaw znamieny. Sam widziałem w Sandomierskiem jak wszyscy, tacy nawet, którzy nigdy nie czytają, dobijali się o *Potop*. Książki kursują, rozbiegają się błyskawicznie. Niebawem, niesłychane powodzenie.

Sienkiewicz zrobił dużo, bardzo dużo. Niech imię jego będzie pochwalone...”

Żeromski wykorzystał następnie to wspomnienie w szkicu „Ach, gdybym kiedy dożył tej pociechy”, oraz w przemówieniu o Sienkiewicz, po jego śmierci (*Elegie* 1928). *Potop* był drukowany od 1884 r. w odcinkach różnych czasopism (*Słowo* — Warszawa, *Czas* — Kraków i *Przyjaciół Ludu* — Poznań).

Sienkiewicz był więc i jest do dziś dnia potrzebny, bo uczył i uczy od dzieciństwa czytać, zapoznając swoich czytelników od kilku już pokoleń z pięknym języka.

Maria CZAPSKA

Praha, Vic., 20 listopada 1965 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wpadła mi w rękę książka Melchiora Wańkowicza pt. „Hubalczycy” w której, ku swojemu niepomniemu zdziwieniu, ujrzałem fragment piosenki, pisanej przez siebie w r. 1943:

Węc szumcie nam, jodły, piosenkę,
Polacy, podajcież nam rękę,
Wśród lasu wertepów
Na ostrzach bagnietów
Wolności niesiemy jutrzrenkę.

Fragment ten w książce Wańkowicza poprzedzają słowa następujące: „...I wreszcie... po raz pierwszy wówczas „Piosenka Hubalczyków”, która odtąd im ma towarzyszyć...”

Pragnę stwierdzić z całym naciskiem, że piosenka owa powstała nie w warunkach które opisuje p. Wańkowicz, ale w blisko trzy lata później, tak więc oddziałowi majora Hubali w żadnym wypadku „towarzyszyć” nie mogła. Została ona napisana dla grupy partyzanckiej „Ponurego” (później „Nurta”) której byłem członkiem w latach 1943-44.

Nie zamierzam przez to wcale umniejszać ogromnych zasług i bohaterstwa majora Hubali oraz jego żołnierzy. Nie jest też moim zamiarem rzucanie cienia na potężny talent Wańkowicza. Pragnę jednak podkreślić, że niesprawdzone a mylne zapożyczanie tekstów w książce o charakterze biograficznym stawia wartość tejże książki pod dużym znakiem zapytania.

Z poważaniem

Andrzej GAWROŃSKI

Zürich, 21 września 1965.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 9/215 „Kultury”, w artykule pt. „Polityczne neurozy” napotkałem niektóre twierdzenia autora, p. Juliusza Mieroszewskiego, z jakimi

niestety niemożliwie się pogodzić. Na przykład, we wspomnianym artykule red. Mieroszewski pisze:

„Szeroko wśród Polaków rozpowszechniona nienawiść do Rosji jako symbolu Wschodu...”

„Dla polityków emigracyjnych demonem i 'antychrystem' XX-go wieku jest Moskwa”.

„Na emigracji znakomita większość Polaków widzi zbawienie świata i Polski w rozbiciu Związku Sowieckiego. Wyobraźmy sobie dla przykładu, że Związek Sowiecki rozpada się na kilkanaście małych państw skłóconych i wojujących wzajemnie ze sobą. Wojna domowa niszczy przemysł i rolnictwo i w konsekwencji zapanuje głód, rozprężenie i chaos”.

„Rosji możemy nienawidzić, lecz Rosja jest nam potrzebna. W naszym interesie leży europeizacja Rosji i przebudowa Związku Sowieckiego w nowoczesny *commonwealth*. Lecz degradacja Rosji do statusu państwa słabszego od Niemiec bezwzględnie nie leży w polskim interesie”.

Do wyżej wymienionych tez red. Mieroszewskiego zaznaczam:

1) Jest wielką pomyłką tłumaczyć nienawiść do Rosji tylko tym, że ją uważa się za symbol Wschodu. Powodem nienawiści do Rosji — dawnej carskiej i teraźniejszej bolszewickiej — jest wyłącznie jej *tradycyjny rosyjski imperializm*, a nie sama przynależność do Wschodu.

2) Uważać Związek Sowiecki za najpewniejszego gwaranta niepodległości Polski może chyba ten, kto całkiem zapomni, albo lekceważy bolesne doświadczenia historii stosunków polsko-rosyjskich. Rozbiory Polski były dokonywane nie tylko przez Rosję carską, ale także i bolszewicką, przez tzw. Związek Sowiecki, i zawsze *ze współudziałem Niemiec czy w sojuszu z nimi*. Katyńska masakra polskiej elity wojskowej to tylko jeden z licznych tradycyjnych przejawów okrucieństw imperializmu moskiewskiego, dokonanego pod firmą „Związku Sowieckiego”.

3) Na ten właśnie „Związek Sowiecki” pokłada red. Mieroszewski wielką nadzieję, życząc tylko, aby ten „Związek” „zeuropeizował się” i przebudował się „w nowoczesny *commonwealth*”.

Marna nadzieja! Bo najpierw sama nazwa „Związek Sowieckich Republik” to oczywiste oszustwo! Takiego „Związku” jak pojęcia dobrowolnego sojuszu narodów nigdy nie było i teraz nie ma. Był on narzucony z góry militarną siłą Moskwy i jej terrorem. Tak zwany Związek Sowiecki w rzeczywistości to ta sama dawna despocyjna Rosja — „jedimaja i niedielimaja” z dawnym rosyjskim imperializmem i despotyzmem, który nie cierpi wolności innych narodów. Europeizacja Rosji mogłaby się stać najpierw tylko przez rozpad tzw. Związku Sowieckiego na *samodzielne wolne republiki narodowe*. Dopiero te wolne republiki narodowe mogłyby zdecydować, czy uważają za stosowne i możliwe stworzyć razem z Moskwą „nowoczesny *commonwealth*”. Myślę, że i sam red. Mieroszewski wątpi, żeby po tych strasznych doświadczeniach z carską Rosją i ostatnio z tzw. Związkiem Sowieckim ktoś z nierosyjskich narodów zechciał znów ryzykować.

Ujarzmione przez rosyjski imperializm kraje, uzyskawszy swą wolność, nawiążą ze sobą najprzyjaźniejsze stosunki, polityczne i ekonomiczne, może nawet coś w rodzaju „*commonwealth'u*”.

Samostanowienie wszystkich narodów świata, włącznie z narodami ujarzonymi teraz przez tzw. Związek Sowiecki, to jedynie najlepsze rozwiązanie problemu pokoju światowego. I wtedy nie będzie żadnej kłótni i żadnej wojny domowej między narodami zwolnionymi od rosyjskiego jarzma, jeśli w ustanowieniu granic państwowych będzie wszędzie zastosowany princip etnograficzny, a w sprawach spornych plebiscyt zainteresowanej ludności.

Gdy tych samych zasad samostanowienia narodów będzie trzymać także i Polska, to red. Mieroszewski może nie obawiać się o losy swej

ojczyzny. Wtedy Polska będzie mieć najwierniejszych sojuszników w pierwszym rzędzie u narodów, zwolnionych od rosyjskiej niewoli.

Zresztą i Rosja, obkrojona do swych etnograficznych granic, może z czasem stać się demokratycznym i pokój miłującym państwem.

Z poważaniem,

Iwan ŁUCZYSZYN

Szanowny Panie Redaktorze!

Po przeczytaniu artykułu pana Jedlickiego („Kultura” Nr 9/215) nasunęło mi się szereg uwag, którymi chciałbym się z Panem podzielić.

Pracując jako adwokat w Polsce od szeregu lat, muszę przyznać że wiele uwag pana J. jest słusznych, niektóre jednakże nasuwają pewne zastrzeżenia.

Niestety, w Polsce trudno jest na ten temat polemizować w prasie, bo po prostu nie wydrukują (cenzura!)

O istnieniu sądów tajnych wiem niewiele, bo działalność ich była ściśle zakamufLOWANA i tylko kilku adwokatów (jak się później okazało) było dopuszczanych na te tajne rozprawy — do którego to grona nie byłem, na szczęście, zaliczony!

Co do spraw dotyczących dekretu z 13. VI 1946 roku „o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa” czyli tzw. M.K.K. — to na pewno jest faktem bezspornym, iż od dawna powinien on przestać egzystować i być stosowany.

O ile bowiem oficjalne tłumaczenie teoretyków i profesorów prawa, że należało w „okresie przejściowym — tworzenia nowego ustroju i nowych warunków życia — stworzyć nowe przepisy prawne” można by uznać za słuszne (o czym poniżej) — to istotnie jeśli się mówi o zakończeniu okresu odbudowy — należałoby uchwalić nowy kodeks karny, jeśli ten z 1932 r. nie nadaje się do stosowania w nowych warunkach.

O tym, że kodeks karny z 1932 roku nie wystarcza można się przekonać na zasadzie czysto „technicznych” rozważań. Bowiem wydanie nowych przepisów prawnych stało się na przykład konieczne w związku z tzw. „szabrem” czyli wywożeniem i grabieniem mienia z terenu Ziemi Odzyskanych (art. 44 M.K.K.); czy też z całkowicie inną organizacją przedsiębiorstw państwowych, dystrybucją towarów (art. 39, 40, 41 M.K.K.) i reformą rolną itp.

Od strony prawnej powstawanie nowych przepisów — stosownie do zmiany warunków życia, postępu technicznego i tp. — jest zjawiskiem normalnym i słusznym i na przestrzeni dziejów spotykanym na całym świecie o to więc nie można potępiać ustawodawstwa P.R.L.

Należy mieć zastrzeżenia co do treści tych przepisów, zwłaszcza jeśli chodzi o ich mętne sformułowania — dające istotnie pole do dowolnego ich stosowania.

Najistotniejszym dowodem tego, iż przepisy te są mętnie skonstruowane jest bardzo duża ilość orzeczeń Sądu Najwyższego, który jest zmuszony — na skutek rewizji od wyroków zapadłych z zastosowaniem przepisów M.K.K. — wyjaśniać jak należy szereg przepisów, a nawet poszczególne wyrazy interpretować.

Oczywiście, że rację ma p. J. iż mętność sformułowań powyższych przepisów daje pole do popisu zwłaszcza złym sędziom, w zrozumieniu praw-

nym, nie mówiąc o tendencyjności ich stosowania wynikającej z przyczyn politycznych.

Co prawda wątpliwości p. J. co do sformułowań art. 5 i 6 M.K.K. są nieuzasadnione — gdyż akurat te dwa artykuły (jak na ten kodeks) dosyć jasno formułują, że chodzi o ukaranie szpiegów o obywatelstwie polskim, działających w interesie obcego rządu, w porozumieniu z obcym rządem, lub przyjmujących za swoje działanie wynagrodzenia od wyżej wymienionych. „Drakońskie” jest tu natomiast ograniczenie sędziego, że nie może za powyższe czyny skazać na mniej niż 5 lat więzienia.

Natomiast przykład fatalnego i zupełnie niezrozumiałego sformułowania, w art. 29 M.K.K. jest jak najślusniejszy. Co bowiem należy zrozumieć przez sformułowanie „*ko pochwala faszyzm*”, „*lub jakkolwiek jego odmianę*”, nie mówiąc o „*lżeniu i wyszydzeniu ustroju*” — nikt oczywiście dokładnie wytłumaczyć nie potrafi. Trzeba tu jeszcze podkreślić, że zgodnie z treścią art. 51 M.K.K. w sprawach o przestępstwa określone w rozdziale I tego dekrety, właściwe były wyłącznie Sądy Wojskowe — nawet wobec osób cywilnych tj. podlegających orzecznictwu sądów powszechnych.

Najkapitałniejszym jednakże przykładem mętności sformułowań jest art. 22 M.K.K. (tak powszechnie stosowany w okresie „*stalinowskim*”) — gdyż udowodnić jakie wiadomości „*mogą wyrządzić istotną szkodę interesom państwa*”, a jakie ewentualnie „*obniżyć powagę jego naczelnych organów*”, a jakie nie — nie podobna zupełnie. W powodzi plotek wokół organów rządowych trudno nawet stwierdzić, które z tych wiadomości są fałszywe, a które nie.

Dlatego to pod ten artykuł podciągano wszystko — nieszczęsnych i obłąkanych Świadków Jehowy za ich „*wiadomości*” o sędzie ostatecznym, Amagedeonie z owieczkami po prawicy i lewicy — pomimo, że wiadomości te naprawdę nie mogły państwu zaszkodzić; słuchaczy radia Wolna Europa i BBC, jak i osoby narzekające na braki w dystrybucji towarów; czy na posunięcia rządu” i tp.

Pamiętam jak oskarżono z tegoż artykułu fryzjera z małego miasteczka, emigranta z Francji, który nastawiał swoje radio na stacje zagraniczne, przeważnie włoskie i Monte Carlo, gdyż, jak twierdził, te najbardziej odpowiadały mu „*muzycznie*” i rzekomo komentował „*wrogie i szkodliwe wiadomości*” pytającym go o to klientom, którzy czekali na ogolenie brody. Świadków tego „*przestępstwa*” było dwóch — jeden to pracownik urzędu bezpieczeństwa, który też tam chodził się strzyć, oraz jakiś zastraszonej przez tenże urząd chłop.

Oskarżony przyznał iż tłumaczył klientom nieznanym języka francuskiego, „*jak leci*” reklamy, komentarze i tp., ale, że tam nic złego o rządzie polskim nie było. Uratował nieszczęśnika od surowej kary jego obrońca, jeden z moich kolegów, przedstawiając sądowi legitymację francuskiej partii komunistycznej, do której oskarżony należał przed przyjazdem do Polski — udowadniając w ten sposób, że jego wypowiedzi nie mogły być wrogie. Tego oskarżonego Sąd uniewinnił, ale można sobie wyobrazić ilu za takie głupstwa skazywano niesłusznie, podciągając ich czyn pod przestępstwo z art. 22 M.K.K.!

Również sformułowanie art. 23 M.K.K. jest tego rodzaju, że w praktyce daje pole do popisu zarówno złym sędziom jak i zdolnym adwokatom, nie mówiąc o bardzo licznych orzeczeniach Sądu Najwyższego. Pomijając bowiem omówione powyżej, a powtarzające się w art. 23 określenia „*istotnej szkody interesom państwa*” — czy „*obniżenia powagi jego organów*” — to cóż należy rozumieć przez „*rozpowszechnianie*”, oraz co oznacza „*nawoływanie do popełnienia zbrodni*” i jak wizerunki, lub druki to nawoływanie (mówiąc po warszawsku) „*uskuteczniają*” — trudno ustalić w procesie karnym!

Dlatego też autorzy M.K.K. (niech im ziemia lekką będzie) tak za-

gmatali stany faktyczne przepisów, że istotnie można je było rozumieć, a więc i stosować w praktyce — jak się chciało!

Nie mogę tylko zgodzić się z oświadczeniem p. J. iż sprawy z art. 22 i 23 M.K.K. są teraz często na wokandach sądowych — przeciwnie od roku 1956 zdarzają się bardzo rzadko i dlatego wywołują w społeczeństwie znacznie większe wrażenie (jak np. sprawy literatów) niż to miało miejsce, gdy zdarzały się często.

Nie wiadomo czy niedoprowadzanie tych procesów do końca, tj. niewykonywanie wyroków (jak w sprawie Wańkowicza), czy niearesztowanie w śledztwie (jak w sprawie Cat-Mackiewicza) — są dowodem bezsilności, czy „*złagodzenia kursu*”. Logicznie wydawałoby się, że lepiej nie oskarżać i nie skazywać — aniżeli zaniechać wykonywania prawomocnych wyroków — bo chyba to najbardziej „*obniża powagę naczelnych organów*!”

Jeśli chodzi o zaostrenie wymiarów kary w M.K.K. tłumaczono je również okresem tzw. „*rewolucji*”, w czasie której miały one służyć „*przekładnemu*” ukaraniu dużej ilości przeciwników nowego ustroju, sabotażystów gospodarczych i tp. — w trudnych warunkach powojennego zdemoralizowania, nie mówiąc o tak zwanym „*okresie odbudowy socjalizmu*”.

Myszę, że większość rozsądnych prawników w Polsce przyzna rację p. J. iż należało znieść „*drakońskie kary*”, które mogły być ew. wytłumaczone okresem odbudowy, ale teraz, gdy życie toczy się normalnym trybem, nie ma sabotaży, gdy nadużycia w handlu i przedsiębiorstwach państwowych objęte są późniejszymi ustawami, a z Ziem Zachodnich wywieziono już co się dało i zagospodarowano je od nowa — stosowanie ich jest zupełnie zbędne; a nawet szkodliwe i nie humanitarne.

Po dyskusjach w 1956 roku tzw. Komisja Kodyfikacyjna (której członkowie pracujący nad nowym kodeksem karnym od dwudziestu lat otrzymują nie wiadomo za co wysokie wynagrodzenia), działająca dotąd bardzo opieszale, przyspieszyła swoje prace i wydała projekt nowego kodeksu karnego, który jednakże, po bardzo burzliwych dyskusjach, nie został zatwierdzony jako nie nadający się zupełnie do zastosowania.

W ten sposób ogłoszenie, a właściwie stworzenie nowego kodeksu karnego dostosowanego do nowych warunków życia zostało odłożone „*ad calendas graecas*” a sądy nadal borykają się stosując nie tylko przepisy Kodeksu Karnego z 1932 i M.K.K. ale i całego szeregu wydanych po wojnie dekretów i ustaw, o których p. J. nie wspomina — które to bądź zdeaktualizowały się, bądź straciły swój sens w obecnym okresie.

Kodeks Karny z 1932 roku charakteryzował czynności przestępcze bardzo jasno i bez zarzutu — czego najlepszym dowodem jest fakt, że wiele państw wzorowało się na nim konstruując swoje przepisy.

Dodanie więc do tego Kodeksu pewnej ilości artykułów obejmujących faktyczne przestępstwa, które nie mogły się zdarzać w dawnych warunkach — wystarczałoby na pewno do prawidłowego wyrokowania.

Postąpieno tak zresztą — uzupełniając kilkoma nowelami dawny Kodeks Postępowania Karnego.

Chciałbym tu dodać na marginesie, że myli się p. J. uważając, iż treść wydawanych w Polsce przepisów ma zakamuflowaną tendencyjność polityczną. Przeciwnie, głosi się, że tylko w państwach kapitalistycznych „*Temida jest ślepa*” — w komunistycznych państwach „*Temida przejrzała i wie czego chce*” i dlatego w Polsce Ludowej podkreśla się fakt, iż prawo służy w pierwszym rzędzie *ochronie państwa i władzy państwowej, a dopiero w dalszej kolejności ochronie życia, zdrowia i mienia obywateli!*

Uczą się o tym studenci na uniwersytecie z obowiązujących skryptów i książek, np. prof. Lernella „*Wykłady Prawa Karnego*” oraz „*Prawo Karne Polskie Ludowe*” Prof. Prof. Sawickiego i Andrejewa i tp.

Dlatego też można stwierdzić, że zarówno M.K.K. jak i inne Dekrety i Ustawy wydane po wojnie miały służyć w pierwszym rzędzie „ugruntowaniu ustroju komunistycznego i jego władzy w Polsce” o czym się oficjalnie i głośno pisze, mówi i wyklada na uniwersytetach w Polsce obecnej.

Szkoda, że szeroka dyskusja w prasie na te i inne tematy nie jest w Polsce obecnie możliwa — pomimo, że po tzw. „październiku” przez pewien czas na nią pozwalano.

PALESTRANT

Londyn, 9 grudnia 1965.

Szanowny Panie Redaktorze,

Do licznej rodziny tych moich rodaków, którzy — z zaskakującym upodobaniem — potępiają „idiotyczną politykę wrogości wobec Czechów”, uprawianą ponoć przez min. Becka, doszłusował ostatnio p. F. Goldschlag (por. „Kultura”, nr 12, „Listy do Redakcji”).

Jestem, oświadczenie, zdecydowanie niechętny licznym „skarbowi narodowym”, które nas trapią na emigracji. Natomiast chętnie, ba — z entuzjazmem, deklaruje pomoc finansową, w granicach moich możliwości, dla studium, które by powstało np. z Pańskiej inicjatywy, a które by się zajęło rzetelnym rozpoznaniem rzeczywistości polsko-czeskiej w okresie 20-lecia niepodległości obydwu sąsiadów. Gra chyba warta świeczki?

Analizując rzeczowo i bezstronnie, z niezłej już perspektywy, studium — tak sądzę — zdołałoby ustalić czy wina złego klimatu między Warszawą a Pragą była tylko po stronie polskiej? Jaką rolę w utrzymywaniu tych żenująco przykrych stosunków między dwoma bratnimi narodami odegrała np. Francja, a w ostatniej fazie amb. Noël? Co miały na tematy polsko-czeskie do powiedzenia Moskwa, a co Berlin (i to nie tylko ten hitlerowski, ale również weimarski) i td.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, życzliwe pozdrowienia,

Włodzimierz V. POPŁAWSKI
b. korespondent specjal.
Agencji Telegraficznej Express
w Pradze.

Londyn, 12 grudnia 1965.

Do Redakcji „Kultury”,

Przesyłam list do Redakcji „Tygodnia Polskiego” — przez nią odrzucony — z prośbą o zamieszczenie go w „Kulturze”.

A. J. ZIELICKI

2 grudnia 1965.

„Szanowny Panie Redaktorze,

Z dużym zainteresowaniem śledzę od szeregu tygodni polemikę na łamach „Tygodnika Polskiego” pomiędzy Polskim Ośrodkiem Społeczno-Kul-

turalnym i p. Karolem Poznańskim. Ostatni artykuł dra Poznańskiego sprostował mnie do zabrania głosu w tej sprawie.

Przed wszystkim chciałbym p. Konsulowi przedstawić nieznaną mu zupełnie osobę Krzysztofa Głuchowskiego. Znam go od wielu lat. Jako 14-letni chłopiec wstępuje do ZWZ. Później przechodzi do AK. Jako 17-letni młodzieniec bierze udział w walkach na Woli i Starym Mieście. Awansuje do stopnia starszego ułana i otrzymuje Krzyż Walecznych. Poprzez niewolę niemiecką dostaje się na zachód gdzie z kolei zgłasza się do 2-go Korpusu. W gimnazjum 3 Dywizji Karpackiej zdaje maturę. Po demobilizacji studiujecie inżynierię na uczelniach wyższych i po uzyskaniu dyplomu rozpoczyna pracę w przemyśle. W tym czasie pracuje w Harcerstwie. Jest kierownikiem kręgu Starszoharcerskiego w Londynie, później przez szereg lat kolejno członkiem Naczelnej Rady Harcerskiej i Naczelnego Sądu Harcerskiego. Wchodzi przez dwie kadencje do Zarządu Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii. Przez jakiś czas jest członkiem Zarządu Koła 7 Pułku Ułanów Lubelskich. W ostatnich latach pracuje głównie w Stowarzyszeniu Techników Polskich gdzie jest członkiem Zarządu i w POSK gdzie pełni funkcję skarbnika.

Pisze Pan Dr Poznański „bo przecież wiemy, że dla żołnierzy spod Monte Cassino i spod Falaise i dla tych z lotnictwa i dla tych z marynarki wojennej, a także dla tych z Armii Krajowej polskość nie była „luksusem” i że płacili za nią swoją krew, a nawet i życiem”. Nie wiem czy p. Poznańskiego stać było na „luksus” walczenia pod Monte Cassino, może był zmuszony walczyć o sprawę Polską na równie ważnym odcinku międzynarodowej dyplomacji ale Krzysztof Głuchowski był jednym z tych „także z Armii Krajowej” a w zarządzie POSK jest szereg ludzi, którzy walczyli i pod Monte Cassino i pod Falaise.

Myślę że p. Głuchowski najlepiej sam chyba wyjaśni jak rozumie słowa że dla młodego pokolenia polskość jest luksusem. Ja zrozumiałem to całkiem prosto. Dla młodego pokolenia, które po ukończeniu studiów wchodzi w życie, urządza się, buduje swoją przyszłość, każda godzina poświęcona pracy społecznej polskiej bezinteresownie jest kosztem dodatkowego zarobku, albo możliwości dodatkowych studiów zapewniających szybszy awans, albo kosztem wypoczynku. W odróżnieniu od drugiej kategorii ludzi, którzy są już na emeryturze albo mają zapewnione środki spokojnego życia i którzy mogą swój wolny czas poświęcać sprawom społecznym i w odróżnieniu od trzeciej kategorii ludzi dla których ta praca społeczna jest zawodem i źródłem utrzymania. Nie negując ani ideowości ani znaczenia tej trzeciej grupy, myślę tylko że udana akcja POSK zmniejszy ilość drobnych instytucji o podobnych celach i tym samym znakomicie obniży koszt administracji funduszami społecznymi. Okazuje się że ten „luksus” każdy z nas rozumiał inaczej, prawdopodobnie tak jak mu było wygodniej. Mówiąc już o tym wydaje mi się, że trochę jak na nasze nadzieje za dużo tych bohaterów spod Monte Cassino i Falaise nazywa się Smithami, Wilsonami, mówi do swych dzieci łamaną angielszczyzną i nie czyta ani Dziennika ani żadnej polskiej książki nie kupuje. Chociaż polskość nie była dla nich luksusem tam na polach bitwy, jest nim dzisiaj i to tak dużym że sobie na to nie pozwalają więcej. Pomimo tego że na ogół powodzi im się dobrze, nie wchodzi dopiero w życie, nie dorabiają się.

Tym bardziej chyba należałoby cenić te grupy młodych zapaleńców dla których często obce są i niezrozumiałe rozgrywki polityczne starszego pokolenia, a dla których sprawa Polska pozostaje ciągle ważna i droga.

Właściwie to żal mnie Krzysztofa Głuchowskiego. Jego artykuły są może trochę zaczepliwe, może czasami i kontrowersyjne ale pełne entuzjazmu i szczerości. Jakże mu się mierzyć ze starym i cenionym działaczem, znanym i doświadczonym publicystą. W artykułach p. Poznańskiego każde zdanie

jest przemysłane. Każde słowo wyważone. Pełno jest tam „myśli niedopowiedzianych”. Autor wierzy w inteligencję czytelników i zmusza ich do myślenia, do czytania między linijkami. Pełno tam szpilek zatrutych jadem. Takie ukłucia nie tylko bolą bardziej ale także i... swędzą. Kto wie jednak czy autor nie popełnia tutaj błędu. Czy młode pokolenie nie tylko umie czytać między linijkami ale umie czytać głębiej i lepiej niż to się p. Konsulowi wydaje, i kto wie czy rezultatem tego artykułu nie będzie to, że szereg Polaków wyzbędzie się „nastroju oczekiwania” i przystąpi wbrew doradom Dra Poznańskiego do Polskiego Ośrodka Społeczno Kulturalnego już teraz.

Łączę wyrazy poważania,

A. J. ZIELICKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:

Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

© Copyright by Institut Littéraire, 1966.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London. W. 4. — Telefon: CH1swick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt légal 1^{er} trimestre 1966.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leih-Bibliothek, godz. 19-21).		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr. konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560,00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221 s. 1203, Cx. Postal 30.750, Sao Paulo, tél.: 35-5584.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr. Konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G. Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man.; « Zwiastowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491; W.T. Drymer, 31, Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél.: LE 33407. S. L. Lemanski, 273 1/2 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr. konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zabe, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew-Ossetyński, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dzierzycowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 46, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Cleveland, Ohio 44107; Ch. M. Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co., 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co., Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 600 Imogen Ave., apt. 101, Los Angeles, Cal. 90026; Jan Wojcik, 131, Gold Street, New Britain, Conn.; A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tel. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27. Tél. : 75-77-241	700 L.	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta
2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM CXXI — Seria "Archiwum Rewolucji"

ARTHUR KOESTLER

FRAGMENTY WSPOMNIEŃ

Historia rozczarowań i powodów odejścia od komunizmu
wybitnego pisarza.

Str. 240

Cena 13,50 F (dol. 3,00; 20/-)



TOM CXXII — Seria "Archiwum Rewolucji"

MICHEL GARDER

AGONIA REŻYMU W ZSSR

Przełożyła z francuskiego Zofia HERTZ

Str. 144

Cena 9 F (dol. 2,00; 13/6)